

1897. XII. 40.

2

WYDAWNICTWO
na
CELE DOBROCZYNNIE
samborskie.

A. A. ROCZNIK.

Nowa seria
ILLUSTROWANA,
wydawana
nakładem i staraniem
G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współ-
pracowników.)

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.
1897.

Cravop. 692/xx.

Bibl. Jag.



Adam Knapp



Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

XX. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,
wydawana
nakładem i staraniem
G. KOHNA.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności,

SAMBOR.

1897.

W SAMBORZE.
Czcionkami Schwarza i Trojana.

100322/4
20(1897)

Mf 11669

Biblioteka Jagiellońska



1002905221



Nieco o Adamie Asnyku

(z portretem tegoż.)

Bardzo tylko szczerze szczegóły o tym autorze, którego współcześni prawie za największego po Lenartowiczu liryka polskiego uważają — podawać możemy naszym czytelnikom. Sam Asnyk, chociaż wybitną rolę odgrywa w życiu społecznym i literackim, nie należy jednak do tych ludzi, którzy się afiszować lubią publicznie i zasługi swoje — czy rzeczywiste czy domniemywane — wykrzykiwać usiłują na cały świat.

Adam Asnyk (od szeregu lat piszący pod pseudonimem El...y) urodził się w Kaliszu 1838, studja

humanitarne zaś odbywał w Heidelbergu, gdzie też zdobył doktorat filozofii. Następnie podróżował dłuższy czas po świecie, aż nareszcie przeniósł się do Krakowa (1870), gdzie się też stale osiedlił.

Jako zawzięty przeciwnik stańczykowstwa należy on do założycieli „Nowej Reformy“, a chociaż obecnie ze składu redakcji wystąpił, to utrzymuje bez przerwy stosunki przyjazne z tym organem postępowej demokracji krakowskiej. W ogóle żywy bierze udział w wszystkich sprawach publicznych jako poeta, publicysta, obywatel miasta Krakowa.

W „Braciach Lerche“, dramacie sensacyjnym, poruszył kwestję piekącą dla Polski, kwestję prześladowania żywiołu polskiego przez zwolenników Bismarcka; celem budzenia idei polskiej stoi jako prezes na czele „Towarzystwa szkoły ludowej,“ które pod jego opieką nader pomyślnie się rozwija; reakcję zwalcza ustawicznie słowem i czynem, dokąd tylko potęga jego słowa i dźwięki jego liry sięgają.

Jako poeta liryczny zajmuje on niepoślednie stanowisko; jako obywatel kraju co do zasług nie ustępuje poecie. Te też zasługi uczciło niedawno pospółstwo krakowskie w dzień jubileuszu wielkiego poety.

My, oddaleni od wielkiego ołtarza i skazani, życie nasze wlec na partykularzu wśród krępujących wszelki ruch swobodniejszy warunków życia — pragniemy Mu tą drogą przesyłać wyraz czci naszej, biorąc bodaj skromny współudział w hołdzie ogólnym.

Muza Asnyka natchnęła i młodszych rówieśników do pracy. Komponistę dla swoich wierszów znalazł w osobie Karola Fettera, c. k. starosty myślenickiego; tłumaczył (na język niemiecki) w osobach Dra Leona Feuersteina, Dra Maurycego Rappaporta (jeśli nas pamięć nie myli, także Dra Alberta Weissa) i G. Kolna. Ubolewać nad tem należy, że Adam Asnyk w stosunku do swojej wziętości w kraju, za mało znany jest w Niemczech i za mało tamże ma tłumaczył, choć przekład jego wierszy (nie chcę mówić dramatów) może nietyle

spowodowałyby trudności, aniżeli przekład (często nawet nieudatny) Mickiewicza, Słowackiego lub Kraśńskiego.

Sambor, 2. Lutego 1897.

G. K o h n,

redaktor i wydawca „Roczników Samborskich“.



Trzy obrazki.

I. WRÓŻBA.

„Matuchno moja! czy widzisz tę gwiazdę,
Co takim żarem wśród błękitu płonie,
A za nią, jakby wojenną wyprawę:
Działa, sztandary, rycerzy i konie?”

Dziwne zjawisko! i co znaczyć może?
W duszy mej jakiś niespokój i trwoga...
Czy może znówu kraj dotknie nieszczęście,
Czyż może wojna, morderstwo, pożoga?

Matuchno moja! lęk mnie jakiś dziwny
Przenika!... echa z odległych stron płyną,
I myślą widzę już srogich siepaczy,
Z rąk których nasi współrodacy giną!...

Już okiem duszy jestem w kazamatach
Sybirskich więzień;... dźwięk łańcuchów słyszę
I krwawych kajdan;... słyszę jęki skutych
W podziemnych lochach!... W tę przedburzną
[ciszę

Boję się matko!“ — „Ach! nie trwóż się, moja
Luba dziecino, Marylko kochana!

Lecz wiedz, że Polska, biedna męczennica,
Na wieczne męki i zgrozę skazana.

Odkąd wróg w szpony pochwycił ją krwawe
I odkąd orła jej rozdarł na ćwierci,
Odtąd jej życie śmiertelnie stargane,
Więc Polska nowej nie boi się śmierci!

Trzy razy już ją wróg śmiertelnie ranił,
Więc jej nie straszne nowe śmierci ciosy!
Wróg zabił ciało, lecz ducha nie złamał,
A krew o pomstę woła pod niebiosy.

Nie trwóż się dziecię, a gdyby ci przyszło,
Z twoimi braćmi znaleźć się wśród boju,
Idź z wiarą w sercu i bądź im otuchą
I miłosierdzia siostrą w walki znoju.

O! idź dziecino bez trwogi, bez żalu,
Chociaż mnie widzisz w starości, w siwiznie!
Polska jest matką naszą, a ja twoją:
Zostaw mnie, a idź z pomocą Ojczyźnie.“

II. WOJNA.

Już dawno gwiazda znikła z horyzontu
I czarne chmury niebiosy pokryły,
Błysnęły gromy i zawył huragan,
A u chat pustych dziko psy zawyły.

Nie ma nikogo w chatach ni w podwórzu...
I stajnie puste i puste stodoły...
W około cisza, milczenie ponure,
Czasem się tylko przemkną gdzieś sokoły.

Ale tam w polu wre walka zażarta...

Każdy, kto kochał tę Matkę Ojczyznę,
Porzucił chatę, pozostawił mienie

A poszedł w krwawy bój po śmierć, po bliźnę!...

Wre walka!... wróg się rzuca, mści i zżyma,
Zewsząd pożary, dymy i płomienie,
I zewsząd jęki bezbronного ludu,
Lecz płyną morza, krwi płyną strumienie.

Bronią się bracia, co sił tylko starczy,
Lecz mała garstka zwyciężyć nie zdoła;
Biada im! biada, gdy ich wróg przycisnie,
Straszną im będzie niewola Mongoła.

Długo się miasta i wioski paliły,
Szala zwycięstwa długo się ważyła,
Waleczność z dziką szła tłuszczą w zawody
Długo, — aż wreszcie przemoc zwyciężyła.

O gwiazdo, coś tak zajaśniała wtedy
Złowieszczo! czemuś dziś skryła oblicze
I nie chcesz spojrzeć na ten bezwstyd wroga,
Co zgrozą zraniłby myśli dziewicze?

Czemu dziś żadnej nie ześlesz pociechy,
Skoroś nieszczęście i śmierć wywróżyła?
I nie wprowadzasz do rodzinnej strzechy
Tych, coś swym blaskiem z niej wyprowadziła?

Lecz gdy już taka wola przeznaczenia,
To wiedz ich siłą i nadal uroczą!

Pójdź z nimi wszędzie, do więzień wstąp, w Sybir
I gdzie podziemne ciemności ich znroczą;

Pójdź z nimi razem, przypatrz się tej grozie,
A może litość zbierze cię, na Boga!

I oswoobudzisz ich z jarzma północy
I pomścisz srogo krzywdziciela-wroga! —

III. MĘCZEŃSTWO.

Kędy Sybiru zimne, białe śniegi
Krwawymi ślady i łzami znaczone,
Tam zapędzony kwiat młodzieży laszej,
Tam dziewic polskich róże uwięzione.

Tam starce kajdan żelaznymi kręgi
Do skał przykute mają ręce, szyje,
Żelazo wpija się w wychudłe żyły,
Chcąc wysssać resztę krwi, co z serca bije.

Tam jęk zgłuszony duszę w głąb przenika,
Uciska umysł i targa za serce,
Tam knut moskiewski z krwią ciało wrywa,
Mordują synów i ojców morderce.

Gwiazdo! mknij chyżo po błękitu stropie
Tam, gdzie drżą dzisiaj konające wargi
Męczonych braci, i gdzie słyhać dźwięki
Rdzawych łańcuchów i serc polskich skargi.

Gwiazdo! mknij w Sybir do tych izb ponurych,
Gdzie wśród męczeństwa krwi płyną strumienie

I gdzie bezbronni czują dłoń morderczą,
Póki ostatnie nie uleci tchnienie.

A gdy wytrzymać będziesz jeszcze zdolna,
Otwórz twe serce i z błaganiem łzawem
Zanieś ty lotem złotego promienia
Skargę do Pana o nieszczęściu krwawem.

Odsłoń mu wszystkie męczarnie, katusze,
Jakich doznają tu niesprawiedliwie
Ci, co umieli bronić swej wolności,
Co Matkę-Polskę kochali prawdziwie.

A Bóg się biednych ulituje nędzy,
Z wrogiem uczyni rachunek sumienia,
Policzy krople łez i krwi wylanej
Na zgrozę, hańbę, wrogiego plemienia,
A dzieciom Matkę wróci ukochaną,
Wróci im Polskę, szczęśliwszą po boju
I wzniesie orła, zmartwychpowstałego
Na tle zwycięstwa i na tle krwi zdroju.

Rymanów, 29. Listopada 1896.

Olga Lissówna.

Fata Morgana, sonet.

Widziałam pełne światła promieniste zorze,
Złotą chmurę, a za nią cały las palmowy,
Błękitną rzekę, miasto, pałac kryształowy.
A u stóp jego drżące odbłyсками morze.
Czarodziejski ten widok złocisto-różowy
Pełną mocy potęgą ogarniał przestworze,
Jakby sobie w przeźroczu z zórz uścielił łożę,
Jakby płynął na skrzydłach ciszy południowej!
Wionął zefir, — wnet blaski w nicość się rozwiały,
Znikły palmy i miasto, pałac się rozprysnął,
Złociste chmurki w mgliste zmieniły się szmaty.

Tak się moje marzenia o szczęściu rozchwiały,
Znikła „Fata Morgana,” zwiędły złudzeń kwiaty,
Miast radości: łzy, smutek i żal serce ścisnął.

Rymanów, 25. Października 1896.

Olga Lissówna.

Wspomnienia z życia na tułactwie.

„DZIENNICZEK JANINY.

Paryż, 16. Maja 1883 r.

Skończyłam dzisiaj lat szesnaście. W tym dniu tak ważnym dla mnie, rodzice i dziadunio sprawili mi najmilszą niespodziankę, o jakiej zamaryć ledwie mogłam.

Do mieszkania naszego dotykał mały pokoik o jednem oknie: nie wiedziałam nawet, że istnieje, bo drzwi od niego zastawione były wielką szafą od czasów niepamiętnych. Otóż dziadunio skłonił gospodarza domu, że mu wynajął ten kącik. Mama w głębokiej przedemną tajemnicy kazała oblepić ściany bładozielonym papierem w różę, podłogę z prostej cegły wyłożyć skromnym kobierczykiem, drzwi i ramy okien pociągnąć białą farbą. Nie dosyć jeszcze na tem: ciocia Helena, pełna wytwornego smaku, urządziła mi śliczny stoliczek do pisania, na półkach ułożyła książki, główną ścianę ozdobiła całym zbiorem obrazków i fotografii. Dodajmy do tego doniczki pełne rozkwitłych róż, gwóźdźników i lewkonij, bukietki w wazonach, a łatwo pojąć, że nędzną izdebkę przemieniła w istne pieścidełko.

Na tym ślicznym stoliczku, na pokryciu z zielonego sukna, zahaftowanego po brzegach ręką mamy,

zaczynam mój dzienniczek. Oczy moje uderza nasamprzód wizerunek Kościuszki w wieśniaczej sukmanie.

Dziadunio zawiesił go wpośrodku ściany, do której dotyka mój stolik. Po prawej stronie ciocia pomieściła portrecik Mickiewicza, po lewej Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, poniżej fotografie całej naszej rodziny. Szereg ich rozpoczyna dziadunio w czamarze — z krzyżem *virtuti militari* na piersi. Bujny włos jego siwy i wąs długi, biały jak mleko, ślicznie odbijają od czerstwych i rumianych policzków.

Gdziebądź obróćę głowę, wszędzie miła jakaś niespodzianka. W głębi pokoju sofa, na której sypiać będę, a nad nią obraz N. Panny Częstochowskiej, znany mi dobrze, bo od pierwszych lat życia odmawiałam przed nim ranny i wieczorny paciorek; poniżej kropielniczka i różaniec, pamiątka po drogiej babuni. Na półkach znajduję tu prawdziwe skarby: naśladowanie Chrystusa, książkę do nabożeństwa układu Hoffmanowej, wszystkie jej dzieła w kompletnem wydaniu. Są tu poezje Mickiewicza, Bohdana Zaleskiego i owe śpiewy historyczne Niemcewicza, których uczył mnie dziadunio pod cieniem drzew luksemburskiego ogrodu, widzę również prace historyczne Szajnochy, dzieła Jana Kochanowskiego i inne jeszcze książki wielkiej wartości. —

A z okna jakież to cudny widok! Dom nasz przy ulicy d'Athos, w bliskości Luksenburga. Oko ogarnia ztąd zielone aleje, wysadzone szeregami jaworów o pniu białym i rozłożystych kasztanów. Wietrzyk ranny przynosi tu rzeźwiący powiew wiosny. Dalej nieco na wzgórzu wznosi się wspaniały panteon z okrągłą kopułą, wspartą na kolumnadzie. Krzyż błyszczący od promieni słonecznych, przypomina, że to przybytek chrześcijański — mimo rysunku pogańskiego pozoru. —

Nie zdołam opisać radości mojej na widok ślicznego gniazdeczka. Kiedy zbudzona ze snu poszłam do mamy na zwykły pocałunek, ona porwała mnie w objęcia, zwała pociechą swoją:

— Chodź ze mną Janko — rzekła rozpromieniona, niechże ci dam wiązanek: zasłużyłaś na niego pracą i łagodnością. Masz lat szesnaście, z pisklątką wyrosłaś na ptaszynę, dostaniesz więc własną klateczkę.

To mówiąc, mama wprowadziła mnie do jadalnej salki. Widzę, że szafa stoi przy innej ścianie, w jej miejscu drzwi przysłonięte firanką. Odsunęła je mama, i ujrzałam się w ślicznym pokoiku, gdzie wszystko z taką miłością obmyślane. Ze łzami objęłam kolana drogiej mateczki.

— Nie moja w tem zasługa — rzekła z uśmiechem, wszyscy potrochu składaliśmy się na to gniazdko. Dziadunio wystarał się o pokoik; od ojca masz sofkę, krzesła, fotel; ciocia Helena wypełniła półki książkami — Władysław sprawił portreciki.

— A gdzie dziadunio? — zagadnęłam.

— Widziałam — rzekła mama, jak poszedł do kościoła, podziękować Bogu za pociechę, jaką nam w tobie zesłał. Ubierz się na przedce Janinko, i my pójdziemy na Mszę Świętą.

Drżąc jak listek od radości, pobiegłam z mamą do kościoła Św. Sulpicjusza przez ogród luksemburski. Nie było tam już dziadunia: poszedł zapewne na cmentarz Montparnasse, gdzie leży droga babunia, aby przy grobie jej rozpocząć dzień godowy.

Za powrotem siadłam przy moim stoliku. Wpadł mi w oczy oprawny kajet, z napisem wyciśniętym na okładce: „Dzienniczek Janiny.“ Na pierwszej stronie odczytałam te zwrotki, nakreślone ręką drogiego ojca:

„Utkwiłem oko w księdze rozwartej,
Serce mi silnie uderza.

Tchną czystą wonią wszystkie jej karty,
A każda biała i świeża.

Rychło te barwy znikną łabędzie,

Za czem lat kilka się prześni;

Na białych kartach, co — pytam — będzie?

Motyle, kwiaty czy pieśni?

Może z nich błysną te pełne zgłoski,

Co skrzepłe serca ogrzeją,

Zaklną żywota nędze i troski

Wiarą, miłością, nadzieją!

Lecz inna jeszcze olbrzymia księga,

Świat dziś przed tobą otwarty;

Jak śnieg na górach, co niebios sięga,
Bieleją świeże jej karty.

Każda z nich przetrwa jasna i czysta,

O! bo stróż-anioł twój blisko,

Bo nie napróżno pieśń macierzystą

Brzmiała nad twoją kołyską.

Przez matkę siane w pierś twoją ziarno

W złote się kłosa rozrodzi,

Ty okupiona łzą jej ofiarną

Ujdiesz burzliwej powodzi.

Księga dni twoich jasna i długa,

Ach! walcz i pracuj zażarcie.

Niech nowa zdobycz, nowa zasługa

Na każdej świecą jej karcie.

W woli niezłomna leży potęga,

Pierś wiekotrwałym granitem,

Zacnem i czyny zdobna ta księga —

Niech będzie Polki zaszczytem.“

Odczytałam te słowa jeszcze i dumałam nad nimi,
kiedy w przyległej salce dał się słyszeć odgłos kroków
dziadunia.

Zapłoniona wybiegłam ku niemu. On wyciągnął
do mnie ramię, głowę moją przycisnął do piersi.

— Przynoszę ci datek od babuni — rzekł, sto-
krótki zerwane na jej grobie.

Ucałowałam kwiatki, włożyłam je w wazonik.

— Co to za cudną klateczkę, dziaduniu najdroższy,
dałeś z mamą twojej ptaszynie — zawołałam uniesiona
radością.

— Niech cię Bóg w niej błogosławi dziewczeczko
— to mówiąc skreślił krzyżyk nad pochylonem czołem
mojem. Potem zaczerpnął z kropielniczki trochę wody
święconej. Potrysnął nią stolik i wszystkie kąty.

— Mam ja — rzecze, inny jeszcze wiązanek od
babuni, ale nim ci go oddam, muszę ci powtórzyć, co
mi ona dziś poszepnęła, kiedy błąkałam na jej grobie.

Przysunęłam mu fotel, siadłam u stóp jego na
stołeczku.

Dziadunio nałożył tytoniem fajkę, rozdmuchał pło-
mień, milczał długo; nie śmiałam mu przerywać.

„— Święta była ta droga babunia — rzekł ci-

chym, wrzuszonym głosem : przeżyliśmy pół wieku w niezmaconej zgodzie i jedności i gdyby nie troska o losy Ojczyzny, nie myśl, że bracia nasi cierpią, nie byłoby ludzi szczęśliwszych niż my dwoje, dopóki nas Bóg nie rozłączył.

„Widywałem ją w Warszawie, kiedy była małą jeszcze dziewczeczką. Z bratem jej Tadeuszem chodziliśmy do liceum pierwszej klasy ; kochałem go jak rodzzonego brata, i on też serdecznie mnie ukochał. Rodzice nasi żyli z sobą w przyjacielskim stosunku. Ojciec mój był sędzią, ojciec Zosi adwokatem przy trybunale.

„Tadeusz o rok starszy odemnie, miał lat dwadzieścia, ja skończyłem rok dziewiętnasty, kiedy po złożonym egzaminie i otrzymaniu matrykuły, zapisaliśmy się na wydział prawny do uniwersytetu warszawskiego. Było to w roku 1830. Nagle huk dział przerwał kursa zaledwie rozpoczęte.

„Krew zakipiała nam w piersiach ; noc Listopada otworzyła nam świat nowy : widzieliśmy już Polskę wolną, całą i niepodległą. Zaciągnęliśmy się do gwardji Dyktatora. Pamiętnyż to dzień w życiu mojem, kiedy obaj z Tadeuszem przybrani w mundur z amarantowemi wyłogami, ukazaliśmy się wieczorem w domu jego rodziców. Zosia miała wtedy lat szesnaście. Chcesz wiedzieć, jaką była ? spojrzij w zwierciadłko a zobaczysz te same błękitne oczęta, te same włoski płowe, wijące się w pierścieniach nad czołem.“

To mówiąc dziadunio uściśnął mnie i łza cicha, którą daremnie chciał ukryć, spłynęła mu z pod powieki. Milczał chwilę głęboko wrzuszony, a potem ciągnął dalej :

„Nie widziałem jej dwa tygodnie od niedzieli, która poprzedziła noc listopadową. Dziwnaż to w niej odmiana ! z dziecka przemieniła się w kobietę, rysy jej nowy przybrały wyraz, głosik zwykle cichy i nieśmiały drgał jakimś nowem tętnem. Miała jak pomnę sukienkę granatową, na szyi okręciła wstążeczkę amarantową z białem. Rzekłbyś, że połykała słowa nasze, gdyśmy opowiadali przygody, w których braliśmy czynny udział.

„Rodzice moi spędzili ten pamiętny wieczór w domu Mecenasostwa. Cóż to było za życie, jaka radosna

wrzawa! Zosia zasiadła do fortepianu, umiała już na pamięć wszystkie piosenki, rozkwitłe na bruku warszawskim, jak i dawne, przechowane w tradycji narodowej. Śpiewaliśmy je wszyscy. Ojcowie przywtarzali basem, moi dwaj mali bracia, równie jak dwie młodsze siostrzyczki Zosi, połączyli swój dyskantowy głosik z jej słowiczym sopranem: ja i Tadeusz męzkim barytonem trzymaliśmy prym w tym patriotycznym koncercie. Oj, byłże to koncert nad koncertami, nigdy go nie zapomnę!

„Wpadaliśmy z jednej nuty na drugą. To śmiech odpowiadał sarkastycznym zwrotkom o orędziu Konstantego:

„Po bruku huczałeś,
Szampańskiej spijałeś.
Uciekasz bez huku,
A kuku! a kuku!“ —

to serca drgnęły nadzieją, gdy wszystkie głosy powtarzały razem:

„Boże daj! Boże daj!
Niech nam błysnie taki Maj!“

to znowu niewymowny zapal ogarnął nas wszystkich na wspomnienie Kościuszki. Starzy i młodzi płakali, gdy na nutę znanego polonesa zabrzmiały słowa nowo utworzone:

„Nasz Kościuszko! spojrzuj z nieba,
Gdy w krwi wrogów będziesz brodzić,
Twego miecza nam potrzeba,
By ojczyznę oswobodzić.“

Ostatnia zwrotka wywołała szal powszechny:

„O! kto powie, że Moskale
Są to bracia nas Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę,
Przed kościołem Karmelitów!“ —

„— Precz z braterstwem! hańba tym, co je głoszą!“
— wołaliśmy wszyscy, a głos nasz od rogu Leszna i Elekto-
ralnej ulicy, dobiegał do tych cel, w których dwa
tygodnie temu, rozbijali pięści o kraty więzienne, wielcy
patrijoci, zaczem naród ich oswobodził!

„— Oj, nie wszystkich — dodał smutno dziadunio. Kilku z nich, że wspomnę tylko Łukasińskiego.

uprowadzili Moskale na lodowce Sybiru — tam przypadli bez wieści!“. . .

Dziadunio umilkł, nie śmiałam mu przerywać, dołożył tytoniu do fajki, siedział zadumany, ze spuszczoną na piersi głową.

„Wieczór ten — rzekł po chwili — wyrzył się na zawsze w pamięci mojej. Poznałem Zosię, bo choć widywałem ją od dziecka, w tym domu dopiero odgadłem skarby ukryte w jej duszy, stokroć cenniejsze od modrych jej ocząt i koralowych usteczek.

„Wkrótce potem zabrzmiała pobudka bojowa. Obaj z Tadeuszem pobiegliśmy na krwawe pole. Nie będę ci mówił o zażartej bitwie w olszynie grochowskiej. Słyszałaś już nieraz tę opowieść z ust moich. Ale jak tu przemilczeć o Wielkiej Nocy i tryumfalnym powrocie z pod Dęba! Warszawa patrzy z uniesieniem na zdobyte armaty i prowadzonych jeńców. W kościołach brzmi uroczyste *Te Deum*. Wesołe to Alleluja.

„Ucieszywszy się z rodzicami, poszedłem z Tadeuszem do domu Mecenasostwa, podzielić się jajkiem święconem. On utykał jeszcze na nogę, ja rękę nosiłem na tenblaku, ale na piersiach naszych świecił krzyż *virtuti militari* i szlify oficerskie na ramionach. Była to sowita nagroda za kilka kropel krwi, stoczonej w świętej sprawie.

„Inną, droższą jeszcze miałem ja nagrodę: czytałem ją w oczach mojej Zosi. Był to dzień prawdziwie szczęśliwy! ale drugi taki nie miał się już powtórzyć!

„Po chwilowych tryumfach, klęski posypały się gradem. Tak Bóg chciał! śnać nie wybiła jeszcze godzina oswobodzenia naszego i długo przyszło nam na nią czekać.

„Oprócz klęsk narodowych — ciągnął dalej dziadunio — wielkie nieszczęście spadło na biedną moją Zosię. Kiedyśmy z Tadeuszem cofali się po smutnej klęsce ostrołęckiej, cholera zapanowała w Warszawie. Padł jej ofiarą przeczny mecenas po dwudniowej chorobie. Łzy sierót nie oschły jeszcze, kiedy w tydzień po ojcu zapadła matka; nie zdołano jej uratować. Siostra zmarłej, podeszła panna, przytuliła sierotki, najtroskliwszą otoczyła je opieką. Z listu ciotki do Tadeusza,

w pochodzie ku Warszawie, dowiedziałem się o nie-szczęściu.

„Chwila powitania z Zosią należy do najboleśniej-szych, jakie w życiu przetrwałem. Bledziuchna, istna lilijka, podała mi drżące rączeta, łzy płynęły z modrych jej ocząt, ciche i łonie zdławiło głos w jej piersi. Ja też nie wiedziałem, co wyrzec, by nie rozranić serca niebogi; ale milczenie nasze wymowniejszem było nad wszelkie słowa. Zosia czuła, jak boleję nad ciężkiem jej sieroctwem.

„Kilka zaledwie razy widzieliśmy się odtąd. Obo-wiązki służby oderwały nas od niej, tak mnie jak Ta-deusza. W końcu Sierpnia dopiero przyciągnęliśmy ku okopom Warszawy, kiedy Moskwa rozpostarła się na lewym brzegu Wisły. Okropne to czasy! włos się jeży na samą ich wzmiankę!

„Tyle sił zmarnowanych! tyle krwi na próżno sto-czonej! ale dajmy już temu pokój! Może przyszłość zbierze kiedyś plony z tych posiewów, bo żadna ofiara na świecie nie przepada, ale Boże mój! trzy pokolenia wyczekują na chłodzie i głodzie, a jutrujenka nie świta i trawka nie kiełkuje!“

Stłunionym głosem rzekł dziadunio te słowa, a potem położył fajkę na stole i milczał, jakby mu tchu zabrakło w piersi. Przytuliłam głowę do jego kolan. Ucałowałam mu ręce.

— Niech drogi dziadunio — rzekłam, zostawi re-sztę opowieści na jutro — to go za bardzo zmęczy.

„Trzeba — odparł — zgryźć ten twardy orzech, przyrzekłem ci, muszę dotrzymać słowa.“

I ciągnął dalej głosem spokojnym, bez skarg i u-niesień; ale czułam, ile pod tym pozornym chłodem kryje się głębokiej boleści.

„Nadszedł wrzesień — mówił dziadunio; staliśmy z Tadeuszem na wałach. Moskwa ścisnęła Warszawę spiżową obręczą dział i lasem bagnetów. Pomnę szóstego rozpoczął się szturm, sypnęły się kartacze i granaty, siekły naszych jak trawę. O kilka kroków od nas padł generał Sowiński, my obaj ocaleli, choć Bóg jeden wie, żeśmy nie cofnęli kroku przed śmiercią, pewni, że nas nie minie.

„Ogień ustał wieczorem; nazajutrz popołudniu rozpoczął się na nowo. Był to istny dzień sądny: krew toczy się strumieniem, przedmieście gore; „kapitulacja“ rozlega się szmer w koło. Nie chcemy temu wierzyć; ale nad wieczorem, podczas gdy część wojska jeszcze walczy, większą część uprowadzają z okopów. Tłumnie przeciągamy w stronę mostu.

„Z Elektoralnej ulicy wchodzimy na Senatorską.

„— Kapitanie — błagam dowódcy, pozwól mi pożegnać rodziców, mijamy właśnie ich dom, powrócę tu za chwilę.“

„— Spiesz, mój chłopcze — odrzekł kapitan, może ich nigdy już nie zobaczysz!“

„Jednym poskokiem wbiegłem na drugie piętro. Padłem do nóg ojca i matki, pobłogosławili mi oboje. Zastałem tam Zosię z siostrzyczkami. Przeprowadziła je ciotka, uważając dom ten za bezpieczniejszy. W chwilę po mnie wpadł Tadeusz.

„— Panno Zofio — rzekłem z cicha do drżącej jak listek dziewczeczki, nie zapominaj o mnie!“

„— Nigdy! — odrzekła — głos jej zdławiło ciche łkanie.

„W chwilę potem dobiegliśmy z Tadeuszem wrogów naszych. Gdyśmy stanęli na Pradze, działa umilkły. Podpisano kapitulację!“

I znów przerwał dziadunio, dostrzegłam łzę wybiegłą mu z pod powieki, lecz udałam, że jej nie widzę. Otarł ją nieznacznie, podniósł do góry czoło.

„Nie będę ci moje dziecię — rzekł — opowiadał o pochodzie naszym do granicy, a następnie przez kraje niemieckie. Nieraz już mówiłem o tem. Przeskoczę też rok z górą i przystąpię do chwili najważniejszej w mojem życiu tułaczem.

„Było to w Grudniu 1832-go roku. Na wysokiem poddaszu, przy tej samej ulicy, gdzie i dziś mieszkamy, otrzymawszy z Tadeuszem pozwolenie na pobyt w Paryżu, obraliśmy sobie ubogie gniazdeczko. Zdawało nam się, że w wielkiem mieście będzie nam znośniej niż w Bourges, gdzie rok cały przebyliśmy w zakładzie polskim. Chcieliśmy przytem zapisać się na kursa do Sorbony i prowadzić dalej przerwana naukę prawa. Ale

w tym rozgwarze paryskim, niepojęty smutek opanował nam duszę. Wieści z kraju wcale nie dochodziły. Za rządów Mikołajowskich schwycony list prowadził wprost na Sybir. Nikt z nas też nie pisał do swoich, nikt nie odbierał słówka. Żyliśmy jakby odgradzeni od kraju murem chińskim.

„Nadeszła wigilja Bożego Narodzenia. Pomnę wicher dnie przeraźliwy, śnieg z deszczem bije w okienko. Uderzyła godzina szósta: chmury pokryły niebo, niedopatrzyć na niem drobnej gwiazdki. Garstka węgla płonie na kominie; pocziwy Tadeusz zakrzytał się około ubogiej wieczerzy: przyrządza polewkę migdałową, smaży na patelni jakąś rybkę, pod popiołem piecze kartofle.

„Z sercem ściśniętem przypominam sobie, jak dwa lata temu, pełni nadziei łamaliśmy opłatek w domu rodziców moich. Zaproszeni na te gody Mecenasostwo dzielili je z nami radośnie. Oni dziś w grobie, diatwa płacze osierocona. Biedni rodzice moi — czy jeszcze żyją? czy przetrwali tyle boleści i zawodów?

„Tadeusz raźniejszy odemnie, nakrył stolik serwetą, podał migdałową polewkę, ale żaden z nas nie śmiał jej dotknąć. Siedzieliśmy obaj zadumani. Wtem ktoś zapukał do drzwi:

— Kto to być może? — zawołał Tadeusz, zerwał się z miejsca, otworzył drzwi — oddźwierna podała mu list zapieczętowany.

— Jakiś pan przyniósł to w tej chwili, rozkazał wręczyć Panu jak najspieszniej.

„List adresowany był do Tadeusza. Rozłamał pieczętkę — rysy jego nagle się rozjaśniły.

— Otóż i opłatek — zawołał, ocierając łzę z oka. Zgadnij — od kogo liścik?

„Głos tajemny szepnął mi, że od Zosi, lecz nie śmiałem się przyznać.

— Mów! mów — pytam, może, to z kraju.

— Tak, z kraju — powtórzył Tadeusz — od mojej siostrzyczki ukochanej, ale zgadnij, od której?

„To mówiąc pokazał na koniec listu, zasłoniwszy podpis. Wyczytałem tylko: „do widzenia!“ . . . pojaśniało mi w oczach.

— Biedna Zośka — mówił Tadeusz, ileż to w jej słowach żalu i tęsknoty! patrz, kończy liścik zwrotką Stefana Witwickiego:

„Gdybym ja była ptaszkiem w ciemnym gaju,
W twoim bym tylko chciała śpiewać kraju!

Ani na góry — ani na lasy,

Ale po wszystkie czasy

Pod twem okienkiem

I tylko dla ciebie —

Gdybym ja w ptaszka mogła zmienić siebie!“

„Tadeusz czytał rzewnym i czystym głosem, mnie serce topniało jak wosk pod promykami słoneczka.

„Odczytaliśmy liścik cały — ucieszyła mnie wieść o rodzicach, że żyją, że dość zdrowi, choć bardzo stęsknieni bezemnie.

„Długo siedzieliśmy w milczeniu, jakby przykuci do miejsca; Tadeusz powstał wreszcie, zaprowadził mnie do kominka. Gdyśmy siedli, pochwycił mnie za rękę.

— Posłuchaj bracie — rzekł z powagą, gdybyśmy też usłali gniazdeczko naszej miłej ptaszynie? bo choć nigdy nic o tem nie wspominała, wiem, że ona drogą twemu sercu.

— Jako? — zawołałem, my biedni, bez jutra, istne ptaki wędrowne, godziż się, narażać ją na nędzę życia tułaczego? odrywać od koła rodziny?

— Ona sierota — odparł Tadeusz, wychowana skromnie, przyzwyczajona do pracy. Ona się niczego nie ulęknie. Jako brat starszy zezwalam chętnie na wasz związek, pewien, że będziecie żyć po Bogu w najściślejszej zgodzie,

— Bracie mój, dzięki ci za dowód ufności — odparłem, ściskając Tadeusza, bądź pewien, że cię nie zawiodę, że się okażę godnym Zosi.

„Następnych dni poszedł Tadeusz na zwiady. Odkrył przypadkiem tego pana, który przyniósł mu liścik. Na ręce jego posłał siostrze odpowiedź. Przedstawił jej życzenia swoje. Zgodnie z jego wolą i ja dopisałem kilka słówek. Nie śmiałem nalegać, żal mi było niebogi. Mógłżem ją sumiennie namawiać na tyle poświęceń i trudów?

„W Lutym otrzymała Zosia mój liścik. Bez chwili namysłu wyznała ciotce swoje postanowienie. Z błogosławieństwem jej i rodziców moich puściła się w daleką drogę. Przybyła tu pięćdziesiąt lat temu, przywiozła z sobą wszelkie wymagane świadectwa. Chcąc mieć nad sobą jakiś cień rodzicielskiej opieki, udała się o nią do czcigodnej Klementyny Hoffmanowej, której wykła-dów słuchała na pensyi pani Wilczyńskiej w Warszawie.

„W kilka dni po przyjeździe Zosi byliśmy zare-czeni.“

To mówiąc dziadunio zdjął z palca skromny pierścionek z turkusowem oczkiem.

— Tę najdroższą pamiątkę — rzekł — daję ci Janko na wiązanie. Skończyłaś rok szesnaste, z dziecka wyrosłaś na panienkę. Dobrze ci w rodzicielskim domu, pozostań w nim dziecię jak możesz najdłużej, ale, jeżeli kiedyś za lat kilka, gdy mnie już nie będzie na ziemi, znajdziesz godnego siebie młodziana i zechcesz jak babunia twoja ze mną, podzielić z nim prace i mozoły, oddaj mu ten pieścionek, on wam przyniesie szczęście. Weź go, a z nim razem przyjmij błogosławieństwo dziadka.

Milczał chwilę, siedziałam u stóp jego zapłoniona, ucałowałam jego ręce, przycisnęłam do ust pierścionek, a potem, nie wiedząc sama, co czynię, wsunęłam w niego róże, przypięte do stanika mego ręką mamy, gdyśiny powróciły z kościoła. Zobaczył to dziadunio, uśmiechnął się i powstał. Zgadł on, od kogo pochodziły te róże?

Wyszedł z pokoiku, po chwili ukazała się we drzwiach mama a z nią ciocia, która trzymała mnie do chrztu z dziaduniem i kochała jak własne dziecko. Przyniosła mi cztery tomiki Wincentego Pola, mego ulubionego poety: brakło go dotąd w biblioteczkę mojej.

Dzień ubiegł nadzwyczaj wesoło: ojciec pozostał w domu jak zazwyczaj w niedzielę. Wieczorem kółko najbliższych przyjaciół zebrało się, aby mi powinszować. Pierwszy przybył stary druh dziadunia, pan major, niegdys towarzysz broni, — w chwilę po nim nadszedł zięć jego pan Adam z żoną i młodym synem panem Stanisławem. Major krzepki jeszcze mimo lat siedmdzie-

sięciu pięciu, trzyma się prosto; włosy siwe krótko przystrzyżone, sterczą mu jak szczotka nad czołem, tak samo przystrzyga i wąsy. Cera śniada, wzrok przenikliwy, krępiaste brwi, na pierwszy rzut oka nadają mu jakąś srogą postawę, lecz kto go bliżej pozna, chce czy nie chce musi go ukochać.

Stary wiarus, zażarty zwolennik pierwszego Napoleona, nie ustąpi przed nikim z placu, stacza bezustanne szermierki za bohatera swego, z którym jego ojciec był niegdyś w Egipcie i zdobywał most pod Arkolem. Szarpie się na Francuzów, że cesarza dziś zapomnieli i lekceważą jego pamięć. I dziadunio mój dzieli z majorem te uczucia, ale łagodniejszy kiwa tylko głową i nie wdaje się w te spory. Ciężkiem utrapieniem dla majora jest radykalna różnica w opiniach z zięciem, zawoływanym stronnikiem Orleanów. Z tego powodu nie chce mieszkać z córką pod jednym dachem, mimo całej miłości dla jedynego wnuka Stasia a raczej pana Stanisława, bo minęły te czasy, kiedy zwałam go Stasiem, kiedy on zwał mnie Janką!

Drogiż to dla mnie ten dzień patrona mego, w którym skończyłam lat szesnaście. Mama ubrała mnie po raz pierwszy w długą sukienkę, białą półbatystową, w rzucik z bławatków polnych, pomieszanych z kłosami. Dziadunio nie mógł się dosyć napatrzeć, mówił, że sukienka moja przypomina mu łan przenicy w jego rodzinnej wiosce. Patrzył też na nią pan Stanisław, dziwił się, żem od wczoraj tak bardzo urosła.

— Nie ja to urosłam, ale sukienka moja — rzekłam z uśmiechem.

Spostrzegł on też bukietik róż u stanika mego, ujęty w pierścionek babuni.

— Co znaczy ten pierścionek? — zagadnął —, czy wolno o to spytać?

Odpięłam bukietik, pochwycił go z rąk moich.

— To upominek dziadunia — rzekłam, a za różę nie podziękowałam jeszcze. Przebacz pan nieuwagę moją.

— Skoro je nosisz panno Janino, to mi starczy za podziękowanie.

To mówiąc chciał wyciągnąć jedną różę z pierścionka.

— O! daj pan pokój — zawołałam, popsujesz mi bukiet — i wyrwałam go z jego ręki.

Na żądanie obecnych odśpiewałam „Halinę.“ Pan Stanisław stał przy fortepianie. Dlaczegoż on tak mi w oczy patrzy? doprawdy, ja tego nie lubię.

Major zacierał ręce.

— To mi dopiero piosenka! — wołał z uniesieniem. Do stu bomb i kartaczów, wolę to niż wszystkie nowomodne tryle francuzkie.

— Znam ja jednak piosenkę francuzką — rzekłam, co trafi do serca panu majorowi.

I zaśpiewałam: „Partant pour la Syrie,“ cudną melodię, za którą przepadał Napoleon.

— W to mi graj! — wołał uradowany, za wszystkich Orleanów nic podobnego nie odśpiewano.

Imrugnął okiem, spoglądając na zięcia.

Nim pan Adam zdobył się na odpowiedź, ciocia Helena podała tomik panu Stanisławowi.

— Odczytaj nam — rzekła, ustęp z pieśni „o ziemi naszej.“

— Ciociu — przerwałam, pozwól mi wprzód jeszcze popisać się z jedną piosenką. I zaśpiewałam melodyjną zwrotkę Chopina:

„Gdybym ja była ptaszkiem w ciemnym gaju...“

Gdym skończyła, poklask rozległ się o ściany małego saloniku. Spojrzałam na dziadunia, łzy płynęły po zbladłej jego twarzy. Wstał z krzesła, przystąpił do mnie, wyciągnął ręce, pochwycił mnie w objęcia.

— Kiedyż się nauczyłaś tej piosenki? — zagadnął głęboko wzruszony.

— Dziś popołudniu dziadunieczku, znalazłam ją w nutach u cioci.

— Coś się w tem święci! — zawołał major, to jakaś tajemnica między wnuczką a dziadkiem.

— Tak jest, to tajemnica — odparł smutno dziadunio.

Na znak cioci Heleny, pan Stanisław wystąpił głos jego zabrzmiał harmonijnie:

„Gadu gadu — stary dziadu,
Pleć pleciugo — byle długo,

Baju baju — po zwyczaj
O tym naszym polskim kraju.“
Słuchacze byli zachwyceni. Major przyklaskiwał
najgłośniej.

Czytanie przerwała herbata. Rozmowa szła oho-
czo.

Po herbacie Adam wydekłamował z zapałem „Ode
do młodości,“ poczem pan Stanisław wypowiedział z pa-
mąci ustęp z „Pana Tadeusza.“ Łowy oczarowały wszy-
stkich. Wtem zegar wydzwonił jedenastą. Na to hasło
major zerwał się żywo i powtórzył słowa Pola:

„Czas do domu, czas!

Zabawili nas!“

— Chwilę jeszcze! — wyrzekł dziadunio. U nas
każda uroczystość narodowa kończy się patriotycznym
chórem legionistów, ukończmy nim dzisiejsze gody nasze.

— „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — wykrzyknęli
obecni, aż się zatrzęsły ściany domu.

Wszyscy stali w głębokiem skupieniu ducha; łąza
w niejednem zabłysła oku.

— O tak! nie zginęła! — zawołał major, pielęgnujmy ją tylko w sercach naszych!

— A Bóg — dodał dziadunio, wróci ją nam,
wolną, całą i niepodległą!

Po serdecznem pożegnaniu odeszli mili goście nasi.
Zostaliśmy sami, z duszą dziwnie rozradowaną; w uchu
drgały nam jakby spiżowe dźwięki:

„I wszystkim się zdało,

Że to Wojski gra jeszcze, a to echo grało.“

1. Czerwca 1883.

Dwa tygodnie upłynęło, odkąd mam mój pokój,
moje biurko i wspaniałą książkę pamiątkową, a zapisa-
łam w niej tylko wspomnienie dnia jednego. Ależ był
to dla mnie dzień wyjątkowy, tak ważny w życiu mo-
jem! Samo powtórzenie opowieści dziadunia zabrało mi
dni kilka. Nie raz wypadało mi odwołać się do niego,
by nie poplątać wątku. Niewprawna do władania pió-

rem, kresliłam wspomnienia moje na osobnych świstkach, i z nich dopiero przenosiłam je na kartę drugiej książki. Mam ja przy tem inne zajęcia: to kursa dla panien w Sorbonie, to lekcje w szkole rysunków. W końcu tego miesiąca dzień Ś-tej Emilii, imieniny mamy, umyśliłam dla niej wynalować dwanaście filiżanek na porcelanie, talerz, imbryczek do herbaty i garnuszek do mleka. Nie wie nic o tem, będzie to niespodzianka; wywiąże się za mój śliczny pokoik. —

Nie mam ja wreszcie zamiaru, pisać codzien w tej książce, którą niewłaściwie zowie dziennikiem. Ale bo jakże mam ją nazwać? Pamiętniki wypadało tylko pisać osobom wybitnym, które albo odgrywały same wielką rolę, albo też były świadkami wielkich zdarzeń i przemian, tak na polu historii, jak i literatury. Moje zapiski niechże będą dzienniczkiem, ale uprzedzam, że wtedy tylko nakreślę w nim kartkę, kiedy będę miała do zapisania coś żywo mnie obchodzącego. Uprzedzam 'kogo?... chyba samą siebie, gdyż oprócz mnie, nikt zapewne czytać nie będzie tej ramotki. Schowam ją przecież, a kiedyś i za jakie lat sześćdziesiąt, jeśli doczekam wieku nieboszczki babuni, siądę sobie zimną przy kominku, włożę okulary i przerzucać będę karteczkę po karteczce: może i łza potoczy się po zmarszczonej twarzy, a wtedy jakiś siwy dziadunio zapyta mnie, jak mój pytał babunię: co to tam jejmość czyta? proszę tylko nie płakać. Bóg dał, Bóg wziął, dziękujmy raczej za to, co nam jeszcze zostawił!

Miała też za kim płakać droga babunia i płakała, ale tak cichutko, że nikt o tem nie wiedział. Troje starszych dzieciątek położyła kolejno w trumienkę, posypała bieluchnym kwiatem, później zamknęła oczy bratu Tadeuszowi, z którym nie rozłączała się przez ćwierć wieku. Jeszcze nie oschły jej łzy po tej stracie, kiedy ciocia Helena zachorowała ciężko, parę lat była między życiem a śmiercią i chyba tytko staraniom i modlitwom matki zawdzięcza ocalenie.

Biedna ciocia! co ona też przetrwała w życiu, z jakąż to siłą woli zapanowała nad nieszczęściem! Miała lat osnaście, kiedy przed dwudziestu przeszło laty, młodszy syn majora a stryj pana Stanisława, do-

rodny młodzian, ukończywszy świetnie nauki w szkole dróg i mostów i otrzymawszy posadę inżyniera przy kolei żelaznej, począł starać się o jej rękę. Zamienili już pierścionki, ślub miał się odbyć w końcu Stycznia.

Było to w pamiętnym roku 1863. Od dwóch już lat, kraj nowem zadrgnął życiem: krew potoczyła się po ulicach Warszawy. Łatwo było zgadnąć, że się na tem nie skończy. Jakoż 21. Stycznia wybuchnęło powstanie. Na wieść o tem zakipiały serca współbraci naszych, tych nawet, którzy zrodzeni na obczyźnie, nigdy Polski nie widzieli na oczy. Do takich należał pan Andrzej. Bez chwili namysłu, postanowił wziąć udział w walce o niepodległość.

Major dumny z syna, wyprawił go z ojcowskiem błogosławieństwem. Ciocia Helena nie hamowała też patrijotycznych uczuć narzeczonego. Przy rozłączeniu oboje powtórzyli sobie przysięgę wiecznej wiary. Andrzej lotem ptaka pomknął nad Wisłę.

Zrazu nadchodzą listy — biedna ciocia oblewa je łzami. Narzeczony tem droższy jej sercu, że dla powinności poświęcił szczęście własne w chwili, gdy mu tak pięknie rozkwitało.

W Kwietniu listy ustały — o Andrzeju nie słychu; przepadł jak kamień w wodzie!

W pół roku potem zjawia się nieznajomy młodzian, wręcza cioci pierścionek i pęk włosów, wyraźnie krwią poklejonych. Biedna ciocia wiedła odtąd jak kwiat, podcięty kosą. W lat dwa przyszła do siebie, dzięki staraniom babuni i wpływowi pobożnego dziadunia. Nie była to już owa hoża Helena, błyszcząca jak niegdyś urodą. Lica jej zbladły, oko zagasło, ale umysł spoważniał, potęga woli wzmocniła krzepkie ciało. Zabrała się gorliwie do nauki, chodziła pilnie na wykłady, co rok do nowego sposobu się egzaminu, otrzymała nareszcie licencjat i poświęciła się wychowaniu panienek. Mieszka o parę domów od nas. Pod troskliwem jej okiem wychowało się już kilkanaście rodaczek naszych. I ja też, co umiem, wszystko to jej zawdzięczam.

Ciocia Helena świeci jak gwiazda w rodzinie naszej: wszyscy ją cenią i kochają serdecznie. Major ota-

cza ją szczególnym szacunkiem, już to dla rzeczywistych jej zalet, jużto przez pamięć na syna. Opryskliwy dla wszystkich, w obec niej tylko łagodny jak baranek. Nieboszczka majorowa kochała ją też jakby rodnią córkę; skonała na jej ręku. Pan Adam ceni ją wysoko i przebacza jej nawet obojętność dla Orleanów. Pani Adamowa wychowana z nią razem, pokłada w niej zupełną ufność. A pan Stanisław? O ten, to widzi w niej najwyższy ideał kobiety. Zowie ją zawsze cicią, jak niegdyś małym dzieckiem zwał przyszlą żoną stryja.

Jeśli u obcych cicia taką zjednała sobie miłość, cóż tu powiedzieć o własnej rodzinie. Matka moja dobra i tkliwa, ale jak mówią cokolwiek słaba dla nas, słucha we wszystkim jej rady. Jeśli trzyma w ładzie i dwóch moich braciszków, sprawa to cici, ale nie mamy do niej żalu. Swawolny Kazio boi się jej jak ognia. Przed dwoma laty, kiedy uczyć się nie chciał i tylko zbijał baki, cicia tyle sprawiła wymową swoją, w tak żywy sposób przedstawiała mu skutki nieuctwa, że z leniucha stał się wzorowym uczniem i na ostatnich popisach otrzymał złoty medal. Starszy Wacusz jął znów przejmować akcent francuzki i niemiłosiernie kaleczył nasz język. Żarty nasze nic nie pomagały. Otóż cicia co wieczór brała go na bok, codzien czytała z nim Skargę, Woronicza, Brodzińskiego a kolejno utwory wielkich mistrzów słowa, i tak go przekonała o piękności mowy naszej, że Wacusz uniłował ją szczerze, pozbył się cudzego akcentu i pożera chciwie polskie książki. Ojciec nasz, pełen serca, ale chłodny trochę w obejściu, zatopiony cały w sprawach urzędu swego i spekulacjach finansowych, w obec niej ma zawsze coś powiedzieć. Dziadunio zaś z ojcowską dumą patrzy na córkę. „Helena, powtarza, niech będzie dla kobiet nauką, jak bez tego, co świat nazywa szczęściem, mogą być szczęśliwemi.“ —

4. Czerwca.

Dziś święto Wniebowstąpienia. Powracamy z kościoła naszego. Po nabożeństwie starzy towarzysze broni zabrali nam dziadunia. Powróci dopiero około szóstej. Bracia poszli z kolegami na daleką przechadzkę od dawna ob-

myślona, pan Stanisław wziął ich w opiekę, wieczorem obu przyprowadzi.

Chciała mama iść ze mną do luksemburskiego ogrodu, ale mi się od tego wyprosiła. Poszła sama do ciotki i powróci z nią na obiad. Mam przed sobą pięć godzin, nie zawsze to się zdarza. Dalejże do dzienniczka mego, zapiszę swobodnie kilka kartek.

Postanowiłam dziś nakreślić historję moich lat szesnastu a raczej dwunastu, bo pierwszych lat czterech nic a nic nie pamiętam. Najdawniejsze wspomnienia moje sięgają czasów, krwią i łuną pożarną zapisanych w dziejach Paryża. Z opowiadań późniejszych wiem, jak ciężki głód trapił oblężone miasto, ale ja nie wiedziałam nic o tym głodzie; mnie nigdy na niczem nie zbywało.

Ojciec odprawiał służbę na wałach. Ciocia Helena drżąca od zimna, obsypana śniegiem, wyczekiwała codziennie po kilka godzin na funt końskiego mięsa, by obdzielić nim całą rodzinę. Mama krzątała się po domu, gotowała, prała bieliznę. Dziadunio i babunia czuwali nademną, nad starszym odemnie o lat cztery Wacusiem i nad dwuletnim Kaziem.

Pamiętam jak przez sen dzień Nowego Roku. Dziadunio przyniósł nam kilka cukierków, a potem poszliśmy wszyscy do sorbońskiego kościoła, babunia tylko została z Kaziem w domu. Gdyśmy wrócili, mama przyrządziła obiad, ubogi zapewne jak były ówczesne obiady, ale jaki, już tego nie pamiętam.

Przypominam sobie tylko, że kiedy mieliśmy wstać od stołu, wszedł do pokoju śliczny chłopczyk, o pół głowy wyższy od Wacusia. Włoski miał jasne, długie, przystrzyżone tylko nad czołem, twarzyczkę okrągłą, runianą.

— Staś! Staś! — zawołał Wacek, i pobiegł z radością do chłopczyka.

Nie po raz to pierwszy spotkałam Stasia, widywałam go często, ale po raz pierwszy zarysował się wyraźnie w pamięci mojej. Widzę go jeszcze w bluzce szafirowej, spiętej na pasek z kłamrą, w białym kołnierzyku i błękitnej krawatce. Trzymał coś w serwecie, przystąpił do dziadunia.

— Oto — rzekł, kolenda od mamy mojej.

Dziadunio rozwiązał serwetę, była w niej mała miseczka, pełna ugotowanych kartofli.

— Ha, to prawdziwa osobliwość — zawołał dziadunio, patrzcie, od dwóch miesięcy nie mieliśmy takiej uczyty. Pójdę sam, podziękować mamie twojej, a teraz siadaj z nani chłopczyku, posilimy się razem.

Staś chciał natychmiast odejść, ale dziadunio zatrzymał go i posadził przy mnie u stołu.

— Janko — rzekł, poczęstuj sąsiada czekoladką.

Uczyniłam jak kazał, mama tymczasem każdemu położyła na talerz po parę kartofelków; bardzo nam smakowały.

Wszystko to słabo zarysowało się w dziecięcej pamięci, ale dziadunio opowiadaniem swoim tyle rysów dorzucił do obrazu, że widzę go jeszcze, jakby to było wczora.

Od tego dnia lepiej jakoś pojmować zaczęłam, co się w koło mnie dzieje.

Przypominam sobie, jak jednej nocy przebudziłam się ze snu. W domu wielki był ruch, zamęt. Mama wstała, wszyscy zebrali się w jej pokoju, gdzie było moje łóżeczko.

Nagle powstał straszliwy huk, aż się szyby za-trzęsły. Babunia załamuje ręce, mama przebiega z jednego pokoju do drugiego.

— Co to jest, dziadunio? — pytam przerażona widokiem trwogi powszechnej.

— To pruskie bomby! ty tego nie rozumiesz, później ci wytłumaczę.

W dzień było spokojnie, ale następnej nocy powtórzyło się to samo. W kilka dni potem ojciec przybył jak mówiono z okopów, kazał znieść łóżka do piwnicy.

Czarno tam było, straszno! . . . ile czasu przebyliśmy tam, sama nie wiem, bo każdy dzień wydawał się okropnie długi. Nikt nie ruszał się z miejsca, ciocia tylko dzień w dzień wychodziła z koszykiem. Gdy nie było jej wśród nas, a huk rozlegał się opodal, biedna babunia zalewała się łzami.

Skończyły się wreszcie te ciężkie dni w piwnicy. Bomby nie przebiegały znów nad miastem: wróciliśmy na czwarte piętro. Aż tu jednej nocy nowy zgiełk, nowa trwoga. Niebo całe iskrzy się od płomieni, w ulicy huk straszliwy.

— Czy to znówu pruskie bomby? — zapytuje dziadunia.

— Gorzej niż pruskie, dziecię moje — odrzekł, to Francuzi biją Francuzów, bracia mordują braci.

Nie zrozumiałam tego wówczas, ale wrażenie tej okropnej nocy i dwóch, co po niej nastąpiły, wryło się głęboko w pamięci mojej.

Przy krwawym blasku łun pożarnych skończył się pierwszy akt mego życia.

Dnie odtąd ubiegały cicho w domu naszym. Nadeszło lato, codzień o piątej wieczorem dziadunio prowadził nas troje do ogrodu luksemburskiego. Przychodził tam również i major ze swym Stasiem. Starzy towarzysze broni siadali na ławeczce w cieniu drzew kasztanowych, bawili się gawędką. My dzieci biegałyśmy jak rozpląsane koniki.

Staś nauczył mnie skakać przez sznur, toczyć koło a potem grać w wolanta. Zmęczeni przybiegamy do dziadków naszych, siadamy na ziemi u ich nóg, a oni opowiadają nam, jak dziećmi będąc płasali po Saskim ogrodzie, jak odbywali wesołe majówki na Bielany, albo do Czernichowa.

Następne lato zbiegło jeszcze weselej. Wacus zaczął chodzić do szkoły, w czem wyprzedził go Staś, o rok starszy. Dziadunio przyniósł mi elementarz z obrazkami, pokazał, jak składać litery. Uczyłam się pilnie, szczególniejszy kiedy na kolędę otrzymałam „Wiązanie Helenki“ od Stasia.

Mijały lata i nic się nie zmieniło w domu naszym. Mieszkaliśmy zawsze w bliskości Luksemburgu, tu gdzie i dziś mieszkamy. Miałam jak pamiętam lat ośm, kiedy dziadunio przyniósł nam „Pielgrzym a z Dobromilu.“

— Widzicie — rzekł, pokazując pierwszy obrazek, tego starca, otoczonego dziećmi. Wyobraźcie sobie, że jestem owym pielgrzymem. Wszakże mam taką jak

on brodę, jak on opieram się na kiju. Od dziś dnia, codzień nad wieczorem, kiedy Staś i Wacusiś powrócą ze szkoły, pójdziemy razem do ogrodu, zasiądziemy w miejscu ubocznym, a ja opowiadać wam będę to samo, chociaż innemi słowy, co ten pielgrzym opowiadał swej dziatwie. A cóż? czy zgoda na to?

— Zgoda! zgoda! — wołaliśmy wszyscy, mały Kazio aż skakał z radości.

Międz to były te wieczory, nigdy ich w życiu nie zapomnę. Świat jakiś nieznanym otwierał się przed oczyma mojemu. Dziadunio kijkiem na piasku zakreślał granice Polski, jaką była za Chrobrego i później za Jagiellonów, połączona z Rusią i Litwą: oznaczał bieg Wisły, Warty, Niemna, Dniepru i wszystkie ważniejsze miasta nad niemi, kazał nam się przypatrywać dobrze, a potem zacierał wszystkie ślady i każdemu z nas kazał z pamięci kreślić, cośmy przed chwilą widzieli, a to dopóty, aż się utworzyła mniej więcej udatna całość. Staś najstarszy, sprawiał się najdzielniej. Wacusiś śmiał się ze mnie, kiedy poplątałam rzeki i nie mogłam trafić z niemi do końca, ale Staś zawsze stawał w mojej obronie.

— Daj pokój biednej Jance — mówił, sami historycy czasami się poplączą i nie rozumieją biegu rzek naszych. Słyszałem to z ust uczonego profesora.

— Brawo Stasiu! nauka nie poszła w las — rzekł z uśmiechem dziadunio.

Jesień nadeszła, z nią przywlokły się męty i deszcze. Lato nie wystarczyło na cały przebieg dziejów naszych. W długie wieczory dziadunio wołał nas do pokoju swego i przy ciepłym kominku rozповідаł smutne przygody rozszarpanej Ojczyzny, której ocalić nie zdołały bohaterskie wysilenia Kościuszki, ani krew tych dzielnych jej synów!

Staś przychodził zawsze na te zebrania. Korzyść z owej nauki pokazała się wkrótce. W roku następnym 1878, otworzono wielką międzynarodową wystawę. Dziadunio oprowadzał nas po głównych działach, tłumaczył nam obrazy Matejki, Siemiradzkiego, Brandta; pokazywał pełne życia ukraińskie sceny Chełmońskiego. Długo zatrzymywał nas w Trokadero, gdzie w wielkiej sali zebrane były rozliczne pomniki z przeszłości naszej:

zbroje, rynsztunki, skrzydła husarzy, słuckie pasy, krzywe kordy i karabele, obrazy, rzeźby, monety i mnóstwo innych przedmiotów.

— Wszystko, co tu widzisz — rzekł dziadunio, należy do dawno ubiegłych czasów, a teraz chodźmy dalej, pokażę wam to, co trwa dotąd i żyje pełnem życiem.

I poprowadził nas do osobnej budowy. Zdziwiłam się zrazu na widok trupich głów, szkieletów, rur, narzędzi bronzowych i kamiennych, dobytých z głębi ziemi na wszystkich krańcach świata. Nagle błysnęły mi w oczy malownicze ubiory wiejskie, rozwieszane na manekinach.

— To świty naszych włościian — rzekł dziadunio — i stroje wieśniaczek naszych; dawno ich nie widziałem! takie same były przed pięćdziesięciu laty, kiedy z kijem wędrownym przebiegałem kraj od Warty po halickie podgórze naszych Beskid i Tatrów!

— Patrz Stasiu! — zawołałam, pokazując białą kierezję krakowską, obciśniętą rzemiennym pasem z mosiężnymi kółkami; taką nosił Wiesław, kiedy płażał z Haliną!

— Wiesz Janko, co mi przyszło do głowy — odrzekł Staś, drugiego Lutego imieniny mamy mojej, przebierzemy się po krakowsku.

— Dobrze, dobrze, kochany Stasiu! — zawołałam; ciocia Helena wszystko nam urządzi... Ty będziesz Wiesławem, a ja będę Haliną, potańcujemy krakowiaka, zaśpiewamy śliczne piosenki.

Dziś bym tego nie powiedziała, bo też dziś co innego. On już nie małym Stasiem, a ja nie małą Janką. Szkoda mi doprawdy tych czasów.

Piękne zamiary nasze spełżyły na niczem. Zamiast wesołych śpiewek, w pierwszych dniach Lutego płakałam na cmentarzu. Były to pierwsze trzy prawdziwej boleści! dotąd dzień za dniem zbiegał mi tak wesoło: — nie przyszło mi nigdy do głowy, że to się zmienić może!

W końcu Listopada spostrzegliśmy wielką zmianę w naszej babuni. Na pytania nasze, co jej jest, odpowiedziała z uśmiechem:

— To nic, bądźcie spokojni, jak wiosną zaświeci słońeczko, wnet siły mi powrócą.

Dziadunio wezwał lekarza, potem i drugiego powołał do rady, zapisywali rozmaite leki, ale nic chorej nie pomogło. Gasła widocznie. Na tydzień przed skonem, gdyśmy byli zebrani w jej pokoju, oznajmiła nam najspokojniej, że brat Tadeusz woła ją do siebie, załadowała ostatnich sakramentów.

Dziadunio ani na chwilę nie odstępował od niej; nie płakał, nie żalił się, ale ta milcząca boleść miała w sobie coś okropnego.

Kiedy skołała, on sam zamknął jej oczy, dwa dni przesiedział przy zmarłej, w milczeniu odprowadził do grobu jej zwłoki, w milczeniu rzucił na trumnę garstkę ziemi ojczyściej.

Wkrótce potem zaczęłam rok dwunasty, czas było wziąć się na serjo do nauki. Ciocia Helena, która dotąd nie opuszczała nigdy matki, najęła sobie mieszkanie o parę domów od nas. Zająła się wychowaniem panienek polskich: przychodziło ich kilka do niej. Mnie codzień odprowadzał tam dziadunio, a gdy nadeszło lato, po skończonej nauce chodziliśmy jak dawniej do luksemburskiego ogrodu. W kilka dni odwiedzaliśmy cmentarz na Montparnasse. Staś i obaj bracia towarzyszyli nam podczas wakacyj; uczyli się wybornie. Staś otrzymał już bakalaureat, od roku szkolnego miał pobierać wyższe nauki w szkole politechnicznej, w rok potem Wacusi rozpoczął kursa w fakultecie medycznym.

Minęło odtąd lat pięć. W domu naszym nic się nie zmieniło, tylko siwy włos dziadunia pobiełał — tylko ja z małej Janki wyrosłam na panienkę, tylko Staś został inżynierem, a zajęty służbą, nie mógł już odwiedzać nas codziennie, i zamienił się w pana Stanisława; tylko drogi mój ojciec coraz więcej opuszczał dom i pilnie prowadził jakieś finansowe spekulacje, które poprawiły nieco nasz dobrobyt a otwierały przed nim jak mówił, świetną przyszłość.

Dziś kiedy to piszę, Wacusi rozpoczął już kurs piąty, za rok będzie doktorem; tymczasem odbywa praktykę po szpitalach.

Otóż i całe dzieje moich lat szesnastu, przeplatane radością i żałobą, nadzieją i trwogą, długą pracą i krótkim wypoczynkiem.

6. Lipca 1884 roku.

Rok ubiegł, a ja nie dorzuciłam ani jednej kartki do mojej książki pamiątkowej, bo i cóż tu pisać? Dnie ubiegały jakby woda w rzeczulce, jeden zupełnie podobny do drugiego. Mnie ta jednostajność bynajmniej nie nużyła, ale pisać nie było o czem. Dziś dopiero prąd rzeczulki trącił o kamień, na powierzchnię wody z pluską wybiegła piana, dziś niestety mam o czem pisać!

Cholera we Francji! wczoraj wieczorem dzienniki oznajmiły smutną tę wiadomość. W Tulonie umarło kilkunastu ludzi. Charakter epidemii czysto azjatycki, to dalszy pochod strasznej plagi, co w roku zeszłym dotknęła Egipt, zdziesiątkowała Aleksandryę. Na tę wieść oczy Wacusia rozplonęły.

Jutro jadę do Tulonu — wyrzekł stanowczym głosem.

Mama zbladła, mnie oddech zatamował się w piersi, dziadunio milczał jak zwykle, ojca nie było w domu.

— Matko, nie zabronisz mi tego — zawołał Wacus, klękając przed płaczącą — otrzymałem już patent, nowe pole otwiera się dla mnie, mogę być pożytecznym, dusza moja rwie się do czynu... Matko! pozwól mi jechać.

Nie było co odpowiedzieć na tak gorące słowa. W tej chwili nadszedł ojciec. Oboje rodzice z rozdarciem sercem pozwolili na wyjazd. Dziś rannym pociągiem, nasz drogi Wacus opuścił Paryż, odprowadziliśmy go na kolej Lyońską. Dziadunio skreślił krzyżyk nad głową odjeżdżającego, toż samo uczyniła mama. Płakaliśmy wszyscy przy pożegnaniu.

— Dzielny chłopiec! — powtarzał dziadunio, zna służbę, bez namysłu rzuca się w ogień, bądźcie spokojni, nie każda kula trafia, iluż to idzie na wojnę, przecież z niej powracają.

Jakież ja cierpię męki a muszę udawać spokojną, aby nie krwawić serca biednej mamie.

Pan Stanisław także w Tulonie, odbywa tam roczną służbę wojskową jako wolontariusz. Ale otóż i dziadunio, słyszę go w przyległej sali, chce mnie zaprowadzić na przechadzkę. O! ten ogród luksemburski, jakież on dziś okropny!

20. Lipca.

Co dwa dni odbieramy list z Tulonu, w dzień pocztową kartkę. Epidemia szerzy się gwałtownie! ludność ucieka tłumnie z miasta. Kilku lekarzy padło ofiarą poświęcenia; tak donoszą dzienniki. Wacusz inaczej przedstawia rzecz, zmniejsza niebezpieczeństwo. Komu tu wierzyć, o mój Boże!

30. Lipca.

Wczoraj z rana odbieramy razem dwie kartki: jedna od Wacusia, druga od pana Stanisława. Mama chwyta za pierwszą, czyta na głos:

„Cholera ustaje, nie mam tu już co czynić, wracam do was najdrożsi rodzice.“

Wszyscy uszczęśliwieni, po raz pierwszy od miesiąca oddychamy swobodniej. Ściskamy się, płacemy z radości.

— A co? czy nie mówiłem? — szepce dziadunio, toż nie wszyscy giną na wojnie.

Ja pożeram oczyma drugą kartkę, chciałabym wyrwać ją z rąk mamy, ale nie śmiem.

— I cóż pisze nasz Stasik? — zagadnie dziadunio, jakby odgadł myśl moją. — Janko, odczytajże to...

I podaje mi upragnioną karteczkę. Biorę ją w rękę . . . czytam . . .

„Dodaje to, o czem przemilczał Wacusz: niebezpieczeństwo było wielkie, lecz młody doktor pełnił służby po bohatersku. Otrzymał w nagrodę krzyż legji honorowej. Pięknie rozpoczyna swój zawód.“

Nowa radość, nowe uniesienia; aby to opisać, pióro moje za słabe!

10. Listopada.

Po wielkiej radości nowy smutek i nowa trwoga. Paryż dotknięty epidemią. Wacusz krząta się po szpitalach, przy łożu chorych przepędza dnie i noce.

— Zna służbę! tęgi szermierz! — powtarza z dumą dziadunio. Bądźcie spokojni, Bóg go nie opuści, zachowa go na pociechę i chwałę waszą!

Waszą! . . . Zabolało mnie to słowo, czyżby dziadunio przeczuwał, że mu niedługo być już pomiędzy nami?

Ucałowałam pomarszczoną jego rękę. Zrozumiał mnie, przycisnął do piersi i rozpoczął obojętną rozmowę. —

30. Marca 1885 roku.

Przecucie nie chybiło. O mój Boże! ileż to w życiu wytrwać trzeba. Gdzie znaleźć słowa na opisanie boleści mojej! Biedny, drogi dziadunio już nas opuścił, leży cichutko na cmentarzu obok babuni naszej, swej ukochanej Zosi! Zdawał się zdrow i dość krzepki przez zimę w ciągu grasującej cholery, podtrzymywał odwagę naszą, gdyśmy drżały, nie o siebie, lecz o Wacusia, narażającego się aż do nierozwagi.

Epidemia ustąpiła, ochłonęliśmy z trwogi. Pan Stanisław powrócił z Tulonu na krótko, gdyż otrzymał miejsce przy budowie drogi żelaznej w okolicach Chambery. Wieczorem zbieraliśmy się jak dawniej, to u nas, to u państwa Adamów, to niekiedy u cioci Heleny. W niedzielę zapustną sprawiliśmy dziaduniowi miłą niespodziankę. Cztery pary Krakowiaków wbiegło do saloniku ze skrzypkiem i basetlistą. Miało to być wesele krakowskie. Wacus przebrany za organistę, prawił orację swego układu. Pan Stanisław z wiązka mirtu u białej kierezji przedstawiał pana młodego. Ja w wianeczku zielonym, przystrojona w kwiaty i wstęgi, odgrywałam rolę panny młodej. Orszak składał się z towarzyszków Wacusia i uczennic cioci Heleny. Dziadunio nie posiadał się z radości, major zacierał ręce, patrzył na wnuka. —

— Powtórzmy co rok tę scenę — rzekł do mnie półgłosem. Tak jest, powtórzmy ją, nie na żart, lecz na prawdę. Cóż ty na to, dziewczeczko?

Serce mi uderzyło, tchu zabrakło mi w piersi. Pan Stanisław posłyszał niewątpliwie te słowa, wyczytałam to z jego oczu.

Do zwykłego kółka przyłączył się obcy gość i zamącił cokolwiek harmonję. Był nim nowy właściciel domu, w którym mieszkamy, niejaki pan Duval, człowiek nie młody, przyzwoity, ale z obcego nam świata. Już sama potrzeba mówienia po francuzku, była nam nie na rękę. Ściany domu naszego nie przywykły do obcych dźwięków.

Tydzień minał najspokojniej, w niedzielę wstępną byliśmy u cici. Wieczór zbiegł nam nie tak gwarno jak przeszły, ale nie mniej przyjemnie. Nie było tu Francuza między nami. Czytaliśmy kolejno ustępy wielkich poetów naszych. Pan Stanisław wypowiedział z pamięci cudny prostotą monolog Brodzińskiego:

„Pogodna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa...“

W rzewniejszych ustępach obracał oczy na mnie. Gdy skończył, Wacusz klasnął w ręce i zawołał wesoło:

— Z wiosną i my puścimy się na majówkę; Czerniaków niestety zbyt daleko, zato blisko dolina Montmorency. Pospieszmy tam 21. Maja, nie jak inni drogą żelazną, ale piechotą, o samym brzasku, jak prawdziwi pielgrzymi. Nim tłumy przybędą z Paryża, my pierwsi posypimy kwiatem groby Niemcewicza, wielkiego Adama wieszczą narodowego, i tyłu, tyłu innych!

Przyklasnęliśmy wszyscy i rozeszli się wesoło. Nie mogłam zasnąć: myślą wybiegłam na majówkę do Montmorency.

Po tym radosnym wieczorze, jakież okropny ranek! O siódmej mama wbiegła do mego pokoiku.

— Wstawaj Janko — woła, dziadunio słaby, bardzo słaby!

Biegnę przerażona, Wacusz był już przy chorym, rozcierał mu silnie prawą rękę.

— Co to jest? — zapytałam brata, gdy się nieco oddalił.

— Napad apoplektyczny — odrzekł smutno.

Stałam chwilę jak skamieniała, przystąpiłam potem do łóżka. Dziadunio poznał mnie, pogłaskał po twarzy, zachował przytomność, ale trudno mu było mówić.

— Mnie już nic nie pomoże, próżne zabiegi wasze — wybełkotał niewyraźnie. Chcę być gotowym do apelu, nie traćcie ani chwili.

Ojciec wybiegł —, za chwilę wrócił z kapłanem polskim. Po dopełnionych aktach, dziadunio uśmiechał się słodko, przyszli potem dwaj słynni profesorowie fakultetu, wezwani przez Wacusia. Wyraz ich

twarzy zbyt jasno pokazywał, że próżno łudzić się nadzieją.

Cośmy wytrwali, na to nie ma wyrazu w ludzkiej mowie. Odczuwał to dziadunio, to też mimo że cierpiał, co widocznem było z mieniących się rysów, żaden jęk, żadna skarga nie wybiegła z ust jego zaciśniętych. Przed wieczorem cierpienia ustały, powiódł oczyma po wszystkich zebranych w pokoju, powołał nas skinieniem. Pan Stanisław był także z nami.

Uklękliśmy przy łóżku — pan Stanisław klęczał opodal pod oknem; nie śmiał połączyć się z rodziną w chwili tak uroczystej. Spostrzegł to dziadunio, dał znak ręką, aby przystąpił, wskazał mu miejsce obok mnie u wężłowia.

— Niech Was Bóg błogostawi, dzieci moje — wyrzekł cichym, ale wyraźnym głosem i podjął z piersi krzyżyk, który od lat pięćdziesięciu dwa razy tylko opuścił go na chwilę, gdy go złożył w skrzepłym ręku Tadeusza, a później w ręku umierającej babuni; podniósł go w górę, skreślił mnie krzyż w powietrzu.

Odtąd nie wyrzekł słowa, z poruszenia ust znać było, że się modlił wraz z nami. Coraz słabiej oddychał i zasnął cichutko jak dziecko.

Żal nasz cichy był, acz głęboki; zdało nam się, że wszelkie gwałtowne oznaki ubliżałyby pamięci zmarłego, który umiał cierpieć bez skargi. Kazio tylko szlochał na głos, rozbijał o mur głowę. Ciocia Helena ukołała go w końcu. —

Obie z mamą ubrałyśmy dziadunia w stary mundur granatowy z białymi wyłogami; błękitną wstążeczkę z czarnym brzeżkiem przypięliśmy do jego piersi. We dwa dni potem, bramę domu obito kirem, postawiono w niej trumnę na katafalku. Uwiłam sama wianek z fijołków, szczególniej mu ulubionych, pan Stanisław przyniósł większy, wspanialszy z tychże samych kwiateczków. Liczba koron rosła z każdą chwilą, obstawiono niemi całą bramę i katafalk dokoła. Rzecz dziwna, żyliśmy na ustroniu, pewne, że świat zapomniał o nas, inaczey się jednak pokazało. Ziomkowie nasi ocenili ten długi żywot, nieprzyćmiony najdrobniejszą skazą; zgromadzili się tłumnie bez różnicy politycznych barw i odcieni.

Wielcy i mali, bogaci i ubodzy, pragnęli uczyć człowieka, który w tak czystym świetle przedstawiał naród nasz wobec cudzoziemców. W kościele Wniebowzięcia większe jeszcze zgromadziły się tłumy: pomimo oddalenia liczny orszak żałobny odprowadził zwłoki na cmentarz Montparnasse. My wszyscy szliśmy za trumną. Pan Stanisław prowadził biedną mamę, która ledwie że mogła. —

Nad grobem przemówił major w krótkich, ale energicznych słowach, przypomniał wojskowe zasługi zmarłego. Gdy umilkł, nieznany młodzian, uczeń szkoły medycznej, pokazał w nim wielki przykład wytrwałości a zarazem naukę, jak się zdobywa cześć powszechną.

Te chlubne oznaki, miłe dla serc naszych, nie zmniejszyły przecież głębokiej ich boleści. Jakaż to pustka w domu! Odkąd żyję na świecie, ani jednego dnia nie spędziłam bez dziadunia mego. Zdeptałam z nim wszystkie ścieżki luksemburskiego ogrodu; pokazywał mi każde drzewo, zatrzymywał uwagę moją nad każdym kwiatkiem, nad każdym nieomal źdźbłem trawki. Karmiliśmy wróble okruszynami chleba, zwiedzaliśmy przy pałacu galerję sztuki nowożytnej; każdy obraz, każda rzeźba, dawały mi pobudkę do nowych pytań, jemu do odpowiedzi, nacechowanych wytrawnym sądem. Ilekroć spojrzę oknem na ten ogród i na ten pałac, oczy moje zalewają się łzami.

Ciocia Helena cierpi zarówno jak ja, ona jednak ożywia nas wszystkich. Od Nowego Roku nie przyjmuje w domu uczennic, ale powołana przez jedną zaczynającą rodzinę polską, zajmuje się wychowaniem dwóch córek i dwóch sierót, które uczą się razem z niemi. Wychodzi o siódmej z rana, cały dzień spędza w Neuilly, gdzie ma pałac własny ta zamożna rodzina. Przed wieczorem wraca do siebie, kończymy dzień zazwyczaj razem. Pan Stanisław odwiedza nas także wieczorami, ale co tydzień wyjeżdża do Chambery.

Do nieszczęścia naszego dołączyła się jeszcze wielka przykrość. Kilka dni temu odwiedzili nas wieczorem państwo Adamowie. Major przyszedł też z panem Stanisławem. Przy herbacie wszczęła się rozmowa o dzisiejszym stanie Francji.

— Inaczej było za cesarstwa — zawołał major, Rzeczpospolita otworzyła pole do matactwa i rozzuchwaliła anarchistów; Bóg jeden wie, jak to się skończy.

— Powrót Orleanów na tron zgodzi wszystko i przywróci ład w kraju — przerwał z przekąsem pan Adam.

Ojciec mój innego był zdania. Nie będę tu powtarzała ich sporu. Skończyło się na tem, że pan Adam porwał za kapelusze, pociągnął żonę za sobą i wyszedł bez pożegnania. Major przeprosił matkę moją, że wywołał jak mówił wilka z lasu, nie przypuszczając, iż spór przybierze tak zacięty charakter. Pan Stanisław dziwnie posmutniał.

— Jakże mnie to boli — rzekł do mnie przy pożegnaniu, że oddalając się na tak długo, zostawiam umysły ojców naszych tak rozdrażnione. Za rok ukończę roboty w Sabaudji: zanim powrócę, mam nadzieję, że wróci dawna zgoda.

31. Marca 1887 roku.

Minęła już druga rocznica śmierci ukochanego dziadunia a ja nie dotknęłam książeczki mojej. Ilekroć wzięłam ją do ręki, łzy tryskały mi z oczu. Nie było zresztą o czem pisać, dnie nam tak jednostajnie ubiegały. O! czemuż tak dłużej nie było! Szalona burza zamąciła tę ciszę!

Dziś przyszedliśmy do ostatniej nędzy. Biedak, co w pocie czoła zamiata ulicę, bogatszy od nas, bo wie, że ten łachman, co go nosi na grzbiecie, jego jest własnością, bo go nosić może bez wstydu! Szczęśliwy dziadunio, że nie dożył takiego upokorzenia!

Strzeż mnie Boże, abym miała najmniejszą skargą krzywdzić ojca mego! On tak okropnie cierpi, on tak ciężko pracował, aby nam zapewnić dobrobyt! Żli ludzie nadużyli jego ufności, wciągnęli go w wątpliwą spekulację. Oddał im wszystko, co miał... gdybyż tylko to, co miał!... ale w miarę, jak sprawa coraz smutniejszy brała obrót, w nadziei, że ją uratuje, pożyczał gdzie mógł i płatał się w coraz nowe długi, aż na-

koniec runął sam ze szkodą niejednej rodziny, która mu zaufała.

Okropna była to chwila, kiedy ojciec drżący, wybladły, z okiem obłąkanem, wbiegł do domu koło południa. Sama byłam z mamą w pokoju, — padł przed nią na kolana.

— Co tobie Karolu? — zawołała z przerażeniem.

— Zgubiłem was i siebie, zostaliśmy bez chleba! — mówiąc to, zaryknął głośnym płaczem.

— Uspokój się mój drogi, jam gotowa na wszystko — rzecze matka, tuląc głowę jego do piersi. Będziemy pracować obie z Janką. Wacusz sam sobie da już radę. Opuśćmy zaraz ten dom, sprzedajmy co można. Weźmiemy parę izdebek na poddaszu. Nam to wystarczy! Uspokój się tylko, zaklinam cię na Boga!

— Dzięki ci Emilko — rzekł ojciec stłumionym głosem, — że w tej okropnej chwili nie krwawisz mi serca zbyt słuszną skargą i wyrzutem. Tyle razy błagałaś mnie ze łzami, abym zaniechał tych nieszczęsnych spekulacyj. Głuchy byłem na twoje rady. Dziś przyznaję ci słusność. Ale złe się stało, padłem ofiarą niegodziwców i własnej nierozwagi.

— Ubóstwo nie straszy mnie — odpowie matka, nie lękam się pracy. Powtarzam ci, Janka mi dopomoże.

— Choćbyście obie zapracowały ręce i wysuszyły mózg — przerwie ojciec z najwyższą boleścią, nie w mocy waszej zaspokoić tylu pokrzywdzonych.

I wybuchnął znów głośnym płaczem.

Matka płakała cicho, ja stałam nieruchoma, jakby mi stopy wrosły w ziemię.

Ojciec wyszedł do przyległego pokoju, siadł przed stolikiem, zdjął z półki stos papierów, jał przeglądać je pilnie.

Odezwał się dzwonek. Wacusz wbiegł z twarzą rozpodgonzoną. Zmięszał się na nasz widok.

— Co się stało, matko? — pyta z trwogą, co znaczą te łzy? gdzie ojciec?

— Pracuje w swoim pokoju — odrzecz z cicha matka, siadaj, opowiemy ci wszystko.

Mówiła półgłosem. Wacusz bladł i rumienił się na przemiany.

— Pierwsza rzecz, uprzedzić gospodarza domu, że dłużej mieszkać tu nie będziemy — rzekł, wysłuchawszy matki. Trzy miesiące brak do terminu, mamy prawo wyprowadzić się w początku Lipca.

— Idźże spiesznie do pana Duval, trzeba to załatwić od razu.

Wybiegł Wacusz, w kilka minut powrócił z gospodarzem.

— Prawdaż to? — zawołał pan Duval, — państwo chcą opuścić ten dom, w którym dwadzieścia lat przemieszkali? To być nie może, ja nie pozwolę na to.

— Nie możemy tu zostać — odrzeczła mama spokojnie. Zawiodły nas różne rachuby... ten lokal za wielki i za kosztowny dla nas.

— Ale jam gotów czekać chociażby i lat kilka. Błagam panią, nie czyni mi takiej krzywdy. Panno Janino, chciej pani przemówić słówko za mną!

Poglądał na mnie dziwnym wzrokiem, błyskała w nim radość i nadzieja.

— Mama wie najlepiej, co czyni — odrzekłam, do mnie należy słuchać a nie radzić.

Nie należysz pani jak widzę, do pańienek z główką przewróconą, co wyraz „uległość“ uważają za przestarzały, za niegodny postępowego wieku. Szczęśliwy — dodał ciszej, kto otrzyma takiego anioła! Ja nie chcę tracić nadziei... to mówiąc, ujął rękę moją, uściśnął ją mocno.

Milczałam, słowo zamarło mi na ustach.

— Kto milczy, ten zezwala — szepnął zaledwie dosłyszalnym głosem. Wszak tak, panno Janino?

Nim się zdobyłam na odpowiedź, pan Duval obrócił się do mamy; jął błagać, aby nie opuszczała domu. Odszedł nakoniec, przy pożegnaniu znów mi uściśnął rękę.

Mama poszła do ojca, ja uciekłam do pokoiku mego. Pociemniało mi w oczach, tysiące myśli przebiegało przez głowę, na żadnej zatrzymać się nie mogłam. Gdyby przynajmniej pan Stanisław był w Paryżu, ale on daleko, w górach Sabaudji. Roboty przeciągnęły

się tam dłużej, niżeli myślał. Zeszłego lata przybył tu za urlopem na dziesięć dni: codziennie nas odwiedzał.

Cierpi on bardzo z powodu nieporozumienia ojców naszych. Pan Adam nieprześlągowany, żonie nawet być u nas nie pozwalał. Major nie zważałby na to, ale pedagoga dokucza mu coraz bardziej, trudno mu wchodzić na czwarte piętro, spotykamy go tylko w ogrodzie.

Od dwóch lat żyłyśmy z mamą bardzo osamotnione. Ojciec był gościem w domu, powracał zwykle smutny i zamyślony. Wacus otrzymał doktorat i rozpoczął praktykę, ale jak zwykle bywa, początki dosyć trudne. Młody lekarz nie budzi zaufania. Kazio w szkole górniczej, zdobywa co rok chlubne świadectwa, sprawa to ciotki Heleny, która umiała przekonać go o potrzebie nauki. Ciocia nie opuszcza obowiązków w zamożnym domu; wszyscy ją tam serdecznie kochają, i często zatrzymują do późnego wieczoru. Codzień wpadnie do nas, ale tylko na chwilę.

Życie tak osamotnione przyniosło mi jednak niemłą korzyść. Ukończyłam kursa w Sorbonie, zdałam egzamin z wyższych nauk, które mi dają prawo do zawodu nauczycielskiego; mogłabym dziś z niego korzystać. Ale jak tu opuścić drogą a tak stroskaną mamę? Mam za to w ręku inny sposób utrzymania, stokroć miłszy, gdyż mnie nie odrywa od domu i rodziny. Nauczyłam się malować na porcelanie. Dotąd pracowałam dla własnej przyjemności, odtąd zarabiać będę na chleb. Jutro pojedę z ciotką do pobliskiej fabryki, zobowiązę się do malowania talerzy i filiżanek. Pracując pilnie, mogę zarobić na dzień kilka franków.

Ubóstwo mnie wcale nie przeraża, czuję w sobie dość siły, aby mu w oczy spojrzeć. Może też te długi nie tak wielkie, może ciocia Helena, mając tyle stosunków w zamożnym świecie polskim, wyjedna ojcemu jakąś pożyczkę na zaspokojenie pokrzywdzonych. W miarę jak piszę, lżej mi jakoś na sercu, widnokrąg rozwidnia się przedemną. Gdyby tylko ten pan Duval nie męczył mnie natręctwem swoim! Zeszłego lata odwiedzał nas prawie codziennie, przysyłał nam owoce i bukiety z letniej willi w Meudon, gdzie ma przeszli-czny ogród. Człowiek to blisko pięćdziesięcioletni, od lat

kilku wdowiec po żonie, która jak mówią, życie mu zatruwała. Musi być zapewne bogaty; ma swój powóz i piękne konie, w jesieni zaprzestał częstych odwiedzin, zraziłam go zimnem obejściem. Dziś położenie nasze widocznie go znów ośmieliło. Słowa jego do mnie były wyraźnem oświadczeniem. Daremne to zabiegi! Wolę żyć w ubóstwie, niż z mężem, którego bym ukochać nie mogła. Przypuszczam, że to człowiek prawy, bez zarzutu, ale już to samo, że cudzoziemiec, budzi we mnie wstręt niepojęty. Dziadunio nigdy by nie pochwalił podobnych związków.

Wielkanoc za tydzień. Pan Stanisław przybędzie w tych dniach, już zapewne nie wróci do Chambery. Wyślą go może w bliższe strony.

Słyszę dzwonek . . . to ciocia! Przychodzi zwykle o tej porze. Cóż ona powie na to wszystko?

1. Kwietnia.

W głowie mojej zamęt, ręka drży . . . jak tu utrzymać pióro? a jednak pisać muszę, bo i komu wypowiem, co cierpię w tej chwili? Jestem narzeczoną . . . sprzedałam się sama, dobrowolnie. Za miesiąc skłamię przed ołtarzem . . . zaprzysięgnę miłość, której nie czuję w sercu, zaprzysięgnę wiarę i posłuszeństwo . . . Tych dotrzymam bądźco bądź przy łasce Bożej, ale jakaż to przepaść? jak czarna noc przedemną! . . . Stokroć by lepiej umrzeć!

Kiedy kreśliłam ostatnie słowa w tym dzienniku, ubóstwo wcale mnie nie trwożyło. Wiedziałam, że ojciec wszystko stracił, wiedziałam, że ma długi, ale czułam zarówno i to, żeśmy zdrowi, zdolni do pracy, gotowi do poświęceń, nie zepsuci zbytkiem. Nie pojmowałam całego ogromu nieszczęścia naszego.

Na odgłos dzwonka pobiegłam do saloniku. Zastałam w nim ciocię z mamą i Wacusiem. Ciocia widząc mnie wchodzącą, wyciągnęła ręce, schwyciła mnie w objęcia.

— Biedniż wy, biedni — rzekła, odczułam dawno, co nastąpi, ale teraz nie czas na próżne słowa, potrzeba działać śpiesznie.

Ojciec wszedł do pokoju, blady, dziwnie zmieniony: przygnębiły go cyfry, które wciąż obliczał od południa.

— Wiem o wszystkim, Karolu — rzekła ciocia z niezwykłą słodyczą — nie upadaj na duchu, dźwignij się całą potęgą męzkiej woli.

— Nie wszystko wiesz, Heleno — odparł ojciec — wiesz o stratach, ale nie wiesz o hańbie mojej, nie znasz krzywd przezemnie wyrządzonych!

— Zgaduję, że masz długi, ale przy pracy i oszczędności wypłacisz je, nie wątpię o tem. Ja mam w banku Lyon'skim do dziesięciu tysięcy franków, podniosę tę sumkę, rozporządź nią na rzecz najbiedniejszych wierzycieli.

— Dzięki ci Heleno, ale nie przyjmę twej ofiary. To zresztą ocalić mnie nie może! —

— Wyznaj wszystko otwarcie — nalegała ciocia, nie lękaj się skarg i wymówek naszych. Chcąc się zmierzyć z nieprzyjacielem, trzeba najprzód spojrzeć mu w oczy. Ile masz długu? powiedz.

— Mam do wypłacenia kilka weksli . . . termin nadszedł . . . gdy nie wypłacę, wtrąca mnie do więzienia. Zhańbiony, stracę urząd . . .

I zacisnął ręce rozpaczliwie.

— Wieleż ci potrzeba? — spytała ciocia.

— Patrz, czytaj! — to mówiąc, podał jej papier zapisany cyframi, rzucił się na sofę, pochwycił oburącz za czoło.

— Dziewięćdziesiąt tysięcy franków — rzekła ciocia; twarz jej pobladła, ale głos się nie zmienił.]

Milczeliśmy wszyscy jakby uderzeni piorunem. Głuchy jęk wybiegł tylko z piersi mej biednej matki. Ukłękłam u jej kolan.

— Uspokój się, najdroższa mamó — rzekłam z cicha, nagłą uderzona myślą — jest na to łatwy sposób.

— Sposób? a to jaki? — zagadnie matka.

— Pan Duval oświadczył się dziś o rękę moją, nie mam nic przeciw niemu . . . on bogaty, zapłaci weksle, ocali nas od hańby.

Co się w tej chwili działo w duszy mojej, tego nie wypowie ludzkie słowo. Takiego uczucia doznaje

chyba zrozpaczony szaleniec, kiedy z mostu rzuca się na dno rzeki.

Ciocia Helena rozumiała ofiarę moją, odgadłam to z jej oczu, połyskujących łzami.

Ojciec wyciągnął do mnie ręce.

Niech cię Bóg błogosławi, dziecko moje — zawołał z głośnem łkaniem.

Matka tuliła mnie smutno do piersi, serce jej matczyńskie drżało o szczęście moje.

Wacuś stał na ubóczu milczący i zachmurzony. On inną wymarzył dla mnie przyszłość. Postanowienie to łamało jego plany.

Wybiła północ, rozeszliśmy się wszyscy. Kamień spadł z piersi biednego ojca. Mama przez całą noc nie zamrużyła oczu.

Odprowadził mnie Wacuś do drzwi pokoju mego.

— Co powie na to Stasio? — szepnął przy pożegnaniu.

— Milcz! — zawołałam — nie mów mi nigdy o nim!

Zamknęłam drzwi na klucz, mogłam teraz płakać swobodniej; ale łzy nie przychodziły mi do powiek: śnać skamieniały w głębi łona, szarpały je okropnie. Przeglądałam gorączkowo wszystkie pamiątki, naprzód wpadły mi w oczy portreciki dziadunia i babuni, przycisnęłam do nich spalone usta. Śmiałam się rozpaczliwie, lecz zapłakać nie mogłam.

Wydobyłam ze stolika zeschniętą wiązkę róż, ujętą w pierścionek z turkusikiem.

— Ja ciebie nie dam! tyś nie dla niego! — myślałam w duchu. Dziadunio kazał oddać cię temu, kogo ukocha serce moje, a ja go niekocham. Będę mu wierna — lecz ukochać — to nad moje siły!

Noc zbiegła, ranek zaświtał tak jasno i pogodnie! Poszłam do kościoła, potem na grób dziadunia i babuni. Cudnie tam kwitły bratki, gwoździki dobywały się z pączków. Myślałam, że przecież tu zapłaczę, jak to zwykle bywało... ani jedna łza nie padła na murawę!

O ósmej byłam w domu z powrotem. Zostałam w pokoju moim wielki bukiet z róż i heliotropu, w nim bilet pana Duval'a.

On sam przybył o drugiej, zastał samych rodziców, oświadczył im życzenia swoje.

Przywołała mnie mama. Drżąca jak liść, blada jak widmo, weszłam do saloniku. Zapytana, czy się zgadzam na związek z panem Duvałem, podałam mu rękę w milczeniu.

Przycisnął ją do ust. Co mówił, tego nie wiem, byłam na pół umarła.

Wiedział dobrze pan Duval o smutnym stanie finansowym ojca mego. Po krótkiej z nim rozmowie, tegoż dnia przed wieczorem, tytułem pożyczki przyniósł potrzebną sumę.

10. Maja.

Miesiąc upłynął. O! jakże on był długi! I czemuż się dłużej nie przeciągnął? Jutro we czwartek akt cywilny przed merem, w sobotę ślub w kościele.

W ciągu dwóch ostatnich tygodni, całe poranki spędzałam z mamą w magazynach, na przymierzaniu sukien i kapeluszy. Pan Duval z wielką delikatnością prosił mamę, aby przyjęła dziesięć tysięcy na wyprawę, ale mama odmówiła stanowczo. Kochana ciocia Helena rozdzieliła sunkę oszczędzoną i dała mi pięć tysięcy, aby nie narażać nas na takie upokorzenie.

Spotykałam bez ustanku w magazynach dwie młode panienki z matkami, zajmujące się jak my wyprawą. Z jakąż to chciwością pożerały ozryma koronki i lyońskie materje! Ja na wszystko poglądałam ze wstrętem. Inaczej było niegdyś pamiętam cztery lata temu, kiedy mama udarowała mnie pierwszą długą sukienką, ową białą w modre bławatki, którą dziadunio tak lubił, bo przypominała mu łan pszeniczny w jego rodzinnej wiosce, jakaż to była moja radość. Dziś inaczej! inaczej!

Przez miesiąc miałam sposobność, poznać mego narzeczonego: człowiek to prawy i bardzo delikatny, wołałabym doprawdy widzieć go złym, lub przynajmniej śmiesznym dorobkiewiczem; mogłabym usprawiedliwić ten wstręt, jaki czuję do niego, w sumieniu byłabym spokojniejsza. Łagodny charakter pana Duwała daje rodzicom rękojmię mego przyszłego szczęścia. Zgadują oni zapewne, że się poświęcam dla nich, ale nie wątpią,

że przywyknę, że zgodzę się z mym losem, zniewolona dobrocią i przywiązaniem zacnego człowieka. Ciocia Helena jedna wyraźniej czyta w duszy mojej: a że nie mówi, ale widzę to w jej oczach, odgaduję w jej serdecznym uścisku. Wacuś zawsze ponury i milczący. Boddaj czy on nie sądzi, że majątek pana Duvala, że jego wille i pojazdy skłoniły mnie w części do zezwolenia na ten związek. O! jakże on się myli!

Nieraz zapytywałam sama siebie, co mogło skłonić tego człowieka do tak usilnych zabiegów o rękę moją? W Paryżu znalazłby tysiące piękniejszych odemnie panien, któreby mógł uszczęśliwić, otaczając je blaskiem i zamożnością. Dnia jednego wśród ogólnej rozmowy, on sam to wytłumaczył. Dzisiejsze wychowanie Francuzek wcale mu nie po myśli.

— Mamy — jak mówił — trzy kategorie: albo zarozumiałe pedantki, pyszne z otrzymanych stopni naukowych, albo śmieszne emancypantki, na pół ubrane po mężku, domagające się równych praw z mężczyznami, albo też zalotne wietrznice, chciwe hołdów, goniące za blaskiem światowym. Panienek rozumnych, a przytem skromnych, zamiłowanych w domowym ognisku, spoglądających na życie z poważnego stanowiska, godnych ufności w zupełnem znaczeniu słowa, nie mamy dziś, a przynajmniej bardzo o takie trudno.

Ciocia Helena wystąpiła w obronie Francuzek, wymieniła nawet na dowód kilka panienek wzorowo wychowanych, którym nauka nie zamąciła zdrowych pojęć, a świat kłanliwym nie upoił ich blaskiem.

— Nie przeczę pani — odrzekł pan Duval, że takie kwiaty rosną gdzieś w ukryciu, bo i czegoż w Paryżu nie ma, ale ja przynajmniej nigdzie ich nie spotkałem. W pannie Janinie znalazłem to, czego pragnęła dusza moja, wiem, że mnie nie zawiedzie.

Nie zawiodę go, może być pewien, bo się nigdy nie dowie, ile mnie kosztuje ta ofiara!

Kazio najszczęśliwszy z całej rodziny; pan Duval darował mu konia, wyżła i strzelbę, zaprosił go do Meudon na czas wakacyj. Bezmyślny chłopiec nie posiada się z radości.

W niedzielę wbiegł żywo do pokoju.

— Wiesz Wacusiu, kogo spotkałem? — zawołał wesoło — Stasia, drogiego Stasia! Opalił się jak murzyn, zapuścił długą brodę, mimoto poznałam go od razu. Uściskał mnie, ale nie tak jak dawniej. Pytałem, kiedy nas odwiedzi? — Nieprędko zapewne, odrzekł, bo ma nadzwyczaj pilną pracę!

Nogi zachwiały się podemną; wszystka krew zbiegła mi do piersi, zabrakło mi tchu. Spozstrzegła to ciocia Helena. Uprowadziła mnie do okna, zajęła jakąś obojętną rozmową, aby oderwać odemnie uwagę obcych.

Nie ochłonęłam jeszcze, kiedy zwyczajem francuzkim przyniesiono mi koszyk, pokryty białym atłasem, ozdobiony kwiatkami. W koszu były brylanty, koronki, materje i różne kosztowne drobnostki, tak ponętne dla Paryżanek. Wacus z okrucieństwem, którego nie domyślał się nawet, wydobył z kosza branzoletkę, błysnął mi w oczy rubinami, szepcząc z cicha, jak gdyby sam do siebie:

„Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!“

Ciocia ostrem spojrzeniem zamknęła mu usta. Wziął za kapelusz, wyszedł pociągając Kazia za sobą.

A więc jutro wszystko się dla mnie skończy! Opuścę dom, zrzeknę się nazwiska drogich rodziców moich, przybiore obce imię — obcą narodowość. Nie osiadę już nigdy tam, dokąd tak tęsknił drogi mój dziadunio, gdzie miał nadzieję położyć stare kości.

Może ta męka skończy się niezadługo. Dziś poczciwa kobieta, co nam posługuje od lat kilku, przyszła do mnie ze łzami.

— Panienko — rzekła, dlaczego to ślub ma się odbyć w Maju? Dalekoż to do Czerwca? lepiej było poczekać.

— Taka wola rodziców — odrzekłam — dla czegoż cię Maj tak przestrasza?

— U nas prostych ludzi zostało przysłowie po ojcach, pradiadach...

— Jakie? powiedz mi, proszę...

— Ależ ja nie chcę być ptakiem złej wróżby... może to i nieprawda.

— Mówże, mów, mnie nic nie przestraszy.

— Otóż panienko, powtórzę to, co zawsze mawiała matka moja :

„Ślubna pochodnia w Maju zapalona,
Rychło w gromnicę zmieni się grobową.“

— Tem lepiej! . . . bodajby zamknąć oczy! — pomyślałam.

— Snać panienka nie wierzy temu — dodała Janowa, bo tak patrzy na mnie wesoło. Bóg miłosierny, w Jego mocy i śmierć i życie!

— Bądź Jego wola — odrzekłam, ściskając starą sługę.

Szósta dochodzi, czas na obiad. Wieczorem będziemy w teatrze Opery komicznej. Grają „Minion.“ Pan Duval wziął dla nas łożę, trudno mu było odmówić. On także będzie z nami.

Żegnaj mi, droga książeczko moja! ty jedyny świadku moich walk i udręczeń, jedyny powierniku mej boleści. Ty jedna wiesz, co się dzieje w biednem sercu mojem, a może i tobie nie wszystko powierzyłam! Nie dotknę już nigdy twoich bieluchnych kartek. Od jutra skarga mi nie przystała. Spełniam ofiarę, niechże będzie zupełną!

22. Czerwca 1887.

Bóg nie chciał tej ofiary . . . Witaj książeczko moja, powracam znów do ciebie z duszą, pełną radości i nadziei. Wolnoż mi jednak, nazwać się zupełnie szczęśliwą, kiedy straszliwa klęska, która mnie wyzwoliła, naznaczona śmiercią i łzami tylu ofiar!

Cztery tygodnie ubiegło odtąd, a jeszcze chwieję się bezsilna, chcę pisać, a myśl płacze się w głowie mojej. Nie śmiem dowierzać — może to sen ułudny. O! nie sen to, lecz prawda rzeczywista!

Mogę śmiało powiedzieć o sobie z poetą naszym :

„Jak Dant za życia przebrnęłam przez piekło!“

I gdzież znajdę słowa, by to wszystko opisać? Bądźcobądź, pochwyć muszę watek doznanych wrażeń i ułożyć z niego, choć niedokładną całość :

O ósmej wieczorem przybyliśmy do teatru, zasiedli w łoży. Wacusz towarzyszyć nam nie chciał, tłumaczył się, że musi odwiedzić chorego.

Podczas uwertury mimowoli, jakby przecuciem wiedziona, spojrzałam na parter. Wszystkie krew ścięła się w żyłach moich, cała sala wirowała przedemną.

Oczy moje spotkały się z oczami Stanisława. Bład był i zmieniony, udał, że mnie nie widzi.

Podniesiono kurtynę. Śpiew artystów szumiał mi w uchu niby szmer liści miotanych wichrem. Rozpoczął się balet, skoki tancerek dziwnym przejmowały mnie wstrętem: przygnębiona dręczącą myślą, nie widziałam nic, nawet iskier, sypiących się na scenę; nie słyszałam nic, nawet głosu aktora, zapewniającego, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Krzyk wyrwany z tysiąca piersi, rozbudził mnie nakoniec. „Uciekajmy!“ — woła matka, pociąga mnie gwałtem za sobą. Pan Duval pojął jej rękę, wyprowadza nas z łoży, ale korytarz zapchany już tłumem uciekających; porwane wirem pędzimy ku wschodom. Wtem ktoś upadł przedemną, zatrzymałam się chwilę — wrzawa tymczasem rośnie, sala w płomieniach. Przerażliwy krzyk rozlega się za nami, połączony z łoskotem walących się desek i głowni. Zagaszono gaz, na dole ciemność straszna. Płomień połyska w górze, przez kłęby dymu, zaledwie go dopatrzeć.

Tłum z wyższych piątr toczy się na nas, potraça mnie, odrywa od matki. Upadam na twarz, czuję twarde stopy na głowie mojej; dym tamuje mi oddech. Co potem było, już nic nie wiem, utraciłam przytomność.

Nie prędko ją, nie prędko odzyskałam! Dwa tygodni byłam między życiem a śmiercią. Skutkiem tylu wstrząśnień, doznanych w tej nocy straszliwej i tylu poprzednich udręczeń, wywiązała się u mnie gorączka, połączona z zapaleniem mózgu.

Krzepka młodość przemogła jednak nad chorobą, nastąpiła chwila przesilenia. Rozbudziłam się ze snu, widzę matkę, pochyloną nad wężłowiec moim. Ojciec szepce pod oknem z cicią Heleną. Wacuś kłęczy przy łóżku z zegarkiem w ręku i liczy uderzenia pulsu mego.

— Uspokój się mammo — rzecze z cicha, nie jej nie będzie. Mogę ci za to ręczyć.

Myśli moje tak były poplątane. że zebrać ich nie mogłam.

— Gdzież ja jestem? — pytam, tyżeś to mamó?

— Tak, to ja, matka twoja, jesteś z nami, nie lękaj się niczego.

— A gdzie ja byłam? co się stało?

— Nie pytaj o nic — rzekł Wacusi — potrzeba ci wielkiej ciszy i spokojności. Nie myśl o niczem; o niczem, co się zowie.

Podał mi łyżkę lekarstwa, zasnąłam znów, spałam dobrze noc całą.

Nazajutrz czułam się znacznie pokrzepiona, ale w miarę przybywających sił, myśli tłoczyły się do mojej biednej głowy.

— A pan Duval gdzie? — zapytałam.

— W Meudon, powróci, jeżeli go powołasz.

— A gdybym go nie miała powołać?

— Zależy to od ciebie, ale nie pytaj o nic, błagam cię, bądź spokojną!

Dwaj najświetniejsi lekarze fakultetu paryskiego, Charcot i Potin, dawni profesorowie Wacusia, odwiedzali mnie codziennie. Po dwóch dniach zaprzestali odwiedzin zaręczając, że jestem na drodze do zupełnego zdrowia.

Stosownie do ich polecenia, rodzice moi wraz z ciotką i Wacusiem uchronić mnie chcieli od wszelkich wstrząśnięć. Zapewniali tylko, że przyszłość cała zależy wyłącznie od mej woli.

Dwa tygodni ubiegło w tem zawieszeniu. Widząc około siebie rozpromienione twarze, i ja byłam swobodną. Wreszcie minęła całkiem obawa recydywy.

— Staś jest w Paryżu, pragnąłby nas odwiedzić, czy zgadzasz się na to? — dnia jednego zagadnął Wacusi.

— Nie mogę! — odrzekłam cała drżąca.

— A to czemu? cóż on ci zawinił?

— Nic, o! nic, ale błagałam cię już, nie wspominaj mi o nim.

— Dziś zmieniły się rzeczy, dziś możesz, powinnaś o nim słyszyć.

— Wyłumacz mi to jaśniej.

— Jemu zawdzięczasz życie, on cię wyrwał z pożaru.

— On! byćże to może?

— Tak, on... widział cię w loży... siłą woli przedarł się przez tłumy, spostrzegł cię leżącą na ziemi, podeptaną, bez zmysłów. Wyrwał cię z tego piekła, pół umarłą, przywiózł do domu, złożył w objęcia zrozpaczonej matki. Winnaś mu wdzięczność, Janko!

— Wdzięczność! — powtórzyłam, — lepiej mi było umrzeć!

— Jakto? lepiej umrzeć niż żyć szczęśliwą z tym, którego ukochałaś od dziecka, z którym dziadunio pragnął cię widzieć połączoną?

— Zkąd ty wiesz o tem?

— Z ust twoich własnych, Janko! z ust spalonych gorączką, powtarzających bezwiednie to, co ciężło w biednem serduszku twojem.

Krew zbiegła mi do głowy, na twarzy wytrysnął rumieniec.

Wacusz podał mi chłodzący napój, wziął mnie za puls, badał go uważnie.

— To nic — rzekł, nic ci już nie grozi, możemy ciągnąć dalej.

— Nie dręcz mnie Wacusiu — rzekłam, wiesz przecie, że jestem narzeczoną.

— Byłaś nią, lecz nie jesteś.

— Jakto?

— Pan Duval, człowiek szlachetny, ostrzeżony przez ciocię, zrzekł się wszelkich praw de ręki twojej, zwraca ci dane słowo.

— A ojciec, biedny ojciec?

— Bądź spokojna o niego, wszystko już załatwione. Staś otrzymał czterdzieści tysięcy od majora, spłaci połowę długu panu Duval, drugą połowę będziemy wypłacać częściowo. Ojciec pozostał przy urzędzie, ja zdobyłem praktykę, dosypimy ziarnko do ziarnka i wypłyniemy zwycięzko z biedy. Zacny pan Duval nie łatwo przystał na ten układ; ledwieśmy go zmusili. Chciał być sam wierzycielem ojca naszego, ufa mu zupełnie. On godzien w całym znaczeniu naszego szacunku i przyjaźni.

— Szlachetny człowiek, a ja tyle okazywałam mu niechęci . . .

— Zmęczona jesteś Janko — dodał Wacuś, potrzeba ci spoczynku. Jutro przed południem powitasz Stasia.

Czemuż nie dziś? — pomyślałam w duchu, to tak długo do jutra!

— Coście tam radzili? — zagadnęła mama, wchodząc z cicią Heleną do pokoju.

— Wie już o wszystkim — zawołał Wacuś, patrz mama, jak jej oczęta promienieją.

Mama uściśnęła mnie, ciocia pogroziła palcem.

— Umiesz zwodzić — rzekła z udaną surowością, wszystkich nas wyprowadziłaś w pole. Ja czytałam w serduszkach waszych, lecz nie domyślałam się tak głębokiego uczucia.

— Mnie bardziej od innych opętałaś udanym twym spokojem — zawołał Wacuś. Nie mogę sobie przebaczyć tylu zjadliwych słówek i tej bransoletki rubinowej, którą błysnąłem ci w oczy, biedaczko! Nazywałem cię puchem marnym w chwili, gdyś ty spełniła bohaterską ofiarę.

— A co się stało z bransoletką i całym koszmem? Oddałażes mamie to wszystko panu Duval?

— Oddałam, dziecię moje, zgodził się na to bez obrazu, prosił mnie tylko, abym mogła wyjednać u ciebie przyjęcie tej bransoletki w upominku od szczerego przyjaciela.

— I cóż ty na to, mamie?

— Nie mogłam odmówić, i tak już tyle doznał zawodu.

Na to wrócił ojciec, za nim Kazio.

— Ja najwięcej straciłem — zawołał wesoły chłopiec, mój koń i moja strzelba poszły z dymem opery!

— Strzelba jest u mnie — odrzeczła mama, koń czeka w Meudon, podczas wakacyj wyhasasz się na nim do woli.

— Kochany pan Duval! — zawołał Kazio, gdybym był Janka, nie dałbym mu odkosza.

— Czekaaj, powiem to Stasiowi — rzekł Wacuś.

Na wesołych żartach zbiegł krótki letni wieczór. Wacús spostrzegłszy, że m pobladła, zapędził mnie w czas do spoczynku.

Kiedy się nazajutrz obudziłam, kopuła Sorbony połyskała w promieniach słońca. Ledwie że wstałam, mama weszła do mego pokoiku, trzymała w rękę różę.

— Ubierz się ładnie, dziecię moje — rzekła, ściskając mnie i podając mi kwiaty. W południe przybędzie Stanisław z majorem i rodzicami. Zaprosiliśmy ich na śniadanie.

Serce mi uderzyło. Gdy mama odeszła, wydobyłam ową sukienkę w modre bławatki, którą dziadunio tak lubił, świeża była zupełnie. Jedną różę wpięłam we włosy, resztę bukietu obcisnęłam pierścionkiem babuni i zatknęłam za pasek. Poszłam do saloniku, zastałam tam rodziców, ciocię i Wacusia.

W kwadrans potem dzwonek dał się słyszeć, po chwili wszedł major z panią Adamową, za nim Stanisław z panem Adamem. Ojcowie nasi padli sobie w objęcia.

— Z dymem pożaru — poszły trzyletnie spory — zawołał major wesoło, ukazując ich mamie. Witaj mi Janko — dodał, przyciskając mnie do piersi, bledziuchna jak lilijka, powiewna jak aniołek... Powitajcież wszyscy zmartwychwstałą!

Państwo Adamowie przystąpili do mnie, powitałam ich, a potem obie ręce wyciągnęłam do Stanisława.

— Dzięki, dzięki za życie — wyszeptalam cichym głosem. Gdyby nie ty, panie Stanisławie, byłabym już pod ziemią.

— Żyj lepiej na ziemi, szczęśliwa i kochana — odrzekł Stanisław, przyciskając do ust moją wychudłą rękę.

Przy śniadaniu major podniósł toast na cześć tego, co mnie wyswobodził od śmierci. Spełniliśmy potem zdrowie majora. Podochocony staruszek podniósł kieli-szek, wystąpił z oracją, było to staropolskie oświadczenie. Łzy i śmiech, wesołość i smutek, radość z obecnej chwili, żal za wspomnieniem drogiego dziadunia, na myśl o tylu ofiarach nieszczęsnego pożaru, wszystko to pomieszało się razem.

Nim powstaliśmy do uczyty, byłam już narzeczoną Stasia.

On wsunął mi na palec pierścionek z błękitnym turkusikiem.

— Taki sam — rzekł — przyniósł szczęście tym, których pamięć żyje pomiędzy nami, idźmy wiernie ich śladem. Służmy Ojczyźnie, tak jak oni służyli.

Zdjęłam wtedy pierścionek z wiązki róż, podałam go Stasiowi:

— Dziadunio — rzekłam, miał cię na myśli, panie Stanisławie, kiedy wyrzekł pamiętne słowa: „Jak znajdziesz młodziana, z którym zechcesz podzielić prace i mozoły, oddaj mu tą drogą pamiątkę a z nią moje błogosławieństwo.“

Uścisnął mi ręce w milczeniu, płakaliśmy oboje. Brakło mi łez w boleści, radość je wycisnęła.

Nazajutrz potem odwiedziliśmy razem drogi grób na cmentarzu Montparnasse. Zaniedbałam go mimowoli, pewna byłam, że kwiaty poschły na skwarze letnim; przeciwnie się stało, kwitły na nim prześliczne róże, pielęgnowane ręką Stanisława.

16. Lipca.

Wczoraj odbył się nasz ślub w parafialnym kościele polskim Wniebowzięcia. Cały kościół był zapełniony. Wieść o śmierci mojej w płomieniach rozbiegła się pomiędzy ziomkami. W mniemaniu wielu osób byłam już unarłą, pogrzebioną. Okoliczność ta, połączona z piękną pamięcią, jaką dziadunio pozostawił po sobie, ściągnęła liczne tłumy na ślubny obrzęd. Gdyśmy weszli do zakrystji, setki rąk wyciągnęły się do nas, setki ust życzyły szczęścia zmartwychwstałej i temu, co śmiało wyrwał mnie z płomieni, z narażeniem własnego życia.

Pan Duval był wpośród obecnych, i on po przyjacielsku podał nam zacząć rękę.

A teraz, żegnaj mi na zawsze, droga książeczko moja, powiernico trosk i niepokojów. Dramat mój ukończony — zasłona już zapada. —

Seweryna Duchńska.



„Quo vadis?”

(Z czasów Nerona.)

W stolicy bogów, w grodzie zwycięstw, chwały,
Zasiadł na tronie tyran, władca świata.
Igrał on życiem, Rzym spalił wspaniały,
Zgubił swych mistrzów, zabił matkę, brata,
A sam skazańców jękiem zagłuszony,
Pieśnią się bawił wpośród krwi przelewu,
Od dzikiej tłuszczy odbierał pokłony,
Chłoscząc ją przytem wśród objawów gniewu.
Lecz i w tem jeszcze szaleństwo cezara
Nie znało granic: słysząc, że wśród miasta
Nowa ze Wschodu Chrystusowa wiara
Porywa duchy i w potęgę wzrasta,
Krwia jej wyznawców zapragnął się bawić
I widowisko niezwykle wyprawić.

Nastał czas śmierci. Mamertynu mury
Smętną się szatą żałoby okryły,
Nad Ekwilinem poczerniały chmury,
A gród potęgi przybrał kształt mogiły.
Jednak wśród zgrozy rzucone ofiary
Szły ze słodyczą taką na skazanie,
Że lud się dziwił, dziwiły cezary,
Patrzając, jak życie kończą chrześcijanie.

* * *

Właśnie w tym czasie przebywał w stolicy
Namiestnik boży: starzec, Piotrem zwany,
Ten widząc jako w świata nawalnicy
Za wiarę świętą ginie lud kochany,
Patrzając nieraz na swoją owczarnię,
Którą założył wedle woli Pana,
Na pracę świętą, ginącą tak marnie,

Z goryczą w duszy padał na kolana,
I głosem, którym falowało łkanie,
Wołał z boleścią: „Gdzieżeś jest, o Panie?!
Boże! wyciągnij wszechwładną prawicę,
Wyrwij z paszczyki wroga te ofiary,
Co giną dzisiaj za świętość Twej wiary.
I Tyś powiadał Panie, że stolicę
Założysz tutaj, w tem mieście obłudy
Między cezary i między ich ludy?
Jednak Ty możesz, a jedno Twe słowo
W proch zdoła skruszyć i berła i trony,
I lud Twój biedny powstanie na nowo,
Głosząc potęgę Twej świętej korony.“
I gdy modłami goi serca rany
A rozpacz mija i nadzieja wzrasta,
Myśl go zasepi, myśl: „kto lud kochany
Wesprze w cierpieniu w przyszłe śmierci lata,
Gdy tyran każe go zgładzić ze świata?“
Więc wziął swój kostur i wyszedł z bram miasta,
Chcąc przekląć zdala ten gród upodlenia
I na swą starość szukać gdzie schronienia.

Był to poranek: na wschodzie zainglonym
Błysły niebiosa odcieniem zielonym,
I złocąc lekko brzegi sine w górze,
Jakby z krainy eterycznych cieni
Śląc z łona wieniec różanych promieni
W ognistej zorzy zabłysły purpurze.
U stóp Albany modre Tybru fale
W wonnych się brzegach rozlały wspaniale,
A ponad niemi szarzał Rzym prastary,
Pan życia, śmierci, jak jego cezary.
Szedł starzec zwolna, gdzie go niosły oczy.
Nagle mu kostur wypadł z drżącej ręki:
Przy słabem świetle porannej jutrzzenki
Ujrzał, że postać jakaś zdala kroczy
Nadziemska, niby widziadło marzenia,
Z obliczem słodkiem, choć pełnem cierpienia.
Poznał ją starzec, a w niej swego Pana.
Pobladł — niepewny upadł na kolana
I wznosząc w górę oczy swoje sine,

Zapytał trwoźnie : „Quo vadis, Domine?“
A Chrystus dziwnym spokojem oblany,
Jakby z boleści nad swych dzieci losem,
Promienną ręką mu wskazał swe rany
I odrzekł ledwo dosłyszalnym głosem :
„Gdy ty opuszczasz wierne moje sługi,
Idę do Rzymu, by umrzeć raz drugi.“
Słyszając to starzec, poznał swoją winę,
Poznał wyroki niezbadane boże,
I siwą głowę schylając w pokorze,
Szeptał ze skruczą : „Domine, Domine.“
Po chwili powstał i wrócił : na męki !
I gdy za wiarę przyjmował męczeństwo
„Miastu i światu“ śląc błogosławieństwo ;
Jeszcze ukłęknał, czyniąc Panu dzięki,
Że go za życia przed zwątpieniem wspierał
I tak dał umrzeć, jako sam umierał.

J. Pietrzycki.

Po czasie fali.

Duch się kołysze
Po czasie fali,
A pióro pisze,
A myśl się żali,
A serca jęki,
A gorycz kwasu
Wiążą się w dźwięki
Po fali czasu.
Po fali chmurnej,
Fali złowrogiej,
Mknie duch mój górny,
Szukając drogi,
Aby kotwicę
Zarzucić w dali,

Tam, gdzie ciemnice —
Po czasie fali.
Po fali owej,
Tak płodnej w męty,
Wznosi się zdrowy,
Z Boga poczęty;
Rafy ominie,
Wśród burz hałasu
Płynie a płynie
Po fali czasu.
Po fali gniewnej
Duch niestrwożony,
W szacie powiewnej,
W pieśni natchnionej,
Mknie, gdzie go swoi
Oczekiwali,
Aż się ostoi
Po czasie fali.

Sambor, 29. Grudnia 1896.

G. Kohn,

Dzieje zakładu poczty i telegrafu w Galicji.

Naszkicował

Józef Białynia Chołodecki (Walenty Ćwik.)

Pierwszy dziejowy ślad poczty w Polsce*) sięga czasów króla Bolesława Chrobrego, który zobowiązał miasta do dostarczania koni lub pieszych gońców w celu przewozu, względnie roznoszenia poleceń i rozkazów władzy. System wprowadzony przez Chrobrego przetrwał

*) Patrz Walenty Ćwik. Rys dziejów poczt i telegrafów. Lwów, 1889.

bez donioślejszych zmian przez pięć przeszło wieków. Z biegiem czasu, rozszerzeniem się granic Polski i rozwojem administracji rozległego państwa wznagała się także potrzeba coraz to większej liczby i coraz to częstszych podwód tak, iż spełnianie obowiązku tego przemieniło się w dotkliwy ciężar dla podróżnych, zwłaszcza obok głównych traktów położonych siół, miast i miasteczek, które poczęły ubiegać się o przyznanie ulg i ułatwień. Zasadniczą w tej mierze reorganizację przeprowadził król Zygmunt August wydaniem r. 1564 uniwersału, mocą którego miały odtąd wszystkie miasta ponosić wspólnie ciężary i składać stosowną opłatę na najem koni i koszty podróży królewskich gońców, kurjerów i urzędników państwa. Podatek na podwoje znany był w kraju pod nazwą *quadrupli*. Podwoje nie były dostępne prywatnym osobom, które musiały wobec tego posługiwać się własnymi pościancami lub okazjami. Moźni panowie utrzymywali na swych dworach konnych gońców, miasta własnych pościanców. Chełmno, Dorpat, Elbląg, Gdańsk, Królewiec, Rewel, Ryga i Toruń należały do czwartego, t. j. prusko-inflanckiego, okręgu Hanzy z stolicą Gdańskiem, toż polskie miasta korzystały z wybornie zorganizowanej instytucji pocztowej hanzeatyckiego związku. Za rządów Zygmunta Augusta napotykaemy także uregulowaną wymianę korespondencyj z obcemi terytorjami, zwłaszcza zaś z Wenecją, Medjolanem i wogóle z Włochami, a Stefan Batory, nie przeoczywszy dodatnich stron urządzeń Zygmunta Augusta, wydał nowe stosowne postanowienia, dotyczące zakładu pocztowego, którego naczelny zarząd poruczył (r. 1583) szlachcicowi florenckiemu Sebastjanowi Montelupi i tegoż synowcowi Waleremu. Rodzina Montelupich, która za Zygmunta III. uzyskawszy (r. 1610) indygenat polski, przybrała nazwisko Wilczogórskich, utrzymywała obok zagranicznej i krajową pocztę, przewożącą prywatne korespondencje kursem między Wilnem, Warszawą i Krakowem, powtarzającym się co dni dziesięć. Zarząd główny mieścił się w Krakowie w kamienicy Montelupich w rynku, dziś l. hip. 46 dz. I. We Lwowie urządził Dominik Montelupi rodzaj poczty, którą wydoskonalił i zorganizował Robert Bandinelli r. 1629.

Zygmunt III. przyjął go w poczet sług swoich i nadał przywilej do utrzymywania regularnych kursów do Włoch i wogóle zagranicy, tudzież do Krakowa i na Zamość, Lublin do Warszawy, w końcu do Kamieńca i Jass. Poczta odchodziła podług planu pocztowego w soboty. Bandinelli zbudował dla siebie kamienicę w rynku narożną od ulicy Dominikańskiej, która odznacza się dziś jeszcze architekturą i plastyką. R. 1620 przeznaczył Zygmunt III. wszystkie dochody z podwód na urządzenie poczt wogóle w Koronie, Litwie i Prusiech, poprawił administrację, uregulował bieg kursów, a Władysław IV. pracując gorączkowo nad ulepszeniem mnogich urzędów w państwie, zmienił zasadniczo dawny system podwód i urządził (r. 1647) w całym kraju regularne zakłady, poruczając godność magistra poczt Karolowi Wilczogórskiemu, synowi Walerego. Jan Kazimierz wyznaczył naczelnemu pocztmistrzowi płacę stu „aureorum Ungaricalium a Judaeis Cracoviensibus pendi debitam“ i oddał przedsiębiorstwo po śmierci Karola (r. 1662) tegoż wdowie Barbarze z domu Strubiczów.

Jan III. Sobieski powołał na urząd pocztmistrza kupca Sardiego i zastrzył (r. 1677) przepisy i ustawy pocztowe. Wstąpienie na tron Augusta II. rozszerzyło zakres działania zakładu, któremu poruczono także przewóz towarów, przeznaczonych na użytek dworski. Zwyczajła komunikacja listowa odbywała się przez konnych pocztyljonów szlakiem głównym z Wilna na Grodno do Warszawy, z Grodna do Lublina i przez całą Ruś do granic państwa. Niektóre województwa, zwłaszcza litewskie, uregulowały własną komunikację, a tak powstała w państwie cała sieć systematycznych związków pocztowych.

Po wypadkach krwawej wojny r. 1702 dźwignął z chwilowego letargu pocztę król August III., przekształcił zakład na wzór zagranicy i mianował generalnym magistrem hr. Bibersteina. Dochody pocztowe wzrosły tak, iż na elekcji Stanisława Augusta przeznaczono je na pomnożenie dochodów królewskiego stołu. Stanisław August mianował Ignacego Prebędowskiego generalnym dyrektorem poczt koronnych i litewskich i wprowadził w życie donośne ulepszenia instytucji.

Nastąpił tymczasem pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej polskiej a część ziemi Krakowskiej, Sandomirskiej, Ruś czerwona, część Podola i Wołynia, tudzież księztwa: Oświęcimskie i Zatorskie przeszły (r. 1772) pod panowanie Austrii. Austrija już r. 1722 objęła pocztę na zarząd państwa i przyznała rodzinie Hr. Paar, posiadającej od r. 1627 tytułem lenna regale pocztowe, odpowiednie roczne odszkodowanie. Popierając w nowo nabytych krajach: w Galicji i odstąpionej przez Portę (r. 1774) Bukowinie handel i przemysł, bijąc gościniec, wydano (r. 1775) patent pocztowy i przystąpiono do organizacji zakładu i tworzenia urzędów, których w ciągu pierwszych lat 20 powstało 77 na terytorjum Galicji, 12 zaś na terytorjum Bukowiny. W owym czasie trzy stały obok siebie pokrewne w Austrii zakłady: poczta miejska w Wiedniu, poczta listowa pod zarządem naczelnego urzędu nadwornego czyli takzwana wielka poczta cesarska i poczta wozowa pod kierownictwem głównej ekspedycji wozów. Ster obu ostatnich zakładów spoczywał w ręku hr. Paara jako naczelnego nadwornego pocztmistrza i przewodniczącego nadwornej komisji pocztowej. Tę ostatnią zniósł cesarz Józef II. (r. 1783), porucił administrację poczt ogólnej izbie nadwornej, hr. Paarowi zaś pozostawił tylko prawo obsadzania podrzędnych posad i propozycję kandydatów na wyższe miejsca służbowe. R. 1788 wprowadzono jako nowość rekomendację listów i poczęto obsadzać posady pocztmistrzów nowo kreowanych urzędów w drodze konkursu, a w dwadzieścia lat później przeistoczono główną ekspedycję wozów w dyrekcję poczt wozowych. Wypadki lat wojennych (1789—1813), przechody wojsk nieprzyjacielskich, zmiany terytorjalne, w końcu redukcja wartości papierowych pieniędzy nie pozostały bez szkodliwych następstw dla rozwoju zakładu. W tym czasie zrzekł się Karol Paar tych przywilejów, zatrzymał tylko tytuł i prawo bezpłatnego przesyłania swych korespondencyj, a naczelne kierownictwo poczty listowej przeszło w całości w ręce ogólnej izby nadwornej. Dalsza zasadnicza reorganizacja administracji złączyła (r. 1839) pocztę listową z pocztą wozową i stworzyła jako centralną władzę ck. najwyższy nadworny zarząd po-

cztowy. Ustawą z r. 1837 zastrzeżono dla państwa wyłączne prawo przewozu listów i pism perjodycznych, zabroniono przedsiębiorstwa przewozu podróźnych rozstawnemi kołmi na szlakach pocztowych, wyłączono przewóz pakietów z szeregu zarezerwowanych dla państwa przywilejów i zastosowano przepisy o przekroczeniach przeciw ustawie pocztowej do ustaw karnych, dotyczących ukróceń dochodów skarbowych. Ważnym czynnikiem w rozwoju zakładu była rozpoczęta r. 1841 budowa kolei żelaznych a przekształcenie całego organizmu państwowego przeprowadzone r. 1848, stworzyło podstawę do dalszego rozkwitu instytucji pocztowej, która po zniesieniu nadwornego zarządu przeszła (1849) pod kierownictwo ministerstwa dla handlu, przemysłu i publicznych budowli. W tym czasie oddano obok zakładu pocztowego pobratymczą instytucję: telegraf elektryczny na usługi spragnionego szybkiej wymiany myśli społeczeństwa, a utworzona (r. 1850) generalna dyrekcja dla zakładów komunikacyjnych stanęła na czele poczt i telegrafów. Wówczas też przemieniono naczelne zarządy prowincjonalnych stolic w dyrekcje pocztowe a reformując zasadniczo zakład, wprowadzono używanie znaczków przy opłacie listów, wprowadzono w życie opieczętowane listy pieniężne i przekazy i zawarto z Prusami związek pocztowy, pierwszą podstawę owego związku światowego, o jakim marzył w swych budzących ogólną sensację rozprawach literackich przybyły z królem Augustem do Polski Saksończyk P. I. Marperger, a jakim osnuł obecnie generalny szef poczt niemieckich Dr. Stefan wszystkie obszary globu ziemskiego. R. 1853 poruczono funkcje zmienionej generalnej dyrekcji ponownie ministerstwu handlu, r. 1859 rozwiązano to ministerstwo i przeniesiono czynności tegoż do ministerstwa skarbu. Niedługi atoli przeciąg czasu, gdyż lat 2 zaledwie — trwała ta niezwykła reakcja. R. 1861 kreowano powtórnie ministerstwo handlu, którego tekę piastuje dziś siedmnasty z rządu doradca korony, mając przy swym boku jako szefa sekcji generalnego dyrektora poczt i telegrafów. Rozwiązane (r. 1859) ministerstwo handlu wprowadziło jako ostatnią postępową nowość doręczanie listów (express) umy-

ślnymi posłańcami, powołane ponownie (1861) do życia ministerstwo handlu przystąpiło gorliwie do reform, wydało liczne zastosowane do potrzeb społeczeństwa zarządzenia, uregulowało administracyjną i wykonawczą służbę i podniosło zakład do wyżyny, na której go obecnie widzimy. Po ogłoszeniu nowej ustawy o bezpłatnem używaniu zakładu zniżono taryfę listową, następnie taryfę frachtową i telegraficzną, uregulowano stosunek obu składowych części Austro-Węgier, zaprowadzono używanie najświetniej urządzonego aparatu telegraficznego pomysłu Dawida Edwarda Hughesa, zaprowadzono telegraficzne przekazy, dopuszczono kobiety do służby przy urzędach i oddano do usług publiczności karty korespondencyjne, popularny pomysł austriackiego zarządu, który szybko znalazł zastosowanie wśród ogółu państw cywilizowanych. Z dalszych licznych prac należy podnieść ustawę dotyczącą ochrony tajemnicy listowej, otwarcie w akademiach handlowych Wiednia i Pragi kursów pocztowych, organizację nieerarialnych urzędów, szereg urzędzeń, odnoszących się do światowego związku tak na polu komunikacji pocztowej jak i telegraficznej, postanowienia dotyczące służby poczt i telegrafów, zakładanie meteorologicznych stacyj, tudzież podziemnych przewodów telegraficznych, zaprowadzenie zleceń pocztowych i pocztowych kas oszczędności, niemniej utworzenie pensyjnego funduszu dla nieetatowych funkcjonarjuszów. Z kolei weszły na porządek dzienny budowa rządowych gmachów dla celów poczty i telegrafu, zaprowadzenie kursów fachowych przy dyrekcjach, popisów niższych przed komisją władzy prowincjonalnej, wyższych zaś przed komisją ministerjalną i reorganizacja personalu urzędników administracyjnych, technicznych, rachunkowych, kasowych i urzędników ruchu.

Kandydaci o posady dwóch pierwszych kategorii winni wykazać się świadectwami z ukończonych studjów akademickich (wydział prawniczy względnie akademii technicznej), kandydaci o posady trzech dalszych kategorii świadectwami z ukończonych szkół średnich. — Od nieetatowych oficjalistów (pocztmistrzów, ekspedjentów, ekspedytorów) wymaganemi są świadectwa pierwszej

połowy szkół średnich lub równorzędnych zakładów naukowych, od kobiet świadectwa ukończonych ośmiu klas szkół wydziałowych.

Najnowsze zarządzenia zakładu poczty i telegrafu dotyczą upaństwowienia istniejących i utworzenia nowych sieci telefonicznych, które umożliwiają już obecnie wymianę żywego słowa nie tylko między mieszkańcami tejże samej miejscowości, lecz także między mieszkańcami odległych miast i grodów.

* * *

Po wcieleniu Galicji i Bukowiny w skład monarchii austriackiej poruczono administracyjne kierownictwo zakładu — jako władzy prowincjonalnej szefowi naczelnego urzędu pocztowego we Lwowie, którego zakres działania nie obejmował terytorjum Wielkiego Księstwa Krakowskiego, pomimo iż w Krakowie obok polskiego urzędu, kierowanego przez pocztmistrzów rajcę Kasparego i Andrzeja Menżyńskiego — istniał od r. 1798 do 1809 austriacki urząd pocztowy. W latach 1809 do 1815 podlegała ziemia tarnopolska i część czortkowskiej pod imieniem obłasci tarnopolskiej berłu rosyjskiemu — to też i w tym zakątku kraju ustały chwilowo atrybucje władz austriackich. Zakres działania naczelnego zarządcy pocztowego we Lwowie był nader ograniczonym. Nie miał on w żadnym kierunku prawa rozstrzygania i samoistności i musiał w każdej sprawie udawać się do gubernatora, za którego pośrednictwem odbierał też wszelkie polecenia z Wiednia. Zresztą przez kilka pierwszych dziesiątek lat nader szczupła była stosunkowo ilość urzędów pocztowych na rozległym obszarze prowincji tak, iż jeszcze r. 1816 istniało obok niewielu miejsc zbierających listy, zaledwie 74 stacyj, a od r. 1792 do 1822 otworzono wszystkiego 21 nowych stacyj i miejsc zbiorowych. Urzędem erarjalnym o personalu etatowym był wyłącznie urząd lwowski, w Gdowie, Bochni, Tarnowie, Brodach, Stanisławowie i Czerniowcach ustanowiono wprawdzie kontrolujących urzędników poczty listowej, reszta oficjalistów jednak składała się tam podobnie jak i w innych miejscowościach z pocztmistrzów i ekspedytorów.

Lwowski naczelnny zarząd zarazem urząd pocztowy składał się (1816) z naczelnego zarządcy, starszego kontrolora, czterech oficjałów, jednego akcesisty i jednego praktykanta, w końcu z jednego ekspedytora.

Jeden z dwóch konduktorów pełnił zarazem obowiązki kołodzieja, listonosz przesyłek pieniężnych obowiązki woźnego, czterech listonoszów roznosiło korespondencje, a pomocnik woźnego wykonywał resztę podrzędnych czynności. Doręczanie listów, izraelitom poruczonem było ich współwyznawcy, który pod nazwą żydowskiego listonosza figuruje odrębnie w ówczesnych wykazach personalu. W całości spoczywała służba administracyjna prowincji i służba ruchu w stolicy w rękach dziewięciu urzędników i dziewięciu organów niższej kategorii. Naczelnny zarządca i stajniczy mieszkali w budynku pocztowym — dziś ul. Czarneckiego l. 18 (gmach Namiestnictwa.) Stan powyżej opisany pozostał bez zmiany do r. 1822, w którym dopiero pomnożono personal lwowskiego urzędu o trzy siły biórowe, przeniesiono kontrolującego urzędnika z Gdowa do Podgórza i przydzielono etatowego listonosza „żydowskiego“ do urzędu w Brodach, gdzie obok Lwowa łączył się ruch handlowy prowincji.

Zasadnicza reorganizacja r. 1829 rozszerzyła zakres czynności prowincjonalnego zarządu we Lwowie, wywołała potrzebę tworzenia nowych urzędów, a w r. 1840 pełniło służbę już 106 stacyj i 26 miejsc zbiorowych. W 6 lat później nadano prowincjonalnemu zarządowi prawo do obsadzania posad praktykantów, sług i funkcjonariuszów miejsc zbiorowych, w r. 1849 zaś po otworzeniu ministerstwa dla handlu, przemysłu i publicznych budowli prawo kontroli nad wypełnianiem ustaw i przepisów pocztowych, kierownictwo i nadzór nad urzędami i personelem i administrację skarbu państwowego. W ten sposób przekształcono zarząd w władzę administracyjną samoistną, niezawisłą od politycznego szefa kraju, poczem r. 1850 odłączono agendy administracyjne od służby ruchu, kreowano jako krajowe władze dyrekcje pocztowe we Lwowie, Krakowie i Czerniowcach i mianowano w ich siedzibach zarządów jako naczelników urzędów pocztowych.

R. 1852 zniesiono okręgi krakowski i czerniowiecki i oddano ich terytorja pod zarząd dyrekcji lwowskiej, poruczając jej zarazem ster istniejących na obszarze Galicji stacyj telegraficznych, z których dobrodziejstwa dozwolono korzystać prywatnym osobom.

Naturalnym wynikiem zmian powyższych było wzmaganie się czynności administracyjnych. Podczas gdy r. 1810 załatwiono we lwowskim zarządzie 2035, r. 1820 tylko 1473, r. 1830 4988, r. 1840 6014 podań prywatnych osób i sprawozdań urzędowych, wzrosła ilość exhibitów r. 1850 do liczby 10.187 i podniosła się znowu w następnym dziesięcioleciu przeszło o połowę, dosięgła bowiem cyfry 15.947 urzędowych kawałków.

W celu załatwiania tych agend administracyjnych zwiększano trzykrotnie dotyczący personal conceptowy, podnosząc liczbę jego z dwóch (r. 1848) na sześciu (r. 1858) urzędników. Liczba etatowych urzędników ruchu wzrosła od r. 1848 do 1858 o 27, liczba funkcyjnarjuszów nieerarjalnych o 31 nowych sił biurowych.

W międzyczasie przeprowadzono reorganizację telegrafów (r. 1856), dla których utworzono wspólną dyrekcję w Wiedniu, w poszczególnych prowincjach zaś inspektoraty. Donośny wpływ na rozwój a zarazem na zmianę ustroju zakładu poczty i telegrafu wywarł wzrost sieci kolejowej. Odpadała potrzeba przewozu podróżnych, wzmagala się natomiast potrzeba wprowadzenia w życie nowych urządzeń, nadających zakładowi piętno instytucji bankowej. Już w latach 1860 - 1870 w dwójnasób prawie wzmożyły się czynności administracyjne, a podniosły do trzykrotnej liczby w r. 1890. Personal prowincjonalnej władzy, który r. 1858 składał się z sześciu urzędników, wzrósł r. 1888 do liczby pięćdziesięciu pracowników. W tym samym czasie podniosła się ilość etatowych urzędników ruchu z siedmdziesięciu dwóch na siedmset trzydziestu dwóch, ilość oficjalistów nieerarjalnych z stu siedmdziesięciu dwóch na dziewięćset dwudziestu jeden. Potężny przyrost sił etatowych stoi także w związku z zaprowadzeniem w większych miastach kraju erarjalnych urzędów, tudzież z zaprowadzeniem pocztowych kas oszczędności. Cyfry powyższe ten

korzystniejszy przedstawiają obraz wzrostu zakładu Galicji, iż nie dotyczą one — o ile odnoszą się do ostatnich dziesięcioleci — terytorjum Bukowiny, które wyłączone r. 1872 z pod jurysdykcji lwowskiej dyrekcji, otrzymało swą własną władzę prowincjonalną. W tym samym roku przekształcono zakład telegraficzny i utworzono we Lwowie dyrekcję telegrafów, złączoną następnie (r. 1884) z dyrekcją pocztową.

Tak samo jak liczba urzędników, wzmożła się stosunkowo i liczba służb niższej i wyższej kategorii (ekspedjentów, konduktorów, listonoszów, dozorców linii telegraficznych, woźnych, roznosicieli depesz, pocztyljonów, listonoszów prywatnych urzędów, posłańców, stróżów, palaczy i t. d.) Rozwinęła się też liczba prywatnych sprzedawców znaczków pocztowych i skrzynek listowych, których istniało w kraju r. 1873 jakieś 618, r. 1878 już 656, r. 1883 715 a r. 1888 nawet 921.

Rozwój zakładu wywołał potrzebę budowy własnych gmachów, zastosowanych do celów instytucji w pierwszym rzędzie we Lwowie, Krakowie i Brodach. W ten sposób przyszedł zakład, umieszczony pierwotnie w najmowanych lokalach (we Lwowie, jak wspomnieliśmy przy ulicy Czarneckiego l. 18, następnie przy ulicy Karola Ludwika l. 1, w końcu przy ulicy Sykstuskiej l. 23, w Krakowie na Stradomiu, w Brodach przy Rojkówce), do wspinających budynków, stanowiących prawdziwą ozdobę miasta.

Najpotężniejszy wzrost personalu przedstawia, biorąc proporcjonalnie, ostatnie pięciolecie. Upaństwowienie telefonów przysporzyło dalszą ilość posad dla kobiet, które tutaj podobnie jak w mniej odpowiedzialnych działach służby pocztowej i przy słabiej zajętych liniach telegraficznych pełnią obowiązek manipulantek. W ciągu lat 20, t. j. od czasu dopuszczenia kobiet do posad manipulantek wzrosła w dwójnasób liczba żeńskiego personalu i doszła już r. 1893 do ilości 82 sił roboczych. Przy nieerarialnych urzędach rozwinął się silniej personal żeński, któremu pierwotnie przysługiwało prawo własności stacyj pocztowych z obowiązkiem utrzymywania męzkich zastępców. W porównaniu z r. 1848, w którym sześć kobiet wchodziło w skład kontraktowych

funkcjonariuszów przedstawia już rok 1893 z liczbą 431 kobiet olbrzymi wzrost sił żeńskich. Jeszcze większa właściwie ilość kobiet posiada kwalifikację na ekspedytorki, po złożeniu popisu atoli nie pełni czynnej służby, lecz oddając się domowemu zajęciu wyczekuje stosownej chwili, by w razie opróżnienia się posad pocztmistrzów lub ekspedjentów współubiegać się z tymi kandydatami i kandydatkami, którzy oddając bez przerwy latami siły swe na usługi zakładu i społeczeństwa, liczą nie bez słuszności na ustalenie bytu. Byt ten zawisł od miejscowości, w której kandydat lub kandydatka otrzyma kontraktową stałą posadę — pobory bowiem nieerarialnych urzędów stosują się podług ilości jazd, podług ruchu, tudzież dochodów z opłat za listy i przesyłki, odbierane i nadawane w poszczególnych urzędach.

O wysokości opłat uiszczanych za przewóz listów w XIV. stuleciu informują nas zapiski miasta Kolonii, wedle których płacono za drogę do Bonn 8 szelągów, do Düsseldorfu 14 szelągów, do Akwisgranu 20 szelągów, do Trewiru 3 marki, do Brukseli 6 marek, do Heidelbergu 8 marek. W Czeszech wynosiła opłata w XVI w. po 2 ct. od mili w kraju, po 5 ct. za granicą. Najbardziej postępową była taryfa, ustanowiona (r. 1583) w Polsce przez króla Stefana, normowała bowiem opłatę podobnie jak obecne taryfy listowe bez względu na odległość, a mianowicie po 4 polskie graje od poszczególnego listu. Opłata powyższa odpowiada wobec ówczesnej wysokiej wartości pieniędzy obecnej kwocie 1 złotego polskiego i 8miu groszy. W postanowieniach króla Stefana znajdujemy też wyjątkowe uwolnienie od opłaty pocztowego, przyznane zakonom ks. Franciszkanów, Bernardynów, Dominikanów, Augustynów i Karmelitów. Ułożony r. 1629 przez lwowskiego pocztmistrza Roberta Bandinellego w porozumieniu z urzędem radzieckim plan pocztowy (*Ordinatio posthae*) normował następujące opłaty za listy objętości pół arkusza lub wagi pół łuta: do Zamościa 1½ grosza, do Warszawy 3 grosze, do Torunia 4½ groszy, do Gdańska 6 groszy. Z początkiem bieżącego stulecia pobierał postępowy zakład pocztowy Anglii za skromny list z Lon-

dynu do Edynburgu, nie przeważający jednej uncji, opłatę równającą się kwocie 1 złr. 80 ct. w. a.

Częstem zjawiskiem była zmiana taryfy pocztowej w Austrii, gdzie od r. 1700 regulowano w ciągu półtora wieku piętnaście razy opłaty listowe.

Bezpośrednio przed erą konstytucyjną była w mocy taryfa listowa z r. 1842, normująca opłaty za korespondencje i druki w równej wysokości podług wagi z jednej, podług odległości z drugiej strony.

Jako progresywną jednostkę wzięto pół łuta cłowego przy niższej, jeden łut cłowy zaś przy wyższej wadze korespondencyj, podczas gdy odległość uwzględniała tylko dwie strefy, t. j. do dziesięciu i powyżej dziesięciu mil. Najniższa opłata wynosiła 6 ct. m. k. czyli 10₅ centów aw., a rosła w miarę wagi listu lub druku tak szybko, iż za przesyłkę wagi 35 łutów cłowych musiał nadawca w razie odległości powyżej dziesięciu mil uiszczać 1 złr. m. k. czyli 1 złr. 5 ct. w. a. Wysokość ówczesnych opłat listowych tem bardziej się uwydatni, jeśli zważymy, iż przy nikłej sieci urzędów w Galicji nie wiele stosunkowo miejscowości pocztowych leżało w pierwszej strefie t. j. w promieniu mil dziesięciu, a odległość między większymi miastami wkraczała zwykle w obręb drugiej strefy. O wrzucaniu listów frankowanych do skrzynek i mowy w owym czasie być nie mogło. Każdy nadawca musiał swą korespondencję oddać w ręce urzędnika pocztowego w celu obliczenia wagi i strefy i wymierzenia opłaty.

Nic też dziwnego, iż po zaprowadzeniu w Austrii (r. 1850) omówionego w odrębnej broszurze przez Sir Rowlanda Hilla (r. 1837) a przyjętego przez angielski parlament projektu, który zmieniał między innymi kwestjami także i sposób opłacania listów gotówką na opłacanie ich znaczkami, nastąpił tak gwałtowny przełom, iż zakład austriacki osiągnął w ciągu pierwszych dziesięciu dni korzystniejszy stosunek opłaconych w znaczkach do opłaconych w gotówce listów, aniżeli zakład angielski w trzecim roku reformy. W tym samym czasie (r. 1850) zredukowano wysokość opłaty, podzielono odległość na 3. strefy, t. j. do 10, do 20 i powyżej 20 mil i wzięto jako progresywną jednostkę wagę jednego łuta tak, iż list, za który uiszczano przedtem np. 1 złr. 5 ct. aw.

podlegał od roku 1850 opłacie 27 cent. m. k. czyli 47 $\frac{1}{2}$ ct. aw. Zniesiono wreszcie (r. 1865) pojęcie „strefy“ w dziedzinie taryfy listowej i unormowano opłatę po 5 ct. bez względu na odległość za każdy pojedynczy list do wagi jednego łuta. Obecna taryfa normuje opłatę 5 centów do wagi 20 gramów, 10 cent. zaś przy wadze do 250 gr., użycza znacznej zniżki drukom, próbkom, zwłaszcza zaś perjodycznym czasopismom i dozwala za opłatą 2 ct. przenosić w dal wcale pokaźną ilość myśli kreślonych na korespondencyjnej karcie.

Jak świetne rezultaty wydała tak niska taryfa listowa, poucza nas statystyka ruchu, pouczają wykazy przychodu zakładu pocztowego.

Podobne koleje jak taryfa listowa przechodziła i taryfa opłat za pakunki i posyłki pieniężne, która jeszcze r. 1848 była ściśle złączona z taryfą listową i składała się z należności listowej, z należności za rekomendację i dodatku asekuracyjnego od wartości przesyłki. Następna taryfa (r. 1867) emancypowała się z obrębu taryfy listowej i oparła się na samoistnych podstawach, uwzględniających przy zredukowanej opłacie tylko wartość i wagę przesyłek. Rok 1878 stworzył dalszy postęp w tej mierze, a zniżanie opłat poczty wozowej i system strefowy wywołały niebywały ruch przesyłek, przy którym c. k. zakład poczty i telegrafu stworzył do pewnego stopnia konkurencję kolejom żelaznym.

Porównując trzy powyżej wspomniane taryfy spostrzegamy, iż za list pieniężny, za którego przewóz płacono r. 1848, 1 złr. 33 ct. m. k., r. 1867 zaś 65 cent., uiszcza się obecnie 36 cent., za pakunek zaś wagi 10 funtów, którego transport kosztował r. 1848 trzy złr. 38 cent. m. k., roku 1867 dwa złr. — tylko 33 cent., a więc nawet nie całą $\frac{1}{10}$ część dawniejszej opłaty.

Zresztą jeszcze tańszy i dogodniejszy sposób przesyłania pieniędzy znajdują interesowani w instytucji przekazów pocztowych, podczas gdy pocztowa kasa oszczędności stoi w tej mierze prawie bezinteresownie do dyspozycji banków, towarzystw, fabryk, firm, przedsiębiorców. Pomimo nader niskich opłat poczty wozowej,

pomimo uproszczonego systemu manipulacji wewnętrznej, pozwalającej poszczególnym funkcjonariuszom zajmować się w ciągu godzin służbowych ekspedycją znacznej liczby przesyłek, nie mają interesowani najmniejszej o-bawy o bezpieczeństwo powierzonego zakładowi do prze-wozu mienia. Miejsce kontraktów pisanych, umów, aktów notarialnych zastępuje tutaj skromny receptis pocztowy z wyciśniętą pieczęcią i podpisem urzędnika, a w zamian za ten skrawek papieru powierza nadawca z całym spokojem milionową nieraz sumę zakładowi pocztowemu.

Rzetelność personelu pocztowego jest niejako przedmiotem asekuracji kilku banków i towarzystw, które umożliwiają interesentom przysyłać wysokie niedeklaro-wane kwoty w listach poleconych, przyjmując za stoso-wną opłatą zabezpieczenie na wypadek zaginięcia takie-go listu.

Choć skromna jest premja asekuracyjna, nie po-noszą w tej operacji szkody towarzystwa ubezpieczeń.

Telegraf, który ze względu na swe urządzenia znacznych wymaga stosunkowo wkładów, znalazł w tej mierze ulgę przez złączenie z zakładem pocztowym. Mniej też dotkliwym jest dla instytucji w obec tego zniżenie taryfy telegraficznej, która od r. 1850 kilka-krotnej ulegała zmianie, nie zdołała atoli dotąd stwo-rzyć systemu, który by mógł pogodzić interes publi-czności z interesem skarbu państwa. Skromna depesza o dziesięciu słowach wysłana z wschodniej do zacho-dniej Galicji, która kosztowała r. 1850 trzy złr. m. k., r. 1860 jeden złr. 80 ct., r. 1871 pięćdziesiąt ct., ko-sztuje obecnie 30 ct. w. a., nie całą więc $\frac{1}{10}$ część pierwotnej opłaty. Przy uiszczeniu zresztą tej samej o-płaty można przysyłać wobec zniesienia systemu stre-fowego telegramy z jednego do drugiego krańca mo-narchii Habsburgów.

Najmłodsza gałąź zakładu — telefon państwowy — różni się w swym ustroju tem od telegrafu, iż wybudowane linje czyli przewody nie służą na równi z telegrafem dla ogólnego użytku, lecz tylko dla użytku poszczególnych abonentów. Wobec tego i opłata zna-czniejszej wymaga kwoty — w pierwszym rzędzie tytułem

należytości budowlanej po 10 złr. od każdych 100 metrów długości przewodu, następnie tytułem należytości stacyjnej i za łączenie 50 złr. rocznie za każdą pojedynczą stację prywatną. Nie ulega jednak wątpliwości, iż z biegiem czasu i tokiem ulepszeń i wynalazków na tem polu nastąpi także redukcja i opłat telefonicznych, a żądny ułatwień w wymianie myśli ogół społeczeństwa obdarzy w całej pełni telefon tem uznaniem i sympatją, jakimi obdarza oddawna sędziwą pocztę i pobratymczy telegraf.

Mazurek Dąbrowskiego.

(Na tie styczniowego powstania.)

Noc była jasna. Wysoko po niebie
Księżyc srebrzysty żeglował wesoło,
A gwiazdki małe, rozsiane w około,
Migały oczkiem błyszczącym do siebie.
Noc cicha. Jednak tam w dali za lasem,
To postać jakaś ukaże się czasem,
To bagnet błysnie, to szabla błyszcząca ;
To znów z proporca, zatkniętego w ziemi,
Orzeł srebrzysty skrzydły wzniesionemi
Odbija blaskiem ku światłu miesiąca.

Cisza dokoła. Pośród leśnej drogi
Sunie cień jakiś ledwo widny oku,
Któż to w tej porze? to starzec ubogi,
Kij w jego rękę, a lira u boku.
Ważne on wieści braciom swoim niesie,
Którzy taborem stanęli hen w lesie.
Bo oto Moskal już pędzi nahajem
Tłuszczę żołdactwa, chcąc zawładnąć krajem.
Krajem, na którym wzrósł gmach Pańskiej chwały,
Krajem, co niegdyś nad inne panował,
Sobie i Bogu zwycięztwo gotował,
A który dzisiaj krwi morza zalały.

Spiesz się wróg straszny, by okuć w kajdany
Tych, co praocjów imienia bronili;
Tych, co wspomnieniem lepszych czasów żyli,
A dziś ginęli nad ojców kurhany,
Woląc za Boga raczej świętą wołą,
Jak męczennicy Ojczyzny i wiary
W uścisku śmierci umknąć przed niewolą,
Niżli pokłony bić czołem przed cary.
O ważne wieści starzec z sobą niesie,
Oko wyteża cicho, pusto w lesie,
Marne godziny, jak lata, się wleka
A bracia jeszcze daleko — daleko.

Wtem błysnął bagnet. „Stój!“ krzyknął ktoś zdala.
Zadrżał staruszek, stanął trwogą zdjęty
I z poza drzewa sroga twarz Moskala
Wyjrzała nagle. „Stój starcze przeklęty!“
Zawołał gniewnie, „dokąd o tej porze?
Mów! albo trupem tutaj cię położę.“ —
„Nie wiem“ rzekł starzec. „Droga ma daleka,
Droga to życia, a z nią wieczność czeka.
Nie znam jej kresów — jaki los lirników.“ —
„Nie znasz? to dziwna — lecz wskaż buntowników,
Kędy ich szyki? gdzie są, w której stronie?
Powiedz! a wolno odejdiesz — i potem
Nie dla cię lira — car obdarzy złotem. . .
A gdy nie powiesz — to nóż w twojem łonie!“ —
Na śmierć jam gotów w każdej życia chwili,
Chcesz, abym zdradził, kędy bracia mili? . . .
. . . Nie chcę ja złota, milsza lira stara,
Milsza mi nędza, niżli złoto cara . . .
O nie! nie zdradzę i stanę przed Bogiem
Z tem, żem ja nie był mej Ojczyzny wrogiem.
. . . Lecz pozwól: zanim śmierć mi zadasz srogą
Niechaj pożegnajm towarzyszkę drogą
Mojego życia, kochaną lirenkę,
Z strun jej ostatnią dobędę piosenkę.“ —

Wzdrygnął się żołnierz; „zdrajca“ dziwnem echem
Zabrzmiało w duszy, pokalanej grzechem.
Ach! on był zdrajcą: opuścił sztandary,

W szyki wszedł wrogów, złego zrządził siła,
Zdradził swych braci, zaparł się swej wiary.
Niepomny matki, co go porodziła.

Bibl. Jag.

Tymczasem starzec okiem lirę zmierzył,
Opuścił laskę, zadrżała mu ręka,
We struny srebrne w natchnieniu uderzył
I Dąbrowskiego zabrzmiała piosenka.

Sposępniał żołnierz: wsparł głowę na dłoni,
Przypomniał piosnkę z swej kolebki echem.
Tażto, taż sama, co z strun liry dzwoni,
I duch się ocknął pokalany grzechem,
Tonami pieśni ludowej wiedziony
Na skrzydłach myśli biegł w rodzinne strony,
Do grona braci, na łono swej matki,
Nad rzeki, pola i rodzinne chatki. . . .
Piosenka umilkła, żołnierz stał w milczeniu.
Bagnet puściła k'ziemi ręka drżąca,
Dziwna się zmiana odbiła w spojrzeniu,
A na powiekę wyszła łza gorąca.
„Idź starcze dalej,“ rzekł wreszcie „ja muszę
Zostać w tym lesie, tutaj śmierć mię czeka,
A gdy przybędziesz tu kiedy z daleka,
To zmów choć jeden pacierz za mą duszę.“

J. Pietrzycki.

INTERMEZZO.

— Mógłbyś pan wyszukać oryginalniejszy przedmiot do rozmowy.

— Nie mogę, a raczej, nie wolno mi wysilać wyobraźni pod karą . . .

— Prawda! . . . Zabroniłam panu tego wysiłku umysłowego przez wzgląd na słabe zdrowie pana. Tylko . . . nie mogę tego zrozumieć, żeby klasyczne studia były przyczyną wątłego zdrowia.

— Czy to nowa złośliwość?

— Zapożyczona od Heine'go. I jemu to przyszło ze studjów, że ośm lat chorował... Tylko bardzo proszę... nie patrz pan na mnie tak zdziwionym wzrokiem. Jestem zapewne nazbyt śmiała w wyrażeniach, ale znasz mnie pan, że wstrętną mi każda hipokryzja.

— Jednakże śmiałość pani jest krańcową.

— Ach... ożywasz się pan!

— Jeśli mnie pani takim woli...

— Ależ panie!...

— Wiem!... Nie potrzebuję się wysilać, bo to na nic mi się nie zda.

— Tak jest.

— Bardzo dobrze. Lecz przyznasz mi pani, że umiem być wytrwałym.

— Wytrwałość jest cnotą. Pan tej cnoty nie posiadasz. Jesteś pan tylko upartym.

— Czy pani zawsze będzie dla mnie tak okrutną?

— Co za archaizm! Wyrażenie to pozostaje wrażliwej sprzeczności z pańskim zewnętrznem ja. Nie róbże pan wstydu swojemu krawcowi, panie profesorze! Ten sztukmistrz dołożył wszelkich starań, abyś pan wyglądał modnie, a pan, panie profesorze, deklamujesz archaiczne dytyramby.

— Czy pani ma co do zarzucenia mojemu krawcowi? Czy znajdujesz pani, że nie jest dosyć biegły?...

— Ha! ha! ha! Jakiś pan pyszny z tą wystraszoną fizjognomią!

— Pani?!...

— Co, panie profesorze?

— Przypominam pani, że igrać w ten sposób byłoby niebezpiecznie.

— Dla kogo? boć przecież nie dla mnie?

— Czy pani stanowczo przenosi nademnie tego wypchanego mleczaka w cudackiem ubraniu?

— O kim pan mówisz?

— O tym panu Gastońskim, czy Guścinskim...

— O panu Gostyńskim? Proszę nie przekreślać nazwiska. Monopol na przekreślanie plebeuszowskich nazwisk wzięła arystokracja. Czy zapisałeś się profesoro-

rze do ich cechu? Ile to pana kosztowało? Dużo pan dałeś na murzynów w Afryce i inne piekące sprawy?

— Odbiegamy od przedmiotu! . . .

— To nic nie szkodzi. Wszak nie jestem posłem, którego trzeba przywoływać do porządku. A zresztą, i posłom przytrafia się to nazbyt często, że odbiegają od przedmiotu tak daleko, że zapominają, na czym właściwie polega ich czynność i co mają mówić. Lecz aby panu dowieść, że nie odbiegłam od przedmiotu, aby uchylić się od odpowiedzi, oświadczę panu kategorycznie, że pana Gostyńskiego nie uważam za mleczaka, że nader wysoko cenię jego charakter. Jest to młodzieniec zdrowy na duchu i ciele, patrijota, dobry syn i brat, będzie zapewne dobrym obywatelem kraju . . .

— Czy do tego obywatelstwa przysposobić się trzeba w ten sposób, że się rozbija po mieście w czerwonej bluzie, która przypomina czasy komuny paryskiej? . . .

— Istotnie! Wyrok godny areopagu nowożytnych Greków! Czy wiesz pan, co zrobili ci, co noszą wstętnie dla oka pana bluzy czerwone? Oto w najdalszych prowincjach kraju zatknęli oni swój sztandar i z hasłem: „zdrowa dusza w zdrowem ciele,“ szerzą ideę jedności, pokrzepiają siły, podnoszą ducha, budzą uspio-nych, zachęcają nieśmiałych i każą wierzyć, że nie wygasła jeszcze miłość do ideałów, że żyjemy i nie lękamy się okrzyków przestraszonej straży pożarnej . . .

W tejsze chwili wbiegła do pokoju dwunastoletnia dziewczynka; spostrzegłszy gościa, zatrzymała się na progu.

— Cóż tam Heluniu? Chodźże bliżej, ukłoń się panu profesorowi.

Helenka drgnęła.

— Ach . . . caca! Co za dystynkeja w tem dziecku i jak ono się rozwija! Trudno uwierzyć, że to córka pani! Różnica wieku nie musi być znaczna. Pani wyszłaś za mąż, mając lat piętnaście! . . .

— Jak to pan dobrze pamiętasz!

— Byłem na ślubie pani.

— Prawda! . . . Lubisz pan chodzić na śluby swoich przyjaciół.

— To los każdego starego kawalera . . . Lecz . . . pozwolisz pani, że na tem zakończę moją dzisiejszą batalję . . .

— Czy to ma być oryginalne wyrażenie?

— Oryginalność nie leży w moim charakterze. Wolę ścieżki wydeptane.

— Zapominasz pan atoli, że nie tędy droga . . .

Ukłoniła się szyderczo i oczyma wskazała na drzwi. Zrozumiał ją stary donżuan; z za okularów błysnęło ku niej szybkie, ostre spojrzenie; wstał, ukłonił się i wyszedł.

Równocześnie prawie młoda kobieta zadzwoniła. Wszedł lokaj.

— Nie jestem odtąd nigdy w domu dla pana profesora, który ztąd wyszedł — rzekła dobitnym głosem.

Lokaj zrozumiał rozkaz; ukłonił się w milczeniu i wyszedł.

Po jego odejściu Helenka rzuciła się matce w objęcia.

— Dziękuję ci, moja złota mamusiu, dziękuję — wołała, całując piękną swą mateczkę.

— Zkąd ci to przyszło Heluniu? Za co dziękujesz? — spytała młoda kobieta.

— Bo ja tego pana nie cierpię.

— Dla czego?

— Bo on się wyśmiewa z tych wierszy, które ja deklamuję i mówi, że to niepotrzebnie zawraca mi głowę. Mamusiu, czy pan Gostyński przyjdzie dzisiaj, aby mnie wysłuchać? Bo ja doskonale nauczyłam się jego wierszy na dzisiejszą wieczornicę.

— A przedemną odpowiesz wierszyk?

— Mamusia zaczeka, aż pan Gostyński przyjdzie.

— To Helunia woli pana Gostyńskiego i mamusi nie kocha?

— Nie, nie! Ja kocham moją mamusię! Tylko...

— Tylko chcę odpowiedzieć wierszyk przed panem Gostyńskim.

— Jeśli mamusia chce, to odpowiem natychmiast.

— Nie potrzeba, bo oto pan Gostyński. Czekamy na pana! — dodała, witając wchodzącego młodzieńca, ubranego w mundur sokoli.

Podawała mu rękę do pocałowania. Młodzieniec ucałował rączkę, podziękował za życzliwe powitanie i zwrócił się do Helenki.

— Jakże tam z nauką wierszyka? — spytał wesoło.

— Urządźcie tu sobie próbę — wtrąciła młoda kobieta — a ja pójdę się tymczasem przebrać. Gdy wrócę, Helunia odpowie przedemną ten wierszyk, dobrze?

Pożegnała ich serdecznym uśmiechem i znikła za portjerą.

Przechodząc przez sąsiedni pokój, młoda kobieta spotkała się z powracającym z biura mężem, który spieszył do buduaru, by się z nią przywitać.

— Tak wcześnie dzisiaj? — spytała męża.

— Przyszedłem dzisiaj wcześniej — odparł, składając na czołe żony tkliwy pocałunek — bo, wszak mamy pójść o siódmej na wieczornicę? Czy zostawiłaś kogo w buduarze? — spytał, gdy dobiegły go ztamtąd głosy Gostyńskiego i Helenki.

— Pan Gostyński jest tam z Helunią.

— A!... pan Gostyński!

— Czyś zazdrosny?

— Jestem o dwadzieścia lat od ciebie starszy.

— A więc cóż ztąd?

— Nic. Tylko, że ten młodzieniec durzy się w tobie, a ty jesteś młodą i masz starego męża.

— Edwardzie!

— Nie chciałem cię obrazić. Przebacz mi!

— Jeśli chcesz, wydalę pana Gostyńskiego z domu, jak wydalą przed chwilą profesora Łopackiego.

— Kogoś wydalą?

— Człowieka, który był i nazywa się dotąd twoim przyjacielem, a śmiał prześladować twoją żonę miłosnemi oświadczeniami.

— Ha... o czym ty mi tu mówisz?!... Boże! I ja tego nie widziałem?... Przebacz mi, mój aniele!

Wyciągnął do żony obydwie ręce i przytulił ją do piersi.

— Czy każesz mi to samo zrobić z panem Gostyńskim? — spytała młoda kobieta po chwili.

On zmarszczył brwi.

— Więc i Gostyński? — spytał.

— O nie! — odparła — to młodzieniec zacny. Jeśli się durzył, to wnet się przekonał, że źle robi, trwając w roli trubadura. Pozwalam mu rozmawiać z Helenką... wszak za cztery lata Helenka może być jego narzeczoną. Zapominasz mężusiu, że mam dorosłą córkę.

— Czy tylko jesteś pewną, że ten młodzieniec...

— Już się uleczy? Najzupełniej. Idź do buduaru, przywitaj go. Nie zapomnij zaprosić go, by wypił z nami herbatę. Idę się przebrać. Za kwadrans wrócę.

Przesłała mu rączką pocałunek i lekką stopą wbiegła do dalszych pokojów.

On popatrzył za żoną długo i tkliwie, wreszcie potarł ręką czoło i szepnął:

— Ha . . . trudno! . . . Jak się ma młodą żonę w moim wieku, to i głupcem zostać można. Ktoby się spodziewał?! Łopacki! . . . kolega i przyjaciel! . . . A ja miałem w podejrzeniu tego idealnego młodzieńca! . . . Wierzę jej, bo dała mi czternaście lat niezamąconego szczęścia! . . .

Zbliżył się do drzwi buduaru, odchylił portjerę i przez szczelinę zjrzał do pokoju.

Na środku, w pozie deklamatorki stała Helunia; dzwięcznym głosem wypowiadała w tej chwili już może po raz drugi wiersz Gostyńskiego, który zdołał tomikiem pięknych poezyj zwrócić na siebie uwagę krytyki i publiczności, a teraz słuchał dziewczynki z życzliwą uwagą i wzruszeniem artysty. Znać po nim było, że panuje nad sobą, by nie przypaść do tej małej i serdecznie ją ucałować.

Nie chciał dłużej podsłuchiwać; zaczekał tylko, aż deklamacja się skończy, potem wszedł prędko do buduaru.

— No, no! Tylko mi pan nie buntuj córki! — zawołał, witając serdecznie młodego poetę — wy młodzi łatwo się zapalacie! Przez noc dojrzewają umysły, pod mózgiem wam się pali. Lecz czy tego ognia starczy na całe życie? Czy go wystudzi pragnienie kariery, żądza złota i walka o byt?

— W takim razie — odparł Gostyński — kobietom przypadnie w udziale idealniejsza połowa naszej pracy. Jak ongi kapłanki Znicza czyste i niewinne, czuć będą nad świętym ogniem zapału, by nigdy nie wygasł, lecz zawsze równym, jasnym świecił się płomieniem.

A. Kallas.

PRZED WYBUCEM,

poemat dramatyczny

w trzech obrazach.

PIERWSZA CZĘŚĆ TRYLOGJI.

Rzecz z czasów powstania z r. 1863.

Napisał

FRANCISZEK ŁASOCKI

a zaopatrzył wstępem

redaktor „Roczników Samborskich.“



WSTĘP.

„Przed Wybuchem“ — jest to pierwsza część trylogji, część drugą „Całopalenie“ umieściliśmy w 19-m roczniku naszego wydawnictwa, azatem jeden i drugi obrazek dramatyczny w ścisłym między sobą pozostają związku duchowym, chociaż każdy sam dla siebie całość stanowi.

W „Całopaleniu“ skreślił nam autor akcję powstania, już szeroko rozwiniętą; „Przed Wybuchem,“ przedstawia genezę tegoż powstania; czy trzecia część trylogji ograniczać się będzie na opisie ostatnich ruchów i konsekwencyj powstania styczniowego, czy też autor dalej i głębiej sięgnąć zamierzył, zapuszczając się proroczym duchem i okiem w przyszłość — nie wiemy.

Akcja pierwszej części trylogji żywo naszkicowana i rozwinięta, choć ścieśniona nieco i streszczona w węższych ramach, aniżeli akcja „Całopalenia“ — zasługuje jednak na to, aby i jej kilka słów poświęcono.

Autor przedstawia w swoim obrazku ruch przedwstępny powstania w stolicy i na prowincji, ucisk carski, niezadowolenie ludu, który — choć jeszcze jawnie za broń nie chwyta — ale w kościołach się modli za dusze bohaterów Polski i na intencję wybuchnąć mającego powstania. Tu, gdzie wszystko wre i kipi niesfałszowanym uczuciem narodowym, jedni małżonkowie Rebecio-wie, Litwini z rodu, nietylko biernie, ale nawet wrogo zachowują się wobec ruchu ludowego. Mąż Boromeusz Rebec, figura słaba i pozbawiona własnej woli, podlega zupełnie wpływom ambitnym żony i daje jej się powodować w służalstwie i znieprawiedliwieniu wszystkiego, co narodowe.

W innym duchu chowała się córka Kasia, która potajemnie przeszła na wiarę rzymsko-katolicką i szczerze sympatyzuje z powstaniem, w czem jej otuchy dodają krewny Prot Dowgieł i kochanek Wacław Dołęga, sympatyzujący z powstaniem. Obrazek nie byłby zupełny, gdyby się na czarne jego tło nie składał także zdrajca literat polski Miniszewski, coś na kształt Hendigery'ch i in podobnych, który na mowskiewskim żołdzie się tuczy i zdrowy umysł narodu swojemi piśmiłkami kazi.

Aby córkę, do której się naczelnik wojenny powiatu Ryłów bezskutecznie umizga, nieprzystępną uczynić wpływom polskim, postanawia matka, z miasteczka, dotąd przez nią zamieszkałego, wraz z całą rodziną przenieść się do Warszawy. Czy jednak ta zmiana pobytu wobec niezachwianych zasad córki na co się przyda — pozwolimy sobie o tem wątpić.

Drugi i trzeci obraz poematu dramatycznego odgrywają się już w Warszawie. Zmiana pobytu nie oddziałała niekorzystnie na usposobienie patrijotyczne Kasi. W Warszawie dzieje się to samo, co i na prowincji, może jeszcze nawet w większej mierze; bo lud niezadowolony z ucisku carskiego, burzy się i buntuje wszędzie. Wybornie nakreślone są sceny ludowe, przedstawiające nam to usposobienie, szczególnie zaś scena w podziemiach piwiarni, gdzie się przy bilardzie i piwie schodzą rzemieślnicy, których odwiedza przebrany po cywilnemu Ryłów, maskując się chwilowo, ale zdradzając się wkrótce niebacznem słowem, za co go rozszrożony tłum kijami okłada. Do najefektowniejszych scen w drugim obrazie poematu zaliczyć wypada czwartą, również w podziemiach się odgrywającą, w których sąd tajny rewolucyjny wyroki głosi na zdrajców a szczególnie na zdrajcę Miniszewskiego. Dla większej dobitności przytaczamy słowa przewodniczącego :

„Owo o zdrajcach teraz jeszcze powiem,
Co jako trądy w narodowym cielem,
A w duszy jego ciężą mu ołowiem,
I tych wyrodków na trzy zgraje dziele :
Więc pierwsza z rzędu pod pręgierzem stawa —
To już otwarta i ta jawna zdrada,

Co pogwałciwszy przynajświętsze prawa,
Temu wraz do nóg haniebnie przypada,
Który ją droższym podarkiem zaszczyca —
I jest, jakoby ludów nierządnicą! —
W też tropy za nią, lecz tchórzliwą nogą
Slizga się skryte zdradziectwo cichaczem,
Którego ujrzyć ofiary nie mogą —
Choć z ciosów jego śmiertelnie zapłaczem . . .
Nie wiemy, kto zacz? . . . Szpieg cicho zabija,
I ona zdrada — jest narodów żmija!!
A trzecie zaśię, okropniejsze pono —
To już oszczerstwo narodu własnego,
Co z ksiąg pomocą, w zdrowe ludu łono
Sieje truciznę, jad zaszczenia w niego,
I popod maską miłości Ojczyzny
Niezagojone zakaża nam blizny“ . . .

Miniszewski, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, grożącego mu, ufny w protekcję rządu moskiewskiego, układa tymczasem plany na przyszłość, które zecer przerywa, przynosząc mu korektę. Rozpoczyna się krótka wymiana zdań między obydwojma, w przeciągu której zecer się jako wysłannik Rządu Narodowego demaskuje i przენiewiercę sztyletem przebija.

Trzeci obraz na samym wstępie sprowadza nas znowu w obejście Rebeciów. Waclaw, kochanek Kasi, w najwyższym stopniu stał się niewygodnym władcą moskiewskim, w pierwszym zaś rządzie Ryłowowi: otrzymał nakaz, opuścić Warszawę w przeciągu doby. Zamiast nakazowi zadość uczynić, udaje się gorący Polak w towarzystwie Kasi i Dowgiła do kościoła, gdzie lud błagalne nabożeństwo za Polskę odbywa. Nadbiega Ryłow rozwścieczony z swymi posiepakami, aby tłum rozpędzić, a natrafiwszy na zacięty opór, kładzie kolejno trupem Dowgiła, Waclawa a na końcu i Kasię. Rodzice zrozpaczeni przybiegają, aby mordercę przeklinać i u zwłok ukochanej córki wyrzec się swojej apostazji. Uważamy tę scenę za końcową dramatu i jako końcowa jest ona bardzo efektowną i najstosowniejszą, aby zaokrąglić dzieło; nią też powinien się być dramat Lasockiego zakończyć.

Wybaczy nam tedy autor, jeśli mu oświadczymy, że przechwałki Ryłowa, w dodatkowej ósmej scenie wypowiedziane, wyglądają jak musztarda po obiedzie i wprost przykre i wstrętne wywołują wrażenie. Tu, gdzie łotr tak bezczelnie ostatnie swoje słowo wypowiada — gdzie pozostaje apoteoza niewinnie zamordowanych? Wierzmy chętnie, że Ryłow jako podlec co się zowie — tak czuć, tak myśleć, tak mówić mógł, jak mu autor na końcu dzieła mówić każe. Ale czy już wszystkie brudy a nawet literackie publicznie mają być prane? ideał sztuki przecież na tem cierpi.

Z tem wszystkim nie możemy autorowi odmówić daru obserwacji, nie możemy mu również odmówić biegłości w charakterystyce i siły w wyrazach i wyglądamy z ciekawością trzeciej części trylogji.

Sambor, 6. Stycznia 1897.

G. Kohn.

OSOBY:

Wacław Dołęga, obywatel ziemski.
Boromeusz Rebeć, Litwin, dyrektor komory w mia-
[steczku.

Jego żona.

Kasia, ich córka.

Prot Dowgił, Litwin, krewny Rebeciów, gość ich.

Proboszcz miejscowy.

Ryłow, naczelnik wojenny powiatu.

Miniszewski, literat z Warszawy.

Filip, lokaj Wacława.

Wańka, dieńszczyk Ryłowa.

Grupy mieszczan.

Grupy izraelitów.

Spiskowi.

Pielgrzym.

Wojsko.

(Rzecz dzieje się w małej mieścinie w Królestwie,
a potem w Warszawie.)

Obraz I.

(U Rebeciów w ogrodowej altanie — na stole
wino i przekąska.)

SCENA I.

Rebeć, Rebeciowa, Kasia, Wacław Dotęga, Dowgił.

REBEĆ.

Jakem jest Rebeć, dyrektor komory,
No, a mój patron — Boromeusz święty,
Tak z waszych swarów prosto jestem chory,
A już co rozum, to uciekł mi w pięty . . .
U nas Litwinów — milczenie jest cnotą,
Wam królewiakom tylko idzie o to,
By gadać, gadać, a potem za czuby . . .
To wasza pasja, to proceder luby!

WACŁAW.

Przecież w królestwie jesteś pan już dawno,
Toś winien wżyć się w tę naturę naszą,
Która i tem jest także jeszcze sławną,
Że się nikomu zjeść nie damy z kaszą

KASIA.

Ach prawda, prawda — póty kłótnia sroga,
Póki nie widać przed wrotami — wroga.

DOWGIŁ.

Ja chociaż Litwin i gościem tu jestem, *(wskazując na*
[Rebeciów,]
Ale uwielbiam wasze dusze wrące,
Co za dotknięciem, nawet za szelestem

Stopy moskiewskiej — wybuchłyby w słońce!
(*żartobliwie do Wacława*) Ot, ten hreczkosiej, gotówby
[od brony
Wyprządz swe szkapy — i wpaść jak szalony
Na tłum Moskali żelazny i złoty . . .
I niezliczonych wysiec co do joty!

REBECIOWA.

Otóż to właśnie, nieszczęście w tem całe,
Takoż i głupstwo, tylko śmiechu warte,
Że się burzycie, tłukąc głową w skałę,
Drwiącą z głów waszych . . . i na ślepą kartę
Stawiacie los wasz, o który się stara
Znana nam mądrość i sumienność cara!

KASIA (*z boleścią stłumioną.*)

Ach, mamó, mamó!

DOWGIŁ.

Toż kuzynka przecie
Z Wolińskich rodem? Polski jesteś dziecię!

REBECIOWA.

Matką mi Polka — ale mnie carowa
Z Wilna zabrała, małym dzieckiem jeszcze —
I ztąd się wdzięczność dla niej w sercu chowa,
I jej wspomnieniem żywię się i pieszczę.
Uczyć kazała w carskim instytucie,
Takoż w salony prowadziła swoje,
Gdzie ład, porządek — a nie tam kogucie
Jak u was swary, bachusowe boje.
I w złotych cerkwiach dała mi swą wiarę,
Pielęgnującą przykazanie stare:
Cześć dla swych carów, co piekło zwycięża
Nie buntować się, tak jak wasi księża!

KASIA.

Więc to jest buntem, jeśli się kto modli,
O odzyskanie swej Ojczyzny błaga?
Tyleż niewinnych zatruli ci podli!
To najstraszniejsza, bo wewnętrzna plaga . . .

REBECIOWA.

Panno, siedź cicho — i słuchaj z pokorą,
Co matka mówi.

WACŁAW (*n. s. do Kasi.*)

Ty cierpisz tak, droga!

DOWGIŁ.

Ach! to za wiele! Na tortury biorą
Słowa twe, pani! miejże w sercu Boga!
Wszakże On pierwszy nawet jest przed carem,
I przed tem twojem przykazaniem starem!
Do Niego wszyscy uciśnieni biega,
A chyba szatan widzi w tem co złego . . .

REBECIOWA.

Zastępcą Boga car jest na tej ziemi,
Do niego biedz nam z prośbami naszymi —,
A nie procesje jakieś buntownicze,
Które do głupstwa i zbrodni ja liczę!

WACŁAW (*do Rebecia.*)

Niechże pan powie — sumiennie i szczerze!
Czy w naszych modłach jest choć iskra zbrodni?
Czy to uchybia tronowi i wierze?
Czyż niewolnicy modlić się niegodni?!

REBEC (*dwulicowo.*)

Tak, prosto, powiem — to sprawa drażliwa!
Czasami na tę, czasem w sferę ona . . .

Jak się kłaniając ktoś jednemu — kiwa . . .
K'drugiemu zwraca swą stronę wzgardzoną . . .
Jest w tem i dowcip, takóż polityka,
Kiedy się potem z bolu nie umyka

REBECIOWA.

Prawdę powiedział Boromeusz świętą !
Nie mógł inaczej, choć katolik szczerzy —
Bo jego dole mym kluczem zamknięto . . .
Przemennie doszedł do swojej karjery.
On biedny, mały, urzędniczek w Wilnie,
Że się w patriotyzm tam polski nie wdawał,
A siedział cicho i pracował pilnie,
Wziąwszy mnie w parę . . . ubiegł drogi kawał,
Gdzie go doścignąć nie mogli koledzy,
Bo na swej polskiej powrastali miedzy . . .

DOWGIŁ (*z zapalem.*)

Więc o chleb tylko na tym świecie chodzi ? !
Straszna to klątwa ! ludzkości zakała !
Umierać z głodu — o ! stokroć jest słodziej,
Niż wchłaniać ucztę od wroga wspaniała.
I na ołtarzu stawiać własne błędy,
Co hańbę niosą z sobą, zawsze, wszędy !

WACŁAW (*do Rebeciowej.*)

Zrozumieć panią, jesteśmy nie w mocy,
Nieobdarzeni, śnać, pojęciem takim ;
Głębsi w naturze, chociaż mniej szerocy . . .
To wiemy tylko : że każdy Polakiem,
Rodząc się z Polki, przedewszystkiem będzie !
Choćby był katem, na carskim urzędzie,
I swej Ojczyźnie ciskał chleb zatruty —
Przyjdzie nań chwila — żalu i pokuty !
(Słychać turkot przyjeżdżających.)

REBECIOWA (*oknem wyglądając.*)

Pan Miniszewski z naczelnikiem jadą.

KASIA (*do Wacława i Dowgiła*).

Przed Tantalową uchoǳmy biesiadą . . . (*Wychodzą.*)

SCENA II.

Ciż, Ryłow, Miniszewski.

REBECIOWA.

Tak mili goście

REBEĆ.

Do nówek się ścielę . . .

RYŁOW.

Moje poczenje !

MINISZEWSKI (*żartobliwie.*)

Sługa i poddany.

RYŁOW (*poufale.*)

Z tym Miniszewskim tylko ceregiele

Po różnych kątach noszą go szatany !

Wszystko rad słyszeć, widzieć błyskawicą

Nowinki zbiera, rozhowory zwodzi —

Panienki z dysput jego aż się szczycą . . .

Skrzypiące babki, jak dobry kołodziej

Paru słowami, naprawia wybornie,

A starym dziadom w drzemkach wraża szpornie

REBECIOWA.

O ! filut, filut !

REBEĆ.

Czarnoksiężnik takóż —

MINISZEWSKI.

Dzięki za tyle tytułów i łaski.

RYŁOW.

On nie egoist i łakomy smakosz . . .
Sam nie spożywa — a w gazet zatrzaszki
Chwyta nowinki i śle do Warszawy,
Jak umnyj człowiek i literat prawy.
Rekumendacje przywiózł świetne z sobą:
Że literatów wszystkich jest ozdobą —
Zdarowo myśli, z duszą pańslawista!
Na takich tylko, Polska coś skorzysta . . .

MINISZEWSKI.

Nie o mnie idzie —, pro publico bono,
Na tę placówkę dziś mnie przeznaczono.

REBECIOWA.

A niebezpieczną w tej szalonej tuczy . . .

MINISZEWSKI.

W gradzie słów zimnych, mogiła buntowi —
W bolesnych ciosach prawdy się nauczy!
(d. s.) A do kieszeni człek złota nałowi

RYŁOW (*oglądając się z rozstargnieniem*).

Gdzież panna Kasia, wszak jej nie witałem?

REBECIOWA.

Dopiero wyszła — poszukam ją wprędce. (*Wychodzi.*)

REBEĆ.

Pewnie tam czyta co z tym sowizdrzałem,
Wacławem śmiesznym

RYŁOW.

Ona w jego wędcę
Na patryjtkę wzrośnie buntowniczą!
Na takie muszki . . . wasi wieszczę liczą.

MINISZEWSKI.

To wielka prawda —, poezją jak ogniem,
Najtwardsze serca, według woli, pogniem

REBECIOWA (*wraca.*)

Ot, patrzcie państwo — prosto, poszaleli!
Od poniedziałku do samej niedzieli
W kościele siedzą bez ustanku prawie.

RYŁOW.

Któż tak nabożny?

REBECIOWA.

A Wacław z Dowgiłem
I Kasia z nimi. Choć jej skrycie stawię
Różne przeszkody . . . wszystko jej niemiłem —
Ani zajęcie, ni zabawa jaka
Tylko procesje i manifestacje,
Albo rocznica sławnego Polaka
Dziś, zamiast duszy — to w niej tylko macie.
Boję się użyć surowej powagi,
Bo bym ujrzała nóż w jej sercu nagi!

RYŁOW.

Wot to nieszczęście! jak się ono skończy?
Może jej znaleźć — przytułek obrończy
Od tych napadów, gdzie u mniszek może
U naszych — przecie tak dobrze w klasztorze.
(*d. s.*) Gdybym prekrasnej nie kochał tak wielce!

MINISZEWSKI.

Taki czas nastał: tworzyć sobie cielce
I cześć oddawać, hołd — dziełu własnemu.

REBEĆ.

Księża w to wierzą — a pytam się czemu?

(Daje się słyszeć pieśń idącej procesji: „Boże, coś Polskę!” Wszyscy zelektryzowani tem, milkną na chwilę.)

REBECIOWA.

Chodźmy popatrzeć, co się to tam dzieje?

MINISZEWSKI.

W zaczarowane nie wpadłszy koleje

(Wychodzą.)

SCENA III.

Filip i Wańka wchodzą, zabierając się do wypróżniania kieliszków i butelek.

FILIP *(zamaszyście.)*

Tutejszym żółwiom . . . dopomódz nam trzeba
(pijąc) Do ciebie Wańka!

WAŃKA *(oglądając się trwożliwie.)*

Zdrowia ci się życzy.

FILIP.

Ja ci kurażu . . . byś z polskiego chleba
Jako ptak fruwał, a nie sechł na pryczy.

WAŃKA (*pije.*)

Nu, kakże fruwać tut, naszemu bratu?
Naczalnik groźny, a tak skwierna bieda!

FILIP.

Twój pan aż kasa daj go tam za katu!
Dobrego słowa nawet Bogu nie da —
Opój, oźralca, podwikarz, kostera!

WAŃKA (*przestraszony.*)

Zacz to tak gromko? mnie aż trwoga zbiera!
Lachy! za ostre wy ozory macie

FILIP (*biorąc się pod boki.*)

Ozory zacne, ale szable nasze
Stokroć sprytniejsze . . . Pod Grochowem, bracie,
Stłukliśmy carskich na jaglaną kaszę!
Wyście i szabli i języka w gębie
Tam zabaczyli. Pomnę jak zagłębie
W którym pałasik, to ino mi ziewnie . . .
Ba! ale duszy nie ujrzysz w nim pewnie!

WAŃKA.

A z naszych dusze widział ty na oczy?

FILIP (*popijając ciągle.*)

A cóżeś myślał — żem pies, synu smoczy?!
Toć pod Olszynką, w gołąbków się stado
Wraz przerzuciły — i srebrzystym lotem,
Kiedy tam nasi w kirasjerów jadą,
Przed nami biegły wszyscy wiedzą o tem!

WAŃKA.

Nu, ja nie znaju.

FILIP.

Bo ci znać nie wolno —

Ty tylko hulasz, jak niedźwiedź pod pałą . . .
A mądre słowa to cię zaraz kolną,
I zaniemiejesz, gdy człek mówi śmiało.
Zaś świadom rzeczy każdy z naszej wiary,
Wie, kędy kozy na pastwisko żenią
Dzieciuch dożrały, a staruszek jary
Rumieńcem błyska, jak dęby jesienią.
Oj, bratku! bratku! wasz rozum zwichnięty,
Tam wasza głowa, gdzie są nasze pięty!
Czas to pokaże — my będziemy górą,
Jak już zadusim biedę gdzie niektórą
Zresztą my z Bogiem — jak to widzisz tera,
A wasz car za to — ludzi poniewiera.
Wojaczka z Bogiem na polyhbel wiedzie,
Bo takim hufcom — to szatan na przedzie.

WAŃKA.

Ty głupost' gadasz, mnie aż skóra trzaska,
Cztob mój naczalnik nie usłyszał tego.

FILIP.

Możesz mu szepnąć . . . to cię spotka łaska:
Tobie część knutów z tych, co na mnie whiega.
Troszkę na tobie zostanie po drodze,
Żebyś smakował, jak ja cierpię srodze!
Bo u was, kiedy biją wroga w przodzie,
To własnych swoich żołdak z tyłu bodzie,
Według ordynku, snąc, w szelmostwie onem —
Byś oddał rogiem, coś zabrał ogonem! . . .

WAŃKA.

Ach! Filip, Filip — czemu ty na księdza
Nie paszoł lepiej . . . prawil byś kazania.

FILIP.

U was najgłupszych w popy się wypędza . . .
Ja jestem prostak.

WAŃKA.

Niech mnie Boh ochrania
Od takich jak ty prostaków, klanu się!
Ja by oszalał z tobą w rozhovorze,
Albo zaginał w katorżnym lamusie
Bo chytre słowo, tyle co czort może.
Ty by mnie gładko wyprowadził w pole,
Już ja swój rozum, po ukazu, wolę.

FILIP.

Tak, po ukazu —, czemuż pod Grochowem,
Kiedym wraz z ojcem walczył mego pana
(Waciunia wtedy), — wy słowem surowem
Swych wodzów klęci, że nasza wygrana —
Nieposłuszniecie rozkazom ich byli,
W opak im idąc w tej straszliwej chwili?

WAŃKA.

Wsiotaki wzialim Warszawę w bój nowy.

FILIP *(po namyśle.)*

Bo nam brak było, jak się patrzy, głowy . . .
W sierocem stadzie — wilk rumaki kładzie.

(Słychać zbliżających się, Filip i Wańka sprzątając ze stołu uciekają.)

SCENA IV.

Wchodzą Kasia i Wacław *(w dalszym ciągu rozmowy.)*

KASIA.

Tak — piękną mowę miał proboszcz poczciwy,
Do tej procesji rodaków pielgrzymiej.

WACŁAW.

Słowa mu biegły jak strzały z cięciwy
Wprost do serc, w których wrząca krew aż dymi! . . .
O! wstrząsnął duszą tego tłumu do dna!
Wyrwał cegielkę z podwalin caratu,
Na której miejsce, choć wstąpi wyrodna,
To cement prysnął — wyłom oddech ma tu

KASIA.

I w takiej chwili, wśród dziejów nieznanej,
Jakiejś krucjaty bez broni — morderstwa
Matka chce rzucić te rodzinne ściany,
Gdzie nam zakwitła dusza zdrowa, czerstwa,
I biedz na Litwę, jakoby przed burzą,
Chociaż, jak słyhać, i tam naszym wtórzą.

WACŁAW.

By iskrą gromu, od morza do morza,
W tej starej Polsce — wszędzie dziś to samo!
Łudzi się matka — bo to siła boża
Tak tryumfalną wjeżdża w ludzkość bramą!
Nic jej nie zaklnie — nic w pędzie nie wstrzyma,
Bo to prawicą wszechświatów olbrzyma!
I naród biegnie, party straszną mocą,
Chociaż go zbójce po drodze gruchocą.

KASIA.

Na katolicką, odkąd przeszłam, wiarę
Skrycie przed matką, bom Polka z krwi, ducha —
Pradziadów we mnie jakieś cienie stare
Rapsody pieją, których serce słyha
Jako potulne jagniątko macierzy,
Gdy na jej lament, choćby w ogień bieży.

WACŁAW.

O tak, Kasienko! przysięgliśmy sobie
Wieczystą miłość — lecz rąk nie zwiążemy,
Pokąd Ojczyzna w letargicznym grobie,
A wśród krwi naszej — moskiewskie żeremy.
Jak się to skończy, któż dzisiaj odgadnie?
Komu ta perła do zdobycia na dnie?
Dość, że nurtować musimy w tej głębi —
A kto nas zatlił . . . ten nas i wyziębi . . .
I chłodni potem, wieczyści, bezmierni,
Złączym się z sobą, wolni z pęt tej czerni!

KASIA (*ze smutkiem.*)

Tak . . . i przeszkody, dziś nie do zwalczenia —
Matka i Sybir straszliwie mi grożą
Za zmianę wiary.

WACŁAW.

Przeszkód nie ocenia,
Kto krzepki w duchu. Z tą twoją obrozą
Wnetbym się, droga, jak z nitką uporał —
Ot, uwiózł ciebie, gdzie tam na kraj świata
Ale by bez nas ten dziejowy chorał
Zgrzytnął jak po szkle . . . orzeł nie odlata,
Kiedy mu gniazdo rabusie otoczą,
Walczy na ślepo z każdą zgrają smoczą;
Zasłania słabsze — a choć nieudatnie,
Zanim sam padnie — krwawo wroga płatnie.

KASIA.

Ach tak, kto honor narodu całego
W swej piersi żywi i wielkość tę czuje,
Tego od pokus, relikwie te strzegą,
Nie znęci anioł, nie zatrwożą zbóje!

WACŁAW (*biorąc ją za rękę.*)

Och! kiedy taki jak ty anioł szczery
Wstecz mnie zawrócić nie w stanie z tej drogi,
To żadna groza — tygrysy, pantery
Nie cofnęłyby mnie od walki srogiej!
Ta rączka twoja, nito promień z nieba,
Wskazuje, kędy i jak iść potrzeba
Kasieńko moja! któż mi cię odbierze?
I w jakiej znajdę, tę nieprawdę, wierze,
Że taki cudny, jak ty kwiatek ninie,
Tylko w tym świecie — rozwija się, ginie?
Boć on piękniejszy, doskonalszy wielce,
Tam . . . znów zabłyśnie, jak słońce w kropelce . . .

KASIA.

Tak ta nadzieja ludzi przyaniela —
Śląc bohatera, proroka, minstrela!
Podnosi ludzkość od legowisk stada,
I jak w loch światło, w zrozpaczonych wpada . . .
O! mój Waćławie, czemuż z tobą jeno
Tak łatwo walczyć z zwątpienia hyeną?
A kiedy mówisz, to wraz w serce wbiega
Moc, co wyrzuca zeń szatana szpiega . . .
Szpiega, czczych omdleń złamanego ducha,
Z którego skry już wiary nie rozehucha . . .
Bo on już rozniósł ponad naszą głowę
Skargę wysoko . . . a z nią pieśń grobową . . .

WACŁAW (*z czułością.*)

Moje ty ptaszę! w tobie tonów tyle,
Że je zrozumieć napróżno się siłę —
Czuć tylko mogę tę nadziejskość cudną,
Bez której żyć już i umrzeć mi trudno. (*Słychać nad-*
chodzących,
— Ot, już nas płoszą — uciekam do domu.

KASIA.

Więc do widzenia.

WACŁAW (*całując jej ręce.*)

Ale witam! komu?... (*Wybiega.*)

SCENA V.

Kasia, wchodzą Rebeciowa i Ryłow.

RYŁOW (*witając się.*)

Przecież a przecież... panna Katarzyna!
Ani ułować, jej bohu, dziś ptaszka...

REBECIOWA.

Coś mi zanadto wyfruwać zaczyna —

RYŁOW.

Snać, zagorzała z niej robi się Laszka.

KASIA (*z godnością.*)

Wszakże nią jestem, nie od dziś dopiero?

RYŁOW.

Nu, jabym radził wszystkim kochać ludzi,
Albo nikogo....

KASIA.

Ten jest u mnie zero,

W kim własny naród miłości nie budzi —

A rozlewając swe czucia po świecie,

W nic się rozdrabnia — w mgłę i eter wiotki,

I w takiej duszy cześć tylko znajdziecie,

Bo cel bez kresu... a przy stopach kłódki...

Kosmopolityzm — to mara wybladła!

Bolit, kometa, co już z niebios spadła...

REBECIOWA *(poufale do Ryłowa.)*

Prowadźcie z sobą tu dalej dysputy —
Silniejszy wygra . . . na chwilę wychodzę. *(Oddula się.)*

RYŁOW *(fałszywie).*

Kosmopolityzm — to szampan zatruty,
Prawda istynna! No, na własnej drodze
Spotkać możemy pańslawizm rodzinny,
Z którego wzrośliśmy — tak wy, jako i my.

KASIA.

Pañslawizm również — jest zgubną obwłoką . . .
Bo wilczki w dole . . . a łowiec wysoko! . . .
Znamy się na tem — nie wpadniem w żelazka
Piękne i lśniące, z których śmierć w nas trzaska!
Niech w organizmie olbrzymiej ludzkości
Każdy swe czyni — to będzie najprościej!
I przyrodzona wtenczas błysnie zgoda,
Bo nam natura rękę w pomoc poda.

RYŁOW *(chyttrze.)*

Niech i tak będzie — dajmy przykład z siebie —
(klęka na jedno kolano)
I złączmy nasze, pani moja, dłonie —
Iskrenno błagam!

KASIA *(wyśmiewając go.)*

Tak jak w siódmym niebie,
Mahometański amor w panu płonie . . .
Ha! ha! wybornie! a wstańże pan przecie;
Bo takie sceny, dziś śmieszne na świecie.
Ni ztąd, ni zowąd — któż przed drugim klęka?
Czyż miłość wzbudzi ta cielesna męka,
Którejśmy jeszcze próbowali w szkole?
Nad rzeczywistość, wspomnienia już wolę

RYŁOW (*wstając szybko.*)

Takaż odpowiedź?

KASIA.

Otwarta i szczerą.

RYŁOW.

Toż pani gardzi?

KASIA.

Bynajmniej — lecz mówię,
Że z przeciwności par się nie dobieira.

RYŁOW (*z ukrytą złością.*)

Takim obrazom — ludzie jak obuwie

KASIA (*z ironją.*)

Niepoetyczne pańskie porównanie —
Lecz co do treści, to zgadzam się na nie.

RYŁOW.

Ja mam nadzieję . . .

KASIA (*przerwywając.*)

O! nie miej pan wcale!

RYŁOW.

Że wytrwałością jej serce zdobędę —
Wszak iskrę skrzyszają, nawet w zimnej skale!
A kwiat się wzbija, gdy opielą grzędę . . .

KASIA.

Te słowa znaczą?

RYŁOW.

Chwastem są rozruchy
Na naszej grzędzie —, gdy się ją oczyści . . . , .
I spłonie stos ten, kolczasty i suchy . . .
I z dymem pójdą ci nasi ogniści,
To prędeż serca miłością kwitnące,
Swobodne — spojrzą już na czyste słońce.

KASIA.

Konkluzja świetna! . . . zazdrozczę wymowy! . . .

RYŁOW.

Pani drwi ze mnie!

KASIA.

Odpowiedź na drwiny!

RYŁOW.

Ja nie drwię — klnę się!

KASIA.

Ach! to koncept nowy,
I do zjednania Polki wprost jedyny!
Bywajże mi zdrów, panie naczelniku —
(*wzgardliwie*) I takich kwiatków szukaj na śmietniku!
(*Wybiega.*)

RYŁOW(*sam.*)

Wot, tiepier hudo! głupost' ja wyrzekłem!
Znowu na starą pozycję z powrotem
Chcąc ją przynęcić — wabiłem ją piekłem
No, durak ze mnie, zem nie wiedział o tem!
(*p. chw.*) Wsiotaki jeszcze, nie przegrał ja całkiem —
Matka jest za mną — kiedyś mi pomoże
Jak ich patryjotyzm, wraz z tym bratem śmiałkiem,

Na Madejowe rozciągniemy łoże . . .

— Nu, ja tak myślę . . . i to umność wielka!

Lecz jej to mówić? popsowałem dieło!

Taka trucizny kazionna kropelka

W pohybel wiedzie

(p. chw.) Bo się też zajęło

Tak moje serce, żaremнем ogniskiem,

I taka krasna zdała mi się kotka

I tak kotienko warg mych było bliskiem,

(Gdy równe szczęście cara może spotka)

Że ja, ot prosto — powiem sobie śmieie —

Troszku zegził się i bryknął jak ciele!

(p. chw.) — W naczalstwie ona byłaby carycą!

Takaja dama! generalstwo rychło

Gdy jeszcze posag mnogi ją zaszczyca —

Cztob chciał, krutiłby . . . wszystko by ucichło . . .

I pan naczalnik — tiazką sticą kiedy

Raz by się pozbył tej proklatoj biedy!

(p. chw.) Tfu! skandał bolszij! popracować muszę,

Zanim w cyrograf wezmę taką duszę! *(Wychodzi.)*

SCENA VI.

Rynek w miasteczku, w perspyktywie widać kościół,
grupa włościan, grupa mieszczan, grupa żydów.

I. WŁOŚCIANIN.

Jakoś się pany do Boga zabrały

Z procesją chodzą — dziś ich kościół cały.

II. WŁOŚCIANIN.

Cięgiem o Polskę zanoszą swe pieśni —

Niewiadu na co? . . . co im się tam nie śni . . .

III. WŁOŚCIANKA.

Pono śpiewając: „wróćże nam Ojczyznę!“

Znaczy, że proszą — o dawną pańszczyznę

I. MIESZCZANIN.

Co ci kobieto znowu w głowie świta?
Błagają Boga, by nam pęta rozciął,
Zbawił od Moskwy, tępił ją — i kwita!
Dla tego teraz panów pełny kościół.

IV. WŁOŚCIANIN.

Wy wita swoje — a my chłopcy swoje
Żle, bo z panami trzymają i księża.

I. ŻYD.

Gdzie są rabini, tam i żydów roje —
Rabin nie swoich, no gojów zwycięża!
My tak wierzymy — wśród obcych i domu
Wy wszystkim w kupie z osobna nikomu —,
Wy jak ten dyszel złamany latacie
Po węglach pańskich, kościołach i chacie —
Tu stukniesz, urwiesz, tam zawadzisz znowu,
Tędy owędy aż padniesz do rowu . . .

II. MIESZCZANIN.

Żeście wy głupi — to was Moskal pędzi
Nad straszną jamą, przy ślizkiej krawędzi
Jątrzy na panów, herezje wam prawi,
I jak tchórzliwych wciąż płoszy żurawi.
Tymczasem kraj nasz ojczysty wskrós tępi,
W swarliwe stado topiąc szpon swój sępi!

V. WŁOŚCIANIN.

My tam co prawda, nijakiej zawiści
Do naszych panów już tera nie mamy —
My katolicy, jak oni siarczyści,
Na klęczkach pójdziem do papieskiej bramy —
Aleć z cesarzem zapocznąć draki!
Choćby najgłupszy, nie znajdzie się taki!

III. MIESZCZANIN.

To jakiżeś ty Polak? bracie miły!

VI. WŁOŚCIANIN.

Polak, katolik — to przeciek za jedno?
Moskal, syzmatyk — razem się zrodziły —,
Wiara ci wiara — rzeczą niepowszedną!
I tej nie ruszaj! bo przetrwa wiekami,
I będzie po nas, jak była przed nami! . . .
Polak-em szczerzy — katolik inaczej —
Tego już lepiej nikt nie wytłumaczy!

SCENA VII.

Ciż, nadchodzi proboszcz — na widok zbliżającego się,
wołają wszyscy włościanie wrażliwie:

Ksiądz!

PROBOSZCZ.

Pochwalony Jezus Chrystus!

ŻYDZI (*usuwając się w głąb d. s.*)

A weg!

WSZYSCY (*kłaniając się pokornie*)

Na wieki wieków!

PROBOSZCZ.

Jako stado kawek

Przed burzą, pola okrywa gromadnie,
Zbierając żertwę, na zapas w złej doli,
Tak i wy bracia! Niech wam ziarno wpadnie,
Gdy go szukacie — sercem, co tak boli
Na widok naszej Ojczyzny znękaniej,
Którą w swe moce ujęli szatany!

Czołami w prochy! sercami wysoko!
Gdzie słuch nie ścignie, nie dobiegnie oko
A jako skrzydła niech was wznoszą modły,
Któreć nikogo w nieszczęściu nie zwiodły.
I tam klęknicie duchem przed wotyma
Bo naszym grzechem potężnie skowane!
Każdy nasz lament, jęk na więzi trzyma,
By tę wiekową nie zagoić ranę
Wszecchniósierdziem Pana Stworzyciela,
Co nam po plagach łaski swej udziela.
I nie pytajcie: kiedy, jak nastąpi
Z owej niewoli cudowne zbawienie?
Jeno w pokucie nie bądźcie już skąpi,
I niechaj skrucza szczerą was k'niej żenie.
Podajcie dłonie braterskie nawzajem,
Przebaczcie krzywdy przedawnione sobie,
I nad ojczystym wraz zapłaczcie krajem,
A to, co dzisiaj zdaje się być w grobie,
To jako Łazarz powstanie z martwoty!
Uwierzcie w cud ten i ufajcie sobie,
A wróci dzionek wolności, nam złotej.
Módlcie się bracia! bo już do nas biegną
Błogosławienstwa Piusa dziewiątego,
Co tak ukochał w wierze polskie ludy,
Jako nie było tego przed nim wprzód
Nad Polską ręka jego rozpostarta,
Promieniem bożym, spali w popiół czarta.
Tak nam dopomóż, wiekuisty Panie!
A wola Twoja święta — niech się stanie. *(Oddala się.)*
*(Nadchodzi wojsko moskiewskie z Ryłowem na
czele, zastępując szeregi swemi wszystkich — i pędzi
lud przed sobą.)*

SCENA VIII.

Po przemarszu wojska, na opróżnionym rynku zjawia się:

PIELGRZYM *(zadumany p. chw.)*

W lśniące pasmugi mgła srebrzysta rwie się,
Trzaskają wieka, niestrawione w próchnie —

Echo jak w lesie :

To jęknie zgrzytem, ni to wichrem dmuchnie

Jakoweś pieśni ponad światem niesie,

Co trwogą sieką, to głaszczą miluchnie

I lud on z grobów jakoby podnoszą —

Na kaźń macoszą

Jak ze snu owiec obudzone stadko

Zrywa się nagle i słuchy wyteża

Za dzieckiem . . . matką

Gdy cisza . . . szelest zdradziłaby węża,

Co jako piorun w serca wpelznął gładko —

Biegną te ludy, jak owieczek stada,

Gdzie zorza blada

Któż je obudził? gdzie jest? zjawił kto go?

Snać niewidzialny . . . ale mocarz przecie!

On za swą nogą

Lud ów dożrały prowadzi jak dziecię

Ze snów szczęśliwych . . . na pielgrzymkę srogą!

Poddaniście mu — a kto on — nie wiecie?!

Któż tej, co wie dzie w dziejach ród człowieczy,

Sile zaprzeczy?!

Kto się jej oparł, gdy do dzieł pozowie

Tych namaszczeńców? . . . li też ślepe zgraje

Z gwiazdą na głowie?

Co od niewidnej — lód przeklęty taje,

A fala rwie brzeg i targa surowie

Trony tyranów i natchnienia raje

Któż wie, gdzie go ten prąd dziki zawiezie:

W piórze . . . żelazie?

Kolebka z łożem męczeństw zaślubiona —

Jednakiem tętnem wrą wszelakie serca!

Rodzi się i kona

Każdy z tą iskrą! Ona grób przewierca,

I ponad wszystkim świeci jak korona,

A kto jej bluźni — fałszywy oszczerca!

Bo w nią też wierzy jak jego rówieśni,

Choć on — zgrzyt w pieśni

I ot godzina dziś taka wybiła,
Bo czas jej przyszedł . . . a podęgnąć prędzej,
Cofnąć — nie siła!
Ani moc żadna potęgi lub nędzy —
Chwili narodzin nigdy nie zmieniła,
Choć ją kielźnali i orłowie tędy!
Nad wszechświatami toż hetmani prawo —
Strasznie i krwawo! . . . *(Odchodzi.)*

SCENA IX.

jak w scenie I.

Rebeciowa, Rebeć, Dowgił, Kasia *(wchodzą do altany.)*

REBECIOWA *(wzburzona.)*

Tośmy się pięknych czasów doczekali . . .
Już bunt widoczny — wszyscy wyginiemy!

DOWGIŁ.

To przeciw Bogu — są bunty Moskali,
Modlić się bronią — szatańskie systemy!

REBECIOWA.

Wasze modlitwy — to wilka pacierze!

KASIA.

Ach! to bluźnierstwo! co się mamie dzieje?

REBECIOWA.

A mnie z bluźnierstwa takiego — śmiech bierze . . .
Na szubieniczne wpadliście koleje!
Serce mi bije jak młotem, gwałtownie!
Takoż szum w głowie, gorączkowe dreszcze
Tu jakieś będą straszliwe katownie,
Tu sucha gałęź na swój łup szeleszcze

Zaraz, bez zwłoki jedziem do Warszawy —
Tam przesiedzimy groźne uragany ;
Potem, na Litwę . . . między lud nasz prawy,
Swojemu caru duszebnie oddany.

DOWGIŁ.

Wszakże na Litwie dzieje się to samo?

REBECIOWA (*gwałtownie.*)

To fałsz, oszczerstwo!

KASIA.

Ach, zmiłuj się, mamó!

To święta prawda!

DOWGIŁ.

Moskale poświadczą.

REBECIOWA (*j. w.*)

Moskali nie ma! tylko są Rossjanie!

DOWGIŁ (*ironicznie.*)

Rabusiom nazwa metodą zaradczą . . .

REBECIOWA.

Już na dysputy czasu nam nie stanie.
Ot, poprzysięgam sobie uroczyście:
Wyjazd natychmiast! (*Do Rebecia*) A ty dzisiaj, zaraz.
Proś o dymisję. Ja zaś znowu w liście
Do Okrężnego skończę ten ambaras —
To jeno „Polak jest po szkodzie mądry“,
A w wielorybie . . . kończą tylko flądry . . .

KASIA (*klękając.*)

Mameczko droga! umodlić dajże się!

REBECIOWA.

Żadnych komedyj nie wyprawiaj panna!
Takoż warjacyj!

KASIA.

Przecież w martwym lesie
Wśród skał lodowych, gdzie śmierć nieustanna . . .
W głuchych podziemiach głos echo wybląga —
A ciebież matko, prośba ma nie wzruszy,
I rodzicielska przed dzieckiem powaga,
Zamiast litości, śle szyderstwo z duszy?
O! matko droga! błagam cię jak Boga!

REBECIOWA (*szyderczo.*)

Patrzcie! jaka mi czuła patryotka!
Wstawaj nieboże! rozum przyjdzie w czasie . . .
(*Kasia wstaje.*)

DOWGIŁ.

Kuzynko! człowiek przecież nie jest zwierzę —
Ujeździć ślepo nikomu nie da się,
Z zasad, jak z sierści, swych się nie rozbierze . . .
Zresztą, tu prośba nas wszystkich do ciebie:
Zostańcie tutaj — bo wszędzie jednak,
Gruz się wałący . . . ofiary zagrziebie,
Gdy los nas cisnął pod kolumnę taką
(*Do Rebecia*) No — mężu, ojcze! powiedźże ty słowo!
Byś nie biegł z raję, drogą Adamową

REBEĆ (*zafrasowany.*)

Ja prosto, powiem — w głowie mi się kręci . . .
Prosto, sam nie wiem? takie awantury!
Niechże mnie bronią wszyscy moi święci!
W czas takiej burzy, niepewny, ponury . . .
Ja, z każdej pięści, zdarowany chłostą,
Co komu wyrzec, sam już nie wiem, prosto!
(*westchnąwszy*) Ha! może lepiej

REBECIOWA (*przerywając z furją.*)

Nie ma tutaj lepiej,
Takoż i gorzej — bom ja już wyrzekła!
I wiem swą drogę . . . nikt mnie nie oslepi,
I nie ogłuszy — i postrachem piekła,
Lub wabiem raję z tej drogi nie zwiedzie —
Bo tam na sercu . . . mknie rozum na przedzie!
Znam wasze wędki, takóž i podrywki . . .
A w bój otwarty ze mną nie przelówki!
Kumenda zawsze była tylko przy mnie —
Tak w czas upałów, jak w jesiennem zimnie —,
Gdy śnieg już pruszy na te głowy nasze,
Wiem, kto podpiera nad nami poddasze . . .
I srebrną głową jako dawniej kruczą,
Przed każdą jamą ostrzegę borsuczą!
— Proszę ztąd państwa — tam będzie dogodniej
Wziąć się do pióra — i dymisją rychłą
Od gotujących się tu chytrze zbrodni —
Zasłonić honor! . . .

KASIA (*patrzac z boleścią dokóła.*)

Jak w grobie ucihło . . . (*Wszyscy wychodzą.*)

SCENA X.

Wchodzi *Miniszewski*, rozglądając się.

Gdzieś akademję Ksantypa wywiodła . . .
Babszytk zawzięty! nie wyprzec jej z siodła!
I ma swój rozum! . . . Z córeczką ucieka,
By za polskiego nie wyszła człowieka
Zresztą w Warszawie, czy na Litwie onej,
Czujniej strzeżone są, dla carskich, brony.
Żywy to przykład — ja tym pójdę torem,
Z wycieczki biegnąc, z mieniem arcysporem:
Nowinek wrących, spostrzeżeń, dopisków . . .
Ku większej sławie, nie do mniejszych zysków!

(p. chw.) Jedno przemądre, dogodne i dojne . . .
Na bezcelowym i tym głupim świecie ;
Kosmopolityzm !! On wyśmiewa wojnę —
Bo nieświadome swych rodziców dziecię,
Do wszystkich przyznać w potrzebie się może,
I wyprzeć się też. Za nikim nie walczy,
W każdej, swój obrok, znachodzi oborze
I wszędzie wsączy swój przysmak padalczy —
A gdzie jest słodsza, hojniejsza biesiada,
Z przynależnością swoją się tam skrada
— Per Bacco ! łatwiej dojść i stanowiska,
Gdy człek się czuje nieskrępowan niczem —
A jak się wzniesie . . . to kłami zabłyśka,
I ślepym śmiga na około biczem
Gdzie kogo trafi — po łbie czy po ziobrze !
Wszystko to jedno — byle tylko dobrze !!
A motłoch nędzny wnet pochyli grzbiety
Bo taki los mu — był, będzie niestety !
(p. chw.) — Hm ! patryotyzm ? ! i ten czasem zda się . . .
Jeśli przyjazny zefir mu zawieje.
Samo południe dopatrz na kompasie . . .
I ciągnij rydwan w utarte koleje.
I wszędzie pierwszy ! w takiej kanikule
Myśl o swej sakwie . . . a deklamuj czule !
To się opierzysz i ubawisz szczerze . . ,
I na najwyższej zabłyśniesz karjerze !
Lecz gdy znów wicher z innej dnuchnie strony,
A w zawieruchach śmierć ślą akwilony —
Umykaj pierwszy ! nie pytaj któredy . . .
Do neutralnej sterując wprost grzędy !
— By przyzwoitość zaś zachować sprytną
I obie strony mieć na swojej tarczy —
Niech twoje słowa, niby z żalem, wytną
Grom zwyciężonym, który ich obarczy
Szaleństwem, walką w niestosownej chwili ! . . .
Zwycięzcom zasie, nibyto z goryczą
Przyznawaj słusność : słusznie zwyciężyli !
Bo w swych szeregach — tłum goljatów liczą
— Ot, i w ten sposób . . . będziesz górą zawsze !
Tak też ja robię — dobrze mi zaiste !
Mam stanowisko — ba ! i złotko czyste . . .
Mój żołądeczek — to mój Eden szczerzy,

Jak gwiazdy w niebie — tu będą ordery! (*wskazując
[na piersi]*)

(*p. chw.*) Dość samochwalstwa za ten program nowy...
Pójdę, Rebeciom znów zawracać głowy. (*Odchodzi.*)

Obraz II.

SCENA I.

(*W Warszawie w domu Rebeciów.*)

KASIA i WACŁAW.

KASIA.

Tak, na komendę niezbląganej matki
Jesteśmy wszyscy — na popas — w Warszawie.
Miał tu biedz żywot po ścieżynce gładkiej,
By nas na Litwę, jako we śnie prawie,
Leciuchno przeniósł — bezpiecznie, spokojnie,
Gdzie, mówią, we śnie — nie słyszą o wojnie

WACŁAW.

Tymczasem zawód spotkał przewidziany —
Mama się gniewa, że tu jeszcze gorzej!
A i ku Litwie mkną też uragany,
Których na jutro . . . nikt już nie odłoży,
Tu niewinnymi — nabite areszty
W procesjach ćwiczą i mordują ludzi!

KASIA (*splatając ręce swoje.*)

Cóż na to począć?!

WACŁAW.

Jest rada... A wiesz ty,
Ptaszyno moja! że spisek się budzi,
Na obietnicach francuzkich oparty.

Napoljon pomoc solennie przyrzeka —
Jeśli moskiewskie tygrysy, lamparty
Nie uszanują w naszych praw człowieka!
— Cierpieć musimy, nie dobywać broni.
Aże nas Moskwa sama wyzwie do niej.
Spisek, to tylko pogotowie znaczy:
Gdy nie wymodlim — to weźmiem inaczej! . . .
Francja wszechwładna — gdy ona podeprze,
To już zwycięstwo, przed bojem, najlepsze!

KASIA.

Jam to przeczuła, że się coś tam skrycie
W tę grę wplątało: na śmierć lub o życie!
I gdy to mówię — lśniące niebo widzę
Z nami w zaświatnej poślubione lidze.
Gdzie k'niemu biją naszej krwi fontanny,
Czyste jak słońca promyczek zaranny —
A z wrogów znowu spieniona kaskada
W straszne otchłanie, wyuzdana spada.
Nad nami modły i święte chorały,
Nad nimi zgrzyty i w klątwach świat cały!

WACŁAW.

Więc ty bądź z nami, srebrna gołębico!
Jest z was girlanda — na ofiarnem czole
Spisku naszego. Wasze skrzydła świecą,
Których blask oczy naszych wrogów kole,
Piecze, oślepia — i w szaleństwo goni
Do samobójczej — naszą krzywdą — toni!
Bądźcie wy z nami — znane w całym świecie —
Że więcej od nas w cierpieniu możecie!

KASIA.

Wdzięcznam do grobu ci, drogi Wacławie!
Żeś i mnie miejsce znalazł w świętej sprawie.
O! nie zawiodę ja twojej ufności,
Do której kresu znam drogę najprościej
I niechajże nas jedna przystań czeka —
A przestrzeń do niej — groźna, niedaleka! . . . ,

WACŁAW (*całując jej ręce.*)

Najmilsza moja, na świecie jedyna!
Wskazówka dziejów — od nas świt zaczyna . . .
Złączeni razem, będziemy na zawsze —
Przez najświetniejsze — i przez dni najkrwawsze!
(Odstępują nieco od siebie, zadumani.)

SCENA II.

Ciż, wchodzą Rebeciowa z Ryłowem niespostrzeżeni.

REBECIOWA (*wskazując na Wacława, półgłosem.*)

Tak, mąż mu dłużny jest kilka tysięcy:
Zakład przegrany —, nie byłby tu więcej . . .
Gdyby nie ta ość! (*do Kasi i Wacława docinkowo.*)
A! państwo we dwoje?...

KASIA (*z przyciskiem.*)

Nie! mamy z sobą i sumienia swoje . . .

RYŁOW.

Te zawsze z nami.

WACŁAW.

Przeciw nam najczęściej,
Gdy nie widzimy ponad sobą pięści . . .

RYŁOW.

To pewno także w gospodarstwie pana,
Któreś zostawił na łasce swej służby —
Z sumieniem — sprawa musi być łatana . . .

WACŁAW.

Mam dobrych ludzi — wierzę im.

RYŁOW.

A nużby
Czort ich pokusił . . . gdy pastuszek hula . . .
Ogonek zadrze . . . czasem i krasula !

WACŁAW.

O ! ja nie hulam, lecz staram się w banku
Tutejszym, dostać pożyczkę dość znaczną.

REBECIOWA.

I będzie połów ?

RYŁOW.

Teraz wątpię . . .

WACŁAW

Mam ku

Temu nadzieję.

KASIA (*docinkowo.*)

Jakaś spowiedź ? —

REBECIOWA (*do Ryłowa.*)

Patrzno,

Patrz naczelniku — panna jak żrenica . . .

Wszystko ją drażni, przeraża, zachwyca !

Nawet uliczne te polskie dziwadła

Swą troskliwością jak kwoczką przysiadła . . .

KASIA.

Ach, mamó, mamó! także o mnie słowa
I o tych ludziach, co z Bogiem rzecz czynią?

WACŁAW.

Ja myślę — serce inne czucia chowa . . .
Nienawiść — życia najgorszą mistrzynią.

RYŁOW *(d. s.)*

Widać, że z Kasią kochacie się żarko!
Tu pułk mój stoi — ja wezwan do niego . . .

REBECIOWA.

„Taką oddają, jaką mierzą miarką.“

RYŁOW *(d. s. grożąc Wacławowi.)*

Moi młodcy na pomoszcz mi zbiegą . . .

SCENA III.

Ciż, wchodzą: Rebec, Miniszewski, Dowgił,
potem Filip i Wańka.

REBECIOWA *(z życzliwością, do Miniszewskiego.)*

A! witam pana i winszuję przy tem:
Pyszny „Ruch polski“, świetne „Komunały!“
Prace te pańskie są czemś znakomitem!
Takich arcydzieł jeszcze nie wydały
Do dziś dnia wcale tępe polskie pióra,
Które mgła wznosi mistyczna, ponura!

KASIA *(do Wacława, półgłosem.)*

Ustąpmy trocha — bo przesłuchać trudno . . .
(Odchodzą nieco w głąb.)

MINISZEWSKI.

A zkażdże pewnoś, że to prace moje?
Wszak pseudonim tę historję nudną
Spisków, rebelij i tych błędów zdroje
Przed sąd powołał!

RYŁOW.

Wszyscy o tem wiedzą,
Że pan to piszesz — wypierać się darmo.

REBEĆ.

Nie skryjesz się pan już za cudzą miedzą . . .
Zanadtoś znaczny!

REBECIOWA.

Taką zdrową karmą
Uleczyć można chorowitych ludzi,
Mózg wzmocnić takóż!

REBEĆ.

Uwielbią was, prosto,
Gdy się fanatyzm troszeczkę ostudzi.

RYŁOW.

Pod zasłużoną i ojcowską chłostą!

DOWGIŁ.

Kto tam to pisał? . . . obojętne dla mnie —
To tylko widzę: że nędznie i kłamnie!
Cały ten paszkwil podobny do wrzodu,
Kazi historję i ducha narodu!

MINISZEWSKI (*z ukrytą obrażą.*)

Przeciwnie — prawda błyszczący tam na celu.

DOWGIŁ.

Nie wparłbyś tego nawet, Makiawelu!

REBECIOWA.

Wy fanatycy tylko tych cenicie,
Co wam przez całe, plotą bajki, życie —
Takoż pochlebstwa, takoż jakieś cuda :
Że byle przyśnić . . . to się wszystko uda . . .

DOWGIŁ.

Nie, z takich drwimy — a gardzimy znowu,
Gdy odszczepieńca mamy swego chowu —
Gdy w owczej skórze wilk do stadka wchodzi,
I skrycie, podle, krzywdzi nas jak złodziej!

RYŁOW.

Ja państwu mówię, jejbohu, otwarcie —
Że Miniszewski nasz . . . genialnie pisze —,
Jego się błędów tych polskich wyparcie,
Które uwielbiać dziś mogą urwisze,
A nie poważni ludzie i uczeni —
Całą historję waszą w skarb odmieni!
I odkąd pisma rozcz' odzą się jego
Gęściej po mieście — od tej chwili jawno
Spokój tu większy —, bo szaleństw się strzegą,
I w tę processję, nie wdają się sławną!
A nasi czując, że się ten bunt przetnie,
Obchodzą się już z wami tak szlachetnie!
(Słysząc strzały z ulicy.)

WAŃKA *(wpała.)*

Streliajut!

FILIP *(rozpaczliwie.)*

Dziki!! biorą lud na sztyki!

KASIA (*wskazując na Ryłowa.*)

To zaprzeczenie!! . . .

WACŁAW.

Jak proroctwo cenię! (*Wszyscy wybiegają.*)

SCENA IV.

W podziemiach. Wązki i długi stół, nakryty czarnem suknem — na stole krucyfiks i dwie polskie karabele, na krzyż złożone. Siedzą spiskowi różnego wieku. Starzec z długimi, białymi włosami jako przewodniczący.

PRZEWODNICZĄCY.

. . . Owo o zdrajcach teraz jeszcze powiem,
Co jako trądy w narodowym ciele,
A w duszy jego ciężą mu ołowiem!
I tych wyrodków na trzy zgraje dzieł:
Więc pierwsza z rzędu pod pręgierzem stawa —
To już otwarta i ta jawna zdrada,
Co pogwałciwszy przenajświętsze prawa,
Temu wraz do nóg haniebnie przypada,
Który ją droższym podarkiem zaszczyca —
I jest jakoby ludów nierządnicą!
— W też tropy za nią, lecz tchórzliwą nogą
Ślizga się skryte zdradziectwo cichaczem,
Którego ujrzyć ofiary nie mogą,
Choć z ciosów jego śmiertelnie zapłaczem
Nie wiemy, kto zacz? . . . Szpieg cicho zabija,
I ona zdrada — jest narodów żmija!!
— A trzecie zasię, okropniejsze pono —
To już oszczerstwo narodu własnego,
Co z ksiąg pomocą w zdrowe ludu łono
Sieje truciznę, jad zaszczenia w niego
I popod maską miłości Ojczyzny

Niezagojone zakaża nam blizny . . .
Wsącza jad w młode, czyste pokolenia,
I już w pąkowie toczy bujne kwiecie,
Na matkobójców zacne syny zmienia,
I rodzicielkę w tortur koło plecie,
Dla zysku swego, dostojeństw i pychy
Na ten trybunał piekielny się wciska,
Nędzny, poziomy, nieznany i cichy
Nagle wyrokiem — potwarzą swą błyska,
I w imię święte — szataństwo to sieje . . .
I wieczną hańbę wbija w nasze dzieje !
A jako chwasty podłe i nieczyste
Łacno się plemią — i syto im wszędy,
Tak ci się plęgną . . . potwarcy, zaiste !
I nieskalane bezecnią nam grzędy !
Zaprawdę, w duchu (nietylko w naturze)
Nic nie przepada — i słowo nie ginie !
Jak drobne ziarnko wyrzucone kurze,
W orłach się ozwie, lecz w swojej godzinie . . .
Słowo, to dusza — dziejów tego świata,
Które bohater — z m u s u — w czyny wplata !
I jest on tylko tych mędrców narzędzie,
Co to nam mówią, że i n a c z e j b ę d z i e . . .
— Ach tak, potwarze, wyślinione na Nią,
I nas i przyszłe pokolenia ranią —
I to jest zdrada, co nas z grobem kuma . . .
I działa na nas, straszliwie jak dżuma !!
(p. chw.) . . . Toż Miniszewski — gdy dowody mamy,
Że jest narodu swojego potwarzą ;
Że nas, przed carskie — piórem wiedzie bramy . . .
Własne go słowa naszą dłonią skarżą —
Zginie jak robak, co zdrowy rdzeń wierci . . .
Za zdradę oną dziś . . . winien jest śmierci !!

WSZYSCY.

Tak, winien, winien !

PRZEWODNICZĄCY.

Nie słuchał przestrogi —
Zbierze więc owoc swych czynów — złowrogi !

(Wszyscy wychodzą.)

SCENA V.

W podziemiach — piwiarnia — bilard. Rzemieślnicy siedzą przy kufiach piwa. Ryłow, po cywilnemu przebrany.

RYŁOW (*wchodzi, w progu d. s.*)

Tu się wywęszy . . . może trutnia złowi . . .
Bo to swobodnie w piwku językowi . . .

I. RZEMIEŚLNIK.

Stuknijmyże się ! wasze zdrowie, kumie !

II. RZEMIEŚLNIK.

Niech każdy czyni, jako tam rozumie . . .
Byle na skórze zapisał się wroga !

III. RZEMIEŚLNIK.

I znów wróciła do nas wolność droga !

WSZYSCY.

Wiwat !!

RYŁOW (*przystępuje do nich, z pełnym kufem.*)

A wiwat !

IV. RZEMIEŚLNIK.

A wasan zkaąd zasię ?
Pomiędzy nas tu, obcy nos swój wtyka !

RYŁOW.

Wszyscy my bracia w tak gorącym czasie !

V. RZEMIEŚLNIK.

A to nam zagrał! łebska polityka!

RYŁOW.

Obcy, by w polskiej nie rodził się ziemi —
Wszyscy my tutaj — jesteśmy swojemi!

WSZYSCY (*podnosząc kufle.*)

Wiwat facetus!

V. RZEMIEŚLNIK.

Takich nam dziś trzeba,
Jak powszedniego, do żywota, chleba
I jako dratwi, co za szydłem drapie
By uszyć buty . . . naszemu satrapie!

RYŁOW.

Ho! ho! satrapie? snąć brat jest uczony?

V. RZEMIEŚLNIK.

Ha! o tem wiedzą nawet głupie wrony,
Że kto nas trapi — ten zwie się: satrapą!

RYŁOW.

To gramatykarz!

V. RZEMIEŚLNIK.

Już mnie tam nie złapa
Na gramatyce! Człek ma słuchy gęsie,
Wie, jak się trawa, a jak siano trzęsie . . .
Co zaś raz o tem . . . lub tamtem . . . się skleci. . .
Bom przez pochwalstwa — siedział w klasie trzeciej.

RYŁOW

Widać to zaraz — żeś nie stał . . . mój bracie!
Lecz temu . . . temu . . . jak go nazywacie . . .
Kiedyż te buty już będą gotowe?

IV. RZEMIEŚLNIK.

A nad tem trzeba — coś nałamać głowę . . .
Bo to nie dudka sprzątnąć tam z uwroci . . .
Nad taką bestją człek się krwawo spoci!
Onać głęboko wryła się w tej ziemi,
I jak gad — nie wiesz — zkąd i gdzie się plemi?

RYŁOW.

Tak, tak — racyjka!

V. RZEMIEŚLNIK.

To jako te szczury
Na Saskiej kępie.

III. RZEMIEŚLNIK.

Choć tam gdzie niektórzy
Weźmie i po łbie — to setka w te pędy,
Zkądziś wyłazi, kozaczy powszędy . . .

V. RZEMIEŚLNIK.

Piołun i cukier, równo im się przyda,
Krakuska nasza i jarmułka żyda —
Wszystko połyka w strasznym hapetycie!
Bo szczur i Moskal, to jedno — widzicie!

RYŁOW.

A! brawo, brawo! to mu się udało!
Lecz kiedyś bracie, filozof już taki

V. RZEMIEŚLNIK (*przerywając, z furją.*)

Co? ja filozof?! jam jest duszą całą
Prawy katolik! (*przykładając pięść do nosa Ryłowa.*)

No! bo dam tabaki! . . .

RYŁOW.

Ależ przepraszam — obrazić nie chciałem . . .
Inne znaczenie ten wyraz ma u mnie.

V. RZEMIEŚLNIK.

U mnie: heretyk! a choć z ludzkim ciałem,
To przec za płotem on ginie, nie w trumnie

RYŁOW.

Więc przebacz bracie, mej niewiadomości.

V. RZEMIEŚLNIK (*podając mu rękę.*)

Tak, co innego — przebaczam waszmości!
Lecz czas, oświecić się już dotąd było,
By nie być taką ślepa, martwą bryłą!
Snać, na kazania — pan . . . chodzić nie raczy . . .
Gdy nie wie wcale, co filozof znaczy!

RYŁOW.

O! teraz kazań wysłucham uważniej,
Gdy taka myłka — bogobojuść drażni
Tymczasem wróćmy do ciekawszej rzeczy:
Jak się z tych szczurów-Moskali uleczy
Nasz naród polski? bo to nie są żarty,
Że Moskal siedzi, jak djabeł uparty!
Ni go wykurzyć, ni odżegnać można . . .
Trzaby się k'temu wziąć jakoś z ostrożna . . .

IV. RZEMIEŚLNIK.

Już czas na niego, snać, przychodzi tera —
Po syznatycku, z Bogiem on zadziera!

III. RZEMIEŚLNIK.

Jako heretyk, w processjach morduje —
Czego już nawet nie czynią i zbóje!

V. RZEMIEŚLNIK.

Toż cały naród — od księcia do dziada,
Cichaczem pięść swą na dzień zemsty składa! . . .

RYŁOW.

Żeby już wiedzieć — kiedy to nastąpi?

WSZYSCY.

To w Bożej mocy! ztamtąd przyjdą hasła . . .

RYŁOW.

Kiedyż?

WSZYSCY.

Nie wiemy.

RYŁOW.

Nie bądźcie tak skąpi . . .

Żywcie nadzieję — aby nie zagasła!

V. RZEMIEŚLNIK (z entuzjazmem.)

Więc lada chwila weźmiem się za bary!
Więc nauczymy, jak zwyczaj nasz stary;
Moresu, panie! więc i pobożności!
I drogę wskażem, którądy najprościej

Do Pietierburha i w Moskwę zajadła!
I jak za skórą, grzeje wrące sadło
Więc, bestjów wszystkich wpakujem jak śledzi
Do onej Moskwy — niechaj tam gad siedzi,
Zaszpunktowany, ni to w beczce jakiej . . .
I Kilińskiego znów pomną sobaki!
Więc lada chwila pocięgle zafurczą,
I jak na stryczek, tę zgrają jaszczurczą
Pochwycą migiem, wciągną na latarnie,
By jak psi jacy wyginęli marnie!
Więc mówię oto — mówię w srogiej złości:
Niech ich piekielne ogarną jasności!!

RYŁOW (*zapomniawszy się.*)

.Tejbohu! sławno!

WSZYSCY (*w osłupieniu.*)

To Moskal?! słyszycie!

RYŁOW (*zatrwożony, d. s.*)

Ażem otruchłał! . . . Po moskiewsku rzekłem

V. RZEMIEŚLNIK.

To szpieg! na nasze on tu dybie życie!

IV. RZEMIEŚLNIK.

On przeciąganiem raził słuch mój wściekłem!

V. RZEMIEŚLNIK (*chwytając za kij bilardowy.*)

Dalej go, bracia! nuże go w te cepy!

WSZYSCY (*okładając Ryłowa kijami.*)

Aby do zdechu — był głuchy i ślepy!

RYŁOW (*uciekając.*)

Zmińcie ze się! co chcecie odemnie?

V. RZEMIEŚLNIK (*po zniknięciu Ryłowa, biorąc się pod boki.*)

Ha! do pierona!!

WSZYSCY.

Zynkajmy tajemnie! (*Wybiegają.*)

SCENA VI.

W Saskim ogrodzie. Wacław i Kasia.

KASIA.

I kiedyż, kiedy — powstanie się zacznie?
Coraz się srożej Moskale znęcają —
Wszelakim prawom wciąż idą opacznie,
Nie hordą dziczy, lecz zwierzęcą zgrają
Szydzą, mordując jak dla widowiska,
Miast szponów — nożem, każdy w dłoni błyska!

WACŁAW.

Wodzowie spisku — choć wprowadzie nieznani,
Każą nam cierpieć — aż przyjdzie ta chwila . . .
Niech dzieło swoje wypełnią szatani,
Na które piekło ludzkie się wysila!
I któż dziś powie, że nie wierzy w czarta . . .
Gdy w piersi ludzkiej otchłań mu otwarta?!
Nie trzeba bać się go już za plecyma . . .
Gdy przed oczami za krtań naszą trzyma —
I cóżby robić miał on po za światem?
On się tu wchłania . . . i zakończy na tem!
To już nie bajka — lecz objaw zmysłowy —
Że ogon z żądłem ma śmierć dla swej głowy . . .

KASIA.

Ach tak, zaprawdę! lecz nim to się ziści
Kiedyż godzina wybuchu zadzwoni?
Dziś — lud aż kipi! do czynu ogniści
Rzuciliby się do bezdennej toni.

WACŁAW.

A właśnie o to najbardziej nam chodzi,
By nie marnować sił dzielnych na próżno!
Jak nasz francuzki ruszy się dobrodziej,
W mig mu tam nasi pierwsze snopy urzną . . .
I pójdzie dalej — to żniwo ochoczo,
Bo sami żeńcy — napitku utoczą

SCENA VII.

Ciż, zbliżają się Rebeciowie i Dowgił.

REBECIOWA (*z listem w ręku, rozpaczliwie.*)

Takoż na Litwie te same warjacje!
Wpierw bym się nawet spodziewała śmierci!
Dziś we dwa ognie jakąż radę dacie?
Bo już się, prosto, rozpadam na ćwierci!

DOWGIŁ.

O! jest jedyna i przemądra rada:
Być Polką w duszy, jako się jest z ciała —
Bo w nawróceniu . . . wraz rozpacz upada,
I ni to zorza — błogo przyszłość pała!

REBECIOWA (*z furją.*)

Ach! czyś oszalał, wasan, z tem paplaniem?!
Co ci się w głowie tej narwanej kręci?
Zanim cesarscy my, wami się staniam,
To wpierw w szatanów przerzucą się święci!

KASIA.

Mamo! bluźnierstwo! to okropne słowa!

REBECIOWA (*walcząc z sobą.*)

Niech panna koncept ten dla niańki schowa.

REBEC.

Nie drażnij mamy — to niegrzecznie, prosto.

KASIA.

Więc martwo milczeć, gdy nas sieką chłostą?

WACŁAW (*n. s. do Kasi.*)

Najdroższa! nie mów — to ogień podsycy.

DOWGIŁ (*d. s.*)

Oby jej kędy . . . straszna błyskawica

Nie rozjaśniła — gdzie takim . . . mogła.

SCENA VIII.

Ciż, nadchodzi Ryłow z twarzą podwiązaną, ubrany po wojskowemu.

REBECIOWA.

Witamy — cóż znów, twarz pokaleczona?

REBEC (*nieśmiało.*)

Zaszło zdarzenie? . . .

DOWGIŁ (*n. s.*)

Aż drżą o patrona

(*Wacław i Kasia szepcą z sobą, śmiejąc się skrycie.*)

RYŁOW.

Strogi przypadek spotkał n nie w koniuszni,
Gdy ciał ja płazem tych, co nieposłuszni,
I nieostrożno zaplątał się w konie —
A wtem, podkowa w mojem licu tonie . . .
Bolesno rani — i czut' nie zabija . . .
Bo szram pod okiem, i skręcona szyja!

REBECIOWA *(z współczuciem.)*

Takoż fechtunek! któż się tak naraża?

RYŁOW.

Kto „szczegół“ szlachcic, ten w nagłym rozpędzie
Na żaden rozmysł się tam nie zdobędzie . . .
Tylko mieszcuchów, kanalji z rzemiosła,
Trwoga nad wszystkie czyny ich przeniosła.
Oni się burzą, nadstawiają rogi,
A jeden wystrzał w nich, gromki i srogi —
Jak stado wróbli, po słomianej strzesie,
W każdą szparewkę, piorunem rozniesie.

WACŁAW.

To może w Rosyi . . . lecz nasi mieszczenie
Dzielni! do boju każdy ze lwem stanie.

RYŁOW.

To fałsz, nieprawda!

DOWGŁ.

Tak historja przecie

Uczy nas wszystkich —, i panowie wiecie,
Jak oni mężnie tej Warszawy strzegą,
Od owych czasów szewca Kilińskiego!

RYŁOW (*wskazując na Dowgiła.*)

Pierwoj buntowszczyk! (*d. s.*) Wot prawda w istynie —
Od nich, w mej głowie szumi jak we młynie . . .
Lico mi zsiekli — zbójniki i wściekli!
(*głośno*) No, jab ich wszystkich wywieszał do nogi,
A wnet by pokój zacarstwował błogi.
Oni tu krzyczą, hałasują w mieście,
I wszystkie bunty prowadzą, swałocze!
Wszakże świadkami tu, państwo, jesteście —
Że drą się z wojskiem, plemienniki smocze!
Oni to, oni biorą bunt na siebie —
Co całą Polskę gruzami zagrzebie! . . .

KASIA.

Wszyscy się modlą — więc i oni zgodnie —
A któż w modlitwach kiedy widział zbrodnie?

RYŁOW.

Takie modlitwy, w których cara ganim?!

WACŁAW.

Niech car tak czyni . . . żeby były za nim! . . .

REBECIOWA (*przerzywając.*)

No, dajcie pokój, z polityką swoją,
Z tego się osy, nie pszczoły wyroją . . .
Takoz bolesne z ukaszenia skutki,
Bo ból za długi . . . choć poswarek krótki . . .

SCENA IX.

Ciż, biegnie z za Żelaznej bramy Wańka,
niosąc koszyk.

RYŁOW (*wołając.*)

Wańka!

WAŃKA (*salutując.*)

Słuszajus!

RYŁOW.

Pakupił czto trzeba?

WAŃKA (*salutuje.*)

Nikaks — niet!

RYŁOW.

Czemu?

WAŃKA.

Ni mięsa, ni chleba . . .

Niczewo sprzedać przekupki nie chciały.

RYŁOW (*grożąc mu.*)

Wot, pijanica! Podrę cię w kawały!

Mów, co się stało?

WAŃKA (*wyprostowany jak słup.*)

Był tudy i siudy . . .

Wszystko ja obszedł — dawał bolsze deŃgi,

I groził strogo! no, a prosił wprzódy . . .

Apiat' i kułak dokładał im tęgi!

Wsio to naprasno . . . anie gawarili —

Czto mnie kupować — na nic się nie zdało:

Bo jak mi trzeba, to skradnę w tej chwili,

I będę żyrnyj, aż pokapie sało . . .

Wrzasły: „my dobrym sprzedajemo tolko,

A nie złodziejom, co są w boku kolką!

Idźże i kradnij razem z twoim panem,

Jeśli czto jeszcze nie jest zrabowanem!

Ty, garit, taki . . . ty, garit, owaki . . .

Ty, to pożywaj, czto nie chcał sobaki!

Pies, garit, u nas, to uczciwsze zwierzę,
Bo moskiewskiego samo ci nie bierze —
A ty hultaju, łotrze, powsinogo!
Niedość, że kradniesz, jeszcze męczysz srogo!
I nuż, zgniłemi ogórkami we mnie!
Aż świat potiemniał! bronić się daremnie...
Tak ja wdochnuwszy — bolesno, głęboko,
Uszoł pred złobną, tych przekupek, tłoką!
(*Wszyscy, kryjąc śmiech, odchodzą.*)

RYŁOW (*gwaltownie.*)

No, cztoż zdieś diełat? durne wszystkie środki...
Gdy i przekupki tutaj patryotki!
Wsio, zdieś, do kunia... kipi na Moskala!
Tfu! skandał bolszj! krew mi się zapala...
(*Szybko oddała się — za nim Wańka idzie, kołysząc się z nogi na nogę, chodem typowo właściwym dieńszczykom moskiewskim.*)

SCENA X.

(W mieszkaniu Miniszewskiego.)

MINISZEWSKI (*sam, patrząc w list, potem zecer.*)

Spiskowcy! rysie! Ot, śmiercią mi grożą,
Jak nie przestanę s p o t w a r z a ć narodu...
Mam ja na wilki psy z ostrą obrozą,
Do tej strażówki wkładane za młodu...
Tajna policja — opiekun dobrodziej,
Czuwa — dniem, nocą — kto do mnie tu wchodzi...
I ja wiem dobrze, gdzie spisku wadera...
Na bakchanalje swych czcicieli zbiera!
(*Otwiera szufladkę i wydobywa ruble srebrne, układając je ruljonami na biurku.*)
— To grunt, fundament! wszechmocne rubelki!
Za tę piekącą potwarz... te owoce.
Ich dźwięk ideał, honor, pietyzm wszelki,
Jak grzmot armatni, w perzynę gruchoce!

One nas tylko od zwierzęcia różnią,
Darząc nas wolną, niespętaną wolą,
I syca życie przed grobową próżnią,
Tak, że przeczucia śmierci nie zabolą . . .
Nawpół przytomny człowiek, pod ich czarem,
Czci tylko młodość — poniewiera starem . . .
A żyjąc z uciech czarodziejskich . . . na dnię . . .
Sam nie wie, kiedy w wstrętą nicość wpadnie ?
To — mądrym tylko obciąża kieszenie,
A głupcom — pono — jakieś tam sumienie ? . . .
Zresztą, ja nie wiem — gdzie ten upiór mieszka ?
Ten, idjotycznych . . . natrętny koleżka !
. . . . Niech mi go braknie . . . jakby jednej klepki . . .
Im mniej złożonym, tem bardziej jam krzepki !
Wszystkie te bowiem akcesorja święte,
W ślad odkrywają Achillea piętę,
W która, choćby go zasłaniały trony,
Śmiertelnie musi być kiedyś raniony . . .
Nagość, to pancerz ! sam instynkt ją chroni
Od najchytrzejszej mistycyzmu broni —
Tak, nagość ducha, co jest właśnie niczem,
Jako nie żadnym, nie da się ciąć, biczem !
A patryotyzm ? to już bzik ! nic więcej . . .
Co wziął w tortury tysiące tysięcy ! *(słychać pukanie
[do drzwi].)*
Kto tam ?

ODPOWIEDŹ.

Ja, zecer.

(Miniszewski otwiera mu.)

MINISZEWSKI.

Spóźniłeś się nieco.

ZECER.

Przy ciężkiej pracy chwile szybko lecą —
Bieda je pędzi, bez litości smaga,
A na nich siedzą : zysk, pycha i blaga,
I jadą sobie jak harde królowe,
Przez łzy nieszczęsnych . . . po tryumfy nowe !

MINISZEWSKI.

Coś wasam widzę — trąci pesymistą . .
Ot, rób jako ja — a będzie dobrze ci.
Fantazją błysniesz, jakby wieszcz, ognistą,
Gdy promień złota nawskrós ją obleci . . .
Tylko rób zawsze to, co grosz napędza,
A zrejteruje i najświętsza nędza! . . .
Nie baw się w żadne dudki na kościele . . .
Bo to lada wiatr, w swoją stronę miele.
Sam sobie wystaw świątynię rozkoszy,
I niech cię przed nią — żaden cud nie spłoszy . . .
Żadne zjawiska głupich cnót, zapałów!
Dla niej z kanikuł tych mamony nałów,
I żyj w niej sobie, jak jakie bożyszcze,
Zanim śmierć na cię: „do nogi!“ zaświszcze . . .

ZECER.

Wolę mą nędzę, niż żywot plugawy!

MINISZEWSKI.

Żywot plugawy? czyś pijany, łotrze?!

ZECER.

Łzami mej matki, co tam mrze bez strawy,
A nikt jej łez tych, oprócz mnie, nie otrze . . .
A tu zarobić pod dostatek, trudno —
Bo jak pan mówisz, tylko pracę brudną
Cenią i hojnie za takową płacą . . .
Więc nie ma chleba, leków kupić za co!

MINISZEWSKI.

To czyń jako ja — uparte ladaco!
(drwiąco) Mnie śmiercią grozi . . . trybunał wysoki! . . .

ZECER (*uderzając w niego sztyletem.*)

Jan jest spiskowy! wypełniam wyroki!!
(*Wylbiega, zabierając przymiesioną korektę.*)

Obraz III.

SCENA I,

U Rebeciów — Kasia, Wacław.

WACŁAW.

Ot! widzisz, droga! rozkaz otrzymałem,
I to z policji: abym w jednej dobie
Z Warszawy ruszył z mojem mieniem całym...
Choć nie wiem, z jakim? Lecz tego nie zrobię —
I kryć się będę — byle z tobą razem
Żyć, albo spocząć — pod milczenia głazem.

KASIA.

I któż nam krzywdę nagle zrządził taką?

WACŁAW.

A Ryłow ptaszek! Zabrałem dowody —,
W dodatku ma być to uczuć oznaką
Dla ciebie Kasiu! (*szyderczo*) Ten piękny i młody...
Szlachetną bronią jako rywal walczy!

KASIA (*z krańcową wzdrgawką.*)

Obmierzły szatan! duch wstrętny, padalczy!
Cień jego pali mą stopę i płami...
Chce być przepaścią... on?! pomiędzy nami —
Bo nie wie — że serc skowanie duchowe

Cały świat ziemski przerasta o głowę,
I nie rozrywać tych słubów nie w sile,
Skoro się zamknąć nie dadzą w mogile . . .

WACŁAW (*biorąc się za rękę.*)

O tak! najdroższa! gołąbko przeczysta!
Szatan-niszczyciel z tego nie korzysta.
Nic tej miłości pochłonać nie zdoła,
Jak nic nie zgasi nam gwiazdy u czoła,
Chociaż to czoło w prochy się rozsypie,
I akt ostatni rozegra na stypie . . .
O! mój ty skarbie! ty moja jedyna!
Z tobą w nieszczęściu szczęście się zaczyna,
Którego tęcza tak mi w duszy tonie,
Jakbym na Stwórcy odpoczywał łonie.

KASIA.

O! mój Wacławku — czemuż w tobie widzę
I czuję — kocham, ubóstwiam szalenie
Wszystko, ach wszystko, co z Ojczyzną w lidze . . .
I dzień dzisiejszy — i przeszłości cienie!
I świat ten cały . . . i gwiazdziste szlaki
Z ciebie mi błyszczą w promienności takiej!

WACŁAW (*obejmując ją.*)

Czemu mi dźwięczysz nadludzkimi słowy?
Czym godzien słyszeć czarodziejskie pieśni?
Ja, com ci służyć wieczyście gotowy . . .
A gdy wzbroniono . . ., coraz to boleśniej
Czuję tę niemoc, łańcuchy niewoli,
Które w pełzanie grają lot sokoli

KASIA.

Jak kwiaty ścielesz twe słowa przedemną,
By mi po cierniach było biedz przyjemno,
A z woni słów twych — zakażona sfera
Nagle się w rajskie ogrody otwiera . . .

Lecz rozkoszować w nich, nie wolno długo,
Bom ci jest wierną tej Ojczyzny sługą,
Na którą teraz zwróćmy serca nasze,
Ha! bo w jej szrcu tkwią zbirów pałasze!

WACŁAW.

Twe słowa, jak dzwon, jęknęły, w pożarze . . .
Więc i mej myśli, teraz tam biedz każę!

SCENA II.

Ciż, wchodzi Dowgił.

KASIA.

I cóż kuzynku? ludek boży śpieszy
Na nabożeństwo — za duszę Kościuszki?

DOWGIŁ.

W ulicach potop, z żywej płynie rzeszy —
A echo śpiewów — do Moskwy — matuszki
Zaniesie Eol, poddany pieśniarzy,
I czem najlepszem despotę udarzy.

WACŁAW.

A więc pójdziemy.

KASIA.

I ja także z wami.

DOWGIŁ.

Lecz z matką kłopot . . . ona nie pozwoli.

KASIA.

Wszak o tej porze wychodzę czasami
Na spacer z tobą —, więc niby w tej roli

Zbierać się będę — a odegram inną
Według sumienia — tak jak być powinno!

WACŁAW.

No, to wraz idźmy — posłuszni tej sile,
Co bierze ciągle a nie pyta, ile? (*Wychodzą.*)

SCENA III.

Przed kościołem Ś-go Jana. Tłumy ludu.

I. MĘŻCZYZNA.

Gdyby Kościuszko dziś dźwignął się z grobu
I spojrział w oczy wskrós . . . temu carowi,
Z niebios by prawda sfrunęła dla obu:
Że łotr nie zmaże, co Bóg postanowi!
Co wódz rozpoczął jak archanioł Michał,
To lud w dal . . . powiódł, choć car z drogi spychał . . .

II. MĘŻCZYZNA.

I o swe prawa co chwila wołamy,
Choć je zawarły tak piekielne bramy! . . .

I. KOBIETA.

O! kiedy Bogu zdajemy swe sprawy,
To szczerźnie rychło oprawca nasz krwawy!

III. MĘŻCZYZNA.

Nie wytrzymamy jednakże tak długo
Bo krew z nas płynie, nie kroplą, lecz strugą.

IV. MĘŻCZYZNA.

I ciężko zajrzeć, gdzie się wróg przygasi?
Bo tem wścieklejszy, im cierpliwszy nasi!

II. KOBIETA.

Przecież od wieków modłów nie wzbraniali;
I nikt się o to nie pytał Moskali.

V. MĘŻCZYZNA.

Ani żadnego mocarza na świecie,
Co na swe ludy ze źmij batóg plecie!

III. KOBIETA.

Mówią, że taki był tam kiedyś w Rzymie . . .
A jest mu Nero, jako psu, na imię —
Lecz za swe zbrodnie zginął on tam marnie,
I już nie tępił tę Bożą owczarnię.

VI. MĘŻCZYZNA.

A i ten zginie — za świętyń pohaną,
Za nasze dziatki, w strzępy rozszarpane!

VII. MĘŻCZYZNA.

A któryżto z nich zginął śmiercią własną?!
Wszyscy z morderców tylko dłoni gasną —
I to przez swoich rabów akuratnie,
Každy uchwycon w te śmiertelne matrice . . .
Aby świat wiedział po takiej pieczęci,
Że pod nim, obcych — nie ścierpią i święci!

IV. KOBIETA.

On jako żarna wszystko równo miele,
Cudze czy swoje — nie dba o to wiele . . .
Bo jest do tego . . . i z tem się już rodzi . . .
A im stał więcej, tem, zda się mu słodziej.
Bo wiecie — djabeł wartołbem obraca,
I to djabelska, nie ludzka jest praca . . .
Gdzieby zaś człowiek sam na się darł łyka,
Przecież strach śmierci każdego przenika!

VIII. MĘŻCZYZNA.

Znajdzie się taki: warjatem go zowią!
Światła nie znosi . . . ma naturę sowią —
W nocy, gdy wolny stryczek na się splata,
A już nad rankiem wisi i bez kata
Bo jego ręka jak niewolnik cara,
Szalony żywot zdusić się postara.

V. KOBIEȚA.

Ha! toby jeden! a wszyscy zkądże by?

IX. MĘŻCZYZNA.

Bo ci z warjatów, z przyrodnej potrzeby,
Takiutkie same rodzą się potomki:
Z durnego — głupi, a z krzykacza — gromki!
W dzieciach — rodziców kuraż się zapala,
Wierzcie mi — bom jest felczer ze szpitala!

VI. KOBIEȚA.

A to ci dobrze w tych szpitalach uczą —
Choć tam naturę wszyscy macie kruczą . . .

FELCZER (*szyderczo.*)

Dla takich jak wy! . . . a przecież nie wiecie,
Że tylko szpital jest na całym świecie!

X. MĘŻCZYZNA.

Och! prawda, w Moskwie poszaleli chyba!

FELCZER.

Wszakże „ode łba cuchnie zawsze ryba“. . . .

(*słychać bębny.*)

VII. KOBIEȚA.

Oj! wojsko idzie — będzie coś dobrego
Niechże nas Pańscy aniołowie strzegą!

SCENA IV.

Wojsko maszeruje od Zamku pod dowództwem pułkownika. Ryłow z dobytą szablą, na skrzydle pierwszych szeregów postępuje. Widać dochodzących do ludu: Kasię, Wacława i Dowgiła.

WACŁAW (*do Kasi.*)

Najsłodsza! zbladłaś . . . czy cię trwoga bierze?

KASIA.

O! nie, bynajmniej — tylko serce bije
Tak jakoś silnie; żałośnie i szczerze,
Jakbym pod topór położyła szyję,
I już przed Bogiem było serca bicie
Więc nic w niem milczeć nie może już skrycie

WACŁAW.

Zwykłe wrażenie —, żołnierz go doznaje,
Gdy ma przed sobą nieprzyjaciół zgraje!

KASIA (*biorąc się za serce.*)

Tak jako ptaszę wrywa się z klatki . . .
Ach! czemuż nie ma tu ojca i matki?!

DOWGIŁ.

Czegóż chcesz znowu? przecież być nie mogą,
Bo inną od nas wcale idą drogą.

KASIA.

Niestety! prawda — ach! jak to okropne!
Kiedyż ja, kiedy . . . celu swego dopnę?
Choć w to tak wierzę — w święte nawrócenie,
Że jak dogmatu, za nic już nie zmienię!

WACŁAW (*wskazując na wojsko.*)

Ot, patrz Kasiuniu, lepiej w tych szakali:
Jak im krwiożerczość w źrenicach się pali!
Ryłow na skrzydle — wije się i kurczy,
Jak nadeptany by ogon jaszczurczy!

DOWGIŁ.

Dałbym ja, dałbym — ó! i bardzo wiele,
Żebym miał w rękę teraz karabełę!
Poszedłbym w plaśy z Ryłowem najgładziej! . . .
Ona bo w tańcu zgoła nie zawadzi —
Dodaje ducha i fantazję wskrzesza,
Zwłaszcza, gdy na to patrzy mnoga rzesza . . .

KASIA.

Modlitwa — bronią na dzisiaj jest naszą —
Bagnetem — niechaj sobie równych straszą!

WACŁAW (*z radością.*)

Ma bohaterko! Dziewico z Dom-Reni!
Duchaś mi wlała słowami twojemi.
I ona zrazu za broń wzięła modły,
Które ją potem do boju zawiodły.

SCENA V.

Wojsko podchodzi tuż do nich. Ciż, Ryłow.

DOWÓDCA (*do wszystkich.*)

Nu, razajditieś! (*Łud milcząco skupia się pod przepętnym kościołem, z którego słychać pieśń: „Boże, coś Polskę!” Dowódca oddala się na drugie skrzydło szeregow.*)

RYŁOW *(do Kasi.)*

Panią tu widzę? to dziwne spotkanie!
A gdzież jest mama?

KASIA.

Niech się pan nie dziwi,
Bo wiele rzeczy podobno się stanie,
Których nie pojmiem, pokąd będziem żywi . . .

RYŁOW.

Bardzo to mądre . . . ale gdzież jest mama?

KASIA.

Raportów panu zdawać tu nie będę.

RYŁOW.

Wcale niegrzecznie! Mimo to ja sądzę,
Że bez jej wiedzy w taką popaść nędzę,
To nie popłaca . . .

KASIA.

Bo nie o pieniądze
Tutaj nam chodzi — lecz o coś droższego

RYŁOW.

Ach! takich skarbów, to szatani strzegą!

KASIA.

Z modlitwą szatan nie ma nic wspólnego!

RYŁOW.

Cóż za modlitwa! ? przed matką ukradkiem? . . .

KASIA.

Tak, modłów szczerych tylko Bóg jest świadkiem,
Na to pozwoleństw rodziców nie trzeba.

DOWGIŁ (*docinkowo.*)

I bez paszportów puszczą je do nieba

RYŁOW (*do Wacława.*)

Pan, co tu robi! wszakżeż w jednej dobie,
Według rozkazu — miałeś precz pójść sobie!

WACŁAW.

W tej chwili doba nie minęła jeszcze.
Obrałem drogę, w mą podróż, przez kościół . . .

RYŁOW (*grożąc mu paluszem.*)

Astrożno bratku! bo cię tem . . . popieszczę! . . .
(*wskazując na Kasię*) Oztob ja ten węzeł . . . raz, dwa,
[tri, nie rozciął! . . .

WACŁAW.

Takie to dzieła, nie od bohatera,
Lecz po jaskiniach i borach się zbiera . . .

RYŁOW.

Milcz! ty proklatyj! bo za słowo ono
Winien popłynąć ty strugą czerwoną!

WACŁAW.

Piękniej na własnej . . . w ostatniej godzinie,
Niż gdy się cudzą na tamten świat płynie . . .
Własna ozdobi, koronę wyjedna,
Obca potępi . . . prąc w otchłań bezedna . . .

RYŁOW.

A z kąd wiesz o tem? wychowanku kleszy!
To durny Polak tylko się tem cieszy . . .
Z nas wsiakij, wsiегда — to zdziałać się stara,
Co jest najmilsze dla naszego cara!
Już on tam z Bogiem węzły porozplata . . .
I wolność zyska dla naszego brata!

WACŁAW.

To jest herezja!

RYŁOW (*grożąc szablą.*)

Milcz!

WACŁAW.

Jam jest bez broni!

KASIA.

Bezbronność nasza, jak tarcza nas chroni.

DOWGIŁ.

To ma być dowód w tem pańskiej przyjaźni?

RYŁOW (*gwałtownie, wskazując na Wacława.*)

Bo ten buntowszczyk do szpiku mnie drażni!
Idź precz mi z oczu!

WACŁAW.

I kroku nie ruszę!

RYŁOW (*zamierzając się pałaszem.*)

Bo rozewiertuję! klnę się na mą duszę!

SCENA VI.

Ciż, wpada Filip i staje po żołniersku przy
Wacławie.

DOWÓDCA *(przybiega znów.)*

Nu! razejdities! *(tłumy cisną się pod kościół.)*

Ha! wpierod na sztyki!!

(Wojsko rzuca się z bagnietami na lud.)

RYŁOW *(chce ciąć pałaszem Wacława.)*

A wy gadziny! czorne miatieźniki!

FILIP *(zastaniając Wacława.)*

Po moim trupie! *(Pada, przebity przez Ryłowa.)*

RYŁOW *(do Wacława.)*

Ha! kryjesz się tchórze!

WACŁAW *(wskazując na Kasię.)*

Kryję anioła!

RYŁOW *(tnąc ga szablą.)*

Za to czort cię woła! *(Wacław pada.)*

KASIA.

Morderco!

DOWGIŁ.

Zbójco!

RYŁOW *(podnosząc pałasz.)*

Nu! bo cios powturzu! . . .

KASIA.

Brudny! przeklęty! podlejszy od zwierza!
(*wskazując na zwłoki Wacława.*)
Kochałam tego i kocham na wieki!
Grom w jego serce, i we mnie uderza!
Tobą się brzydzę! człowiekaś daleki! . . .
Poszukaj pary w jaskini tygrysa . . .
Na twojej piersi niechaj bestja zwisa!

RYŁOW (*chcąc ją szablą ciąć.*)

Giń! i ty, żmijo!

DOWGIŁ (*zastaniając Kasię.*)

Co robisz szaleńcze?!

RYŁOW (*przebijając go.*)

Psy krew twą spiją! (*uderzając Kasię szablą.*)
Tobą dzieło wieńczę!

KASIA (*konając.*)

O Polsko! przyjmij . . . te kwiaty młodzieńcze . . .

SCENA VII.

Ciż, biegną Rebeciowie, widząc, jak Ryłow zabija Kasię i upadają oboje na jej zwłoki.

REBECIOWA (*zrywa się od zwłok z rozpaczą do Ryłowa.*)

Czarny zbrodniarzu! wydarłeś mi dziecko!
Kwiat duszy mojej — owoc mego ciała,
Wchłonałeś jak smok w swą paszczę zbójceją,
W której jak w piekle żar morderczy pała!

.

Toż w tych ołtarzach . . . wzięłeś ty z nią śluby?
Ha! tak wieczyste! . . . bo cię nic z ofiarą
Twą nie rozprzeże! Ty zięciu nasz luby!
Te niebaś rozwarł . . . przed matką jej starą?!

Siłą przeczucia tak lgnęła do ciebie . . .
Jak trwożna łania w obręczach gadziny —
Co swą najniłszą . . . w swych uściskach grzebie,
Waż — namiętności . . . aż drżący i siny!

Jam ciemną była, bez czucia i głuchą!
Dziś wszystkie zmysły i duch wstał we mnie —
Biję się w piersi, potępiam ze skruchą!
Bo wasze czary . . . już pierzchły daremnie!

Na trupie dziecka . . . a wiesz, kto ja jestem?!
Wiesz, co mogiła ta dziś dla nas niesie?
Co z tego ducha mknie skrzydeł szelestem,
Wierne, jak echo rozstrzaskane w lesie . . .
Oto — jam Polka! w jedno mgnienie oka!
Polka! przez piorun, z waszej dłoni podłej!
Krzywda Ojczyzny bez granic głęboka,
Z moją — w nawróceń świątynie przywiodły!
Zmarłych pokoleń matki udręczone!! . . .
Ich łzy w mem sercu i rozpaczy harpje!
Z ich głów, męczeńską chwyciłam koronę . . .
I nóż tu wbiłam! nóż co pierś tak szarpie!
Truczny carskich łask pod stopą gniotę!
Brzydzę się jadem . . . co syczał w mem łonie . . .
Na wasze cielce dziś plwam, szczerozłote!
Bo każdy we krwi świętej, jak ta — tonie! (*wskazując
[na Kasie.]*)

REBEĆ (*zrywa się w szaleństwie, do Ryłowa.*)

Niech ci te oczy, całując, wypiję!
Jak struną kręcąc, wyciągnę twą szyję!
Chodź tu, w me szpony! ja wracam już z piekła . . .
Gdzie mnie wgrażyła . . . twa prawica wściekła!

RYŁOW (*do żołnierzy, wskazując na Rebeciów.*)

Aresztował' ich! w cytadeliiu přímo!

REBEĆ.

Tą tryumfalną — car, w świat jeździ braną!
Ty, z carskiej psiarni, prosto jak sobaka,
Każdego gryziesz — kogo szczują raby! . . .
Słodką ci wtedy ofiara wszelaka:
Dziewica czysta i staruszek słaby!
Niemowląt jęki, z pod katowskiej ręki —,
To, w twoich orgjach — czarowne są dźwięki!
Oby cię kiedyś . . . dotknął palec Boży,
Choć tyle, co nas . . . nie bardziej, nie srożej!

REBECIOWA.

Obyś raz poczuł, co trup dziecka znaczy . . .
Przez takich, jak ty, rozciągnion siepaczy,
Kiedy w szaleństwie matka na to patrzy —
I cień ten wdycha . . . w siebie, coraz bladej . . .
A coraz straszniej palący jej serce!
Byście to czuli choć raz, ludożerce!!
O Polsko! przyjm mnie na powrót w twe progi,
Skorom ci dar już złożyła tak drogi!
(*Żołnierze ich otaczają i wprowadzają.*)

SCENA VIII.

Ryłow cofa się pod mur wieży kościelnej, wskazując na zabitych, szydłerczo.

Ha! teraz śpijcie razem kochankowie!
Ja wam ślub dałem — ślub na wieczność całą!
Waszej rozkoszy nikt nam nie wypowie . . .
Życzę wam z serca, by się dobrze spało!
— Mnąś pogardzała, ty jaszczurko gładka!
Zdeptała strogo, naplwała jak w śmiecie,
A za tym szaleńcem poszła twoja matka,
Którą, niech za to — łańcuch carski gniecie!

(p. chw.) — Wsiotaki Boh wasz — nic wam nie po-
[maga —

Modlitwy wasze, na wiatr tolko płyną . . .

Pod nasze knuty wasza skóra naga,

Jest nam, do palby wciąż tarczą jedyną!

(p. chw.) — Ha! sławnom zdiełał! tak czuję się w mocy,

Czto lew i tygrys za słaby i głupi . . .

My, s kornia ruskie, w naturze szerocy!

W nas się potęga, jak żar w słońcu skupi —

My nią podpalam, świat cały rozepierzem!

Dla nas na żertwu, wszystko, co najlepszem!

Wyście pogany! nie ma u was Boga —

Tak ja się kary jego, tut nie boję!

Żadna mi bajka mnisza nie jest sroga . . .

Bo ja przed okiem widzę prawdy swoje:

Czto wy szaleńcy i was tępić wolno —

A kto tak czyni, to mu się i szczęści!

Tego komary za to i nie kolną . . .

A waszych bogów — gdzie poszukać pięści?!

(Wojsko przesuważąc się ku niemu, zastawia go.)

Leżajsk, 1895.

Koniec.



M Y Ś L I.

Zwycięstwo moralne jest tryumfem — fizyczne brutalnością.

*

Zabić jest grzechem — bić jest podłością.

*

Nie byłoby niewiernych mężów, gdyby nie było podłych kobiet.

*

Widziałam nieraz kobiety, spieszące na zakazaną schadzke miłosną. Zakrywały twarz swoją, zmieniały ubranie, odwracały głowę od oczu ludzkich, a mimo to prawie zawsze bywały poznawane przez świadków niepowołanych. Na plecach, na szatach ich stał ognisty napis „hańba“ i ten je zdradzał każdemu.

*

Nie tylko pijacy i karciarze bywają złymi mężami, lecz każda w ogóle namiętność mężczyzny zgubną jest dla szczęścia małżeńskiego. Jeżeli mężczyzna nie ma żadnej namiętności, wówczas żona staje się jedyną namiętnością jego i kto wie, czy wówczas nie jest najlepiej.

*

Mężczyzna bez wyższej idei w życiu, bez zamiłowania w rzeczach poważnych, staje się drobiazgowym nudziarzem, zatruwającym każdą chwilę najbliższym swoim.

*

Słońce, dom, drzewo i postać człowieka
Małemi się zdają, widziane z daleka;
Lecz sława i wielkość, co w człeku się chwali,
Największe doprawdy, gdy patrzysz z oddali.

Janina z Antonowiczów Hrubowa.

Do * * *
(Kartki z albumu.)

I.

Częstokroć szczebiotka — obleśna jak kotka,
Przyjemna i luba i tkliwa ;
To skacze, to śpiewa — oczkami olśniewa,
Życzliwość płci silnej dobywa.

Lecz łudzą pozory — kto ufać jest skory,
Wnet dozna zawodu przykrego,
Gdyż zwykle flutka — ot! jak bałamutka,
Chce ścielić u stóp swych każdego.

„Ostrożnie panowie!“ toż stary szpak powie,
Gdy widzi, jak broi szczebiotka —

„Nie wierzyć niewieście — gdyż na wsi i w mieście
Kobieta jest wietrzna istotka!“

II.

Kocham te Pienin szczyty — kocham Szczawnic zdroje,
Gdzie Ty przebywasz, droga, anielska istoto!

Do której serce wzdycha, płyną myśli moje,
Pełne błogich nadziei, dręczone tęsknotą. —

Jam samotny . . . od Ciebie, droga, oddalony
Wciąż marzę tylko o Szczawnic ustroni.

Na orlich skrzydłach śpieszył, leciałbym w te strony —
Czemuż dziś los niewinnej rozkoszy mi broni? . . .

III.

Zazdrosczę słońku, które przez dzień cały
Ciekawie w Twoje zaziera źrenice

I księżycowi, co również zuchwały
Promieniem swoim Twoje muska lice. —

Zazdrosczę gwiazdce, co z niebios sklepienia
Mruga do Ciebie, swawolna i pusta,

I zefirkowi, co bez pozwolenia
Całuje Ciebie w Twe różane usta. —

Zazdroszczę muszce, która nieproszona
Twe wzniosłe czoło okraża dokoła,
I nocnym cieniom, które w swe ramiona
Rozmarzonego chwytają aniola

IV.

(Przy przestaniu zaręczynowego pierścienia.)

Duszo! Aniele drogi! ten szmaragd zielony,
Umiejętną ręką w złoty pierścień uchwycony,
To symbol mych nadziei, szczęścia i rozkoszy,
Których żadna moc ludzka nie zmieni, nie spłoszy,
Skoro Tyś owym mistrzem, którego koleje
Życia mego odkryły, bym wszystkie nadzieje
Szczęścia mego, rozkoszy, całą moją dołę
Złożył, oparł, utwierdził na złocistem kole
Przyszłego losu. — A owe koło złociste,
To rozumek potężny! więc pozwól aniele,
Niech symbol mego szczęścia u Twych stóp uściele,
Niech symbol mych nadziei w Twoją rączkę złożę,
Prosząc Pana nad Pany:

„Wszechpotężny Boże!
„Wpisz nam pogodną przyszłość w księgę przeznaczenia,
„Daj, by w pożyciu naszym najmniejszego cienia
„Smutku, troski nie było. Spraw w Twojej dobroci,
„Niech naszą drogę życia jasny promień złoci,
„Spraw, niech mnie Ona kocha tak wiernie, tak szczerze,
„Jak ja Ją szczerze kocham, jak w Jej miłość wierzę!“ . . .

Walenty Ćwik.



Niema ciebie, niema już,

(podług Szopena.)

Niema ciebie, niema już,
Najpiękniejsza z moich róż :
Popłynęłaś w inny świat
Jako nieba wonny kwiat.

I daremnie serce drży
Darmo cień twój ścigam w dal.
Wszędzie tylko łzy i łzy,
Wszędzie tylko żal i żal

Choć cię czuję w tchnieniu drzew,
Chociaż blask twój w kwiatach lśni,
Chociaż cudny ptaszak śpiew
Perły sypie w wiosny dni ;
Przez gorące widzę łzy,
Że ta wiosna to nie ty ;
Czuję, patrząc w tęskną dal,
Że ta piosnka, to mój żal.

Pieśń się w falach w świat rozplynie,
Motyl skrzydłem kwiat okryje,
Pieśń bez echa w świecie zginie,
Barwę kwiatu motyl spije ;
Lecz zostanie jedna skra
Śród tych zmiennych świata fal :
Tylko moja gorzka łza,
Tylko mój bezmierny żal.

Niema ciebie, niema już,
Najpiękniejsza z moich róż !
Motyl barwę z lic twych spił,
Wonia twoją słowik śnił.
W listki twoje strojny świt,
Zorze wzięły twoje sny,
I wypłynął się twój byt
W tęskne jutro, żal i łzy !

28. Kwietnia 1896.

Stanisław Tokarski.

Kwiaty i myśli.

Kwiat się ze snu zimy ocuci;
Myśl się ze snu grobu obudzi.
Kwiat w około promienie rzuci,
Myśl promieniem przeniknie ludzi.
Praca ludzka ziarnko w łupinie
Pielęgkuje nikłe i małe;
Praca ziarnko myśli rozwinie,
Aż rozbuja w kształty wspaniałe.
Kwiatek woń w około rozsiewa,
Gdy rozwija kielich i listek;
Myśl wspaniała kiedy dojrzewa,
Wonią swą zachwyca świat wszystkim.
Choć przymrozki, z ziemi wyziera
Kwiat pierwiosnek, rośnie i kwitnie;
Z przeciwnością myśl się uciera,
Lecz zwycięstwo odnosi szczytnie.
Zwiędnie wreszcie, zwiędnie po chwili
I utraci woń swoją kwiatek;
I duch ludzki raz się wysili,
I wyczerpnie się na ostatek.
Gdy jesienią barwy kwiat zmienia,
Wiatr w chór żałobny zawyje;
Chór żyjących rozpocznie pienia,
Kiedy trumna ciało przykryje.
Ale razem z wiosną nastanie
Nowe życie; kwiat się odrodzi,
A rzuciwszy grobu otchłanie,
Duch powstanie z ciemnic powodzi.

Sambor, 11. Maja 1871.

G. Kohn.

Ze wspomnień o

KRASZEWSKI M

(1880—1887)

W Dziesiątą Rocznicę Jego Zgonu,

przez

ALEKSANDRA BOLESŁAWA BRZOSTOWSKIEGO.

CZĘŚĆ I.

„Zniknąłeś jako ciało, a stanąłeś w pamięci naszej, jako duch z koroną promienną, współczesnych i potomnych wysoko przerastający. Z duszy Twojej wypłynęła szeroka rzeka natchnień, w której dotąd niezliczone rzesze odżyweży napój czernią. Pióro Twoje było laską Mojżeszową, którą zdroj ze skał wydobywałeś. Byłeś dębem rozłożystym
Byłeś niewyczerpaną kopalnią klejnotów drogiech. Byłeś górą, winnym krzewem obrosłą.“

Aleksander Świętochowski.

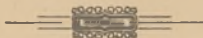
(Z Nekrologu J. I. Kraszewskiego w „Prawdzie,” Nr. 13 z 1887 r.)

I był ów człowiek — jak Lechia sze-
roka —

W sercach milionów zapisany żywo ;
I był on sercom tym — jako ogniwo,
I był on ziemi tej — źrenicą oka.

Bożydar.

(Z Wiersza: „Nad grobem J. I. Kraszewskiego.“)



W S T Ę P.

Niezbyt to zachęcająca rzecz dla autora, gdy z góry być musi przekonany, iż los oczekujący jego pracę — nie jest, zaiste, godny zazdrości . . .

A w położeniu tem właśnie znajduje się, niestety, i autor tych kartek.

Pospiesza on jednak dodać, że wszystko cokolwiek go spotka, przyjmie z najzupełniejszą rezygnacją i obojętnością . . . Żadne okrzyki oburzenia lub zgrozy, żadne choćby najzjadliwsze pociski, nie zdołają go ani sprowadzić z raz obranej drogi, ani odciągnąć od raz wytkniętego celu . . .

Prędzej zresztą lub później znajdą się *bezstronni*, którzy niezaprzeczą mu przynajmniej, że cześć jego i miłość dla największego z pracowników wszech narodów i czasów, musiała być istotnie i głęboka i szczerą, skoro odważył się nawet stanąć do walki z całą tą bezduszną zgrają, pozujących na Katonów, oskarżycieli i . . . potwarców nieodżałowanej pamięci tego obywatela i pisarza . . .

Egzagierowałby jednak autor, gdyby chciał utrzymywać, iż walkę tę podjął skwapliwie a bez wahania.

Przeciwnie.

Wyczekiwał on z nieudaną cierpliwością *przez całe tych długich lat dziesięć* (sic!), czy nie znajdzie się ktoś przecie *stokroć odeń godniejszy*, któryby uznał za stosowne wyręczyć go w nader ciężkim tym obowiązku. A ciężkim on jest zaprawdę, gdy autor nie czuje się powołanym do ciskania piorunów i gromów, nie mówimy już na całe zgola społeczeństwo, ale bodaj tylko na owe oddawna już próchniejące jego „filary“ i „szczyty“ . . .

Lecz . . . stało się.

Owóż, gdy w smutnej tej sprawie milczą dotąd inni, autor niniejszych „Wspomnień“, poczuwał się do obowiązku przerwania grobowej tej ciszy, nie bez zasady chyba mniemając, że jako były Bibliotekarz i domownik niegdyś Kraszewskiego, zdoła ukazać niejedno we właściwszem nieco świetle, niż czyniono to dotąd . . .

Wielki też czas był i na to, by znalazł się ktoś wreszcie, coby przypomniał społeczeństwu to tak haniebnie już przezeń zapomniane, a tak jeszcze niedawne jego bożyszcze; coby przywołał na pamięć te bezprzykładne dla literatury ojczystej zasługi i prace zgasłego olbrzyma, jak nie mniej, te również niemal bezprzykładne zawody i rozczarowania, jakich sądzonem mu było doświadczyć w ostatniej a najdramatyczniejszej zarazem epoce jego życia, której poświęciliśmy właśnie te „Wspomnienia.“

Nieomieszkamy też, w miarę nadarżającej się sposobności wypowiedzieć w nich tym i owym ostre a palące słowa prawdy, jakkolwiek *generalną rozprawę ze wszystkimi w ogóle i z każdym z osobna* — rezerwujemy sobie do *ostatniego* dopiero rozdziału.

Na tem zaś miejscu nie od rzeczy tylko będzie raz jeszcze położyć nacisk na to, iż niemamy nadziei skromną tą wiązką „Wspomnień“ — przypodobać się nikomu.

Udawaliśmy się z nią w swoim czasie do różnych tak zwanych „wielbicieli“ niegdyś Kraszewskiego lub głośnych jakoby z *niezależnych* swych przekonań wydawców i nakładców, a wszędzie — napróżno! *Zwykła to zresztą kolej każdej podobnej pracy . . .*

Jednych przerażała niby jej „objętość“ (!), drugich „niepokoiła“ jej „zawartość“; inni żądali wykreślenia „najdrażliwszych z niej ustępów;“ jeszcze inni dowiedziawszy się o jej treści — odżegnywali się od niej co rychlej, nieraczywszy jej nawet przejrzeć; a byli w końcu i tacy, którzy zwrócili ją autorowi, *nieodpiewczętowawszy* nawet rękopisu . . .

Obawiano się jej słowem — że musimy tu użyć dość trywialnego porównania — jakby cholery jakiej lub dżumy, i byłyby zapewne „Wspomnienia“ te dotąd tułały się gdzieś po świecie, gdyby . . . gdyby nie znalazł się wreszcie Wydawca — odważniejszy od innych . . .

DO CZCIGODNEGO
T. T. J E Ź A

(Zygmunta Miłkowskiego)

w Genewie.

Gdy jedni, bądź z braku cywilnej odwagi, bądź z innych egoistycznych pobudek, dotąd jeszcze milczą w sprawie tak oburzająco spotwarzonego Meża; gdy drudzy, nie szczędząc mu za życia szyderstwa i obelg, po zgonie jego dopiero, zdołali dlań znaleźć kilka gorętszych słów uznania — Ty jeden, Czcigodny Panie, choć mógłbyś mieć nawet zbyt słuszny żal do niego, umiałeś mu w poczuciu olbrzymich jego zasług, nietylko wspaniałomyślnie przebaczyć ludzkie usterki i błędy, ale nadto, gdy zgon jego pozostawił po sobie tak straszliwą próżnię w społeczeństwie, Ty jeden z równą jak przedtem odwagą i szlachetnością, umiałeś go bronić. Niechże więc wolno mi będzie ofiarować Ci, jako jednemu z najwierniejszych przyjaciół i świadków ostatnich chwil życia zgasłego Tytana, serdeczne te o nim „Wspomnienia,“ które racz przyjąć wraz z zapewnieniem

głębokiej mej czci i hołdu.

Autor.

T R E Ś Ć :

Wstęp. — Życie domowe Kraszewskiego w Dreźnie. — Lata jubileuszowe. — Aresztowanie. — Sąd. — Więzienie w Magdeburgu. — Pobyt w San-Remo i w Szwajcaryi. — Ostatnie chwile życia. — Zgon. — Pogrzeb. — Dysonanse.

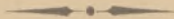
Ale nie łatwa to rzecz zaiste i przy tak skromnem nawet zadaniu, jak nasze, opowiedzieć koleje, choćby ostatnich tylko lat życia, najbardziej w swym czasie ukochanego przez naród męża — męża, o którym każdy najdrobniejszy nawet szczegół, bywał zwykle chwytany z taką skwapliwością; a każdy krok jego śledzony z tak niekłamanem zajęciem i współczuciem . . .

Tem cięższem przeto brzemieniem zadanie to spada na barki piszącego, gdy raz jeszcze zmuszony jest wyznać przed sobą, iż „Wspomnienia“ te — acz owiane głęboką czcią i miłością dla nieśmiertelnej pamięci ich bohatera — nie zdołają, niestety, zadowolnić nikogo

Ha! trudno!

Lwów, 19. Marca 1897 r.

*W dziesiątą rocznicę zgonu nieodżałowanej
pamięci J. I. Kraszewskiego.*



„Był czas, iż być w Dreźnie i Kraszewskiego nie odwiedzić, znaczyło dla nas to samo, co być w Rzymie i nie widzieć papięza Dziś inaczej dziś osamotniona willa na Nordstrasse jest tylko miejscem pamiątkowem, ku któremu nas nęci i pociąga jakieś dziwnie tęskne a rzewne uczucie.“

Czesław Jankowski.

I.

Echa jubileuszowe. — Wezwanie autora przez Jubilata do uporządkowania jego zbiorów. — Willa Kraszewskiego w Dreźnie przy Nordstrasse, Nr. 31. — Salon na parterze. — Gabinet dzieł Kraszewskiego. — Pokój jubileuszowy. — Wawrzyniec hr. Engeström. — Układanie darów. — Wzmianki o kilku piękniejszych. — „Muzeum Kraszewskiego“ w Poznaniu. — Pierwsze piętro willi w Dreźnie. — Pracownia Kraszewskiego. — Wrażenie na jej widok. — Biblioteka. — Olbrzymia korespondencya Kraszewskiego. — Nadzwyczajna jej ważność dla przyszłych jego biografów i historyków jego czasu. — Przypuszczalna liczba listów napisanych przez Kraszewskiego. — Odpowiedź na zarzut Estreichera. — Dalsze szczegóły o korespondencji. — Pretensye i wymagania niepowołanych pismaków. — Pobłażliwość Kraszewskiego. — Bliższe szczegóły o jego Bibliotece i jej układ. — Zbiór czasopism.

Gdy poczynamy rozpamiętywać te pełne tryumfu i . . . upokorzeń dzieje ostatnich lat życia Kraszewskiego — myśl nasza pomimowoli zwraca się najpierw ku nigdy niezapomnianym dniom jego jubileuszu . . .

I jeszcze zda się brzmia echa tych iście słonecznego blasku uroczystości krakowskich! I jeszcze zda się słyszemy pełne zapału i uwielbienia okrzyki tych nieprzejrzanych, nieobjętych okiem tłumów; i jeszcze zda się widzimy dostojną tę postać Jubilata, gdy oto-

I oto, w czem właśnie leży tajemnica spodziewanej przez nas niechęci, albo co najmniej . . . „pogardliwego milczenia“, z jakim powitana zostanie ta książka.

Ale są jeszcze niechybnie i inne powody, mogące obudzić tę niechęć. Autor niniejszych „Wspomnień“ należy do najszczerzych i bezwzględnych niemal wielbicieli Kraszewskiego, a tego już chyba dość, by jedni, jak np. *Stańczycy* — ze szczytu swej wielkości raczyli na nas tylko spojrzeć pogardliwie i ruszyć ramionami; by inni, jak *ultramontanie* lub *jezuici* w imię chrześcijańskiej miłości aż do dziesiątego wykleli nas pokolenia, i by inni nakoniec, jak np. *większość pozytywistów czy postępowców* — nazwali te „Wspomnienia“ oddawna już przebrzmiałym „fetyszyzmem“. a — „naiwnego“ ich autora, „zaco fanym“ co najmniej . . . „panegirystą.“

Lecz . . . woli on być bezpłatnym „chwalcą“ jednego z największych mężów świata, niż nikczemnym jego oskarżycielem i potwarcą! . . . Woli on uchylić czoła przed nim, niż ugiąć hardego karku przed wami. Jasnie Wielmożni, Wielmożni i Przewielebni, *a we własnem swem tylko mniemaniu* — nieskazitelni i wielcy!

Wie on, że i Kraszewski nie był wolen od pewnych ułomności i przywar („Rzuc kamień kto jesteś bez winy“). Ale wie on i to, że wielki ten mąż, pomimo swych wad i usterek, nie przestanie być nigdy jednym z najbardziej fenomenalnych zjawisk w ludzkości. Sprawiedliwsza potomość zapomni o egzystencji różnych współczesnych nam profesorów, redaktorów, biskupów i . . . akuszerów, ale jako żywo — nie zapomni o Kraszewskim! Bo moi wy wielcy a przesławni! Raczie-no tylko zważyć:

Aby ocenić gruntownie i wyczerpująco, całą zgoła działalność każdego z was z osobna — dość na to z pewnością *jednej* krytycznej powagi, równej wam miary. Ale gdzie jest ów wielki biograf i krytyk, któryby zdołał *prawdziwie wyczerpująco* ocenić olbrzymią a *wszechstronną* działalność Kraszewskiego? Podejmowało już to zadanie i *po kilkudziesięciu* *nawaz wytrawnych*

pisarzy (*), a jakże oni byli dalecy, nie mówię już od wyczerpania, lecz bodaj tylko — od opanowania przedmiotu! Podejmował je, jak wiadomo, i jeden z najcelniejszych naszych krytyków (**), a poświęciwszy mu ogrom pracy, studyów, badań, porównań — dał w dużej swej księdze, słaby ledwie „zarys“ zdumiewającej tej działalności. Czyliż więc nie słusznie woła Świętochowski w jednym z przepięknych swych artykułów o Kraszewskim: „Do karlej małości kurczysz się we własnem przekonaniu, gdy pomyślisz o tym tytanie i jego pracy. Czemże jesteśmy wobec niego, my na jednym tomiku jadący ku nieśmiertelności, mocno popychani przez przyjaciół? Czy najpracowitsi nie są jeszcze lazaronami wygrzewającymi się próżniaczo na słońcu?“ (***)

Ale głębokiej tej prawdy nie chcą snąć zrozumieć efcemeryczne nasze wielkości i domorośli ich fabrykanci...

Co do nas, uznając w całej pełni niezrównane zasługi, i prawdziwie bajeczną, nadludzką niemal twórczość Kraszewskiego, nieukrywaliśmy przed sobą niezwykłych trudności, nastęrczających się każdemu, kto zamierza o nim mówić. Unikając też z zasady wszelkich zadań nad siły, pragniemy tu jedynie opisać: domowy tryb życia J. I. Kraszewskiego w Dreźnie, tragiczne wypadki zaszłe w latach jego pojubileuszowych, ostatnie chwile życia, zgon w Genewie i nigdy niezapomniany pogrzeb jego w Krakowie. Niechże więc nikt nam nie czyni z tego zarzutu i niech raczy paniętać, że praca niniejsza jest niczem innym, jak tylko bezpreten syonalnym, *szkicowym* przyczynkiem do historii ostatnich lat życia Kraszewskiego, przyczynkiem mogącym być uważanym jedynie nie za najlichszą, może cegiełkę dla przyszłych mistrzy - architektów, którzy zdobędą się *kiedyś* na wzniesienie Kraszewskiemu kolosalnego pomnika w formie *gruntownej i o ile podobna wyczerpującej* jego monografii...

*) Księga Jubileuszowa dla Uczczenia Pięćdziesięcioletniej Działalności Literackiej J. I. Kraszewskiego. Warszawa 1880. W 4-ce. Str. 6 nl. CIV. 527. XVIII, 5 nl. oraz 28 Rycin i Podobizn.

**) *Chmielowski Piotr Dr.*: J. I. Kraszewski. Zarys Historyczno-Literacki. Przez . . . Kraków. 1888. W 8-ce w. Str. 534 i 2 nl.

***) „Prawda“ Nr. 13 z 1887 r.

czony dokoła świetnym orszakiem reprezentantów i wysłanników różnych narodów i krajów, odbiera ich niezliczone upominki i hołdy. I jeszcze raz ku tej chwili myśli nasze i duchy ulatują z tęsknotą, i jeszcze raz ku tej stronie serca nasze i oczy zwracają się z upragnieniem . . .

„I śni nam się Wawel — śnią się trzy kurhany,
I gród, jak lutnia, wśród nich rozesłany,
Rynek Kościuszki i samotna wieża,
Co duma przecz-że hejnał nie uderza,
Kościółek niski jak Piastowska strzecha,
Co pierwszy dzwonił tam plemieniu Lecha,
Śni się nam iglic Maryackich dwoje,
Lecących w błękit przez koron zawoje,
I śni się brzmiąca u ich stóp „Hozanna!“,
Któremu Barska błogosławi Panna . . .

.
Śni się nam orszak . . . senatory, kmiecie . . .
Tysiączny, barwny, jako łąka w lecie —
I sławnych mieszczan śnią się Sukiennice,
Jak niegdyś, niegdyś znowu jasnołice . . .

.
A wśród tej rzeszy polskich ziem i ludów,
Król serc narodu pierwszy w bramę wchodzi,
I łkają starce, drżą zapalem młodzi“*) . . .

.
A jednak już i wówczas temu prawdziwemu wybrańcowi narodu, danem było zaznać obok najwyższych hołdów — o jakich zaledwie marzyć wolno śmiertelnym — wiele niespodziewanych boleści i cierpień!

„W kielichu tym, który wydawał się ludziom pełnym ambrozyi bogów — powiada on w jednym z listów do Adama Pługa — nie mało było żółci i goryczy! To też mam teraz po nim spalone wargi i tylko — gorycz została Wiele rzeczy zamilczeć muszę, wiele ich — ja tylko wiem. Ale wierz mi, jubileusz ten, czy był pręgiem, czy tryumfem — to dla mnie rzecz nierozstrzygnięta . . .“

*) Z wiersza Platona Kosteckiego na cześć J. I. Kraszewskiego, w dniu jego jubileuszu.

Słowa te winnyby zabrzmieć ciężkim wyrzutem a skargą w sumieniach i sercach (?) szlachetnych naszych — „gasicieli ducha“ . . .

Nie dziw więc, iż po jubileuszu wrócił Kraszewski do Drezna w dziwnym jakimś moralnym i fizycznym rozstroju . . .

„Jak cień jaki się włóczę — pisał do przyjaciela — możesz sobie stan mój wyobrazić. *Jakieś smutne przecucia mnie ogarniają*. Noce mam ciężkie, a nawet gdy śpię, marzenia dzikie.“

W ostatnim zaś dniu Grudnia 1879 roku, temi znowu słowy odzywa się do Pługa :

„Ostatni list tego roku ci wysyłam. Niechże nie-sie moje życzenia najszczersze od smutnej duszy, bo mi każdy taki koniec roku ze swym rachunkiem sumienia i obrazem przyszłości do przebycia jest ciężki. A tu *na nowej sadybie*, na wyżynie, wichur od wczorajszej nocy wyje i nerwy rozstraja. Ostatniej nocy tej formalny orkan był. Sądziłem, że mi moje biedne sosny koło domu powywraca. Stuk był, jakby grzmiało. Sam jeden w pustce, ze studjami nad Łokietkiem (do powieści) kończę ten rok drogi, pamiętny, ale . . . twardy. Dużo doznał nadzwyczajnych radości, alem też i goryczy się napił“ . . .

Urządziwszy się już jako tako na „nowej“ tej swojej „sadybie“, o której wspomina w powyższym liście do Pługa, zapragnął jeszcze uporządkować swoją bibliotekę, korespondencję i zbiory. W tym tedy celu zgłosił się do piszącego te słowa z zapytaniem, czy nie zechciałby podjąć się tej pracy. Gdy propozycję tę dostojnego Jubilata, autor niniejszych „Wspomnień“ przyjął bez wahania i zamienił z nim następnie jeszcze kilka listów — otrzymał nakoniec stanowcze już wezwanie :

„W imię Boże więc — pisał doń Kraszewski — przybywaj kochany pan. Będę się starał, aby mu zbyt źle u mnie nie było . . .“

W drugiej tedy połowie Stycznia 1880 r. — stanąłem niespodzianie w Dreźnie.

Nie będę opisywać nad wyraz serdecznego przyjęcia, jakiego doznałem u czcigodnego Jubilata. Wolę

raczej, o ile podobna najdalej usunąć się z przed oczu czytelnika, a opowiadanie swe rozpocząć od opisu nowej podówczas willi Kraszewskiego.

Leży ona o kilkadziesiąt zaledwie kroków od dawniejszej jego siedziby (Neustadt, Nordstrasse, nr. 27), przy tejże samej ulicy, pod numerem 31.

Śród balsamicznej woni kwiatów, smukłych brzoź i sosen, na wzgórkę okoloną gęstą zielenią drzew i krzewów, wznosi się duży, wyniosły, zakrawający na pałacyk, dom dwupiętrowy. Prócz wdzięcznie obluszczonego ganku, brak mu wszelkich ozdób na zewnątrz; jest za to suchy, wygodny, murowany i prawdziwie niemiecką odznaczający się czystością.

Wejźmy doń.

Od ulicy uderza nas napis: „*Villa Kraszewski*“. Z bijącym sercem pociągamy za rękojeść dzwonka, otwiera się furta i po kilkadziesiąciu kamiennych stopniach wstępujemy do ogrodu. W nim witają nas najprzód dwa olbrzymie czarne psiska, a defilując radośnie i wywijając ogonami, wskazują drogę do ganku.

Z ganku wchodzimy wprost do salonu.

Tu oprócz kilku dzieł sztuki, kilku obrazów, płaskorzeźb, dwóch marmurowych kolumn i urn (dar jubileuszowy), prócz fortepianu i organów, nic tak dalece nie zatrzymywało uwagi. Salonik to jednak drogi wspomnieniami dla wielu! W nim bowiem Kraszewski zwykł był przyjmować wszystkich swoich gości, płynących tu zewsząd z uwielbieniem dla mistrza... Stojąc w salonie twarzą do ganku, widzieliśmy na prawo skromnie — jak i wszystkie inne — umeblowany pokój, a w nim szafkę z zabytkami archeologicznymi, kilka obrazów, pamiątek, kilka albumów na stole i... na tem pono koniec. Dalej, równie niewielki pokój jadalny, a w ślad za nim, znów mały pokój, mieszczący w sobie wówczas skład materyałów i przyborów malarskich.

Z pokoju jadalnego wychodzimy na kurytarz.

Tu pominąwszy na lewo drzwi do pokoju gościnnego i do przedsionka, a na prawo drugie wejście do salonu — dążymy wprost przed siebie do czwartych drzwi w kurytarzu i znów stajemy w małym pokoju, gdzie oprócz dwóch wielkich szaf z książkami i pełnej

nut etażerki, nie ma już miejsca na nic. Był to właśnie jeden z 6 pokoi, w których się mieściła szacowna Biblioteka Kraszewskiego. Zasługiwał on na uwagę z tego jeno względu, że w nim znajdowały się wyłącznie dzieła samego gospodarza. Zbiór to był jednak bardzo niekompletny; brakło mu nietylko np. roczników „*Athenum*“ i mnóstwa tłumaczeń utworów Kraszewskiego (między innymi nie było ani jednego z wielu przekładów rosyjskich), ale nawet wielu jego powieści i dzieł poważniejszych — oryginalnych. Nowy to był dowód bezprzykładnej prawie w mężu takich zasług skromności autorskiej . . .

Z gabineciku tego, który dla odróżnienia od innych nazwijmy *Biblioteką Dzieł Kraszewskiego* — drzwi na lewo od kurytarza prowadziły do pokoju znów wypełnionego książkami, a na prawo — do *Pokoju Jubileuszowego*.

Żywo mi jeszcze tkwią w pamięci i sercu te pełne drogich wspomnień chwile, gdyśmy na życzenie czciwego Jubilata, wspólnie z nim i Wawrzyńcem hr. Engeströmem układali i porządkowali wszystkie pamiątki i dary jubileuszowe.

Potrzeba było widzieć, z jak młodzieńczą rzetelnością uwijał się wówczas Kraszewski, znosząc z nami niezliczone mnóstwo różnych pak i paczek; z jak wielkim niepokojem i troskliwością dobywał z nich każdą pamiątkę, z jak nieklamany zachwytem unosił się nad pięknosciami takiej np. „*Wioski*“ wdzięcznie rzeźbionej przez dzieci góralskie z Rymanowa (dar zacnej Anny hr. Potockiej, założycielki pierwszej rzeźbiarskiej szkoły ludowej w Galicyi), takiej ślicznej pieczęci w kształcie minaretu z Kamieńca-Podolskiego, takiego np. prześlicznego „*Albumu Malarzy Polskich*“ (dar z inicjatywy utalentowanego artysty-malarza Tytusa Maleszewskiego), takiego „*Albumu Łuckiego*“, takich chustek artystycznie znaczonych przez ś. p. Prospera Gorskiego z Żytomierza, takiego wreszcie, jak go zwał pieszczotliwie: — „*lewka*“ Tadeusza Baracza, ze Lwowa . . . i wielu, wielu innych podobnych tym pamiątek. Potrzeba było widzieć, jak się zasmucił, gdy ulubiony ów lewek pękł mu na dwoje!

Aby jakiegokolwiek dać wyobrażenie o ilości tych darów, dość będzie, gdy powiem, żeśmy przez *dni kilka* pracowali nad ich rozpakowaniem, ustawieniem i uporządkowaniem.*)

Ułożyliśmy je w dużych, głębokich, umyślnie na ten cel wykonanych szafach, gdzie każdy z osobna przedmiot został ustawiony według wskazówek i gustu hr. Engeströma, który z zapałem i gorliwością, cechującą go wszędzie, jał się był i tej miłej przysługi dla Jubilata.

Wchodząc z salonu do łączącego się z nim bezpośrednio *Pokoju Jubileuszowego*, widzieliśmy tu najpierw wykonany z marmuru przez Wiktora Brodzkiego piękny lubo mocno chybiony w podobieństwie oblicza, biust Jubilata, a o parę kroków dalej o wiele już pod tym względem szczęśliwszy, marmurowy jego medalion dłuta ś. p. Kazimierza Ostrowskiego, i wreszcie niezmiernie mozolny, bo z samych tylko wykonany punktów

*) W roku 1884 Kraszewski wszystkie je niemal ofiarował, jak wiadomo, Poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, przy którym, zgodnie z mym projektem (ob. „*Gazeta Polska*“ Nr. 114 z 21 Maja 1878 roku; „*Kłosa*“ Nr. 672, 676 i 715; „*Biesiada Literacka*“ Nr. 143, 155 i 166) utworzone zostało — „*Muzeum Kraszewskiego*.“ Jako bibliotekarz i konserwator jego zbiorów, miałem sposobność niejednokrotnie słyszeć z własnych ust Kraszewskiego, że wszystkie owe pamiątki i dary jubileuszowe (z nader małym jeno wyjątkiem) uważać zwykł zawsze za *własność narodową*, a siebie za chwilowego ich tylko depozytariusza, któremu wolno przez czas pewien cieszyć się nimi i rozkoszować. „*Za życia też jeszcze najpewniej postaram się — mawiał — umieścić je przy którym z muzeów krajowych. A wówczas — dodawał żartobliwie — będziesz pan miał już na koniec upragnione to swoje: Muzeum Kraszewskiego.*“ I stało się jak zapowiadał. Żałować tylko przychodzi, że „*Muzeum*“ tego nie urządzono ani w tak szerokim zakresie, jak proponowałem, ani tam, gdzie pragnąłem (przy *Bibliotece Jagiellońskiej* lub *Muzeum Rapperswyllskiem*), ani w tych warunkach, o jakich marzyłem Co gorsza, w wysokim stopniu oburzająco — jak okazało się — odwdzięczyli się Kraszewskiemu Poznańczycy za ofiarowanie im niedocenionych tych darów Ale pomówimy o tem jeszcze na innym, właściwszem miejscu. Tu, pośpieszamy tylko dodać, że i sam Kraszewski później, odżałować nie mógł tej tak niefortunnie skierowanej hojności swej dla Wielkopolan . . .

Przyp. Autora.

— portret od drukarzy warszawskich. Pod portretem tym, w kątku przy drzwiach od salonu, stała tak zwana „szafa na numizmaty“ wyłożona kilkudziesięciu medalami i numizmatami. Dar to Stowarzyszenia subjektów handlowych wyznania mojżeszowego w Warszawie. Oceniono go nie wiemy gdzie aż . . . na 20.000 rs.!

Z innych pamiątkowych mebli zwracał przede wszystkim uwagę słynny ów fotel ofiarowany Kraszewskiemu przez Polki z Poznania, a zdobny pyszną rzeźbą, dłuta Michała Grentkowskiego i prześlicznie haftowanemi jedwabiem i złotem herbami województw.

Od chwili urządzenia wystawy pamiątek i darów w Pokoju Jubileuszowym, został on otwarty dla wszystkich pragnących je oglądać . . .

Odtąd podziwiałem już tylko niezmordowaną uprzejmość Kraszewskiego, z jaką częstokroć po kilka razy na dzień (przy tak niesłychanym ogromie zajęć!) wystawał dla gości ciężkie albumy, adresy i inne tym podobne przedmioty, nie pozwalając w tem nigdy wyręczyć się nikomu.

Oprowadziwszy czytelnika po całym niemal parterze ówczesnej siedziby Kraszewskiego, zaprosić go teraz musimy na *pierwsze* jej piętro.

Wszedłszy na kurytarz, pomijamy tymczasem drzwi główne prowadzące do gabinetu, a raczej do pracowni gospodarza, i dażymy na prawo do jego pokoju sypialnego. Pokój to był więcej niż skromny, bo prawie ubogi. Stół, łóżko, kilka krzeseł, szafka, umywalnia—i oto wszystko . . .

Wszedłszy drugimi drzwiami z pokoju sypialnego, przechodzimy inny umeblowany już starannie i stajemy niespodzianie — w *Pracowni Kraszewskiego*. Znasz-że ty, czytelniku, cały urok tych wyrazów? Nie marzył-żeś nigdy, by ujrzeć własnymi oczami zaczerpniętą ustroń, gdzie ten sfinks jej prawdziwy z niepojętą szybkością, z niedoścignionym nieraz artyzmem miliony wylewał myśli, tysiące tworzył obrazów, setki ksiąg, dziesiątki drobnych arcydzieł?! A! znacież wy — powtarzam — cały urok tych słów: *Pracownia*

Kraszewskiego?! Kiedyś, kiedyś, gdy upłynie lat wiele, gdy ścichną zawiści tu i ówdzie jeszcze kiełkujące, gdy potężne zasługi tego tytana pracy z większą jeszcze potęgą zdumiewać będą *przyszłość* — wówczas i dom ten jego cały i ta pamiętna jego pracownia stanie się jakby naszym mauzoleum narodowym, do którego ze czcią i uwielbieniem pielgrzymować będą potomni . . .

Owóż jesteśmy nakoniec — w Pracowni *Kraszewskiego*.

Wrażenie, jakiego się doznawało na samym do niej wstępie — dziwnie było przejmujące i rzewne . . . Oglądałeś się w około i . . . dzięki „*Biesiadzie Literackiej*“ w każdym spostrzegałeś kącie wybornie ci już znane przedmioty . . . Z fotograficzną - bo wiernością oddało je owo premium „*Biesiady*“ : każdy sprzęt, każda drobnostka (z wyjątkiem chyba portretów familijnych) uderzała cię najzupełniejszym podobieństwem. Witałeś je też radośnie, jak dawnych, serdecznych znajomych!

Tu—między oknem a drzwiami od balkonu—stało toż samo dębowe, wygodne biurko, a na niem tenże sam zegar, lampa, kałamarz, a przy niem tenże sam fotel i kosz na papiery; ówdzie znowu taż sama, pełna cennych rycin *) staroświecka komoda; też same — w innym tylko porządku — portrety familijne; tam znów pod oknem, taż sama teka, sztalugi, tenże sam parawanik z motylkiem itd. itd.

Mimo to jednak ówczesna *Pracownia Kraszewskiego* w Dreźnie, wielce była odmienną od dawniejszej tj. tej, którą wyobrażało wspomniane premium „*Biesiady*“. Wpływał na to oczywiście inny w niej przedewszystkiem rozkład mebli, większa jej przestronność, nowoprzybyłe zresztą sprzęty, jak : duży dębowy stół po środku (pe-

*) Były to już tylko głównie same duplikaty z dawniejszego zbioru. Niegdyś bowiem *Kraszewski* posiadał, jak wiadomo, jeden z najznakomitszych zbiorów rycin w Polsce, ale zmuszony je był zbyć „prawie za bezcen“ hr. *Branickim*, z *Suchej*. Uczynił zaś to, jak nas zapewnił „z prawdziwie ciężkiej potrzeby.“ Smutne i bolesne dzieje pozbycia się arcy-szacownego tego zbioru — nie mówiąc już o innych — znajdzie czytelnik w autobiografii *Kraszewskiego*: „*Noce Bezsenne*“ („*Tygod. Ilustr.*“ z r. 1888, Nr. 268.) *Przyp. aut.*

ten zwykle nadsyłanych *nowości* literackich) i także krzesła; duża oszklona szafa z książkami itp.

Z Pracowni przechodzimy następnie do *Biblioteki*, której część znaczna mieściła się, jak wspomnieliśmy, w dwóch pokojach na dole; że zaś ów cały księgozbiór zajmował tylko sześć niewielkich pokoi (licząc w to i pracownię), główne więc jego działy mieściły się w czterech na górze. Pracownia, jak zwykle, zawierała przede wszystkim dzieła encyklopedyczne, źródłowe, podręczne... Nie brakło w niej wszakże i mnóstwa historycznych, *czasowo* tu tylko goszczących: bo przy ogromie różnorodnych Kraszewskiego zajęć, badań, porównań, studyów, niepodobne mu było co chwila odrywać się od pracy, biegać do Biblioteki. Napróżnobyście jednak szukali w niej gdziekolwiek całej armii słowników, którejby słusznie można się było domyśleć, wiedząc, że Kraszewski posiadał oprócz ojczystego — języki: grecki, hebrajski, łaciński, arabski, francuski, niemiecki, angielski, włoski, szwedzki, hiszpański, rossyjski, starosławiański, czeski, serbski itd. W Bibliotece Kraszewskiego przypominamy sobie tylko oprócz Lindego, jeden jakiś słownik polsko-niemiecki i niemieckopolski. Włoskich, francuskich, angielskich... ani śladu! A przecież jeśli już nie hebrajski, szwedzki lub arabski, to te przynajmniej języki studyował najsumienniej...

W pierwszym od Pracowni pokoju bibliotecznym zatrzymamy się nieco dłużej; a że on na to ze wszech miar zasługuje — przekonacie się sami. Prócz wielkiego dębowego stołu pośrodku, mniejszego z boku i czterech sięgających niemal sufitu, szerokich, malowanych szaf bibliecznych, prócz fotelu i dwóch krzeseł — nie było w nim żadnych więcej sprzętów. Ale za to ileż prawdziwie nieocenionych mieściła w sobie skarbów bodaj tylko ta jedna — ot ta na lewo — ogromna szafa, przepelniona mnóstwem dawniejszych i nowszych szpargałów... mnóstwem drobnych rękopisów i grubych tomów *in folio!*... Nie domyślacież się jeszcze, co to być mogło?... Ba! zapomniałem, że nie tak to łatwo zwykłym odgadnąć śmiertelnikom!

Otóż $\frac{2}{3}$ ogromnej tej szafy zajmowała jedynie olbrzymia a bezprzykładna niemal — *korespondencya Kraszewskiego!*

Znam niezliczoną liczbę jego życiorysów, widziałem w najrozmaitszych językach setki o nim artykułów i broszur, z których dałoby się łatwo utworzyć arcy-pokaźną biblioteczkę, a jednak wszyscy jego biografowie i krytycy nadzwyczaj mało zwracali dotąd uwagi na tę acz prywatną, lecz nie mniej doniosłą stronę jego działalności.

Zważywszy, iż Kraszewski otrzymywał codziennie *najmniej kilkanaście* listów, że bardzo nawet często ze wszystkich krańców świata odbierał ich *po kilkadziesiąt*, zważywszy, że na każdy z nich odpowiadał *własnoręcznie i to natychmiast* — o czem wiedzą najlepiej wszyscy jego korespondenci — zważywszy to, możemy opierając się na rachunku prawdopodobieństwa, twierdzić śmiało, że *przez 58 lat* swej działalności autorskiej i obywatelskiej wysłał on w różne strony świata *najmniej 200,000 listów*, nie licząc w to naturalnie tysiącznych korespondencyj literackich do różnych pism krajowych i zagranicznych. Cyfrę tę opieram na następującem obliczeniu: biorę w przecięciu *najmniej, bo tylko 10 listów dziennie*, co wyniesie już rocznie 3,650. Pomnóżmy to przez lat 58, a otrzymamy — 211,700 czyli nawet więcej niż 200,000 równo.

Z prawdziwą przeto przykrością spotkałem się w broszurze Dra Estreichera p. t.: „*Feniks Polski*“ (J. I. Kraszewski) z następującym skierowanym ku mnie zarzutem: „Brzostowski — powiada znakomity nasz bibliograf — oblicza w „*Tygodniku Ilustrowanym*,“ iż Kraszewski mógł napisać 200.000 listów. Oblicza on według czasu, jak Kraszewski korespondował w ciągu kilkumiesięcznego pobytu swego u niego w Dreźnie (sic). Ale to miarą być nie może. Kraszewski żyjąc w kraju, nie miał tyle potrzeby listownego znoszenia się z krajem.“

Estreicher czyniąc mi powyższy zarzut nie zna śnać obliczenia, które podałem jeszcze w roku 1881 w „*Kuryerze Warszawskim*,“ Nr. 180 i następ.

Gdyby bowiem było mu ono znanem, przekonałby się z łatwością, że obliczenia tego nie oparłem bynajmniej na przeciętnej liczbie listów pisywanych przez Kraszewskiego *podczas gościny mej u niego*. Przeciwnie. W artykule, o którym mowa, cyfrę 200.000 listów (a

raczej *około* 200.000, bo pamiętajmy, że było to jeszcze na kilka lat przed zgonem Kraszewskiego) oparłem zupełnie na tem samym, co i dziś obliczeniu. A komuż właśnie najlepiej, jeśli nie szanownemu memu oponentowi, może być wiadomem, że od czasu zamieszkania swego w Dreźnie, Kraszewski odbierał zwykle nie 10, lecz co najmniej 15 do 30 listów dziennie, a nader często i około 50, *czego i ja sam niejednokrotnie byłem świadkiem*. Nie o wiele też mniej otrzymywał ich zwykle i w kraju, choć mieszkając w nim nie miał, co prawda, zbyt gwałtownej „potrzeby“ prowadzenia ze wszystkimi rozległej korespondencji. Na ogrom jej wszakże uskarżał się już w jednym ze swych artykułów, w roku jeszcze 1841 (sic!). Zajmujący ten ustęp (ob. „*Tygodnik Petersburski*,” Nr. 21) znajdzie czytelnik w następnym rozdziale niniejszych naszych „Wspomnień.“ Owóż, gdy weźmiemy na uwagę, iż Kraszewski nie tylko natychmiast odpowiadał zwykle *każdemu ze swych korespondentów*, ale jeszcze częstokroć, nie rachując się z nikim na listy, formalnie ich nimi zasypywał, jeśli weźmiemy to pod uwagę — to przyjdziemy do przekonania, iż liczba 200.000 listów, które niewątpliwie przypisać należy Kraszewskiemu, *jest jeszcze raczej za małą niż za wielką*.

Gdyby kto jednak obliczywszy wszystkie listy korespondentów Kraszewskiego (na które ani wątpić, powtarzamy, że wielki nasz pracownik *odpisywał zawsze*), przekonał się następnie, że jest ich o wiele *mniej* niż 200.000 — to jeszcze i wówczas przytoczyć bym mógł na swą obronę ten ważny argument, że *znaczna część korespondencji Kraszewskiego została różnemi czasami osobście przezeń spalona*, czego miałem także dowód i w roku 1880, gdy w mojej obecności zniszczył przynajmniej parę tysięcy listów, nie mających żadnego znaczenia, na które jednak, jak sam zapewniał — „odpisywać musiał.“

Nie mała też — o ile wiemy — część tej korespondencji była przed laty u ś. p. małżonki jego w Warszawie; a bodaj czy nie cała nawet znajdowała się u p. Franciszka Kraszewskiego, w chwili, gdy „w majątności jego wybuchł pożar.“ Z artykułu bowiem Dra Alberta Zippera o przekładzie przez Kraszewskiego

„Boskiej Komedyi“ Dantego (ob. fejleton w „*Dzienniku Polskim*,” Nr. 2 z Września 1895 r.) dowiadujemy się, iż „skutkiem tego zapanował jeszcze większy nieład w *niezliczonych papierach*, pozostałych po ś. p. Kraszewskim, które trzeba było (podczas pożaru) naprędce wynosić i w jakimś bądź miejscu umieścić.“ A któż mi może zaręczyć, że i w tym także wypadku nie zginęła jaka część „*niezliczonych tych papierów*,” w których niechybnie znajdować się musiała i korespondencya? Nie ulega nadto wątpliwości, iż dzięki kilkakrotnym rewizjom oraz nieustannym przesładowaniom i klęskom, jakich przed samym zgonem doznał Kraszewski, dzięki wreszcie nieustannemu przenoszeniu się jego z miejsca na miejsce — bardzo znaczna część arcy-szacownej tej korespondencyi zaginać musiała bądź w Moabicy, bądź w Magdeburgu, bądź nakoniec w przedśmiertnej onej tułaczce mocno już schorzałego starca, po Włoszech i Szwajcaryi.

Ale niczem tu jeszcze jej ogrom. Ważniejszą jest stokrotnie nadzwyczajna jej żywotność, niezrównany jej interes. Korespondencya Kraszewskiego to jedna z najciekawszych kart naszych dziejów; to niewyczerpana skarbnica społecznej naszej umysłowości, obyczajów i uczuć, to najcenniejszy materiał nie tylko dla przyszłych jego biografów, lecz i historyków literatury, to najwspanialszy jego pomnik, najwymowniejsze świadectwo tej czci i wdzięczności, tego uwielbienia współziomków, które niezawsze przecież było czczym tylko dymem kadzideł i hołdów.

Każda tu kartka, każdy niemal świstek świadczy gorąco o tej właśnie *jak najmniej znanej ogółowi „ prywatnej ”* działalności Kraszewskiego. Nie wahać się też twierdzić, że najpiękniejsza, najszlachetniejsza strona jego charakteru i uczuć, tu przedewszystkiem uwydatnia się w pełni . . . Miałem sposobność tysiące tych listów przejrzeć, setki odczytać, a po każdym z nich zdumienie moje wzrastało coraz bardziej i bardziej . . .

Znałem przedtem Kraszewskiego, jak i wszyscy, z olbrzymiej głównie twórczości literackiej; słyszałem nieraz o nieumiej olbrzymiej korespondencyi jego *prywatnej*, ale nie miałem wyznają, dostatecznego pojęcia

o równie bezprzykładnej jego działalności, jako opiekuna i kierownika rozwijających się talentów, jako przewodnika, inicjatora i nawoływacza do wszelkich prac literackich, społecznych i artystycznych, jako obywatela wreszcie i człowieka . . .

Nie jednemu to może wyda się przesadą . . . A jednak — gdy korespondencya ta kiedyś, choć w setnej przynajmniej części zostanie ogłoszona, wówczas nie jeden, jak i my obecnie, zada sobie pytanie: jakim sposobem, jakim cudem prawdziwy ten czarodziej, fenomenalny ten człowiek, był w stanie podołać tak tytanicznym trudom?! Jak starczyło mu czasu, obok ogromu zajęć literackich, na załatwianie jeszcze tylu set tysięcy *żadnej styczności niemających z literaturą* — prośb i komisów, tylu wreszcie bezczelnych wymagań i żądań niepowołanych pismaków?! Tak — nie cofniemy tych słów . . . Potrzeba zaprawdę takiej tylko chyba anielskiej cierpliwości, takiego pobłażania bez granic, jakie posiadał Kraszewski, by wobec tylu i tak ważnych zajęć, *godzinny jeszcze całe* poświęcać czytaniu często najślabszych, a prawie zawsze *hieroglificznie* nabazgranych *arcydzieł* całej falangi tych pseudo-autorów i wierszokletów, dla których nic nie było spiesniejszego, nic ponętniejszego nadto, jak zarzucać go wiecznie całemi tomami płytkich swych elukubracyj bez logiki i sensu, ale za to ze stanowczem zawsze żądaniem . . . odczytania ich i ocenienia! . . . Dobrze to jeszcze bardzo, gdy w tej powodzi mglistych lub napuszonych frazesów dostrzegłeś niekiedy bodaj iskierkę talentu, który nie żał było podtrzymać, nie żał i zachęcić; lecz ileż, niestety, biedny ten Kraszewski musiał przeglądać *kartka za kartką* najniezdarniejszych ramot, po to tylko jedynie, by w słowach pełnych delikatności i pobłażania dać do zrozumienia tym panom, że stokroć będą użyteczniejsi dla kraju i dla siebie, gdy zechcą orać niwę — ale . . . nie literacką, gdy zostaną pisarzami — ale chyba . . . prowentowymi. Moglibyśmy tu wiele i bardzo jeszcze wiele ciekawych przywieść faktów z korespondencyi Kraszewskiego, faktów wymownie, gorąco świadczących o wielkiem jego sercu, o gotowości do usług, o ofiarności bez granic . . . Rzućmy jednak zasłonę na nie-

przejrzany ten szereg cichych a szlachetnych jego czynów. Zostawmy je innym... Znajdą się tacy, co wydobędą je na jaw, a wówczas — do świetnej aureoli niespożytych zasług wielkiego tego obywatela, człowieka i pisarza, przybędzie jeszcze jeden z najjaśniejszych promieni, świecących całym ogniem brylantów jego ducha.

Jeśli się nie mylę, podczas pobytu jeszcze Kraszewskiego na Wołyniu, dobry jego znajomy i przyjaciel p. Moczulski, zasłużył się nadzwyczaj starannem uporządkowaniem z *pierwszych lat trzydziestu* jego korespondencji, która dziś stanowi *kilkadziesiąt oprawnych, grubych tomów in folio*. Co do mnie, z wielkim moim żalem nie miałem sposobności doprowadzić tej pracy do końca. Pierwszych parę tygodni przy niej, upłynęło wraz ze mną i Kraszewskiemu. Rozbieraliśmy wspólnie ogromne stopy z różnych kątów i kufrów ściąganych listów, z których Kraszewski wiele, jak nadmieniałem, odrzucał i niszczył. Później znów sam już rozkładałem *przez kilka tygodni* te, co zostały; okazało się jednak, że przez tak długi czas (pracując od rana do wieczora) mogłem je zaledwie w ten tylko sposób rozłożyć, że każdy autor listu znalazł się pod odpowiednią literą alfabetu*).

Pozostało więc do zrobienia bardzo jeszcze wiele. Ktoś, co podejmie się wdzięcznej tej pracy w przyszłości, będzie zmuszony brać każdą z osobna pakę (literę) i rozłożywszy oddzielnie listy każdego korespondenta, ułożyć je później w sposób o ile się da najściślej chronologiczny.

Anonimy (nawet najzłośliwsze) i listy z nieczytelnymi podpisami, których autorów na pierwszy rzut oka

*) Opieszalność ta moja nie wyda się może dziwną, gdy powiem, że listy wielu korespondentów Kraszewskiego *liczą się na setki*... Prym pod tym względem dźwży niewątpliwie długoletni jego korespondent Adam Lew hr. Sołtan. Po nim najliczniej są reprezentowani w ostatnich latach 20-tu: August hr. Gieszkowski; redaktor „*Dziennika Poznańskiego*,” Franciszek Dobrowolski; Adam Honory Kirkor; Teofil Lenartowicz; Antoni Pietkiewicz (Adam Pług); wielce oryginalny w swych listach Klemens Rodziewicz (z Florencyi); Paulina Wilkońska; Bronisław Zaleski, J. K. Żupański itd. *Przyp. aut.*

odgadnąć było trudno — zebrałem starannie na żądanie Kraszewskiego w osobną sporą plikę, równie, jak i wystosowane do niego wszelkie utwory *wierszem*.

Kiedyś, szczęśliwszy ów ktoś, co będzie miał sposobność rozpatrzyć się w korespondencji tej bliżej, zdoła odkryć nazwisko niejednego autora listu. Co do mnie, zmuszony byłem niebawem, dzięki nikczemnym pogrożkom i napaściom Adlera, przerwać na prośbę Kraszewskiego moje zajęcia bibliotekarskie. Nim to jednak nastąpiło, musiałem przedewszystkiem zaniechać dalszego porządkowania osobistej jego korespondencji, a poprzestać tylko na tem, co mu z danej chwili zdawało się najpilniejszym. Poświęciłem tedy najpierw dni parę na uporządkowanie zajmującej korespondencji znanego przyjaciela Zygmunta Krasińskiego, pułkownika Adama hr. Sołtana, która posłużyć miała Kraszewskiemu do projektowanych przezeń monografij Zygmunta i Sołtana; dalej uporządkowałem przesłane również Kraszewskiemu korespondencye śp. Aleksandra Wicherskiego; Gabriela Łuniewskiego; jednego z bohaterów „*Powieści bez tytułu*“, profesora Hipolita Klimaszewskiego i innych; ułożyłem wreszcie jako-tako z paręset drobnych po większej części rękopisów społecznych głównie autorów, między którymi spotkałem ze zdumieniem i ogromne stopy pozaczynanych, niedokończonych lub z innych jakich względów *nigdzie jeszcze nie drukowanych* utworów Kraszewskiego!!... Żałuję też niezmiernie, że nie starczyło mi czasu na zanotowanie przynajmniej tytułów tych prac.

Uporawszy się z tem nakoniec, przystąpiłem ponownie do dalszego porządkowania w wielkim wciąż jeszcze nieładzie pozostającej Biblioteki i na żądanie Kraszewskiego, wszystkie dzieła odnoszące się do historii polskiej, ułożyłem ostatecznie o ile się dało w porządku *chronologicznym*. System ten, zastosowany do specjalnego użytku przy ówczesnych studyach Kraszewskiego nad wielkim cyklem „*Powieści Historycznych*“ lubo istotnie nie małe miał zalety, posiadał jednak tę kardynalną wadę, że wielce zrazu utrudniał natychmiastowe znalezienie żądanego dzieła. Nie będę rozpisywać się, jak ułożyłem inne działy Biblioteki, lecz

nadmienie jedynie, że zdołałem tylko uporządkować część jej główniejszą, ułożoną w kilku pokojach na pierwszym piętrze, obok pracowni. Ale i tu nawet niektórych działów, jak np. historii sztuki, cennego zbioru rzadkich i dawnych broszur, takiegoż zbioru starych ksiąg włoskich itd., z prawdziwym żalem nie miałem już czasu opatrzeć numerami. Dział zaś beletrystyczny i inne podrzędniejsze (w językach głównie: polskim, francuskim, niemieckim i włoskim), oraz ów niekompletny zbiór dzieł Kraszewskiego, zostały zupełnie nieuporządkowane. Z tem wszystkim jednak całość Biblioteki przedstawiała się nawet dość imponująco. Zasługiwał tu głównie na uwagę dział *historyi i literatury polskiej*. Wszelkich w różnych językach prac źródłowych, roczników, kronik, monografij, pamiętników etc. znalazłem w niej mnóstwo. A i rzadkości bibliograficznych równie niemało. Dawnych za to rękopisów niespotykałem prawie zupełnie*).

Ciekawym tu był wreszcie niezwykle zbiór dzienników i czasopism. Odbierał ich wówczas Kraszewski około 60-ciu. Ma się rozumieć, że wszystkie redakcye tych pism, równie jak i wszyscy nasi autorowie, wydawnictwa swe przesyłali mu bezpłatnie. Każde też z nich prawdziwy ten cudotwórca nietylko własnoręcznie rozcinał i przeglądał *od deski do deski*, ale nieraz jak widzimy z tysiącnych jego sprawozdań, recenzyj i kronik — najsumienniejszy studyował! . . .

*) O całej zresztą zawartości szacownej tej Biblioteki objaśnia najdokładniej: „Katalog Księgozbioru, Rękopisów, Dyplomów, Rycin, Map, Atlasów, Fotografij, jako też osobistych Dyplomów. Adresów itp. pozostałych po śp. J. I, Kraszewskim. staraniem Franciszka Kraszewskiego, uporządkował i spisał *Michał Pawlik*. Nakładem Rodziny Zmarłego. Lwów. „Drukarnia Polska,“ Ul. Sobieskiego, 1. 28. — 1888. W 8-ce w. Str. 2 nl. i 649.“

. Ziemia upomniała się o swe prawa i skryła w swem łonie wielkiego człowieka, któremu liczbą dzieł i pracą — nikt jeszcze niedorównał. Bo jako pracownik niestrudzony — byłeś jedynym w rodzie ludzkim. Bądź więc za to pochwalon!

(Z Nekrologu J. I. Kraszewskiego w „Prawdzie“, Nr. 13 z 1887.)

Aleksander Świętochowski.

Kiedy wszyscy w świat biegli drogami wszystkimi,
Ty, przykuty magnesem do ojezystej ziemi,
Duchy świata w codziennej zaklinałeś mowie
Dla braci swych na sławę, na życie, na zdrowie
Nie wcielone, wezwane Twem słowem potęgi
W te co wieki zadziwią, zamknąłeś nam księgi.
Robotniku bez czasu, czy z czasem potrójnym!
Nie czujesz, jak na polu pracowałeś znójnem,
Nie czujesz gór, coś Twemi podźwignął ramiony;
Obejrzyj się — a staniesz sam sobą zdumiony!
Niedaremnie Twoe siły zaczęły się nużyć.

Ze dzisiaj ledwie możesz za dziesięćciu służyć

Edmund Wasilewski.

II.

Wybitniejsze cechy charakteru Kraszewskiego. — Bezprzykładna jego twórczość literacka. — Niektóre drobne szczegóły o osiedleniu się i życiu domowem Kraszewskiego w Dreźnie. — Oplakany stan jego zdrowia. — Zdumiewająca mimo to siła woli w załatwianiu zwykłych czynności. — Odpisywanie na listy. — Różne utrapienia towarzyszące tej korespondencji. — Wiersz do A. B. C. D. E. F. itd. — Niezwykłe wydutki Kraszewskiego na korespondencyje. — Jeszcze o fenomenalnej jego twórczości i wszechstronności. — Tryb codziennego życia jego w Dreźnie. — Metoda jego pracy itp.

Przechodzę nakoniec do drogich dla mnie wspomnień o zwyczajach domowych i życiu Kraszewskiego w Dreźnie. Miałem szczęście przebyć w jego domu,

w ciągłym niemal jego towarzystwie — całych siedm miesięcy...*) Nikt może odemnie (prócz domowników chyba lub krewnych) nie miał lepszej sposobności przyrzeć się tak blisko życiu i pracom wielkiego tego męża, tej naszej chwały i chluby wśród obcych.... Badałem je też pilnie, śledziłem troskliwie... I cóż? Przypatrzwszy się dobrze, uczułem dlań większą jeszcze cześć i uwielbienie... Inne znakomitości literackie przy bliższem zetknięciu — tracą nieraz wiele... Kraszewski — zyskiwał... Umiał on podbić każdego, choć nie starał się o to. Najzaciętszych często nieprzyjaciół — rozbrajał mimowiednie. I nie dziw... Stanąwszy przed nim, olśnieni urokiem nieskończonych dlań hołdów, niesłychanej jego popularności i sławy, lękaliśmy się na razie... zbyt może protekcyjnalnego przyjęcia... Lecz z jakąż rozkoszą, jak rychło spostrzegliśmy, że nie było w nim ani cienia, nie tylko już pychy, lecz próżności nawet. Skromność, prostota, serce pełne najszlachetniejszych uczuć, niewyczerpana dobroć i wyrozumiałość dla wszystkich — oto były główne cechy wielkiej tej duszy. O sobie, o swych dziełach, o owacyach jakie go spotykały ciągle — nie wspominał prawie nigdy. Wybadywany dopiero, wyciągany na słowo, opowiadał o nich jak najkrócej, a zawsze z nieudaną skromnością... Ilekroć go zaś zagadnąłem o one pamiętne uroczystości krakowskie, z rozrzewnieniem o nich mówił, lecz i z goryczą niekiedy... Mimo to wszakże bez wszelkiej miłości własnej nieustannie zapewniał, że on je rozumiał jedynie, jako hołd złożony nie jemu, lecz wspólnej naszej idei — idei, którą w miarę zdolności swych i pojęć usiłował reprezentować.

*) W 88-ym numerze „*Kuryera Warszawskiego*“ z roku 1887 z prawdziwą przykrością znalazłem pochlebnią dla mnie skąd inąd lecz mylną, niestety, wzmiankę, iż „przez wiele z rzędu lat“ byłem nieodstępny towarzyszem Kraszewskiego. Szan. autor tej wzmianki nie zapamiętał snąc, że w cytowanym właśnie przez niego moim artykule: *Jak Kraszewski pracował* (ob. „*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 221 z r. 1887) mówiłem wyraźnie o kilku tylko niezapomnianych dla mnie miesiącach, które jako bibliotekarz wielkiego naszego pisarza spędziłem pod gościnnym jego dachem, ani przeczuwając nawet, iż tak rychło przyjdzie mi go pożegnać! . . . Przyp. Autora.

Od chwili jubileuszu coraz to więcej — wśród obcych nawet — znajdował Kraszewski uznania. Mnóstwo jego powieści zaczęto tłumaczyć na wszystkie celniejsze języki, a ze wszelkich stron Europy i Ameryki nadsyłało mu nieustannie całe stopy: francuskich, włoskich, angielskich, niemieckich, szwedzkich, czeskich, węgierskich, rosyjskich itd. dzienników lub broszur, traktujących o nim, jako *jedynym* po wsze czasy pisarzu, któremu *co do twórczości* nikt jeszcze nie sprostał. Ilekroć też o niej mowa, zawsze przychodzi mi na myśl słowa nieodżałowanej pamięci „Chirurga filozofii i naturalnego krzyża kawalera“.*)

„Gdybyś literki policzył (w pismach Kraszewskiego), byłoby milionów kilkanaście; gdybyś atrament odwilżył, byłoby garncy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbierał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w któremkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić; a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłyby zgiełk, wrzask, hałas i kłótnia na mil kilkadziesiąt wystarczające.“

Dziś niepodobna zaprzeczyć, że lubo te słowa rzucone były niegdyś z pewną żartobliwością, lubo w swym czasie mogły zawierać nie mało przesady i fantazyi, dziś wszakże, *po upływie lat pięćdziesięciu* (sic), nie tylko niewywołują już uśmiechu, lecz naprawdę budzą zupełnie uzasadnioną wątpliwość, ażali dostatecznie określają tę niezrównaną, bajeczną, nadludzką prawie twórczość Kraszewskiego. Ale-bo od tej pory jakże się wielce rozszerzył zakres jego pracy! jakże wciąż przybywało wątlej tej postaci herkulesowych sił do trudów! jakże wiele, jak wiele zmieniło się w jego życiu! . . .

Od chwili osiedlenia się w Dreźnie, Kraszewski rozpoczął nową epokę życia.

Zmuszony niespodzianie wyjechać za granicę, znalazł się naraz w bardzo przykrem położeniu. Stęskniony, osamotniony, bolejący nad ówczesnemi nieszczęściami kraju — popadł *chwilowo* w pewien nawet stan odretwie-

*) Ob. ramiękę Augusta Wilkońskiego: „Kraszewski w Warszawie.“

nia. Co gorsza, rząd saski kilkakroć zamierzał go wywalić ze stolicy, naznaczając mu nawet stanowczo dzień wyjazdu. Bywały więc już i wówczas chwile bardzo krytyczne, i dzięki tylko ogromnym stosunkom Kraszewskiego, udało mu się szczęśliwie usunąć je na czas długi.

Nie rychło też przyszedł do posiadania własnego domu w Dreźnie. Zrazu tułał się po różnych jego kątach: mieszkał np. na Augustusstrasse Nr. 6, Dippoldiswoldaergasse Nr. 8, Pilnitzerstrasse Nr. 33, Seidnitzerstrasse Nr. 1 (?) itd. W kilka lat po przybyciu do Drezna założył wybornie urządzoną Drukarnię, którą niebawem zmuszony był odprzedać; następnie kupił willę w Blasewitz (pod Dreznem), lecz i tę wkrótce spieniężył, by nabyć inną, w samym już Dreźnie, przy Nordstrasse Nr. 27 (Neustadt); odprzedawszy zaś i tę ostatnią, osiedlił się w r. 1879 w willi opisywanej przez nas w niniejszych „Wspomnieniach.“ Tu urządził się już pod każdym względem wygodniej... Jak widzieliśmy wyżej, parter i pierwsze piętro zajął sam. Drugie przeznaczył na mieszkanie dla całej rodziny niejakiej pani Schneider, dobrej i uprzejmej staruszki-Niemki, która przez lat wiele wraz ze swoją córką p. Florą Heinitz zarządzała u Kraszewskiego gospodarstwem domowym.

Aby podołać olbrzymim swym pracom musiał oczywiście wyznaczyć na wszystko odpowiednie godziny, musiał we wszystkim stosować się najściślej do — zegarka. To też z obiadem lub herbatą np. nie wolno się było spóźnić ani chwili... Punktualność w domu Kraszewskiego była tak wielka, że nie pomnę, aby w czemkolwiek choć na włos jej uchybiono! Chcąc spóźnieniom się wszelkim zapobiedz, kazał najlepiej chodzący zegar umieścić w kuchni. Punkt o wpół do 9-tej z rana dawano herbatę, lub kawę; punkt o 2-giej obiad: punkt o 7-mej wieczorem znowu herbatę. Do obiadu zasiadała najczęściej z Kraszewskim oddana mu całą duszą owa rodzina niemiecka. Na obiad podawano zwykle trzy potrawy i nigdy nieodłączne... pieczone kartofle, a na wety: komput lub konfitury, wino i czarna kawę. Wody nie pijał Kraszewski nigdy. Nie jadał

też wcale — z wyjątkiem bulionu — żadnych potraw płynnych, gdyż wszystkie mu szkodziły. Kolacyi również nie jadał. Słowem wystrzegał się niby „wszystkiego“, co mogłoby nadwątlić i tak już słaby organizm. Bardzo też często dla poratowania zdrowia udawał się do Włoch lub do Homburga, a jeden z najzdolniejszych drezdeńskich lekarzy odwiedzał go po kilkakroć na tydzień. Mimo to wszakże był wiecznie cierpiący. Nicustanny prawie kaszel, migrena, a co już najfatalniejsze, choroba kamienia, dręczyły go bezlitośnie! . . . Serce ni się ścisnęło, gdy patrzyłem na ciągłą tę walkę ducha z cierpieniami ciała. Nie sądzicie jednak, iż przy lada niemocy pozwalał on sobie choć jakiegokolwiek ulgi, choć chwilowego spoczynku . . . Ach gdzie tam! Widziałem go raz okropnie cierpiącego na migrenę. Twarz jego, odbijająca zwykle niezmiernie znużenie fizyczne, przybrała wówczas taki wyraz boleści, stała się tak przerażająco bladą, że strwożyłem się na seryo . . . Ate i wtedy duchowcy ten olbrzym nie zaniedbał ani na chwilę zwykłych swych czynności . . .

Dziwnie też to była fenomenalna organizacja! . . . Wspomniałem już, że Kraszewski ciągle był prawie kaszlący i chory; a dodać jeszcze potrzeba, że nadzwyczaj był przytem wątpliwy i nerwowy. Mimoto przecież pracował . . . za dziesięciu.

Do biurka zasiadał codziennie przed 9-tą z rana. Tu oczekiwała go już zwykle spora plika listów i gazet, które „briefträgerzy“ przynosili od 5-ciu do 8 razy na dzień. Przez parę więc godzin, t. j. do 11 przed południem, czytał otrzymane pierwszą poranną pocztą dzienniki i listy, na które, jak wiadomo, odpowiadał *natychmiast* . . . Inaczej nie byłby już im w stanie podobać . . .

W jednym z artykułów, będących prawdziwą ozdobą „*Tygodnika Petersburskiego*“ (ob. Nr. 21 z roku jeszcze 1841) Kraszewski, mówiąc właśnie o rozległej swej korespondencyi, w ten sposób charakteryzował towarzyszące jej utrapienia:

„Przychodzi wreszcie poczta. Dzień cały zajmuje ci czytanie przysłanych pism peryodycznych, ksiąg, gazet i listów. A! listów, na które odpisywać trzeba; a bywa ich dziesięć, piętnaście i więcej! Dodawszy listy

gospodarskie, przyjacielskie, w interesach i familijne, sformuje to jakich 3.000 półarkuszy do napisania na rok. Tymczasem siadasz tylko czytać; już i to robota. A naprzód wpada ci do rąk gazeta z Warszawy, *opieczętowana*, nadesłana bezimiennie: jest to ekstrapocztą wyprawiona zjadliwa krytyka; wyrachowano wybornie, aby nie zawieruszyła się na poczcie i najprędzej doszła. Jakkolwiek kto jest oswojony z rozumnymi i nierozumnymi recenzjami (a ja spodziewam się jestem bardzo, bo mnie ostatnimi mianowicie karmią nie żałując), zawsze to pewna, że wielce smutne wrażenie robi zjadliwy pocisk. Jeśli jeszcze nie widzisz sensu, prawdy, znajomości rzeczy, tylko szczerą złość — litość cię bierze nad bezimiennym głupcem, ale cię boli serdecznie.*)

*) Nie możemy powstrzymać się, by nie przytoczyć na tem miejscu wielce charakterystycznej odpowiedzi Kraszewskiego wszystkim jego nieprzyjaciółom, odpowiedzi tem ciekawszej, że nader mało dziś znanej (ob. „Tygodnik Petersburski“ z r. 1838, Nr 22):

Do A. B. C. D. E. F. itd.

Pierwsza i ostatnia odpowiedź.

Mości Panowie! dzięki, nieskończone dzięki
Za pochwały, nagany, rady i przestrogi.
*Kiedykolwiek co spotka, z czyjejkolwiek ręki,
Zawsze będę dziękował, lecz — nie zejść z drogi.
Źle czy dobrze ja myślę — większość kiedyś powie;*
Lecz pozwólcie przynajmniej wysocy sędziowie,
Niechaj więcej napiszę, nim mnie zabijecie,
Pozwólcie jeszcze troszkę pożyć na tym świecie!
Czego od Trynkowskiego żądacie w swej długiej perorze —
Sam to Pan Bóg wiedzieć może.
Jam z niej wyrozumiał przecie,
Że mnie — nie chcecie!

A! wola wasza! o łaskę-m nie prosił,
Pochwał nie zebrał, o zdanie nie pytał!
Lecz zyskałem na wierszu, bo gdym go przeczytał,
Długom się, długo od śmiechu zanosił;
A śmiech rzecz rzadka w sercu i na twarzy;
Trzeba dziękować, gdy się śmiać wydarzy —
Więc raz jeszcze dziękuję, wysocy sędziowie!
Piszcie, piszcie choć na mnie, byleście pisali.
A kiedy kto wam czasem na pismo odpowie,
Jak ja śmiejecie się tylko, i... ruszajcie dalej!

Popsuty humor; co gorsze, rodzi się na jakiś czas niechęć do pracy, zrażenie, odpada ochota, radbyś wszystko porzucił. Ale zaprzężony koń nie rzuca szlei, choć mu hoki obciera. Czytasz dalej: listy z komplementami — nudna potrawa, która wcale nie osładza goryczy głupich recenzyj. Listy z wierszami! — uchwaj nas Panie! ciężkie to listy! jednakże, aby nie zawieść zaufania, potrzeba odpowiedzieć! Listy z prośbą o radę literacką — trzeba dać radę. Listy z wymówkami — trzeba przyjąć wymówki. Listy z reklamacyami — trzeba zwrócić temu literę, a tańtemu półtorej, opuszczonej gdzieś wypadkiem. Listy z poznamieniem się — trzeba

W nagrodę za śmiech i za wiersz wasz płaski,
Niosę swoje. Możecie śmiać się z mojej łaski!
Ciężkie teraz czasy wszędzie,
I ten nie lepszy od waszego będzie:

* * *

Raz wśród nocy wszedł księżyc i nagle zaświecił,
A pies właśnie spał na dworze,
Ocknął się w blasku, pochwycił
I spojrział: co to być może?

— „A to ten księżyc dumny znowu wylazł z chmury
(Zaczął rozgniewany szczeakać)

I spać nie daje i świeci tam z góry!
Będę wył, piszczał, łajał aż zmuszę uciokać,
Bo na co świecić? Tak pięknie, gdy ciemno!
I spać tak dobrze! A ten się wytoczy

I prosto mi lezie w oczy
Z swoją światłością nikczemną!“
Nuż bryś nasz hałasować — ale dnia doczekał;
Księżyc świecił a świecił, a on — darmo szczeakał...

* * *

Tylkoż nie myślcie, że to do was może!

A broń Boże, a broń Boże!

Ta bajka najmniejszego niema związku z wami;
Nie jestem ja — księżycem, ni panowie psami!!

Wiersz ten nosi datę: *Omelno, 12. Lutego 1837 r.* Został więc napisany w 25 roku życia autora; i tem się też tłómaczą zanadto w nim drastyczne, zanadto może tchnące gorączką młodości wyrażenia i zwroty. Widzimy że jednak, że Kraszewski miał już od początku niezłomną wiarę w siebie i swoje zdolności, dzięki też czemu o całe niebo stanął wyżej od wszystkich swych spółzawodników i nieprzyjaciół... *Przyp. Autora.*

podziękować; a koniec końcem: trzeba na wszystko od-
pisać. Aby się prędzej zbyć z głowy ciężaru, siadasz
i piszesz półtora dnia. Jedzie z niemi na pocztę posta-
niec i — przywozi drugie tyle! Nie mówię, co to ko-
sztuje pieniędzy — gorsza szkoda czasu. Człowiek już
o pierwszych nie myśli, choć żonie żal tych idących
w świat rubli, które już nigdy nie wrócą.“

A warto zaprawdę obliczyć choć w przybliżeniu
stracone te ruble... Przypuśćmy, że Kraszewski wy-
dawał w przecięciu na marki pocztowe, opłaty telegra-
mów i listów rekomendowanych, *jednego* tylko rubla
dziennie... Wyniesie to już rocznie: 365 rs. Pomnóżmy
je przez lat 58 a otrzymamy poważną sumę: 21.170 rs.

Użyjcie ten kapitał na przedsiębiorstwo jakie prze-
mysłowe, oddajcie wreszcie na godziwy procent, a po
latach pięćdziesięciu ośmiu będziecie mieli — krocie...

Pominawszy już wszakże same wydatki na kore-
spondencye, ileż one, niestety, pociągają jeszcze za sobą
najuczaiżliwszych obowiązków!...

Serdecznie przychodzi żałować nieraz ludzi z po-
dobną jak Kraszewski popularnością i sławą... Zape-
wne, ponętna to rzecz bardzo — wielkie, rozgłosne
imię. Nieomylimy się jednak, iż wielu wyrzekłoby się
chętnie i tej popularności i sławy, gdyby... gdyby im tylko
przyszło odpisywać, jak ongi Kraszewskiemu, w dniu
własnych imienin lub Nowego Roku, na kilkaset nieraz
telegramów i listów!... Inni w podobnych wypadkach
wyřęczają się całym zastępem pomocników lub sekreta-
rzy... Taki np. Scribe, Dumas (ojciec), Lopez de Vega
mieli, jak wiemy, po kilku lub kilkunastu najętych współ-
pracowników, którzy nietylko zastępowali ich w prywa-
tnej korespondencyi, lecz co ważniejsze *mnóstwo pisali
dzieł*, drukowanych później pod imieniem sławnych ich
pryncypałów... Ale Kraszewski nie miał nigdy ani je-
dnego sekretarza — wie o tem każdy, kto go tylko
znał nieco bliżej. Kładę też na to szczególniejszy nacisk,
bo nie chcę, aby go kto posądzał, iż zawezwał mnie do
siebie — na sekretarza lub kopistę. Błąd byłby to
wielki. Kraszewski mimo swej bajecznej twórczości, *ni-
gdy i nigdzie*, nawet przy pisaniu najprostszych listów,
nie wyřęczał się nikim, ani nie miał zwyczaju nic ni-

komu dyktować. Wiedzą o tem dobrze wszyscy jego znajomi i korespondenci. W ostatnich tylko pono tygodniach swego życia, gdy był już ciężko cierpiący, dyktował komuś kilka listów. A jak i pod tym względem do najwyższego stopnia był skrupulatny, dość przytoczyć fakt następujący:

19-go Marca roku 1880-go, t. j. w kilka miesięcy po słynnym jubileuszu krakowskim, pod którego uroczystym wrażeniem kraj cały pozostawał tak długo, posypały się ze wszech stron Europy i innych części świata, jako w dniu imienia Kraszewskiego, setki zbiorowych telegramów, adresów i listów. Przez cały pamiętny dla mnie ten dzień — drzwi niezamykały się formalnie. Listonosze, posługacze telegraficzni, kolejowi, posłańcy miejscy, a wreszcie liczni znajomi i nieznajomi Kraszewskiego, Polacy i cudzoziemcy, cisnęli się doń co chwila. Wszystkich też witał z serdecznością największą, z uprzejmością bez granic, z dziękami tysiącznemi.

Wyczerpany nakoniec nieustannem przyjmowaniem odwiedzających, ciągnął z nimi rozmowę i nadmiernym wreszcie ruchem — rozchorował się pod wieczór na dobre. Byłem więc pewny, że chociaż tym razem uda się nieco wcześniej na spoczynek. Okazało się jednak wkrótce, że źle go jeszcze znałem. Wierny bowiem swemu zwyczajowi, uwolniwszy się wreszcie od tłumy gości, zasiadł jak zawsze, do zwykłej pracy nocnej. Nie dziw też, że nazajutrz wyglądał, jak z krzyża zdjęty. Nie tylko bowiem cierpiał na okropną migrenę, ale nadto znów mu odezwała się — jak mi mówił — nad wyraz bolesna choroba kamienia . . .

Mimo to, zasiadł natychmiast do odpisywania na otrzymane telegramy, adresy i listy. Prosiłem go, by choć kilka godzin odpoczął; namawiałem, by zamiast odpisywać każdemu z osobna, ogłosił lepiej w dziennikach ogólne wszystkim podziękowanie za pamięć o dniu jego imienin. Wszelkie jednak przedstawienia moje w tym względzie nic nie pomagały. Twierdził uporczywie, że byłoby to obecnie prawdziwą z jego strony niegrzecznością, że uczyni to chyba kiedyś, gdy będzie już „bardzo, bardzo osłabiony,“ ale dziś, w kilka zaledwie miesięcy

po tylu dowodach „*żyźliwości*“ dla niego ogółu, nie chce i nie może w ten sposób odwdzięczać się nikomu . . .

Widząc tedy, że nie zdołam go przekonać, począłem prosić, by zdecydował się przynajmniej odpowiedzieć jednobrzniąco wszystkim osobom prywatnym i by pozwolił mi oryginał tej odpowiedzi skopiować w kilkuset egzemplarzach i zechciał tylko na nich podpisać się własnoręcznie.

— Wierz mi, kochany panie Aleksandrze — odpowiedział na to dziwnym jakimś, jakby wypraszającym się tonem — wierz mi, że chociaż umiem ocenić poczciwe twe intencje, w żaden jednak sposób nie mogę tego uczynić. Przekonałbyś się, że gdyby tylko jeden z podobnych listów dostał się w ręce którego z moich nieprzyjaciół, zarazby rozgadano, że zawsze i we wszystkim wyręczam się sekretarzami . . .

Zabrał się więc do odpisywania i na samą tę korespondencję poświęcił więcej niż tydzień czasu . . .

Z niemałym przeto zdziwieniem wyczytałem w jednym z numerów „*Kurjera Warszawskiego*“ (1887) w korespondencji p. G. S. z Genewy, wzmiankę o p. Oskarze Schneiderze — „*sekretarzu*“ (!) ś. p. Kraszewskiego. Pan Oskar Schneider, syn owej staruszki-Niemki, zarządzającej jego domem, *nie umiejący notabene ani słowa po polsku*, był i jest tylko . . . *technikiem i architektem*. Czy więc przy tych warunkach mógłby być „*sekretarzem*“ Kraszewskiego — osądźcie sami. Kraszewski zresztą, powtarzam, nie zwykł był nigdy wyręczać się w pisaniu nikim, ani nie nikomu dyktować lub dawać do przepisywania. Przeciwnie: gdy zaszła tego potrzeba, to sam osobiście *przerabiał i przepisywał na nowo (sic) całe tomy swych dzieł!*

A jeśli tak często powracam do onej briareuszowej jego pracy, to ze względu nie na samą już wyczerpaną jej różnorodność i mnogość, ale oczywiście i na jakość... Jeżeli bowiem trudną jest do zrozumienia strona jej *mechaniczna*, to o ileż więcej jeszcze zdumiewa wielka niejednokrotnie wartość jej literacka, ogromna częstość doniosłość jej społeczna! Niedosć tego.

Każdy z piszących wie aż nadto dobrze, iż w najdrobniejszy nawet utwór podobnej treści, jak olbrzymia

większość prac Kraszewskiego, potrzeba koniecznie tchnąć bodaj iskierkę swej duszy, cząstkę swego życia . . . Jakżeż więc olbrzymi to był duch! Jak niepojęta żywotność!!

„Mniemam — powiada o Kraszewskim Estreicher*), obliczywszy z ostatnich lat czterech jego prace — mniemam, że biegły kaligraf nie więcejby w tym czasie zdołał przepisać, gdy autor każde dzieło obmyślał mniej lub więcej kunsztownie, ożywiał nowe postacie, sam wszystko pisał, nieraz powtórnie przepisywał. Szybkość ta istotnie przechodzi wszelkie pojęcie! Mogę zdumiewać się nią, bo do pracy nawykłem. Ci tylko lekceważą to, którzy nie pracowali na seryo, więc też o takiej pracy nawet wyobrażenia nie mają. Zresztą dla ślimaków biegająca jest upokarzający; chcieliby, aby tak jak w bajce zasnął w połowie drogi, a wtedy go dopiero prześcigali.

„Wzruszajcie ramionami *maluczy i niedowiarcki!* On zawsze was *przerastać będzie!* Choć bowiem nie zawsze dopisywała mu fantazyja, choć niezawsze zdrowie skołatane szło w parze z umysłem niestrudzonem, owoc jednakże jego pracy, zawsze był zdrowy, posilny, po-krzepiający“ . . .

Tak — istotnie! Mimo wielu prac miernych lub bardzo nawet słabych, zdumiewać on będzie zawsze współczesnych i potomnych niewyczerpaną swoją płodnością i talentem! Gdyby jednakże znakomity ten pisarz był w stanie tworzyć bez porównania *mniej*, byłoby to *może* — lepiej . . . Wprawdzie nie mielibyśmy sposobności podziwiać już wtedy ogromu najróżnorodniejszych jego dzieł, ale za to literatura nasza zyskałaby niechybnie . . . Inna rzecz wszakże, czy wówczas wpływ Kraszewskiego *na masy* byłyby tak potężny. Bardzo być właśnie *może*, iż gdyby go niepożerała wieczna owa gorączka twórczości, wieczna owa żądza ciągłej zmiany tematów i rodzajów pracy, to nie byłyby w stanie wyrzec na naród ani połowy tego wpływu, jaki wywarł. Posłuchajmy zresztą, co on sam o tem mówi i jak stara się usprawiedliwić z czynionych mu w tym względzie

*) Jubileusz J. I. Kraszewskiego (odbitka z „Gazety Lwowskiej“) Lwów 1878. Str. 17,

zarzutów. Mamy właśnie pod ręką odpisy dwóch jego listów do John of Dycalp'a (Placyda Jankowskiego) z roku jeszcze 1841, oraz ustęp z jego autobiografii, kreślonej na samym już schyłku życia. W pierwszym z owych listów, pod datą 20. Kwietnia 1841 r. powiada:

„Zarzuciłeś mi, że się zbyt na drobne rozsypuję pisemka i trwonię, co tam we mnie jest daru (jeśli jest). Pozwól się wytłómaczyć. Mnie nie chodzi wcale o siebie, o moje pisma itd. Inny mam cel. Nie wierzę w nieśmiertelność literacką i nie wiele dbam o sławę. Mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem itd. poruszyć, rozruszać, zachęcić, aby otworzyć drogi drugim, rozrzucić kilka idei, błędzących mi po głowie. Oto mój cel, oto sława, której pragnę — sława pobudziciela. Dla tego to ja nie wypracowuję tego co piszę, ani dbam o przyszłość pism moich. Chodzi mi, abym zachęcił tylko, abym rozgrzał do pracy. Jedną drogę otworzywszy, rzucam się na drugą. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano, iżem się przyłożył do obudzenia ruchu unyślowego za moich czasów.“

W innym znowu liście, chwając się nakłanianiem nieznanych jeszcze autorów do prac literackich, pisze:

„Zobaczysz dalej, jakich to ja wywołam pisarzy całe nowych a wielkich zda się nadziei. Niechże mi choć tego nie odmówią kiedyś, żem zachęcał, wzywał i żem łącał, aby pisali i czytali. Powtarzam ci, to moja zasługa, którą wyżej cenię od dzieł wszystkich.“

We wspomnianej nakoniec autobiografii (ob. „Noce Bezsenne“ w „Tygodniku Ilustrowanym“ z r. 1888, Nr. 272, str. 162, szp. 3), pod wrażeniem snąc doznanych wówczas niezliczonych moralnych cierpień, tak się wyraża z nietajoną goryczą i żalem:

„Sądząc z tego, co mnie spotykało i spotyka za życia, nic lepszego nie spodziewam się w przyszłości.

„Dziś pewną względność ma jeszcze krytyka na... lata; czeka aż zamilknę... Słyszę tę wrzawę, jaka wkrótce powstanie przeciwko mnie — po ogłoszeniu nekrologu... Ci nawet, którzy pewne zasługi przyznawali „popularyzatorowi“ — dowiodą łatwiuteńko, jak o-

gromne krzywdy, jak straszny wpływ wywarła ta moja pisanina, ta bazgranina bez końca . . .

„Nikt z pewnością surowszym być nie może dla siebie, nademnie samego. Znam doskonale strony ujemne pism moich; ważyłem i rozważałem nieraz: czym nie miał umilknąć lub zmienić trybu pracy. Z tem wszystkiem pozostałem przy nałogu i systemie złym czy dobrym, ale jak mi się zdawało i zdaje, do potrzeb czasu zastosowanym.

„Nie będę się tem przechwalał, lecz sumienne rozpatrzenie się w różnorodnych moich pismach, łatwo uczciwego krytyka przekona, żem *dawno* podnosił myśli, notował dezyderata, rozpoczynał wiele rzeczy, które *dopiero dziś* się rozwijają i w życie wchodzi.

„Nie jedno z takich pragnień lat dziesięć i więcej czekało. Myśl rzucona przezeń, zapomniana została, ani ja się o jej własność i początkowanie upominać będę, ale pocieszam się tem, żem wiele przewidywał i przeczuł. *Więcej z pewnością pozaczynałem, obmyślałem, nie podobałem jako-tako wykończyć.*

„Naturalnie innych temperamentów i charakteru ludzie, zarzucać mi to będą, iż należało się ograniczyć, mniej robić, a staranniej i lepiej. *Alé Pan Bóg mnie stworzył takim a nie innym — poszedłem za wskazówkami własnego ducha, niemogłem inaczej.*

„Tak samo możnaby zarzucać krokwi, że nie została belką, albo sośnie, że nie jest dębem“ . . .

I zaiste! Zdołał go kto za to potępić naprawdę?!...

Ale wróćmy raz jeszcze do trybu życia Kraszewskiego w Dreźnie.

Powiedziałem już, że przez pierwszych parę godzin zrana, t. j. do 11-tej przed południem Kraszewski przeglądał dzienniki, czytał otrzymane listy i niezwłocznie na nie odpowiadał.

Idźmy dalej.

Od 11-tej do 1-szej przyjmował zwykle gości. Od 1-szej do 2-giej znowu przeglądał nadesłane książki i dzienniki lub odpisywał na listy. Punkt o 2-giej zasiadał do

obiadu, który trwał najdłużej do 3-ciej. Od 3-ciej do 4-tej (w lecie), a gdy sprzyjała pogoda, czasem i do 5-tej, odbywał zwykle dość dalekie spacery powozem lub pieszo . . . Wróciwszy do domu, znów do godziny 6-tej przeglądał otrzymane dzienniki lub książki, rozcinał wszystkie kartki, robił notaty, zbierał materiały, wertował różne źródła, czytał nadsyłane z różnych stron korekty (niektórych dzieł własnych i obcych, wydawanych przez siebie), czytał *tomowe* nieraz rękopisy, rozmawiał z domownikami, najrozmaitsze im dawał zlecenia itd. itd. Od 6-tej do 7-mej, t. j. do wieczornej herbaty, grywał na fortepianie i organach (harmonium) lub wzdłuż kilku pokoi przechadzał się w zamyśleniu, układając może plany przyszłych swoich utworów, a może . . . może marząc o przeszłości i o najbliższych swemu sercu . . .

Wszak wszystkich ich oddawna los rozrzucił po świecie i daleko i szeroko! Było więc o czem podumać i zatęsknić było za czem . . .

W niedziele zaś i święta Kraszewski bawił się dla rozrywki rysunkiem i malarstwem; widziałem tysiące, literalnie: *tysiące* prac jego w tym rodzaju, wykonanych na płótnie, na papierze, na drzewie, na szkłe i na porcelanie — piórem, ołówkiem, farbami. Dawniej zajmował się jeszcze, jak wiadomo, kompozycją muzyczną i rytmnictwem! A liczne tego ślady pozostały po nim dotąd. Dochowało się między innymi i kilkaset blach miedzianych, własnoręcznie niegdyś przez niego rytych.

Najdziwniejszem jednak może jest to, że przy tak różnorodnych i niezliczonych zajęciach, umiał on zawsze jak najzwyczajszy śmiertelnik, znaleźć czas na wszystko. Patrząc nań z bliska, nie byliśmy go w stanie zrozumieć tem bardziej. Dodajcie nadto, że odbywał corocznie dość dalekie podróże, że miewał w lecie codzieln czas na przechadzki, że codziennie przyjmował gości, że sam nawet niekiedy bywał u znajomych, że miał jeszcze czas zajmować się drobnostkami domowemi; dodajcie, że przy tem wszystkim wiecznie był chory, że od lat wielu okropnie kaszlał, a gdy cokolwiek chciał prędko powiedzieć, dusiło go w piersiach i brakło mu głosu; dodajcie, że gdy bawiłem u niego, liczył już około lat

70 i . . . pojmijcie teraz zwykłym, ludzkim rozumem, jak się to wszystko działo !

Nie wiedziałem też zaprawdę, co w nim bardziej podziwiać : czy ów wszechstronny jego umysł, czy tę olbrzymią jego pracowitość, czy ten brak wszelkiej próżności i pychy, czy tę wreszcie gołębią jego prostotę, pozwalającą mu zniżać się do najpoziomszych nawet umysłów, czy tę nakoniec zawsze i wszędzie jednaką jego gotowość do wszelkich prac i usług dla dobra ziomków i kraju.

Był to istotnie człowiek tak fenomenalny i nieodgadniony, że nie dziwię się wcale, iż są tacy, co nie mogą zwłaszcza uwierzyć w czarodziejską tę jego pracowitość i twórczość.

A jednak patrzyłem na wszystko — własnymi oczami.

Nie jeden wyobraża sobie, że Kraszewski wiecznie był zagrzebany w rękopisach i księgach, że pracował wciąż bez wytchnienia . . . Tak wszakże nie było. Co więcej, przez cały dzień prawie bywał on, jak widzieliśmy, zajęty jedynie : korespondencją, czytaniem, gościami, muzyką, malarstwem, przechadzka, kopiowaniem odwiecznych rękopisów i własnych brulionów, czem chcecie wreszcie, tylko bynajmniej nie pisaniem tysięcznych owych artykułów i setek dzieł, z których jest właśnie znanym najbardziej.

Oto, co sam nawet powiada w tej kwestyi, w jednym ze swych listów do Konstantego Podwysockiego (ob. „Książka jubileuszowa“, Str. LXII i LXIII): . . . „Pytasz mnie, skąd ja to biorę? A jednak *klnę ci się honorem, że więcej tracę czasu na rysowaniu, malowaniu, przepisywaniu nowych nut itp., na czytaniu i myśleniu, niż na pisaniu*. Tylko kiedy siądę pisać, to . . . przyczepiam się jak pijawka do papieru i pędzę do końca“ . . .

Nie uwierzycie też może, gdy powiem, że Kraszewski na cały ogrom wszystkich swych prac *literackich* potrzebował zaledwie 5 do 6 godzin dziennie, gdyż pisał mniej więcej od wpół do 8-mej wieczorem do 12-tej, do 1-szej lub najdalej do wpół do 2-giej w nocy, a przed ułożeniem się do snu czytał jeszcze zwykle

wszelkie nowości literackie, z których następnie umieszczał sprawozdania w różnych czasopismach i kronikach.

Po wieczornej herbacie nie przyjmował już nikogo. Teraz dopiero zabierał się do pisania na seryo. Wszystkie zajęcia jegoienne niczem jeszcze były w porównaniu z kilku godzinami tej pracy nocnej.

Zasiadłszy raz do biurka i przygotowawszy zawczasu pewną ilość piór gęsich*), pisał już bez wytchnienia, pisał nieustannie, nieoderwanie, z niedoścignioną szybkością. Na zapełnienie też drobnem a wcale wyraźnem pismem całej stronicy, potrzebował nie więcej jak parę minut czasu. Aby zaś nic nie zatrzymywało go w pracy, pisał zwykle na kartkach listowego papieru in 8-vo, który mu już dostarczano rozcięty.

Na biurku Kraszewskiego zastawałem też codzień to inne, a ogromne stopy tych kartek, zapisanych od pierwszej do ostatniej!

Rosłyż - bo one, rosły jak na drożdżach! . . .

„Zdumiony ogromem jego pracy — opowiada w artykule swym o Kraszewskim Michał Wołowski—**) pytałem go, skąd na to bierze czas.

— A, jakoś się znajduje — odparł. Tom złożony z 6 do 10.000 wierszy, piszę zazwyczaj dni dziesięć na kartkach po jednej stronie, piszę tchem jednym, bylebym miał przewodnią myśl i typy. Planów żadnych nie robię; zaczynam i dalej idzie jakoś samo, a nigdy na początku powieści nie wiem, co się w końcu stanie z jej bohaterami. Jakoś to tak samo płacze się i rozwiązuje. Gdy skończę, odczytuję całość. Co mi się nie podoba — odrzucam, nowe kartki wstawiam i na nich piszę. Rękopisu poprawiać nie lubię i nie czynię tego nigdy. Ten sam system mam względem prac swych historycznych. Nie zaczynam roboty, dopóki dobrze nie przetrawię materiału, który wszedłszy raz do głowy, już nigdy stamtąd się nie ulatnia.“

*) Stalowych nie używał nigdy. Lecz nie tylko w tem jednym trzymał się dawnych swoich nawyknień. Pracował zawsze w nocy przy lampie olejnej, a w piecach kazał zamiast węglem palić drzewem, chociaż to w Dreźnie bodaj czy nie należało do prawdziwych osobliwości... *Przyp. aut.*

**) „*Echo muzyczne, Teatralne i Artystyczne*,” Nr. 185 z 1887 r. artykuł p. t. „*Co mówił o sobie*,”

Mam jeszcze przed sobą luźną jakąś a ciekawą kartkę z dawnych rękopisów Kraszewskiego, kartkę, w której on sam tak się znów wyraża o swej twórczości i pracy :

„Pojmuję, że kto inny roztargniony, rozerwany na części nie byłby w stanie wydołać tym zajęciom . . . Jam nawykł . . . I póki tak jest, póki ten ruch unosi mnie, popędza, póki wir myśli cudzych i swoich porywa mnie i niesie, póty wam służę, piszę, żyję . . . Gdy raz zostanę w tyle, zechcę odpocząć, powiem wam już na zawsze : bądźcie zdrowi ! . . . O ! tyle jest w tem życiu goryczy, tyle nieprzyjemności powszednich, tyle do zniesienia od złości i głupstwa ludzkiego, że potrzeba głębokiego przekonania, silnego popędu, aby w niem wytrwać długo ! Gdy kiedyś widzem już tylko cudzej pracy będę i usiadę odpoczywać, pewnie mi się nie zechce drugi raz iść w ten ogień, w którym spaliły się najpiękniejsze lata mojej młodości . . . Ale nie żał mi ich ! Kilku przynajmniej uznało, żeśmy dopomogli rozwinięciu się u nas życia, ruchu umysłowego, żeśmy zachęcili przykładem, namową, rozruszali prośbami i sztyderstwem — tego nam dość, to nagroda nasza, to najpiękniejszy wieniec“ . . .

Bądź pozdrowiona święta cierpienia godzino,
Bólu, coś życiem nowem i tych łez przyczyną,
I Ty, coś mi go zesłał, niezbadany Boże,
I wy, których szyderstwo urągać mi może!...

Boleści! Witam ciebie zstępująca z nieba!...

Na tobie szaty z ognia, czerni i purpury,
Za tołą idzie orszak służebnie ponury;
Z pod nóg kędy się stopy dotkniesz kamiennem!,
Strumień krwi i łez strumień wytryska na ziemi,
Wichry cię poprzedzają, śmierć dogania błada,
Nad głową chmury sępów, kruków czarnych stada,
A gdzie płaszcz twój przesunie po kwiecistym łanie,
Smętarz, pustkowie tylko, jęk i narzekanie...

J. I. Kraszewski.

(„Hymny Boleści.“)

III.

Staranie Kraszewskiego o pozwolenie odwiedzenia Warszawy. — Mocno w tych czasach ożywiona korespondencya jego z żoną i Adamem Pługiem. — Rząd rosyjski nie zezwala na przyjazd naszego pisarza do Warszawy. — Nader smutny stan jego zdrowia. — Wyjazd do Homburga i Gasteinu. — Dłuższy pobyt w Hyères. — Kraszewski na Międzynarodowym Kongresie Literackim w Wiedniu. — Smutna zapowiedź „początku końca.“ — Niespodziewana rewizya w domu Kraszewskiego w Dreźnie. — Projekt natychmiastowego przeniesienia się do Szwajcaryi. — Fatalne skutki niewykonania wówczas tego projektu. — Ponowne wędrowki tu i ówdzie dla poratowania zdrowia. — Testament z 24. Marca 1883 r. — Niezmiennie zawsze interesowanie się Kraszewskiego wszystkimi i wszystkiem. — Pismo zbiorowe „Ziarno.“ — Pomoc dla Łużyczan. — „Macierz Polska.“

Po przybyciu mojem do Drezna i zamieszkaniu u Kraszewskiego, przekonałem się, iż najbardziej zajmującą go wówczas myślą (w Styczniu 1880 r.), był projekt odwiedzenia rodziny. Mówił mi o tem często, przygotowywał się do tego nieustannie, a do mieszkającej w Warszawie małżonki, do braci i synów, słał listy za listami. Korespondencya zwłaszcza z żoną, musiała w tym czasie ożywić się niezmiernie, bo pomnę, że przychodziły wówczas listy od pani Kraszewskiej po dwa i trzy razy na tydzień, a każdy z nich nacechowany był zwykle prawdziwem uwielbieniem dla małżonka.*) Wszystkie też one niemal zaczynały się od słów: „A-niele mój najdroższy!“, a kończyły słowy: „Całuję ręce i nogi Twoje“ (sic).

Niedziw tedy, że do myśli odwiedzenia w Warszawie żony i reszty przebywającej tu rodziny, Kraszewski przywiązywał się coraz bardziej, że marzył o tem coraz częściej . . .

Wiedząc jednak dobrze, iż przyjazd ów do Warszawy mógłby być w pewnych sferach bardzo niechętnie widziany, nad wykonaniem tego projektu namyślał się długo, bo oto jeszcze i w połowie Kwietnia 1880 r. — a więc w kilka już miesięcy po powzięciu zamiaru — pisał do najwierniejszego ze swych przyjaciół, czcigodnego Adama Pługa,**) serdecznie go prosząc, by postarał się o to, aby tego pierwszego po tylu latach pobytu, nie utrudniano mu publicznemi przyjęciami . . . „Pragnę być w Warszawie — powiada w owym liście — dla widzenia się jedynie z familią i dla kilku Was przyjaciół. Żadnych przeto publicznych przyjęć nie będę mógł akceptować . . . Tak dyktuje — rozum . . . Wiem,

*) Niezmierną ilość tych listów, równie, jak i mnóstwo innych familijnych, rozsegregowaliśmy wraz z Kraszewskim i ułożyliśmy chronologicznie. Uporządkowane więc przez nas zostały listy pani Kraszewskiej, braci: Kajetana i Łucyana, synów Franciszka i Jana, szwagra Gabryela Łuniewskiego itd.

Przyp. Autora.

**) Upредить tu winniśmy, iż w Rozdziale niniejszym nie raz nam jeszcze wypadnie bądź zacytować ciekawszy jaki ustęp z listów Kraszewskiego do Adama Pługa, bądź skorzystać niejednokrotnie z przytoczonych przezeń faktów w życiorysie Kraszewskiego (ob. „Kłosa“ z r. 1887.) *Przyp. Autora.*

że z dobrego serca, możeby mi chciano dać dowód współczucia, *ale toby mi więcej złego niż dobrego zrobiło* . . . Dlatego terminu przybycia nie oznaczam. Potrzebuję spoczynku i spokoju, a i tak wzruszenie będzie nad siły.“

Dla bliższego też zapewne porozumienia się w tej sprawie, na miesiąc może przed wysłaniem tego listu odwiedził dostojnego ojca w Dreźnie, p. Franciszek Kraszewski i przepędził z nim dni parę.

Nie sądzonem mu jednak było pragnienia tego urzeczywistnić, pomimo, że zaproszony wkrótce na zjazd historyków polskich ku uczczeniu pamięci Jana Długosza, znów znalazł się w murach starożytnego Krakowa, a więc o dzień tylko drogi od Warszawy . . . Bardzo też jeszcze długo a gorąco, zajmował się tą myślą, stęskniony i przeczuwający bliski swój koniec, nieszczęśliwy starzec . . . Aby doprowadzić upragniony ten projekt do skutku, czynił co tylko zdołał, kołatał gdzie tylko mógł . . . Niestety! Wszystko napróżno! . . . „Protektorowie — powiada Adam Pług — łudzili go coraz to nowemi obietnicami, aż w końcu oznajmiono mu, że może przybyć, lecz jedynie na Wołyń — w Warszawie zaś przejazdem kilka godzin tylko zabawić; a ponieważ jechać na Wołyń nie miał żadnej potrzeby, a dla widzenia się z rodziną i przyjaciółmi kilka godzin było za mało, nie korzystał więc z tego dobrodziejstwa i dał za wygraną dalszym staraniom.“

Znacznie zaś pierwej, bo od połowy 1880 r., i tak już smutny stan jego zdrowia zaczął pogarszać się coraz bardziej i bardziej . . . W pierwszych jednak miesiącach tegoż roku, skołatane to cierpieniami zdrowie o tyle jeszcze przynajmniej było znośne, że jak sam niejednokrotnie, miałem zreczność podziwiać, w ruchach swych bywał rzeźkim, zwinnym, młodzieńczym niemal, a mimo częstej duszności w piersiach, biegał zwykle po schodach swej willi (z parteru na pierwsze piętro) z taką szybkością, że pozazdrościłby mu mógł nie jeden dwudziestoletni młodzieniec . . . Nie długo to wszakże trwało! W połowie już bowiem 1880 r. czy wcześniej nawet jakoś, musiał rad nie rad udać się dla poratowania zdrowia najprzód do Homburga a pó-

źniej do Gasteinu, co jednak najmniejszej nie przyniosło mu ulgi.

W Grudniu też 1880 r. pisał do Pługa :

„Dzięki ci za życzenia. Ale, drogi, mój! Ja sobie już nie wiele obiecuję . . . Nie jestem wprawdzie chory ciężko, lecz tak osłabły, senny jakiś, znużony, iż mi ciągle przychodzi na myśl, że to już blisko końca. Mam zamiar wyjechać gdzieś, ale są i roboty i szkoda grosza i to pielęgnowanie swego zdrowia wydaje się mi prawie śmiesznem.“

Nie upłynął jednak i miesiąc, gdy smutna konieczność zmusiła go na nowo do troskliwszego nieco zajęcia się sobą . . . Przy końcu więc stycznia 1881 r. udał się do klimatycznej stacyi Hyères, w południowej Francyi, a przed wyjazdem już samym znów pisał do Pługa :

„Z niewymuszonym jakimś smutkiem szlę ci tych kilka słów pożegnania. Skłopotany jestem, znużony, smutny i jechać mi się nie chce a muszę i coraz się wewnątrz gorzej czuję. Jest to wyraźnie już ta starość, co łamie ciało, *nim złamie ducha*. Walczę z nią, ale nie przy mnie zostanie zwycięstwo, niestety!“

Przybywszy jednak na miejsce, odżył cokolwiek, poweselał, uspokoił się nieco, i byłby nawet może pod wpływem łagodnego klimatu znacznie przyszedł do zdrowia, gdyby . . . gdyby przy niesłychanie ruchliwym i czynnym swym temperamencie — sam, dobrowolnie nie kopał sobie grobu, nie dobijał się nadmierną pracą! Ale, niestety! Mimo najsurowszego zakazu lekarzy, by wszelkimi sposobami powstrzymywał się od zwykłych zajęć — oto co w tymże czasie donosił :

„Sługa wasz pisze trochę, a maluje zawzięcie. Że zaś maluje ogromne płótno, przy którym stać trzeba — stoi po trzy i cztery godziny, i to go męczy . . . Kończę „Króla chłopów.“ Więcej nie zrobię tu pono nic, albo tak jak nic, ale za to dużo, dużo — płótna zasma-ruję“ . . .

A na nieszczęście, wszystko na co patrzył, wszystko co otaczało go tylko — nęciło ku sobie niezrównanym urokiem zieloności i kwiatów . . . Mógłże więc

artysta i poeta całą duszą, jakim był Kraszewski, pozostać obojętnym na wszystkie te cuda i wdzięki wicznie czarującej i młodej kochanki swej — natury? Mógłże jej nie malować, nie zachwycać się nią ciągle? To też i nie dziw, że w jednym ze swych listów z Hyères woła z uniesieniem:

„A! gdybyście wy widzieli tę wiosnę tutejszą! Miły Boże! Z okien moich patrzę na płot, różowy cały od róż. Z drugiej strony białe i żółtawe różyczki japońskie okrywają całe parkany; dalej ściany okryte, jak płaszczem liliowym — glicyną; głogi, jak śniegiem osypane; żółte pachnące kassye, jakby złotem poobwijane; a nad tem wszystkim palmy, a pod tem wszystkim kaktusy... I cicho, pusto, cmentarno... W okolicy mieszkali niegdyś: Aug. Thierry, Vernet, opisywała ją George Sand. Jest to niby Wschód ze swą vegetacją i powietrzem. W dodatku dla pejsażysty mnóstwo studyów, a jam... jam taki — głupi, że maluję bez wytchnienia. Ale malując zapomina się przynajmniej o strapieniach i bólach“...

Potrzebaż dowodzić, że przy podobnych warunkach stan zdrowia znękanego chorobami starca, pomimo kilkumiesięcznej kuracyi w Hyères nie mógł poprawić się wcale? To też i nie dziw, że w końcu Sierpnia tegoż roku pisał co następuje:

„List Twój zastał mnie zwykle niedomagającego — istotnie chorem. Od dni kilku katar i kaszel przybrał do towarzystwa gastrykę. Tak mi niedobrze, że ledwie piszę, a że mam ciągle na pamięci mój poczęty rok 70, nie schodzi też z myśli: „*memento mori*.“ Nie smuci mię to, ale troskę czyni, bo dużo nieukończonych zostanie i bez ładu wiele.

„Tymczasem 15. lub 16. Września muszę dla stawienia się tylko, bo bez pożytku dla nikogo, jechać do Wiednia na ten tameczny Kongres Literacki, który Francuzom może się na coś przydać, ale nam z niego nic. A no — muszę. Towarzystwo Francuskie wymaga, w Wiedniu mówią: „Trzeba, żeby Polacy byli i pokazali się.“ Zatem chory czy zdrow — obowiąz-

zek.*) A jak powrócę potem — Bóg jeden wie. Ten rok klimakteryczny, ze wszech miar mi się dał we znaki. Czuję starość, a to . . . paskudna rzecz. Umierać — to nic; ale starzeć się — brzydtko!“

A w Marcu 1882 roku:

„Nic nowego, chyba to, że z kaszlu utrapionego zrobił się początek emfizemy, rozdęcia płuc . . . Jest to *początek końca*. A! co robić!“

Tak, był to już istotnie — „*początek końca*,“ i to nie tylko w znaczeniu mającego się rychło dosnuć wątką żywota nieszczęśliwego starca, ale i wiszącej już nad nim znanej katastrofy, której właśnie jeden z pierwszych aktów odegrał się 12. Kwietnia 1882 r.

„Wczora — pisał nazajutrz do Pługa, lecz nie zupełnie tym razem otwarcie i szczerze — wczora odbyła się rewizya w mych papierach, na żądanie sądu pruskiego, dla znalezienia listu jakiegoś dudka (?), nie mającego żadnej wagi (?), ale dlatego tylko, by mnie ukąsić. Rewizya z całym aparatem i ostrością. List się znalazł, a ja — rozchorowałem się. Ponieważ to już *trzecia* (?) przyczepka ze strony władz pruskich, a Sasi, gdy im co z Prus nakażą, jak opętani służą, i ponieważ okazuje się, że ja tu nigdy spokoju mieć nie będę — Bóg wie — gotówem po latach dwudziestu wyprzedać się ze stratą i emigrować, aby w południowych kantonach Szwajcaryi szukać spokoju. Jestem tak znękany i przybity, żem gotów już na to. Wczoraj byłem w gorączce, gdy się to stało — dziś gorzej mi jeszcze. Nerwy, piersi, wszystko zmęczone. Trzy godziny trwało poszukiwanie z całym rygorem . . . Myślałem, że padnę ze znużenia. Dziś całe kupy listów na podłodze, a ja... bezsilny.“

Na nieszczęście nie przyprowadził do skutku powyższego wówczas zamiaru opuszczenia jak najrychlej Drezna i zamieszkania w Szwajcaryi. A nie omyliły się

*) Czytelnicy przypomną sobie zapewne, że wówczas to właśnie, ów Międzynarodowy Kongres Literacki ofiarował Kraśszewskiemu, jako honorowemu swemu Prezydentowi, zaszczytne na nim przewodnictwo, którego on jednak nieprzyjął.

pono twierdząc, iż to go właśnie zgubiło. Gdyby był jeszcze w r. 1882 zdecydował się na wyjazd do którego z kantonów gościnnej Helwecyi lub do Włoch, uniknąłby był niezawodnie wszystkich tych kłesk i przesładowań, jakie w rok z górą potem spadły nań gromem... Ale z drugiej znów strony jeżeli co, to właśnie owo ociąganie się z wyjazdem, dowodzi najwymowniej, jak dalece Kraszewski nie poczuwał się do żadnej ciężkiej winy, jak dalece był pewnym, iż nawet wrogowie nie zdołają mu jej dowieść... Nie przypuszczał tylko widocznie, że przewrotność ich i nienawiść aż do takiego dójdzie stopnia...

Ale nie uprzedzajmy wypadków...

Zamiast tedy zupełnego wyjazdu do Szwajcaryi, zmuszony coraz smutniejszym stanem zdrowia, wyjechał wkrótce—do Ems i Gasteinu. Całe też lato 1882 r. znów leczył się u wód i znów niestety — bezskutecznie... Ale mógłże on marzyć nawet wówczas o polepszeniu swego zdrowia, skoro ani na chwilę nie danem mu już było zaznać spokoju?

„W ciężkim tym dla mnie roku — uskarża się Pługowi po powrocie do Drezna—różnych nieprzyjemności i *groźb* bez liku... Jan chory, córka chora, żona Franciszka także!... Słowem same troski!... A tu bądź co bądź, chcesz czy nie, musisz, choć serce boli, siadać i pisać, i myśli otrząsać wszelkie, aby lecieć gdzieś w światy fantazyi, gdy skrzydła obmokłe i połamane.“

W Grudniu zaś tegoż roku, znów się uskarża, ale już z najzupełniejszym poddaniem się losowi:

„Dziękuję Ci za pamięć. Jam milczał, bo byłem bardzo chory. Żołądek, pęcherz, a w dodatku i smutna oznaka — brzęknięcie nóg przykre, odjęły mi siły i ochotę do wszystkiego. Trwa to i teraz, ale już rezygnacya przyszła i spokój ducha. Nie wiele mi lepiej, lecz powiedziałem sobie: Bądź wola Twoja! i — odzyskałem przynajmniej spokój.“

W Kwietniu wreszcie 1883 r. przed wyjazdem do Pau pisze:

„Przez pięć miesięcy przesiadawszy zamknięty i coraz się czując gorzej, a ratując się tylko przyjmo-

waniem morfiny, zmuszony zostałem naostatek wyjechać i niby-to jadę pojutrze, we czwartek, ale jeszcze nie dopełniłem wszystkich formalności z *testamentem*, który postanowiłem spisać, więc się to znowu zapewne przeciągnie do soboty. Nie poznałbyś mnie: chodzę zgięty, oczy nabrzmiałe, nogi opuchłe, nudności ciągłe. O ile jednak mogę, trzymam się, pracuję i krzepię, i Panu Bogu dziękuję, że mi na to siły daje, bo było dni 10 do 12, gdy nic robić nie mogłem, tylko cały dzień drzemałem, a to mnie przeraziło. Trochem się dźwignął był, gdy wiadomość o chorobie żony, znowu mnie z nóg zwała. Dwa dziesiąta cztery godzin prawie chodziłem jak obłąkany. Dzięki Bogu, że napisała sama i uspokoiła mnie . . . A! gdyby choć nie zdrowie, ale przynajmniej znośna jakaś egzystencja! A tu nudności, wymioty, bezsenność i tak ciągle, a jedyny ratunek . . . trucizna — *morfium*.“

Wspomniany w powyższym liście *testament*, jest to właśnie ten sam, który 2-go Maja 1887 r. podał w swych łamach „*Kuryer Warszawski*.“ Przytaczamy go niemal w całości:

„W Imię Ojca i Syna i Duchą Świętego. Amen.

„Ja niżej na podpisie wyrażony, Józef Ignacy, syn Jana, Kraszewski, urodzony w Warszawie d. 26 Lipca*) 1812 roku, obecnie osiadły w Dreźnie, osłabiony na ciele, ale zdrów na umyśle — dla ułatwienia dzieciom moim rozporządzenia spadkiem po mnie, czynię następujący testament, którego ściśle wykonanie najmocniej im polecam. Majątek mój obecnie składa się: **1-mo**) Z placu i willi w Dreźnie (przy ulicy Nordstrasse NN. 30 i 31), na których oparte są dwie sumy hipoteczne, nie dochodzące jednak połowy szacunku tej własności; **2-do**) Z papierów wartościowych różnych, jakie po mnie się znajdują, a których wysokości wykazać nie mogę, gdyż ona się zmienia, zwiększyć się lub zmniejszyć może, oraz z pieniędzy w gotówce; **3-tio**) Z własności pism moich, dzieł drukowanych lub w rękopisie mogących pozostać, z których niewielka ilość i to tylko wyraźnemi kontra-

*) Omyłka to zapewne korektorska. Powinno być: 28 Lipca. *Przyp. Autora*.

ktami określona, sprzedaną została na wyłączną własność księgarzy, znaczniejsza zaś część należy do moich dzieci; 4-to) Naostatek z ruchomości, biblioteki, obrazów, starożytności, sprzętów, pamiątek jubileuszowych i tego, co tu w domu moim w chwili zgonu znajdować się będzie na parterze i na pierwszym piętrze. Przedewszystkiem żądam i proszę, aby wszystkim moim zobowiązaniom, kwitom, obligom, rewersom, rachunkom, należnościami jakiegokolwiek będą natury, najprzód zadłość uczyniono, opłacając takowe bez sporu i trudności. Ponieważ ciągle prawie się to zdarza, iż miesiam u siebie deponowane sumy, dla różnych instytucyj przeznaczone, a do mnie nie należące, wszystkie takie depozyty, komu właściwa, natychmiast zwrócone być mają; między innymi wymieniam tu tylko 20,000 marek w biletach Tow. Kred. Miasta Warszawy, przezemnie złożone w Banku Saskim (*Sacchsische Bank*), które są własnością publiczną, na stypendya dla uczniów niezamożnych przeznaczoną — kupony od tych biletów znajdują się w Warszawie, w ręku komitetu, do rozdawnictwa stypendyów ustanowionego. Oprócz tego depozytu, mogą być i inne publiczne i prywatne, na które kwity moje się ukażą. Te więc wszystkie naprzód zwrócone być powinny. Wszelkie wydane przezemnie obligi, zobowiązania, rachunki, przedewszystkiem z pozostałości w gotówce i papierach wypłacić proszę bez zwłoki.“

Tu następuje dział między rodziną i żoną, który pomijamy. Dalszy zaś ciąg testamentu brzmi :

„Zbiór pamiątek jubileuszowych synowie moi zachowają w całości nie rozpraszając go i mogą złożyć jako depozyt, nie wyrzekając się własności, w jakim publicznem muzeum. Zostawiam to do ich narady i rozporządzenia. Bibliotekę, rękopisy itp. zapewne sprzedać byłoby najwłaściwiej, gdyż znaczniejsze nasze biblioteki i muzea książek tych nie potrzebują — pomnożyłyby one tylko liczbę ich duplikatów; wartość zaś Biblioteki jest dosyć znaczną. Zbiór listów i cała korespondencya tak oprawna i uporządkowana, jak inna, z wyjątkiem listów familijnych, oddane być mają Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Co

się tyczy pism moich drukowanych, objaśnić muszę, że panowie wydawcy, z wyjątkiem tych, którzy mają wyrażone na piśmie zapewnienia i kontrakty, do nowych wydań nie posiadają żadnego prawa i te należą do rodziny, która zaraz po zejściu mojem ogłosić powinna, że nieprawnych wydań i przedruków poszukiwać będzie. Pan Gracyan Unger w Warszawie ma na składzie kilkadziesiąt tysięcy tomów, pozostałych z wydania jubileuszowego, z których obowiązany jest zdać rachunek przed komitetem i sukcesorami moimi. Oprócz tego byli ze mną i są w stosunkach — co rachunki okazać mogą — głównie następujący wydawcy: pp. Gebethner i Wolff, Spółka Księgarzy Warszawskich, p. Michał Glücksberg tamże, p. S. Lewental, tamże. We Lwowie pp. Gubrynowicz i Schmidt. W Poznaniu p. J. K. Żupański. Co się tyczy p. J. K. Żupańskiego, wydane u niego tak pisma Bolesławity, jak wszystkie inne, przechodzą na własność moich spadkobierców, gdyż prawa żadnego innego nad jedną edycję niema do nich p. Żupański. Inni nakładcy, tu nie wymienieni, gdyby na nowo wydawać chcieli pisma moje, wykazać się powinni prawem do nich, wyraźnie kontraktem zastrzeżonym, gdyż wogóle jedno tylko wydanie zawsze ustępowałem przy umowie, własność zastrzegając sobie.

Spełnienie tej mojej woli ostatniej, o ile możności bez interwencji sądów i urzędów, bez sporów i zgodnie, polecam kochanemu bratu mojemu Łucyanowi wraz z młodszym synem moim Franciszkiem, których egzekutorami naznaczam, zaklinając i prosząc, ażeby starali się bez wszelkich zatargów i sporów załatwić wszystko. Synowi memu starszemu, Janowi-Albinowi, dlatego nie zlecam egzekucyi, iż zatrudnienia jego zająć by się nią nie dozwoliły. Życzeniem jest mojem, aby serce z ciała wyjęte, osobno złożone zostało w Warszawie, w kościele ś. Krzyża, gdzie byłem chrzczony. Ciało zaś, gdzie okoliczności dozwolą pogrzebione. Pogrzeb ma być jak najskromniejszy, jak najmniej kosztowny. Do tego testamentu, urzędownie sporządzonego, gdyby się później okazała potrzeba uczynienia jakich zmian i dodatków, choćby

nieurzędowych*), proszę usilnie egzekutorów, aby takowe, jako wola moja, poszanowane i spełnione zostały, równie z urzędowym aktem.

„Data w Dreźnie d. 24 Marca w Wielką Sobotę 1883 r., co własną ręką podpisuje.“

Józef Ignacy Kraszewski.

Testament, którego tu treść przytoczyliśmy, był — jak okazuje się z ciągłej korespondencji Kraszewskiego z Pługiem — przedmiotem długich jego walk i namysłów, bo oto co sam powiada w tej kwestyi, w liście z 5-go jeszcze Czerwca 1881 r.

„Zdrowie moje niedobre, bardzo niedobre! Biję się teraz z myślą zrobienia testamentu, który jest obowiązkiem, a tu mieszkając pod prawem saskim, muszę go pisać po niemiecku. Sam nie wiem jeszcze, jak to zrobić: czy dwa — polski i niemiecki, czy jeden tylko, aby prawny był. Zachodzi też trudność rozporządzenia zbiorami pamiątek jubileuszowych. Mają one oprócz szacunku największego pamiątki, wartość materyalną. Pozbawić familię tej spuścizny, nie wiem czy się godzi, a dać się jej rozprószyć??... Biblioteka polska bardzo ciekawa, nawet pod względem bibliograficznym, zbiór znaczny... rozprószy się naturalnie. Szkoda, ale to nieuchronne (?). Jestem w wielkiej niepewności, co z tem zrobić. Rozporządziłbym za życia, sprzedając w jedne ręce, ale kto to kupi?... Więc czy łasce Bożej i losowi powierzyć wszystko, nic nie robiąc? Biję się z tem.“

Obok ciągłych tych trosk o przyszłe losy mającej po nim pozostać spuścizny i smutnych myśli o zgonie, obok zawsze jednakiej a nigdy dla nas niepojętej jego twórczości, obok przenajróżniejszych wreszcie zajęć i co niemniej ważne, obok tak ze wszech miar bolesnych cierpień moralnych i fizycznych — ileż jeszcze sturamienny ten olbrzym miał czasu i na to, by śledzić jak najpilniej ruch literacki, naukowy i artystyczny w kraju i zagranicą, by wszystkimi i wszystkiem interesować się

*) O istnieniu właśnie takiej dopełniającej woli testatora, dzienniki po jego zgonie donosiły niejednokrotnie. Dlaczego wszakże treść jej nie została ogłoszoną — nie wiemy. *Przyp. Aut.*

jak najżywiej! . . . Nie! drugiego podobnego kolosu tak niesłychanej pracowitości i żywotności duchowej, nie wskaże nam żaden inny naród na ziemi! To też wierzymy najmocniej, iż po wszystkie wieki i czasy, najdalsi nawet nasi potomkowie nie przestaną być dumni fenomenalnym tym mężem . . .

A był to mąż istotnie pod każdym zgoła względem — zadziwiający . . . Zgodnie też z przyjętą przez się zasadą: „*Homo sum, humani nihil, a me alienum puto*“ — interesował się on, jak rzekliśmy, wszystkim, co tylko człowieka interesować jest w stanie . . . Nie było przedmiotu, umiejętności, sztuki, nie było wybitniejszej w jakimkolwiek narodzie postaci, nie było faktów i zdarzeń, o którychby nic nie wiedział lub w niezliczonych swych korespondencyach do dzienników i przyjaciół, bodaj raz jeden nie potrącił. Od najgłębszych zagadnień filozoficznych do . . . najpospolitszych płatnych ogłoszeń w „*Kuryerze Warszawskim*“, na które niejednokrotnie zwracał moją uwagę — nic nie było mu obcem! . . .

Cóż więc już dziwić się temu, że i „do każdej sprawy publicznej — pierwszy stawał na zawołanie.“ I tak np.:

„Gdyśmy tu przed laty — powiada Adam Pług — wydawali „*Ziarno*“ na rzecz Ślązaków, zaproszony do udziału w niem, przysłał natychmiast artykuł i rysunek, a gdy wyszło, powitał je z radością:

„*Ziarno*“ byłoby wspaniałe — pisał o niem — gdyby papier i odbicie odpowiadały układowi i rysunkom przeslicznym. Ale papier nie tęgi, a druk nieosobliwy. A! co robić. Za to imponująca liczba pracowników, która mówi wiele, znaczy wiele. Ja się ucieszyłem niem niezmiernie i tem, że wszyscy do apelu stanęli. Obok Świętochowskiego — biskup Janiszewski, obok Ochowicza—Odyniec, jest nawet Klaczko! Sto lat minie, nie zejda się już drugi raz tak wszyscy!“

Potem znów — dodaje tenże sam autor — gdy ś. p. Jan Ernest Smoler kwestował na Łużyczan, jakże gorąco brał Kraszewski to zadanie do serca! Przypuszczając, że możliwą byłoby rzeczą, na cel ów jakąś cząstkę z „*Ziarna*“ poświęcić, kołatał o to kilkakrotnie:

„Potrzeba wielka — pisał — obowiązek wielki rzekłbym, konieczność wielka ratowania tych biedaków. Zlitujcie się nad ich duszami, bo o dusze tu chodzi, bo inaczej ich — zniemczą! Proszę, błagam, do nóg waszych się zniżam: dajcie, a dajcie jak najwięcej!“ ...

Nie poprzestawał zaś w żadnym z podobnych wypadków *na błaganiu tylko o pomoc innych*, ale i sam w miarę swych środków, o czym nie wszyscy może wiedzą, *sypał grosz hojną ręką na wszelkie szlachetne cele...* I na Łużyczan też, jak wiadomo, ofiarował w swym czasie *kilkaset marek*. Suma to zapewne nie zbyt imponująca. Ale gdzie jest ów polski magnat, któryby pomimo błagań Kraszewskiego, *odżałował* był wówczas choć połowę tej kwoty dla nieszczęśliwych naszych pobratymców? Nie poskąpił jej wszakże — Kraszewski...

Ale co prawda, był i to przecie magnat, magnat o całe niebo wyższy od każdego z naszych „nieobecnych“, bo — magnat rozumu i serca ...

A ileż to znowu trudu, ileż zabiegów i grosza (o czym równie wie tylko kilka otaczających go wówczas osób) kosztowała Kraszewskiego „Polska“ owa „Macierz“, która i dotąd jeszcze — pomimo najlepszych swych chęci — daleką jest od ideału, jaki zakresił szacownej tej instytucji, nieodżałowany jej inicjator i twórca ...

Pocieszajmy się jednak wraz z Kraszewskim, że „choćby i były jej jakie omyłki — przyszłość je poprawi.“ A śnać nie wątpił on o tem wcale, skoro wkrótce po ukonstytuowaniu się „Macierzy“ pisał:

„Szczęśliwy jestem, że 70-ty rok mego życia zaznaczyłem doprowadzeniem do skutku myśli od r. 1858 noszonej ciągle i kilka razy już zawiedzionej.“

Licha to wartość tej krzyczącej sławy
I wielka bieda wielkie nosić serce,
Proporcem bywać obcej sobie sprawy,
Raz być na chwale, stokroć w poniewierce..

Teofil Lenartowicz.

Więce Mu kraj uwił świetne,
Za powiew ducha bogaty...
Wszystko — co w świecie szlachetne,
Pod nogi słało Mu kwiaty...

Miał i w Prusakach czcicieli,
Co ducha czcili w Nim siłę —
Więce Mu usypać pragnęli
W podziemiach twierdzy — mogiłę...

Autor: „Strof.“

IV.

Aresztowanie Kraszewskiego w Berlinie. — Wzięcie w Moabicie. — Arnim Adler. — Dalsze aresztowania w Dreźnie. — Uwięzienie kapitana Franciszka Hentscha. — Bronisław Żalewski, jako mimowolny sprawca wszystkich nieszczęść Kraszewskiego. — Nadzwyczajna jego twórczość w Moabicie. — Tymczasowe uwolnienie za kaucyą i powrót do Dreżna. — Moralne i fizyczne cierpienia. — Jedyne na nie lekarstwo — nadludzka niemal praca. — Kraszewski opuszczony przez wszystkich swych tak zwanych: „przyjaciół i wielbicieli“. — Odprawa nikczemnym jego potwarzom i oskarżycielom. — Najszlachetniejsi nasi... Krezusi. — Kłopoty finansowe Kraszewskiego. — Wyjazd do Lipska. — Redaktor „Kuryera Porannego“, Feliks Fryze. — Dziennikarstwo krajowe wobec sprawy Kraszewskiego. — Kraszewski przed najwyższym trybunałem Państwowym w Niemczech. — Akt Oskarżenia i List księcia Kanclerza. — Scena po odczytaniu Listu Kanclerza na rozprawie sądowej. — Dlaczego Bismarck usiłował spotwarzyć naszego pisarza. — Ostateczne rozprawy sądowe. — Dr. Bruno Saul... „obrońca“ Kraszewskiego. — Wyczekiwanie wyroku. — Wyrok. —

Ponowne uwięzienie Kraszewskiego. — Bolesne rozmyślenia na ten temat. — Przybycie do twierdzy Magdeburgskiej. — Tryb życia w więzieniu tamtejszem. — Prace literackie. — Względność władz więziennych dla Kraszewskiego. — Starania królowej Matyldy i innych wysokopolożonych osób o uwolnienie naszego więźnia. — Rząd udziela mu jedynie „sześciomiesięczny wlopi” na wyjazd za kaucją do Włoch.

... „Szczęśliwy jestem“! — ostatni to już raz chyba w życiu,*) usta jego o sobie wyrzekły te słowa... Odtąd bowiem to życie, pełne tryumfów i chwały, zmienić się miało zwolna w istną torturę, w istny pręgierz moralny... Początkiem dlań jednak najcięższych prób i boleści stać się miał dopiero — dzień 13-go Czerwca 1883 r. Tego to dnia właśnie, gdy Kraszewski mocno zmęczony i zchorowany, wracał z pod Pireneów, z klimatyczno-leczniczej stacyi Pau — został najniespodziewaniej na rozkaz księcia Bismarka, uwięziony w Berlinie, gdzie dla odpoczynku zatrzymał się chwilowo w hotelu „Kaiserhof,” a gdzie czatowano już tylko, aby go pochwycić...

Aresztowanie to, według doniesienia jednego z ówczesnych telegramów, miało się odbyć w sposób następujący:

Zaledwie Kraszewski przybył do hotelu, pojawiła się w biurze tegoż komisya policyjna, która poleciła zaprosić przybyłego do biura hotelu pod pozorem, że jakiś znajomy pragnie z nim mówić. Kraszewski usprawiedliwił się, iż będąc zmęczony podróżą, nie może zejść na dół i prosił owego pana na górę. Wtedy komisya udała się do numeru, zajętego przez Kraszewskiego i oznajmiła mu rozkaz aresztowania. Kraszewski nie robił naturalnie żadnych trudności i udał się niezwłocznie z komisją. Rzecz odbyła się tak cicho, iż w hotelu nikt nawet na razie nie spostrzegł, co się dzieje.

.

*) Ob. zakończenie Rozdziału poprzedzającego.

I powleczono niespodzianym tym ciosem zgnębio-
nego a schorzałego starca w mury więzienia Moabitu...

Tu dopiero okazało się, iż padł on ofiarą nikczem-
nej denuncyacji jednego z najohydniejszych nędzników,
jakich zna historia naszych czasów, niejakiego Arnima
Adlera, dziennikarza z Wiednia, który mając widocznie
nadzieję, że przypodoba się tem „Żelaznemu kancle-
rzowi“ i zrobi karierę, odwdzieczył się Kraszewskiemu
w tak haniebny sposób za wszystkie doznane od niego
dobrodziejstwa, jakie czcigodny ten mąż, *nieznając go
jeszcze bliżej*, wyświadczył mu niegdyś.

„Pamiętam — odpowiada pani Heinitz — pier-
wszą wizytę Adlera.*) Przyszedł on do nas jak żebrak,
błagający o wsparcie, zgięty we dwoje, całując niemal
po rękach p. Kraszewskiego. A potem wchodził tu jak
do własnego domu, z największą arogancją“...

Dzięki też temu nikczemnikowi, na kilka dni je-
szcze przed aresztowaniem Kraszewskiego odbyła się
w obecności Nadprokuratora saskiego Rosstäuschera, po-
wtórna, ścisła rewizya w willi pisarza naszego w Dreźnie,
a w ślad za nią, zostali aresztowani: ex-major wojsk
rossyjskich, Stefan Bohdanowicz, znany tłumacz na ję-
zyk niemiecki kilku powieści Kraszewskiego i autor
ogłoszonego o nim w tymże języku studyum, oraz wła-
ściciele fabryki papierosów, bracia Władysław i Jerzy
Konopaccy, z których ostatniego wypuszczono z więzie-
nia natychmiast, a dwóch pozostałych, nieco później.
Fakt ten jednak dowodzi, iż Kraszewski na pewien czas
przed uwięzieniem, otoczony być musiał całą czeredą
tajnych ajentów pruskich nietylko w Pau, Paryżu i Ko-
lonii — o czem zresztą w swym czasie donosiły dzien-
niki — ale głównie i przede wszystkim... w samym
Dreznie. Wiedzieć bowiem potrzeba, że pp. Stefan Boh-
danowicz i Władysław Konopacki należeli istotnie do
najbliższych z pozostałych jeszcze w Dreźnie znajomych
Kraszewskiego. Pomimo tego wszakże, obaj ci panowie
dalecy byli od mieszania się w jakiegokolwiek sprawy po-
lityczne... A przekonać się o tem musiał i sam rząd

*) Ob. *Jankowski Czesław*: W willi Kraszewskiego. „*Ku-
ryer Warszawski*,” Nr. 206 z 1884 r.

niemiecki, skoro uwolnił ich niebawem od wszelkiej odpowiedzialności.

Równocześnie z rewizją w willi Kraszewskiego, z której zabrano do Moabitu całą jego korespondencję i wszystkie papiery — uwięziono w Schönebergu pod Berlinem wysłużonego kapitana, a późniejszego urzędnika telegrafu, Franciszka Hentscha, oskarżonego równie o udział w tej sprawie. Nie będziemy tu jednak zajmować się nią szczegółowo, gdyż w niedalekiej przyszłości, zamierzamy poświęcić bolesnej tej epoce w życiu Kraszewskiego — oddzielne studyum. Na tem więc miejscu postaramy się z niej przypomnieć najważniejsze tylko fakta :

Zmarły jeszcze w roku 1880 Sekretarz i Bibliotekarz Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, Bronisław Zaleski, zasłużony pracownik na niwie społecznej i literackiej oraz jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Kraszewskiego, znalazłszy się na emigracji w bezwarunkowej pozycji, zgłosił się do autora „*Tułaczy*“ z gorącą prośbą, by zechciał mu pośredniczyć w dostarczaniu dla jednej z redakcyj paryskich, pewnych materiałów, dotyczących wojskowości w Niemczech, za co Zaleski przyrzeczone miał dość wysokie honorarium, które dla pozbawionego wszelkich zasobów i ciężko schorowanego tułacza, stać się mogło jedynym środkiem ocalenia . . . Nie dziw przeto, iż człowiek tak nieocenionego serca, jak Kraszewski, nie mógł pozostać obojętnym i głuchym na błagania dotkniętego ciężką niedolą przyjaciela, któremu znów osobiście nie był w stanie przyjść wówczas (w roku jeszcze, jeśli się nie mylimy, 1875) z żadną znacznieszą pomocą materialną . . . Wpłątany tym sposobem przez niewyczerpaną swą dobroć w arcydrażliwą sytuację — musiał już brnąć dalej . . .

Inaczej nieco smutny ten fakt przedstawia we wspomnieniu swem o Kraszewskim, Teofil Lenartowicz.*) Tłumaczy się to wszakże tem, że nie był on wtajemniczony, jak sam to wyznaje, w bliższe szczegóły życia Kraszewskiego z lat ostatnich.**)

*) „*Kuryer Warszawski*,” Nr. 97 z 1887 r., fejleton.

***) Ibid.

rakteru jego stosunku z Bronisławem Zaleskim, skoro pisze: „Powiedziano mu (Kraszewskiemu) pewnego dnia w Paryżu: „*będziesz użyteczny*,” i poddał się i uwierzył“... Wątpię o tem najzupełniej. Coś podobnego mógłby mu chyba powiedzieć sam tylko Bronisław Zaleski, i jego to tylko chyba miał tu na myśli nieodżałowany śpiewak „*Lirenki*.” Ale Zaleski błagał Kraszewskiego o pomoc — *dla siebie przede wszystkim*, i stąd też jemu to głównie, a nie komu innemu w Paryżu, mógł Kraszewski zapragnąć „*stać się użytecznym*.” Tak przynajmniej świadczą liczne listy Zaleskiego, jakie niedgdyś miałem w swem ręku. Co ważniejsze, przypominam sobie nawet, że gdy rozmawiałem raz z Kraszewskim o Towarzystwie Historyczno-Literackiem w Paryżu i nadmieniałem przy tej sposobności, że wczora właśnie przy segregowaniu różnych listów, przeglądałem także listy Bronisława Zaleskiego...

— A prawda, że ciekawe? — przerwał mi Kraszewski. Muszę ja tylko — dodał — powycinać z nich niektóre ustępy, bo kto to wie, w czyje to dostanie się ręce, a mogłoby być źle zrozumiane. Dobrze przynajmniej, że choć kochany pan je czytałeś, bo w razie czego mógłbyś zaświadczyć... Życzliwi mi, wiem, że nie wynioskowałiby z nich nic złego, ale niechętni, Bóg wie o jakie potworności gotowiby mnie posądzać... A! Muszę to powycinać, muszę...

I... powycinał.

Najuroczyściej wszakże mogę zapewnić — choć uważam to zresztą za rzecz zupełnie zbyteczną — iż nie było w nich nic a nic zgoła uwłaczającego honorowi Kraszewskiego.

We wspomnianym jednak artykule Czesława Jan-kowskiego*) znajdujemy jeszcze pewien, wielce zastanawiający nas ustęp. Oto on:

... „Rozmowa (z panią Florą Heinitz) zeszła, rzecz prosta, na temat uwięzienia i procesu.

„Pani Heinitz dotknęła tych bolesnych wspomnień, z goryczą i oburzeniem odzywając się o osobistościach, które w fatalną sprawę wplątały sędziwego pisarza.

*) „*Kurjer Warszawski*,” Nr. 206 z 1884 r.

„Szczegółów nie powtarzam, jako nieprzeznaczonych do niedyskretnego rozpowszechnienia drukiem. Jednego tylko przemilczeć nie mogę, a mianowicie, iż *główny winowajca i sprawca całego nieszczęścia, niewykryty, a raczej doskonale osłonięty*. Dla Kraszewskiego wystarczyło powiedzieć jedno słowo, jedno nazwisko wymienić . . . ale to słowo przez usta jego nieprzeszło“ . . .

Niepodobna przypuścić, by ciężkie to oskarżenie mogło się odnosić i do ś. p. Bronisława Zaleskiego, jak i trudno mi uwierzyć, powtarzam, by chciał kiedy Kraszewski stać się w podobny sposób „użytecznym“ w Paryżu komubądźkolwiek innemu. Wszakże to po zgonie Zaleskiego (1880), zerwał on natychmiast wszelkie stosunki z Adlerem i Hentschem, *którzy mu dostarczali, jak okazało się, żądane przez Zaleskiego wiadomości*. A fakt ten najwymowniej zdaje się świadczyć, iż dzięki to jedynie tej przyjaźni dla Zaleskiego, Kraszewski pozwolił mu tak niebaczenie wciągnąć się w prawdziwie zaczarowane to koło . . . Słusznie też woła Lenartowicz: „I godziłoż się podobnych ludzi zniewalać do czynności, którejby lada pierwszy-lepszy korespondent paryskiego czy londyńskiego dziennika się podjął? . . . Godziłoż się korzystać z prostoty serca, które we wszystkim widziało rzecz prostą? . . . Niechże zmilknie krytyka, gdzie mówi dobra wiara i nieszczęście“ . . .*)

Mimo to wszystko jednak, niemać odwagi potępić Zaleskiego. Na obronę zresztą niepospolitych skąd inąd zasług tego człowieka, przytoczyćby można wiele . . . Ale oto co jeszcze powiada w temże wspomnieniu swem o Kraszewskim, serdeczny nasz lirnik mazowiecki:

„Cechą naczelną Kraszewskiego była skromność aż do przesady. A skromność ta jak była piękną zaletą jego duszy, tak przyczyniła się do najcięższej doli w zętknięciu z życiem. Ona to bowiem usunęła z jego pamięci wieńce, składane mu przez naród i honory, jakimi go monarchowie zaszczycaли; ona to usunęła wielkość jego stanowiska . . . Gdyby ten mąż cichego i pokornego serca, miał był choćby cień zarozumienia czy

*) „Kuryer Warszawski“, Nr. 97 z 1887 r., fejleton.

uważania siebie za coś wyższego, choćby tyle co ziarno gorczyczne niedowierzenia ludziom, gdyby choć na chwilę czuł na sobie dalmatyk władzy — uniknąłby niezmiernego bólu, jakim podobało się Opatrzności dotknąć go, a z nim — naród cały.

— Niczem jestem — powtarzał do mnie w ostatnich dniach — ot zróbcie mi figurkę Danta, ciężkim, ołowianym okrytego płaszczem, w drodze, na której spotkać miał u progów męczarni przewodnika zesłanego na prośbę Beatryxy, niech idzie ręce wyciągając przed siebie, jak człowiek snem ogarnięty . . .

Brak w ludziach kryterium powołań, uważania wielkich poetów za instrumenta do praktycznych posług sposobne — pociąga za sobą zwykle zawody i nieszczęścia“ . . .*)

Wiele też niezawodnie, bardzo wiele dalibyśmy dziś za to, gdyby ten smutny epizod nie miał miejsca w życiu Nestora naszych pisarzy i gdyby okoliczności nie zmusiły go były do zawiązania stosunków z takimi niktzemnikami, jak Adler lub Hentsch. Ale mniejsza o Adlera, bo ten mimo najpotworniejszej roli, jaką odegrał w tej sprawie, nie zdradzał przynajmniej własnych ziomeków i kraju, a postępowaniem swem całym *w początkach* znajomości z Kraszewskim, umiał tak głębokiego nawet znawcy serc i charakterów ludzkich, przychylnie dla siebie usposobić. Trudno zaś Kraszewskiego potępić, że nie zdołał go na razie przeniknąć. Ale inna rzecz z Hentschem. Tu już istotnie pożałowania jest godnym hołesny ten fakt, iż surowy autor „*Rachunków*“, mimo całej pogardy, jaką od pierwszej chwili uczuł dla kapitana Hentscha — tego zdrajcy własnej ojczyzny i armii — narażony został później na utrzymywanie i z nim także tak niezaszczytnych stosunków . . .

Nie dość tego. Doprowadziły go one, jak wiemy, do najsmutniejszej katastrofy. Uwięziony w Berlinie i osadzony w śledczym więzieniu w Moabicie, (oddział szpitalny, Nr. 13) przebył tam wśród prawdziwych katu-szy moralnych całych 8 tygodni, t. j. od 14-go Czerwca do 7-go Sierpnia 1883 r. Ale i tu nawet, pomimo tych

*) „*Kuryer Warszawski*“, Nr. 97 z 1887 r., fejleton.

duchowych i fizycznych męczarni, z godną największego podziwu umiejętnością panowania nad sobą (że nie wspomnę już o czem innym), tak energicznie zabrał się do pracy, iż w ciągu zaledwie dni 17-tu (!) t. j. od 14-go Czerwca do 1-go Lipca, napisał dwutomową (sic!) powieść: „*Psiawiarą*“. Od 1-go zaś Lipca do 18-go pisał znów drugą p. t.: „*Od kolebki do mogiły*“, a od 18-go Lipca do 5-go Sierpnia dokonał z niepospolitym talentem arcy-trudnego przekładu białym wierszem pięciu komedyj Tytusa Macciusa Plauta. Były one dla niego — jak sam się wyraża we wstępie — „pracą niemal przymusową, lekarstwem gwałtownem w dniach boleści, osamotnienia, i jedynem możliwym zajęciem, gdy umysł był miotany i zaprzątnięty tak, że się odrywać musiał tą pracą od rzeczywistości!“ To też „przechodziły“ mu „przy niej długie godziny zwątpienia i trwogi.“

Ale nadszedł niebawem i ów dzień 7-go Sierpnia, w którym, dzięki zacnym staraniom Alexandra Kraushaara i jego przyjaciela, berlińskiego adwokata, Dra Juliana Goldschmidta — Kraszewski został nakoniec, po zarządzeniu ścisłej ekspertyzy lekarskiej, uwolniony tymczasowo za kaucyą 30,000 marek.

Powrócił więc do Drezna.

Ale i tu, jak w więzieniu moabickiem, pełen naj-sroższych udręczeń i niepokoju, wyczekując wciąż procesu, co jak miecz Damoklesa wisił nad jego głową, jedyną tylko ulgę znajdował — w pracy. Pisał też nieustannie, z niesłychanym pośpiechem. Oprócz najroz-maitszych zajęć codziennych i olbrzymiej, jak zawsze, korespondencji, zdołał w ciągu zaledwie *siedmiu miesięcy* napisać nietylko 12 tomów powieści („*Dwie Królowe*“, „*Infantka*“, „*Banita*“ i „*Bajbuza*“), ale nadto skreślić jeszcze 2 tomy szacownej swej autobiografii („*Noce Bezsenne*“) . . .*)

Lecz jak łatwo zrozumieć, i nadludzka ta nawet praca, chwilową mu tylko, niestety, sprawić mogła ulgę. Niepozwoiliła mu ona nigdy zapomnieć *na długo* o oczekującej go w Lipsku tragikomedji sądowej. Myśl o niej

*) *Chmielowski Piotr Dr* : J. I. Kraszowski. *Zarys Historyczno-Literacki*. Kraków. 1888. Str. 486 i 487.

nieustannie wirując mu pod czaszką, wpijała się do mózgu, wgryzała się do serca, wciskała do duszy... Przychodziły nań nieraz chwile tak ciężkie, iż nie dziw, że w dniu np. 7-go Listopada 1883 r. pisał do kreślącego te słowa: „Lękałem się i dotąd lękam, by nie oszaleć na prawdę.“ A w tymże samym czasie do Pługa: „Bałem się i dotąd boję, by nie zwaryować. Są momenta tak fatalne, że mocy nad sobą nie mam.“

15-go zaś Lutego 1884 r. pisał do Pługa znowu: „W najfatalniejszy sposób sprawa moja się przeciąga i ani przewidzieć końca. Jest to tortura okrutna! Ośm miesięcy przeszło ani dnia, ani godziny spokojnej! To też jestem już tak *ultimis spirans*, że ledwie chodzę. Kaszel znowu i te noce bezsenne w marzeniach czarnych — okropne!... Ciężkie to życie! W młodości jeszcze znosi się to łatwiej, ale teraz, gdy godziny policzone“... .

A w kilka dni potem (20-go Lutego) znów się uskarżał boleśnie:

„Chciałbym ci odpisać i trochę się wytłómaczyć, a nie wiem, czy siły mieć będę. Głowa, jak w kleszczach gorących, pali. Wczoraj odebrałem akt oskarżenia, więc prawdopodobnie procesowi nie uniknę... Męka niewypowiedziana! Dziś czekam na adwokata, który miał być jeszcze wczoraj, a dotąd go niema. Idzie o odpowiedź na akt, która jest dozwolona, a ja jej sam ułożyć nie potrafię. Możesz sobie wyobrazić, w jakim stanie jestem od wczoraj i jak tę noc spędziłem! Bogu to ofiaruję, równie, jak wszystko, co cierpię, a są ludzie, co się z tego mają bezczelność naigrawać! Bóg z nimi!... Miarkujesz, w jakim jestem stanie ducha — jak tu pisać? a jednak piszę, aby się oderwać od myślenia o sobie... Kłopotów i przykrości nieustannych nawał niewypowiedziany!“

Kłopoty te i przykrości, zawody i rozczarowania, wieczna niepewność i trwoga, zabijająca bezsenność, nadmierna praca, straszliwy kaszel, rozdęcie płuc, choroba pęcherza, puchlina, dotkliwie nakoniec straty finansowe — wszystko to słowem działało nań zabójczo, przygnębiało moralnie, rujnowało fizycznie... .

„Tak jestem osłabiony i znękany — pisał do przyjaciela 7-go Kwietnia 1884 r. — tak jestem znękany przeszło dziesięcioletnim tem biciem, chłostą, że niepoznałbyś mnie pewno. Drzę w dzień, a w nocy nie śpię i ledwie żyw leżę. Ducha wprawdzie trzymam na wodzy, ale ciała nie mogę ani ja, ani doktor pokrzepić. W tym wieku siły i tak wyczerpują się. Nic zresztą nowego. Módlcie się na moją intencję. Niepodobna nic przewidzieć. Ja widząc usposobienia — źle wróżę. Dobiją mnie może w Lipsku, ale taka snąć wola Boża.“

W dwa tygodnie zaś potem pod datą 23. Kwietnia pisze:

„O sobie niemam ci nic donieść, oprócz, że od początku aż do dziś wszystko się składa nieszczęśliwie i że tylko rezygnacją i zdaniem się na wolę Bożą wytrzymuję, że nie zwaryowałem lub że się nie zagryzłem. Skład okoliczności najfatalniejszy. Straty pieniężne nie do uwierzenia, ale te bym zniósł, gdyby raz odzyskać swobodę . . . Bolesnie mógłbym się skarżyć . . . Nie było łatwiejszego Poznańczykom, jak ulżyć mi, pomódz, interesowaniem się dowieść, że pewną wagę do mego położenia przywiązują. Stchórzyli tak, że ani się kto odważył zbliżyć. Z posłów, jeden raz przyjechał, ofiarując się do pomocy, i jak czmychnął potem, zląkwszy się, tak ani śladu, ani wieści. Miarkujże, jak słodkie to położenie. Niemcy mnie pytają: cóż znaczył jubileusz, kiedy dziś żywa dusza o was się nie troszczy? . . . *Et nunc erudimini*. Kończę . . . Ściskam dłoń twoją . . . Biedne, słabe ludziska!“

A nie tylko Poznańczycy, niestety, odstąpili go najhानीbniej . . . Tysiące tak zwanych „przyjaciół i wielbicieli“ Kraszewskiego, rozprószonych po wszystkich prowincjach dawnej Polski i całej Europie, ba! po świecie całym nawet, tysiące tych *czułych* „przyjaciół“ przemożnych często wpływem, stosunkami, pozycją — opuściło go w nieszczęściu i z godnym napiętnowania egoizmem i tchórzostwem, usunęło się odeń, jak najrychlej . . .

Oto co czytamy np. w jednym z ówczesnych jego listów do Adama Pługa:

„Przeżyłem lat 73, a nie miałem dotąd wyobrażenia o całej nikczemności i o całej nędzy serca ludzkiego

— nie znalazłem dotąd głębi czarnej jego przepaści! Trzeba było tej ciężkiej próby dopiero, żebym ujrzał w całej nagości biedny nasz rodzaj ludzki! O! gdybyś wiedział, jakich doświadczyłem zawodów, jakich rozczarowań okropnych! Ach! wyjdę z tego doświadczenia — jeżeli wyjdę — bardzo zubożały, bo wyzuty z wiary w szlachetność ludzką. Lecz dość tego, gdyż musiałbym Ci opowiadać rzeczy, o których lepiej zamilczeć, ażeby się nie wstydzić. Daję Ci słowo, że Niemcy byli dla mnie litościwsi i więcej mi okazywali ludzkości niżli swoi“...

Nie dość tego.

Zamiast zawsze jednakiej czci i spółczucia, dłużnego wielkiemu nieszczęściu, zamiast niezłomnej w to wiary, iż mąż takiej przeszłości, rozumu i serca, nie mógłby popełnić żadnego hańbiącego czynu — dały się tu i ówdzie słyszeć głosy niechęci, zgorszenia, oburzenia... Zarzucano mu zbrodnie, o których ani marzył. Tajona długie lata hydra nikczemnej zazdrości lub fanatycznej nienawiści, podniosła nagle z padalczym sykiem łeb swój ohydny. Ze wszystkich najciemniejszych nor i legowisk wypełzły naraz wstrętne płazy cynizmu i służalstwa. Wypęły! i już, już — pewne tym razem zupełnego zwycięstwa — gotowały się otwarcie, a... bez żenady, zatopić w bezbronną ofiarę przemocy, zatrute, gadzinowe swe strzały...

Na szczęście — ominęła je ta rozkosz!...

Wyciągnięte już szyje, rozwarłe gardziele, migające złowrogo jadowite żądła, musiały, acz z niezmierną... boleścią i wstydem, ukryć się pod cieniem nocy, cofnąć się napowrót do podziemnych swych nor i legowisk. Okazało się bowiem, iż nawet odwieczni wrogowie polskości — Niemcy, ziejący nienawiścią do wszystkiego co nasze, musieli Kraszewskiemu przyznać (i to jeszcze w motywach, skazującego go wyroku!), że *działał z jak najczystszych pobudek*... Jakże więc wobec tego podziemne nasze płazy mogły nań rzucić się *otwarcie*? Szczupła też tylko ich garstka, z odwagą zaiste godną lepszej sprawy, ośmieliła się publicznie, *mimo wszelkich na korzyść obwinionego przemawiających dowodów* — oczerniać go tu i ówdzie... Ale za to reszta padalczej tej gromady, w kółku swych dobrych przyjaciół i zna-

jomych — folgowała sobie, jak mogła . . . W imię chrześcijańskiej miłości i sprawiedliwości, stawiała nieszczęśliwego, a przez olbrzymią większość narodu uwielbionego niegdyś starca, ledwie, że nie na równi — z galernikiem. Dość tylko wspomnieć, że w potwarczej tej zgrai znaleźli się i tacy, co nie wahali się utrzymywać, iż Kraszewski — był *płatnym* szpiegiem francuskim . . . A pamiętajmy, iż potwarzy takiej nie śmiał nań nawet rzucić, najpotężniejszy jego wróg i prześladowca — ksiązę kanclerz niemiecki*) . . . W innem też społeczeństwie, więcej nieco niż nasze, umiającym odczuwać ciężkie obelgi, wyrządzane tak jeszcze niedawnemu jego bożyszczu — oszczerców podobnych spoliczkowanoby na rynkach, oplwano z pogardą i jak ongi złodziei lub nierządnicę, pochodniami raz na zawsze *wyświeconoby* z kraju! . . . Ale u nas . . . ach! u nas — czegoż to u nas najobojętniej się nie znosi?! Mamyż więc prawo w obec tak grzesznego indyferentyzmu i sobkostwa, oburzać się jeszcze i dziwić, gdy lada jaki Sacher-Masoch lub Franzos pozwala sobie najohydniej szkalować nas przed światem? . . .

Dodać jednak winienem, iż uderzając tak gwałtownie na ze wszech miar godnych potępienia i wzdgardy oszczerców wielkiego męża, nie mam tu na myśli wrogich Kraszewskiemu *całych* koteryj i stronnictw, bo te bądź co bądź, chociaż niejednokrotnie manifestowały ku niemu nietajoną swą niechęć, nigdy jej wszakże nie posunęły tak daleko . . . Mówię tu więc *wyłącznie o jednostkach*, ale niestety bardzo licznych jednostkach, dyszących i dziś jeszcze może dziwną, niepojętą jakąś nienawiścią do Kraszewskiego . . . Ale źle mówię: niepojętą! Ileż to bowiem i my sami nawet znaleźmy podobnych indywiduów! A zawsze niemal byli to ludzie albo pozujący na zapoznanych geniuszów, albo co najmniej, przy jakiej takiej wiedzy specjalnej a nader skromnych zdolnościach — olbrzymich pretensyj do

*) Czytelnicy przypomną sobie zapewne, iż Ksiązę Bismark w przesławnym swym liście, odczytanym na jednym z posiedzeń sądowych w Lipsku, mówi jedynie o *przyrzeczonem* Kraszewskiemu jakoby — *orderze francuskim* . . . *Przyp. Autora.*

uznania, do sławy, do wszystkiego co chcecie. Można-ż się więc dziwić, że karłów tej miary, niedorastających do kolan takiego olbrzyma, jak Kraszewski — upokarzała prawdziwa jego wielkość, budziła w nich zazdrość, wzniewiała nienawiść?! I tacy też to przedewszystkiem, w tej najsmutniejszej dlań epoce życia, dolewali z rozkoszą i do tak już przepełnionej czary jego żywota, kropla za kroplą goryczy a jadu... Kamienne-ż to zaprawdę, a niskie i nikczemne były dusze i serca!

Nie mniej też może oburzającym jest jeszcze i ten smutny fakt, że ani jeden z szlachejnych naszych... Krezusów, którym ślepa fortuna nie poskapiła swych darów, nie uznał za stosowne po osadzeniu Kraszewskiego w Moabie, o tyle chociażby zająć się losem dostojnego więźnia, by zbadać, czy nie zbywa mu przynajmniej — na środkach materialnych... Wszakże można było przypuszczać, że z tych kilkudziesięciu tysięcy rubli, otrzymanych w pamiętnym roku jubileuszowym, za które Kraszewski nabył wille i zaspokoił najniezbędniejsze swe potrzeby, że z tych kilkudziesięciu tysięcy, nie pozostało już ani grosza. Wszakże można było przypuszczać, że przy naszych stosunkach wydawniczych, i taki nawet sturamienny olbrzym, nie jest w stanie zarabiać aż tyle, by nietylko wystarczało mu to na niezbędne a ciągle wyjazdy dla poratowania zdrowia do wód lub klimatycznych stacyj (że już pomnę tysiączne inne wydatki), ale i na zapewnienie sobie, w razie jakiego nieszczęścia znośniejszych warunków egzystencji. A jednak — jakże boleśnie mi to wyrzec! — najznakomitszy ten i najzasłużeńszy ze współczesnych polskich pisarzy, na hańbę i upokorzenie nasze wśród obcych, znalazł się w więzieniu tak dalece przez wszystkich zamożniejszych swych „przyjaciół“ (!) opuszczonym, że był *formalnie bez grosza*, i gdyby nie pośpieszył mu wówczas ze stosowną zaliczką za korespondencje do „*Kłosów*“ wydawca ich Salomon Lewenthal — musiałyby pozostać najzupełniej na łasce więziennych zbirów... Oto zresztą co opowiada właśnie w tej kwestyi jeden z drezdeńskich przyjaciół Kraszewskiego, znany autor studyów o Szopenie i historycznego rysu opery polskiej, Maurycy Karasowski:

Zaareztowany, a następnie, po przeprowadzeniu śledztwa wypuszczony na słowo (?) Kraszewski, przybywszy do swej willi, wezwał mnie natychmiast i oświadczył, że pragnie sprzedać swój fortepian. Kiedy błagałem, by tego nie czynił, by w smutnem swem położeniu nie pozbywał się instrumentu, o którym tak długo marzył, stanowiącym obecnie jego rozrywkę:

— Nie! — odpowiedział z naciskiem — *muszę* go sprzedać; potrzebuję zgromadzić wszystkie moje pieniężne zasoby, aby nie być znowu narażonym na to, com już raz przeżył!

— Jakto? Czyżby? . . .

— Tak, podczas gdy siedział w berlińskim więzieniu — mówił ze wzrastającym wciąż wzruszeniem — *byłem bez grosza — wszyscy mnie opuścili!* . . .

I oblicze jego gniewne zbladło. Z pod gęstych, zmarszczonych brwi, oczy jakimś fosforycznym blaskiem świecić poczęły; prawą rękę wzniosłszy do góry, ścisnął pięść, jak gdyby komu groził . . . Struchlałem. Nigdy nie widziałem Kraszewskiego tak srodze zagniewanym.

W tydzień później fortepian nabyła Marcelina Sembrich-Kochańska. Stanowi on dzisiaj dla niej drogocenną relikwię po zgasłym wielkim pisarzu.“*)

A oto znów co czytamy w jednym z listów Kraszewskiego do Pługa:

„Zbieram co mogę, sprzedaję wszystko. Fortepian kupiła Sembrich, dziś Falck, zbiór sztychów, idzie do Paryża, pójdą zatem i rzadkie książki, i co jest. Trzeba żyć, a nikomu nie być ciężarem, a czy się pracować będzie mogło, gdy się zdrowie pogorszy — to kwestya. Dlatego trzeba zapobiedz dziś, aby nie stękać i miłosierdzia nie potrzebować . . . naturalnie napróżno, bo wyzyskać biedę ludzie umieją, ale jej zaradzić“ . . .

Jak więc widzimy, do baśni z „Tysiąca i jednej nocy“ zaliczyć wypada wiadomość, puszczoną chyba tendencyjnie przez jeden z dzienników poznańskich, a powtórzoną przez „Kraj“ petersburski (Nr. 23 z 1887 r., str. 13), według którego Kraszewski pozostawić miał jakoby swym spadkobiercom około 200.000 marek (!) „nie licząc sum

*) „Kuryer Warszawski“, Nr. 142 z 1887 r.

pomniejszych, umieszczonych na rachunku bieżącym w rozmaitych bankach zagranicznych,“ co wszystko razem ma być „owocem pracy pisarskiej zmarłego(!), który według tegoż źródła „opuszczając kraj w r. 1861 (sic), wywiózł ze sobą 12,000 r. s. (!) w gotowiznie.“

Ile w tem wszystkim prawdy, dość tu jeno przypomnieć w tej kwestyi słowa samego Kraszewskiego :

— Abym mógł tylko odzyskać zdrowie — mówił on do Feliksa Fryze, podczas pamiętnego procesu lipskiego (ob. „*Kuryer Poranny*,“ Nr. 136 z 1884' r.) — to jeszcze potrafię sobie zapracować. Znam przecież biedę! Gdym wyjeżdżał do Drezna z Warszawy, miałem 260 rubli długu i 25 rs. gotówki. Jubileusz postawił mnie na nogi, *ale proces zrujnował mnie doszczętnie*. Lecz uniem zadowolnić się małym i abym miał tylko miejsce do pracy, o nic więcej nie będę się kłopotać.

Nadmienić tu jeszcze wypada, iż wówczas to właśnie t. j. niezwłocznie po zamieszkaniu w Dreźnie, posiadacz ten „12.000 rs. w gotowiznie,“ musiał zbyć za bezcen ów znakomity swój zbiór rycin, o którym nigdy bez głębokiego żalu nie mógł mi wspomnieć.

Lecz powróćmy do dziejów procesu lipskiego.

Minęło nakoniec *dziewięć miesięcy* straszliwych udręczeń i zbliżył się wreszcie fatalny termin 12. Maja 1884 r., termin nieodzownego stawienia się przed sądem państwowym w Lipsku. Potrzeba więc było jechać koniecznie i — poddać się z rezygnacją jeszcze boleśniejszym doświadczeniom i próbom!

Jedynym ze znajomych, który powitał Kraszewskiego na dworcu kolejowym lipskim, był redaktor warszawskiego „*Kuryera Porannego*,“ Feliks Fryze, jedyny też, niestety, z polskich redaktorów-wydawców, który w chwili największej niedoli i opuszczenia znękanego cierpieniami Nestora ojczyestej literatury, zamiast potępienia go *a priori* (jak to czynili pokątnie niektórzy z samozwańczych kierowników i przedstawicieli rzekomej opinii publicznej w kraju), uznał za swój obowiązek pospieszyć do Lipska nie tylko dla *osobistego* zbadania na miejscu całej sprawy i stwierdzenia przed światem, że egzystuje gdzieś przecie polska jakaś prasa, intere-

sująca się losem najznakomitszego ze współczesnych swych pisarzy, ale i dla wyrażenia mu tem samem najgorętszego współczucia, na które nikt chyba więcej nie zasługiwał od niego. Lecz odpowie mi kto może, że byli przecież *inni* reprezentanci naszej literatury i prasy, bo — sprawozdawcy i korespondenci dziennikarscy... Ach! tak — byli!... Było ich *na dwieście kilkadziesiąt**) *wychodzących wówczas w kraju i zagranicą* pism peryodycznych polskich, było ich wszystkich razem aż — dwóch; nie! myślę się... jeden tylko właściwie; bo ów drugi, to był sobie jeno poczciwy jakiś student uniwersytetu lipskiego, Polak wprawdzie z urodzenia, ale jak niosły wieści, sprawozdawca jednego z dzienników niemieckich... Owym zaś rzeczywistym, fenomenalnym, jedynym, oprócz Fryzego, reprezentantem polskiej literatury i prasy oraz lipskim korespondentem wszystkich naszych dzienników (a raczej tylko „*Kuryera Codziennego*“ i „*Warszawskiego*“) był — Grzegorz Smólski z Wiednia, *sprawozdawca zresztą zarazem i jednej z niemieckich gazet tamtejszych*... A dodać potrzeba, iż w pierwszym zaraz sprawozdaniu o procesie, pióra tegoż korespondenta, znaleźliśmy z niekłamaną boleścią i wstydem następującą lakoniczną wzmiankę:

„Cała poważna prasa niemiecka i zagraniczna ma tu swoich przedstawicieli“... *Sapienti sat*... My tylko, my których ta sprawa winnaby była interesować najbardziej, my tylko jedni — nie mieliśmy ich prawie... Mógłże więc Kraszewski nie uskarżać się boleśnie na zupełne opuszczenie? Weźmie-ż mu kto za złe, iż mówiąc do Fryzego o Kraushaarze i Lewentalu zawołał z gorzkim żalem:

— Oni tylko jedni myśleli o mnie! Zresztą — opuszczony jestem przez wszystkich... Z całego Królestwa, Galicyi i Poznańskiego, ciebie jedyne go tu widzę!**)

*) Ob. „*Przewodnik Bibliograficzny*“ Dra Władysława Wiślickiego z r. 1884, Nr. 2, str. 36 i 37.

**) „*Kuryer Poranny*“, Nr. 150 z r. 1884, artykuł p. t. „*W sprawie Kraszewskiego*.“

Przybywszy tedy w sobotę 10. Maja do Lipska, zatrzymał się tu Kraszewski w „*Hotelu Hauffa*“ a odpocząwszy nieco do poniedziałku, w *dniu tym pamiętnym* stanął poraz pierwszy — przed najwyższym trybunałem państwowym w Niemczech.

Od 8-mej już godziny zrana, tłumy wyborowej publiczności niemieckiej pragnącej ujrzeć wielkiego naszego pisarza, zaległy najpierw całą ulicę przed pałacem sprawiedliwości, a następnie zapełniły najszczelniej samą salę sądową . . .

Zaledwie jednak po wniesionem jak zwykle oskarżeniu*), rozwinęły się w pełni rozprawy i badania, powstał nagle z miejsca główny oskarżyciel z urzędu i osobisty wróg Kraszewskiego Nadprokurator Państwowy, baron von Seckendorf i oświadczył, że za pośrednictwem pruskiego ministerjum wojny otrzymał od księcia Bismarka pewne pismo, które żąda, by odczytane zostało publicznie . . . Mimo to wszakże, pełen godności i taktu Prezydent Sądu Drenkmann, z widoczną niechęcią odpowiada, że pismo to odczytanem być może i później. Ale nazajutrz, gdy Kraszewski wyczerpany już z sił i niewymownie znużony, siedzi na wpół senny z pochyloną na pierś głową i zamkniętymi oczami, powstaje naraz sekretarz trybunału i odczytuje ową, zapowiedzianą już wczora, odezwę księcia Bismarka do Pruskiego ministra wojny generała Bronsarta von Schellendorf. Odezwa ta brzmi:

Ekscelencyo !

W sprawie Kraszewskiego**) mam zaszczyt udzielić następujących wyjaśnień (sic!). W Paryżu istnieje (?)

*) Urzędowy ów Akt oskarżenia, który 19-go jeszcze Lutego tegoż (1884) roku otrzymał Kraszewski wraz z Hentschem, obwinał ich obu, iż między r. 1876 a 1880 udzielili Francji wiadomości o marszu a względnie o transporcie kolejowym armii niemieckiej ku granicy zachodniej oraz, że udzielili jej różnych szczegółów odnoszących się do instrukcyi służbowej dla telegrafów polowych, jak również, że udzielając wszystkich tych wiadomości, wiedzieli, iż dobro Cesarstwa Niemieckiego wymagało nieodzownie zatrzymania ich w tajemnicy.

Przyp. Aut.

**) Charakterystycznym jest wielce, iż sprawę tę książę Bismark raczył nazwać w swym liście wyłącznie tylko: „*Sprawą*

stowarzyszenie pod nazwą: „*Towarzystwo Żołnierzy Polskich*,” liczące trzydziestu członków. Towarzystwo to ma na celu zbieranie dat statystycznych co do armij europejskich, tudzież utrzymywanie związku pomiędzy oficerami tychże (!). Stowarzyszenie to gotowem jest (?) do uczestniczenia we wszystkich europejskich wypadkach wojennych w interesie swojej idei. Objawiło już ono kilkakrotnie w czynny sposób swoją działalność, jako to: w r. 1866 w szeregach Garibaldiiego, w r. 1870 w szeregach francuskich, w r. 1877 i 78 podczas wyprawy wschodniej. Wszyscy członkowie stowarzyszenia używani byli przez szefa biura statystycznego w francuskim ministerjum wojny pułkownika Samuela, celem nawiązania stosunków pomiędzy oficerami kilku armij (!). W r. 1876 biuro rzeczone zostało zniesionem. W r. 1878 Gambetta polecił Władysławowi Wołowskiemu utworzyć biuro wywiadowcze, celem zasięgania wiadomości o stosunkach armij: niemieckiej, rosyjskiej i włoskiej. Wszędzie pounieszczano agentów. Głównem ogniskiem tych robót w Niemczech było Drezno (!). Kraszewski został agentem w ziemiach niemieckich. Podczas pobytu swojego w Pau, Kraszewski obcował z bawiącym tamże pułkownikiem Samuelem, który przedstawił go Ferryemu*). Ferry przyrzekł Kraszewskiemu order francuski (!). Na wiadomość o uwięzieniu Kraszewskiego, polecił generał Thibaudin, ówczesny minister wojny, przedsięwziąć re-

Kraszewskiego,” nie chcąc snąć o tem pamiętać, że była ona zarówno i sprawą Franciszka Hentscha, a więc już nietylko *Prusaka z krwi i kości*, lecz, co stokroć jeszcze haniebniejsze — *wyśłużonego oficera armii pruskiej*...

Przyp. Autora.

*) Wszystkie dzienniki ówczesne podały niezwłocznie w telegramach z Paryża następujące w tej kwestyi zaprzeczenie *urzędowe*:

„Uważamy za obowiązek sprostować błąd, którego powstanie jest dla nas niezrozumiałe i który niepowinien rozszerzać się dalej. Minister spraw zagranicznych p. Juliusz Ferry nie zna J. I. Kraszewskiego i nigdy mu ten nie był przedstawiany. *Nigdy też nie obiecywał Kraszewskiemu żadnego orderu.*”

Co się zaś tyczy pułkownika Samuela — „o tym” — jak słusznie zauważył *Journal des Débats* (ob. telegram z Paryża w *Kuryerze Warszawskim*, Nr. 136 b. z 1884 r.) — wiedział książę Bismark, że mu nie zaprzeczy, gdyż Samuel od roku już umarł“..

Przyp. Autora.

wizję u barona Erlangera, którego podejrzrywano, iż jest agentem niemieckim. Celem pokrycia rzeczy udano, że chodzi tu o sprawę banku „*Union Générale*.” Podczas, gdy Kraszewski śledził stosunki niemieckie, działał w Wiedniu inny literat polski, Bronisław Wołowski, który bratu swojemu w Paryżu przysyłał wiadomości wojskowej natury.“*)

Podpisano własnoręcznie:) *Bismark*.

Zaledwie sekretarz trybunału odczytał list kancлера — odgrywa się niespodzianie scena igrasze dramatyczna i wstrząsająca do głębi . . .

Kraszewski, który, jak rzekliśmy, siedział dotąd wpół senny, zasłyszawszy swe nazwisko, poczyna treści listu przysłuchiwać się uważnie. Nagle, gdy czytający dochodzi do wzmianki o nigdy niebываłych stosunkach naszego pisarza z Samuelem i Ferrym, a w kilka chwil potem dobiega do końca, Kraszewski drząc cały z gniewu, zrywa się z miejsca, a oczy pałają mu ogniem szlachetnego oburzenia :

— To fałsz! to kłamstwo! — woła w najwyższym uniesieniu — nie znam żadnego Samuela! . . . Nie utrzymywałem nigdy stosunków z Thibaudinem, ni z Ferrym! To oburzające! Wszystko jest fałszem. Gdzie na to dowody?! Takich zarzutów nikt niema prawa ciskać gołosłownie . . . Mogę złożyć przysięgę, iż wszystko w tym liście, co się tyczy mej osoby — jest kłamstwem, absolutnem kłamstwem! . . .

Wygłosiwszy donośnie piorunujące te słowa, pada zemdlony na krzesło.

W sali zapanowyya najpierw ogólne osłupienie — później wszczyna się ruch gorączkowy . . . Korespondenci rozbiegają się wszyscy, by o tem co zaszło, wysłać

*) Po ogłoszeniu w dziennikach powyższego listu księcia Bismarka, dotknięty nim Bronisław Wołowski, rozesłał z Lizbony redakcyom wszystkich główniejszych pism europejskich, głośny w swym czasie komunikat, zawierający kopię obszernej odpowiedzi „Żelaznemu kanclerzowi,” w której znajdujemy między innymi następujących słów kilka: . . . „Nie przypuszczałem, by człowiek w położeniu Waszej Książęcej Mości, mógł z lekkiem sercem, bez dowodów i dostatecznych danych, twierdzić rzeczy, które nigdy nie istniały.“ (*Kuryer Warszawski* z 30. Maja 1884). *Przyp. Aut.*

natychmiast telegraficzną wiadomość do swych dzienników, a zacytował prezydent Drenkmann, widząc co się dzieje, zamyka niezwłocznie posiedzenie . . .

Odezwa więc Bismarka chybiła celu najzupełniej.

Nikt też z obecnych nie chciał jej dać wiary. Sędziowie nawet sami, w chwili jej odczytywania, uśmiechali się ironicznie i niedowierzająco.

W kilka zaś dni potem — jak doniesiono w telegramie z Wiednia „*Kuryerowi Warszawskiemu*“, Nr. 136, b. z 1884 r. — wszyscy korespondenci pism zagranicznych oraz redakcyje wybitniejszych dzienników, otrzymały „z wiarygodnego i kompetentnego źródła“ dokładne informacye, potwierdzające, że w odezwie tej niema „*ani źdźbła prawdy*“ . . .

Mimo to przecież, objęte nią rzekome fakta, posłużyły niebawem, „*żelaznemu kanclerzowi*“ za wyborny pretekst do zarządzenia projektowanych już oddawna surowych represalij przeciw ciągle niby spiskującemu i tak dla całości monarchii „niebezpiecznemu wrogowi, jak żywioł polski w Niemczech“ . . . *Widziane też w tem oświetleniu, usiłowanie spotwarzenia męża, którego tak słusznie uważał mógł książę kanclerz, za duchowego przywódcę Polaków — staje się najzupełniej zrozumiałem i jasnym.* Radzilibyśmy przeto wszystkim domorosłym naszym oskarżycielom i sędziom, dobrze się nad tem zastanowić, ilekroć uznają za właściwe potępić Kraszewskiego . . .

W parę dni po odczytaniu odezwy księcia Bismarka, t. j. 16-go Maja, w piątek, odbyły się ostateczne rozprawy sądowe. Zabierali głos po kolei: oskarżyciele z urzędu, Prokurator Treplin i Nadprokurator baron von Seckendorf, dalej obrońcy oskarżonych D-rowie Samter i Saul, a wreszcie — sami oskarżeni. Adwokat Kraszewskiego Dr. Bruno Saul, wygłosił obronę nad wszelkie spodziewanie — niedołęzną. A niedołężność to była bodaj czy nie tendencyjna . . . Nie dziw więc, iż przy podobnych warunkach mowa jego nie wywarła najmniejszego wrażenia . . .

„Gdy w piątek po rozprawach przyszedł do Kraszewskiego — opowiada Feliks Fryze w 150-m numerze „*Kuryera Porannego*“ z roku 1884 — zastałem go zgnębionego. Nie chciałem go z początku martwić krytyką obrony, ale przy sposobności powiedziałem, co o niej myślę.

— O tak, bardzo słaba była obrona — odrzekł. Był to pocałunek Judasza. Niby bronił, a nie bronił.

Wobec tego zapytałem już śmieiej, co skłoniło jubilata do powierzenia swej sprawy Saulowi.

— Nie znałem go wcale — objaśnił Kraszewski — ale gdy siedział w Berlinie, radca Sądu Krajowego Brausewetter radził mi wziąć „dobrego“ adwokata i nastreczył właśnie — Saula. Ponieważ szło wówczas o uwolnienie mnie z więzienia, sądziłem, że adwokat nastreczony przez taką osobistość, jak radca Brausewetter — który ścigał ze mnie ostatnie zeznania — będzie najwłaściwszym. Zdawało mi się, że Saul robi przy stosunkach swych z władzami sądowemi więcej, niż kto inny. Odrzuciłem wówczas ofiarowane mi usługi adwokata Juliana Goldszmita, który wspólnie z przybyłym z Warszawy Aleksandrem Kraushaarem zajął się moją sprawą. Pokazało się potem, że Saul nic nie zrobił, a wszystko do mojego uwolnienia z Moabitu berlińskiego, przygotował Goldszmit i Kraushaar. Żałuję mocno, że ich usługi odrzucił i wdzięczny jestem za to, co mi zrobili. Podziękuj pan Kraushaarowi za widzenie się w Warszawie. Lewentalowi też jestem wdzięczny serdecznie. Ofiarował on przez Kraushaara kaucyę *trzykroć przenoszącą sumę żądaną przez sąd*. Ofiara ta była już zbyteczną, ale jakżem za nią wdzięczny! Oni jedynie myśleli o mnie wtedy, a z jaką energią wzięli się do dzieła!

Wracając do Saula, zapytałem Kraszewskiego, co go też kosztuje ten . . . obrońca.

— Nie pytaj pan o to — odpowiedział — bo mi aż płakać się chce, że tak jestem eksploatowany. Wyobraź sobie, zarządał odrazu za prowadzenie sprawy 10,000 marek, a prócz tego musiałem mu „*pożyczyć*“ 16,000 marek, z których wiem, że ani jednej już nie zobaczę, bo Saul niema — nic . . .

— Mówiono przecież — wtrąciłem, że to bogaty człowiek.

— Miał majątek, ale wskutek operacyj giełdowych wszystko teraz stracił.

Dodać muszę, że Saul przez cały czas pobytu w Lipsku był na koszcie Kraszewskiego i nie żałował sobie wcale. Sprowadził nawet żonę z Berlina, by we dwoje żyć na jego konto.

Zresztą niczem się nie zajmował i wielu nawet szczegółów w sądzie państwowym — nieznał.

Kraszewski widząc to, prosił mnie, abym się dowiedział o jakiego miejscowego adwokata. Obiecałem to uczynić i Saul przyszedł do mnie do hotelu późno już w nocy po adres owego adwokata. Widocznie p. Saul nie taił się z potrzebą zasiągnięcia porady prawnej od kogo innego.

Po zapadnięciu wyroku Saul nie wiedział znowu, gdzie się obrócić i żądał objaśnień, nawet od strażnika więziennego, i to wobec mnie, nie żenując się wcale swej nieświadomości.

Wreszcie zapowiedział swój wyjazd do Berlina, gdzie miał do załatwienia „ważną sprawę.“ Na drogę „pożyczyl“ od Kraszewskiego znowu 500 marek.

Pokazało się, że ową „ważną sprawą“ w Berlinie, był areszt na meblach p. Saula za długi.

Umyślnie — kończy Fryze — przytaczam tu te szczegóły, by dać poznać, w jakich to rękach był niešťczęśliwy Kraszewski.“

A dodać potrzeba, że zacyjny ten „obrońca“ wyłudziwszy od Kraszewskiego około 17.000 marek, kazał sobie jeszcze wystawić *zobowiązanie*, iż po ukończeniu procesu Kraszewski wypłaci mu 10.000 marek, co miało niby znaczyć, że potraci je sobie tylko z owych 17.000, które winien mu był Saul. Ale Saul otrzymawszy wspomniane „zobowiązanie,“ sprzedał je komu innemu i ogłosił się bankrutem! Tym sposobem starano się nadto zmusić Kraszewskiego do zapłacenia nowemu posiadaczowi jego „zobowiązania“ — owych 10.000 marek! Jak się ta sprawa skończyła — nie wiemy. To tylko pewna, iż Saul miał jeszcze odwagę okłamywać bezzcelnie publiczność niemiecką, przechwalając się w dzienni-

kach berlińskich, że Kraszewski dziękował mu „ze łzami“ za dzielną (!) obronę, że przedstawiciele wszystkich sfer naszych nadsyłali mu „dziękczynne telegramy za uratowanie honoru Nestora literatury polskiej“ i że pisma polskie „wyścigały się w pochwałach“ dla niego!...

Ale dość już o wstrętnej tej kreaturze.

W obec takiego stanu rzeczy, nie dziw, że Kraszewski zwątpił już był widocznie o wszystkim, skoro nawet zrzekł się był dobrowolnie przysługujących sobie praw do ostatecznego przemówienia i odezwał się tylko z godnością do swych sędziów:

— Oczekuję... *sprawiedliwości* od sądu niemieckiego...

Na tem też zakończono posiedzenie piątkowe. Prezydent zamykając je oświadczył, iż wyrok ogłoszony zostanie 19. Maja w poniedziałek o godz. 12 w południe.

Wiadomość tę, równie, jak i oskarżające mowy prokuratorów, a zwłaszcza pełne szyderstwa, nienawiści i jadu przemówienie zgrzybiałego barona von Seckendorf, Kraszewski wysłuchał z podziwu godną obojętnością i spokojem. Ale wątpićby można, czy z tymże samym spokojem i obojętnością mógł schorzały starzec wyczekiwać zarówno, zbliżającego się wyroku... A jednak nie słyszeliśmy przynajmniej, by przez ostatnich tych dni parę, w których ważyły się jego losy, zdradzał jakikolwiek szczególniejszy niepokój...

Sędziowie tymczasem naradzali się nieustannie...

„Jeszcze dwie lub trzy godziny — woła Grzegorz Smólski w pięknej swej korespondencji z 18-go Maja 1884 r.*) — jeszcze dwie lub trzy godziny, a wyrok zapadnie!

Jakiż on będzie!

Oto pytanie, które jak drugi Hamlet zadają sobie wraz ze mną tysiące, pytanie napędzające serca obawą.

Ciężkie więzienie — to wyrok śmierci dla Kraszewskiego, przy jego cierpieniach i chorobach! Okropnie pomyśleć o czemś podobnem!

*) „Kuryer Warszawski,“ Nr. 139 a z 20-go Maja 1884 r.

„Oczekuję *sprawiedliwości* od sądu niemieckiego“ — były, jak wiemy, ostatnie jego słowa, które zamknęły przedwczorajsze posiedzenie.

Jak postąpi sobie wobec niego sąd niemiecki?

Sędziowie to surowi, stróże *sprawiedliwości*, mającej zasłonę na oczach.“

A przecież w ich twarzach rozlany pewien wyraz łagodnej dobroduszości zmieszanej z marsowem wejrzaniem . . .

Niektórzy z nich mają zawiesziste wasy, gęste brwi, okrągłe, pełne twarze, poniekąd nawet typowo-polskie. Jeden z nich, to istny wizerunek Sobieskiego, drugi ma całkiem rysy Kmity, trzeci kropla w kroplę podobny do Reja z Nagłowic. Czerwone togi i berety przenoszą ich bardziej jeszcze w odległą przeszłość. To istna galerya przodków naszych, to widocznie kość z ich kości i krew z ich krwi . . .

Czyż to ironia losu?

Wszak to sąd niemiecki, mający sądzić surowo polskiego pisarza.

Widocznie są to potomkowie zaginionych ludów słowiańskich, owych Łużyczan, Wilków, Obotrytów, Pomorzan i Kaszubów, którzy pozostawieni sami sobie, utonęli w morzu niemieckiem.

Chwila stanowcza coraz jest bliższą. Tam w sali *Reichsgerichtu* siedzą sędziowie niemieccy, żywą tocząc dyskusję. Zdania podzielone. Jedni z nich podnosząc łagodzące okoliczności, przemawiają na korzyść Kraszewskiego. Przeciwnie stanowisko zajmują inni, żądając „*surowego*“ ukarania podsądnego. Oni dla „*zdrójcy kraju*“ nie mają żadnych względów, nie uznają żadnych łagodzących okoliczności . . .

Coraz bliższy epilog dramatu straszego . . .

Przed chwilą niebo było jasne i pogodne. Promienie słoneczne rozlewały światło na zielone pola i lasy. Cudowny dzień majowy pełen budzącego się życia wiosennego, pełen blasku słonecznego i powietrza tchnącego wonią balsamiczną. Łagodny wietrzyk kołysze barwnym kwieciami, a śpiewający i świergocący ptaszki fruują w górę lub trzepocą skrzydełkami w gęstwinie gałęzi.

Prześliczny dzień majowy!

W tem zrywa się nagle wichur szalony. Kurz zaciemnia widnokrąg. Nadciągają czarne chmury skrywające promienie słoneczne. Ściemnia się jak pod wieczór. Zalatuje szum groźny. Błyskawice krzyżują się, grzmoty wstrząsają powietrzem. Okropna burza z szalejącym wichrem. Nie widać świata. Wszystko w pomroku pogrążone, jak gdyby istny dzień sądny . . .

Burza nie trwała długo — przeminęła szybko jak senne widzenie. Widnokrąg znowu się wypogodził, groźne chmury przesunęły się i pociągnęły dalej. Promienie słoneczne już znowu świecą . . .

A tam w sali *Reichsgerichtu* toczy się dalej posiedzenie — rozprawy bardzo ożywione . . .

Złamany cierpieniami starzec, czeka tymczasem z bijącym sercem wyniku tych obrad.

Czekać tak musi, trawiony niepokojem, do jutra południa — straszliwe zaiste położenie!

Czyż potomkowie Wilków, Obotrytów, Pomorzanie znajdują w swoim sercu dla niego uczucia pobłażliwości, uczucia ludzkości, dla niego właśnie, który z takim mistrzostwem umiał odczuć i otworzyć zamierzchłe dzieje Słowiańszczyzny, umiał w „*Starej Baśni*“ w sposób iście czarodziejski powołać do życia postacie współczesnych naszych przodków, postacie od lat tysiąca spoczywające w grobie?

Czy też ochronią go od . . . wyroku śmierci?

Czekamy z bijącym sercem na ich sąd . . .

Nie mamy nic do powiedzenia — oczekujemy tylko *sprawiedliwości* od sądu niemieckiego“ . . .

Napróżno!

Znamy już jego wyrok. Sprawiedliwość „niemiecka“ nie mogła okazać się inną . . .

Ale pójdźmy przypatrzeć się jej z bliska . . .

„Dziś, w poniedziałek od godz. 11-tej z rana — donosi znów Śmólski „*Kuryerowi Warszawskiemu*“ w depeszy telegraficznej z 19-go Maja — dziś sala trybunału w formalnem obłęzieniu. Natłok nieopisany, gorąco niesłychane. Kraszewski przybywa o godz. wpół do 12-tej. Sąd naradza się tymczasem w sali bocznej. Zaraz po godzinie 12-tej ukazują się sędziowie. Wejście ich bardzo poważne, na niektórych twarzach znać

śląd wzruszenia. Najgłębiej dotkniętym zdaje się być prezydent trybunału, Drenkmann. Już z wejrzeń sędziów wnosić można, że wyrok nie będzie pomyślnym. Wśród grobowej ciszy prezydent odczytuje go stłumionym głosem. Sąd uznał Kraszewskiego winnym na podstawie dwóch punktów oskarżenia: wydanie Francyi pracy Hentscha: „Marsz armii niemieckiej ku granicy zachodniej“ (zdrada kraju według artykułu 92), tudzież list do Adlera z d. 17-go Lipca 1878 r. (przestępstwo według art. 49a). Za pierwszą „zbrodnię“ trybunał orzeka karę 3 lat, za drugie „przestępstwo“ karę $\frac{1}{2}$ roku więzienia w twierdzy.*) Co do innych punktów, Kraszewski zostaje uznany za niewinnego. Kara wymierzona nie pociąga za sobą utraty praw obywatelskich. W motywach podano wyraźnie, jako okoliczności łagodzące, że Kraszewski należy do obcej narodowości, że nigdy nie zaliczał się do rewolucjonistów, że długi żywot jego był bez skazy i że nie kierowały nim żadne niskie pobudki. Sąd wypuścił Kraszewskiego na wolną stopę, mimo, iż Nadprokurator von Seckendorf żądał natychmiastowego uwięzienia. Posiedzenie trwało półtorej godziny.“

Kraszewski przyjął wyrok „ze spokojną rezygnacją“ i słuchał „apatycznie“ czytania motywów, wygłaszanych przez prezesa „cichym, drżącym głosem.“ Ręce jego tylko — przez cały czas odczytywania wyroku, skubiące machinalnie róg obrusa wielkiego stołu, przy którym siedział — drżały w tej chwili silnie... Lecz było to jedyną oznaką, wskazującą, iż wyrok mocno go wzruszył.

*) Nadprokurator zaś domagał się skazania Kraszewskiego aż na 5 lat ciężkiego więzienia, z pozbawieniem go równocześnie wszystkich tytułów i dostojenstw...

Śledztwo tymczasem bynajmniej nie dowiodło, by Kraszewski starał się przez kogokolwiek o wybadanie *rzeczywistych tajemnic państwowych* i by te tajemnice udzielał rządowi francuskiemu (!). „A to tylko jedynie“ — według zdania fachowych prawników, jak np. mecenasa Stanisława Zalewskiego (ob. jego broszurę p. t.: *Kilka Uwag prawnika o procesie Kraszewskiego. Warszawa. 1884. Str. 132*) — „mogłoby być poczytane za przestępstwo względem Niemiec, popełnione przez człowieka innej wprawdzie narodowości, ale w Niemczech uobywatelnionego.“

Przyp. Aut.

Hentsch za to — którego skazano na 9 lat ciężkiego więzienia, z pozbawieniem wszelkich praw stanu — Hentsch szlochał, jak dziecko, i rozpaczliwie załamywał ręce. Cały ten olbrzymiej i silnej budowy mężczyzna, drgał, jak w konwulsjach. Zdawało się, iż teraz dopiero widzi i pojmuje jasno, co uczynił . . .*)

Po wysłuchaniu wyroku i zamknięciu posiedzenia Kraszewski zbliżył się do Fryzego i rzekł:

— Fatalitas.

— No — odpowiedział pan Feliks — mogłoby być i gorzej . . .

— Ale zmiłuj-że się! Wszakże mi nie dowiedli stosunków z rządem francuskim . . .

— Czy jest pan teraz wolny? — przerwał mu Fryze.

— Wolny, przecież mają moją kaucję . . .

Tymczasem ledwie opuścił Kraszewski salę — „wleczony z braku sił przez dwóch woźnych (sic)” — aresztował go komisarz sądowy! . . .

— Wyobraź sobie — powiada, spotkawszy się znowu z Fryzem — prezes powiedział mi, iż pozostaję na wolnej stopie, tymczasem aresztowali mnie chorego i chcą dziś jeszcze podobno zawieść do Magdeburga.

Zjawił się też natychmiast jakiś strażnik więzienny, w mundurze i przy szpadzie, zamierzając towarzyszyć Kraszewskiemu do hotelu. Ale ten nie chciał takiego towarzystwa. Po długich więc sporach, stanęło wreszcie na tem, że Kraszewski i jego obrońca Saul pojechali do hotelu dorożką, w której zamiast strażnika usiadł woźny sądowy, nie noszący munduru. Strażnik zaś poszedł piechotą do *Hotelu Hauffa*.**)

Tak więc, Jego Ekscelencya Nadprokurator Sądu Państwowego w Niemczech, p. baron von Seckendorf — dopiął w końcu swego . . .

Tegoż dnia nad wieczorem Kraszewski — mimo strasznej burzy, która w tej chwili, podobnie, jak i wczora, szalała nad Lipskiem — udał się wśród huku piorunów i gromów, w towarzystwie Saula i woźnego, jeszcze raz

*) „Kuryer Poranny,” Nr. 141 z 1884 r.

***) „Kuryer Poranny,” Nr. 141 z 1884 r.

do sądu. Tu zaniósł niezwłocznie prośbę o umieszczenie go, ze względu na smutny stan zdrowia, w twierdzy saskiej Koenigstein, gdzie i sam klimat i obejście się z więźniami, znośniejszem jest niż w Magdeburgu. Prośbie tej jednak odmówiono stanowczo, równie jak i drugiej, o *chwilowe* uwolnienie dla uporządkowania interesów . . .

Baron von Seckendorf raczył tylko wspaniałomyślnie zezwolić na chwilowy powrót Kraszewskiego do . . . hotelu, dodając przytem, że przysze niezwłocznie dwóch lekarzy sądowych dla opatrzenia go i zaopiniowania, czy i o ile może mu więzienie zagrażać katastrofą... Jakoż zjawili się niebawem zapowiedziani lekarze i . . . jak łatwo było przewidzieć, oświadczyli przed swą władzą, że wprawdzie stan zdrowia Kraszewskiego mocno jest „*nadwątlony*,” ale że mimo to (?) — „*więzienie bynajmniej nie zagraża mu śmiercią*“ . . . (!)

Na podstawie też tego oświadczenia, wkrótce po ich wyjściu, Kraszewski odprowadzony został tymczasowo do jednego z więzień lipskich zwanych zwykle *Landgefängniss* lub *Gefangenanstalt*, które mieści się w tymże samym gmachu przy Harcorstrasse, w którym odbywały się rozprawy sądowe . . .

Było już około 7-mej wieczorem lub wcześniej może nieco, gdy Kraszewski stanął u wrót więzienia. Oprócz strażnika więziennego, towarzyszyli mu jeszcze: Dr. Saul i Fryze.

„Pożegnaliśmy się — opowiada Redaktor „*Kuryera Porannego*“ — pożegnaliśmy się ze „skazańcem“ serdecznie, mówiąc nawzajem: „*do widzenia!*“

„Charakterystycznym jest to, że w ostatniej chwili Kraszewski nic nie mówił, co ma ze sobą wziąć i wogóle, jak się w więzieniu urządzić, ale prosił mnie, żebym uspokoił wydawców pism warszawskich, drukujących jego korespondencye, że za Maj wysłał już im listy, a za Czerwiec dostaną je niezawodnie. Dał też spis książek polskich, które będą mu wkrótce niezbędnie potrzebne do prac historycznych, jakie ma teraz na widoku.

„Niewymownie przykre wywarła na mnie wrażenie — woła dalej Fryze — chwila zamknięcia się więziennych wrót za skazanym! Zdawało mi się, że to spadła

trumna do grobu i ciągle potem nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wracam z pogrzebu. Gromadki czytające plakaty z wyrokiem, rozlepione przez „*Gerichts-Zeitung*“ zdawało mi się, że czytają — klepsydry...“*)

I zaprawdę! Więzienie to stało się dla Kraszewskiego, jak gdyby jedną z ostatnich kondygnacyj coraz to głębszego i jak duch tego „skazańca“ olbrzymiego grobu, który już od tak dawna los mu gotował bez przerwy... Ach! ten los! Największy ten z mocarzy tego świata, pan nad wszystkie pany, nad wszystkie berła i trony, kapryśny jak dziecię, zmienny jak... kobieta, potężny, jak Bóg i jak Bóg wszechobecny, niewidzialny i nieodgadniony — pozazdrościł nam smacznego jednego z prawdziwych mocarzy ducha, bo oto na prochu go niebawem stał swą potężną prawicą...

A przecież i to także był olbrzym! A przecież i to także był jeden z tych wielkich, w którego piersi biło nie mniej wielkie, płomienne, szlachetne, serce... A jednak i ten także runął! Runął... Ale runął, jak gdyby jaki obelisk luksorski, lub jak dąb sturamienny, zdruzgotany piorunem...

Ach! ten okrutny, ten straszny los!...

Zdołaż kto zrozumieć i odczuć, co się wówczas działo w tej tęsknej, jak... Anieli, duszy uwięzionego starca? Zdołaż kto odmalować to ze wszech miar bolesne uczucie, którego doznawać on wówczas musiał? On — przed którym parę lat temu jeszcze, z najgłębszą czcią i miłością kilka pokoleń uchylało swe czoła; on — którego wówczas, wśród pełnych entuzjazmu okrzyków, witały tysiadczyne tłumy; on — który otoczony dokoła powiewającymi sztandarami, jak monarcha lub tryumfator wjeżdżał do królewskiego grodu; on — którego wówczas w tejże samej prastarej stolicy, za bezprzykładne w literaturze zasługi i trudy, uwieńczył cały naród; on — któremu wówczas i monarchowie sami składali dowody wysokiego szacunku i uznania; on wreszcie, o którym wówczas śpiewał jeden ze znakomitych poetów**):

*) Korespondencya telegraficzna Feliksa Fryzego z Lipska, w N-rze 120 „*Kuryera Porannego*“ z r. 1884.

***) *Asnyk Adam Dr. (El...y)*: Kantata na Jubileusz J. I. Kraszewskiego, Kraków 1879.

„Szczęśliwy kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą,
I walcząc w ciszy i pokoju,
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Nie zaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięstw z dłoni
Nie wydrze ramię mu nieczyje,
Burza go nieszczęść nie dogoni (!) —
On wyszedł z ciemnej losów toni,
I nieśmiertelny w sercach żyje.

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci,
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodem,
Wydając z siebie — *takie* dzieci!“ . . .

Po dniach bezprzykładnego niemal tryumfu i chwały — jakżeż dlań rychło nadeszły dni pełne klęsk i boleści! Jakże szyderczem echem odbić się musiały w sercu nieszczęśliwego więźnia, piękne te słowa poety i wszystkie te wspomnienia tak niedawno jeszcze doznanych uwielbień i hołdów! Ileż to odtąd strasznych burz i nawałnic z coraz to większą gwałtownością miotało kruchą tą naważ jego żywota, zanim uniosło ją wreszcie ku otchłaniam wieczności! . . . Ponurą-bo, zaiste na harfie jego ducha odegrał los symfonię! Przez wszystkie gammy najboleśniejszych uczuć przeszło to biedne serce. Rozczarowań, zawodów, upokorzeń najzaciętszych — wszystkiego zaznało do syta . . .

Jednego tedy z ostatnich dni Maja 1884 r. w wilgotnej i zadymionej Magdeburskiej twierdzy zabrzmiała nagle trąbka, straż sprezentowała broń, oficer służbowy odebrał z rąk eskorty dostojnego więźnia i oddał go w ręce komendanta fortecy generała von Claer i placmajora von Goetze. Przyjęty więc został Kraszewski przez zarząd więzienny w Magdeburgu nietylko z pe-

wnemi honorami, ale nadto — z wszelką możliwą względnością, należną tak stanowisku wielkiego pisarza, jak i jego chorobie i wiekowi . . . Aby zaś nie utrudzać schorzałego starca ciągłym chodzeniem po schodach, dano mu wygodny pokój na parterze, do którego następnie przyłączono i drugi, tak że w krótkim czasie zdołał w nich urządzić się o ile podobna było najznośniej.

Obiad przynoszono mu zwykle z restauracyi. Nie-raz jednak, nie mogąc znieść potraw restauracyjnych, poprzestawał na obiedzie *własnoręcznie przez siebie ugotowanym*. Wówczas na obiad taki przyrządzał sobie najczęściej bulion „z tapioki“, gotował kartofle, smażył kawałek mięsa itp. Herbatę, kawę i jaja równie gotował sobie sam.

Co miesiąc przyjeżdżała z Drezna zarządzająca jego domem p. Flora Heinitz i zaradzała troskliwie ważniejszym potrzebom gospodarczym.

Co soboty znowu przychodziła „pocziwa, stara kobiecina“ — praczka, a *klepiąc go po ramięniu*, mawiała doń familiarnie :

— Nie bój się, to się skończy . . . Jużem tu tyłu widziała ! . . . A jak będziesz wychodził, to mi coś zostaw na pamiątkę . . . jestem biedna kobieta . . .

Odwiedzał go też niekiedy i balwierz, ale z usług jego Kraszewski nie korzystał nigdy, bo chociaż broda sięgała mu już wówczas „do pasa“, pozwalał jej jednak rósć swobodnie . . .

Życie, jak zawsze i wszędzie, prowadził i tu nadzwyczaj regularne, ale czas upływał mu monotonicznie, a wszystkie dnie i godziny najzupełniej podobne były do siebie . . . Wstawał o godz. 6-tej rano i przyrządzał sobie herbatę; potem czytał, a jeśli mógł, to i pisał. Od 9-ej do 11-j wolno mu było w niewielkiej alei „zażywać przechadzki“, lecz zrana nie wychodził. O pierwszej przynoszono obiad. Po południu miewał się zwykle bardzo źle — były to najcięższe jego chwile. Jeśli pogoda służyła, wtedy dopiero wychodził i z godzinę przechadzał się powoli. „Innym — uskarża się w liście do Adama Pługa, z którego czerpiemy właśnie wszystkie te szczegóły — innym pozwalają niekiedy przechadzać

się po mieście, mnie — nie. Zamknięty jestem w bardzo ciasnym obrębie. Powróciwszy z alei, piję herbatę i znów czytam lub piszę. A ponieważ nogi obrzękłe czynią mi uciążliwem siedzenie, idę więc między 7-ą a 8-ą do łóżka i zabawiam się książką do jedenastej, o której trzeba gasić już światło. Nie mogę jednak zasnąć bez opium.“

Mimo to wszystko i tu, jak powiada Chmielowski, przyzwyczajenie do pracy — istnych dokazywało cudów. Od 26-go Maja 1884 r. tj. od dnia przyjazdu do 3-go Czerwca, zatem w przeciągu pierwszych dni ośmiu pobytu w twierdzy, Kraszewski zdołał już napisać powieść p. t. „*Awantura*“ i to powieść mającą wprawdzie braki psychologiczne i artystyczne, ale kreśloną nader żywo bez śladów najłżejszych nawet przygnębiaenia umysłowego. W Lipcu tegoż roku napisał jeszcze dwutomową powieść: „*Rodzeństwo*“ i jednotomową: „*Nad przepaścią*“, które już nie posiadały tej żywości, jak „*Awantura*“, lecz przeciwnie: zdradzały już nadzwyczajny wysiłek znużonej fantazyi, pracującej pod ciężkim przymusem. W późniejszych czasach, ale równie w Magdeburgu, powstały jeszcze „*Justka*“, „*Król w Nieświeżu*“. ostatnie 6 powieści z „cyklu historycznego“, wielka a niedokończona podobno powieść z czasów reformy włosciańskiej na Wołyniu, znaczna część dzieła o zakroju archeologicznym p. t. „*Starzyzna*“ — które podobnież zostało niedokończone — i wreszcie tak przez autora nazwane „*Album Magdeburskie*“, zawierające jedynie 65 wielkich akwareli z podróży włoskich, które Kraszewski, w Magdeburgu dopiero według dawniejszych swych szkiców wykończył.*)

Otrzymawszy zezwolenie na sprowadzenie wszelkiego rodzaju książek i czasopism, znów, jak widzimy, pisał powieści, studia etc., a oprócz tego pisywał, jak zwykle, korespondencye do dzienników i prowadził, jak zawsze, olbrzymią korespondencyę prywatną, pomimo, iż załatwiać ją wówczas musiał w języku francuskim lub niemieckim, i że wszelkie rękopisy wychodzące od niego, jak i nadsyłane mu do Magdeburga, musiały nietylko przechodzić przez ręce komendanta von Claer, ale nadto —

*) Chmielowski Piotr Dr.: J. I. Kraszewski. Zarys Historyczno-Literacki. Kraków 1888, Str. 492—497.

niektóre przynajmniej — musiały być tłumaczone na język niemiecki, a tłumaczenia te opłacane przez więźnia. Z początku wymagano nawet, by *wszystkie* rękopisy, przeznaczone do druku, przekładał wpierw przysięgły tłumacz na język niemiecki; ale następnie zgodzono się i na to, by odczytywał je tylko tenże tłumacz i poprzestawano na jego zapewnieniu, że odczytany rękopis nie zawiera w sobie nic zabronionego. Co się zaś tyczy korespondencyj literackich do tygodników warszawskich, te dla uniknięcia zapewne kosztów opłaty tłumacza, Kraszewski pisywał w początkach po francusku. W redakcyach dopiero przekładano je na język polski... Ale i to trwało krótko . . .

Sprawiedliwość więc wyznac każe, iż więzienie Kraszewskiego w fortecy Magdeburskiej nie należało bynajmniej do najcięższych. Śmiało mu też nie jeden z prawdziwych *więźniów* stanu pozazdrościłby mógł jeszcze. A i sam Kraszewski nawet w listach do przyjaciół, w rozmowach później z nimi, najchętniej przyznawał, że postępowanie z nim władz więziennych w Magdeburgu ze wszech miar było ludzkie, że i komendant fortecy generał von Claer, był dlań prawdziwie uprzejmym, chociaż na razie zdawał się nieprzystępnym i szorstkim, a placmajor von Goetze składał mu dowody szczerego współczucia i sympaty . . .

— W ogóle nie pilnowano mnie nawet zbyt surowo, jakby chciano umyślnie dać sposobność do ucieczki — opowiadał nasz ex-więzień, goszcząc w r. 1886 u T. T. Jeża.*)

Bądź co bądź wszakże i to tak lekkie na pozór więzienie stało się niebawem dla schorowanego starca, nad wszelki wyraz uciążliwem . . .

Przyzwyczajony tak jeszcze niedawno do wszelkich możliwych wygod, do ciągłej opieki lekarskiej, do tyśiącznych uwielbień i hołdów, do nieustannych stosunków towarzyskich, do zupełnie innego wreszcie otoczenia — mógłże tak łatwo oswoić się z nowem swem położeniem?

*) *Rawita Fr.*: J. I. Kraszewski w Genewie. „*Kłosa*.“ Nr. 1138, str. 249.


Dodajmy jeszcze do tego coraz to smutniejszy stan jego zdrowia, gdyż 22. Sierpnia 1885 r. dostał ataku apoplektycznego na płuca, co przy każdym niemal żywszem poruszeniu wywoływało brak oddechu i groziło ponowieniem się ataku; dodajmy wечно pożerającą go tęsknotę, na którą w listach swych z Magdeburga uskarżał się niejednokrotnie — dodajmy przede wszystkim ów tak zabójczy magdeburski klimat, a nie będziemy się dziwić gorącemu pragnieniu Kraszewskiego, by wyzwolić się z tych więzów za jakąbądź cenę.

Zgodnie też z tem gorącym pragnieniem dostojnego więźnia, pozostała jeszcze garstka prawdziwych jego przyjaciół, jak niemniej, odwiedzająca go w Magdeburgu najbliższa jego rodzina, wszelkich dokładała starań, by wyjednać dlań, jeśli nie zupełne już uwolnienie, to przynajmniej kilkumiesięczny urlop *za kaucyą* . . . Przez długi czas jednak usilne zabiegi najwyżej nawet postawionych osób, jak np. Króla włoskiego Humberta i jego Małżonki, rozbijały się nieustannie o . . . intrygi i przeciwdziałania wszechpotężnego wówczas — Bismarka. Połączonym dopiero staraniom: Króla Humberta, Księcia Horacego Falconieri, Wielkiego Kanclerza Orderów Włoskich hr. Cezara Correnti, hr. Władysława Kulczyckiego i innych, a przede wszystkim dzięki gorącemu zainteresowaniu się tą sprawą Królowej włoskiej Małgorzaty, Księżny Ludmiły z Hołyńskich Falconieri i Księcia Antoniego Radziwiłła — udało się nakoniec przez rozległe ich stosunki i wpływy w najwyższych sferach dworskich Cesarstwa Niemieckiego, tyle przynajmniej dokazać, iż pozwolono nakoniec Kraszewskiemu po złożeniu 20.000 marek kaucyi wyjechać „*dla poratowania zdrowia*“ na tak zwany półroczny „*urlop*“ do Włoch...

Warszawa—Kraków.

1887 i 1894.

KONIEC CZĘŚCI I-ej.



Płyn łódka moja.

Płyn łódka moja, płyn ukochana
Wpółśród lazurów fali wesoło ;
Pozwól, niech dzisiaj pięknego rana
Bujam po pięknem morzu w około.

Płyn łódka moja, w kraj marzeń cudnych,
Niech wzniesę ducha do Stwórcy świata,
Niech już nie widzę ludzi obłudnych,
Niech dusza moja do góry wzlata.

Płyn łódka moja — a płyn daleko
Tam, gdzie żyć można wieczną radością,
Gdzie łzy tęsknoty nigdy nie cieką,
Gdzie serce żyje czystą miłością.

Tam znajdę wieczny spokój niebiosów,
Promień uwieńczy radośne czoło,
A dźwięk czarownych, anielskich głosów
Ucho me będzie bawił wesoło.

W krajach tych znajdę cudowne kwiecie,
Uroczę łąki, gaje, strumienie
I jak niewinne, malutkie dziecię
W kwiatkach zobaczę całe me mienie.

A więc płyn łódka, a płyn przez morze,
A Ty Najdroższy mój Stwórcu świata,
Roztaczaj proszę, lazurów zorze,
Niech serce moje do Ciebie wzlata.

Kazimierz G.

P O L A K ,

b a l l a d a .

Jeszcze dziecięciem słysząc od matki
Los polskiej ziemi, często się pytał:
Czy ojciec w gronie swojej czeladki
Za oręż chwycił?

Nad dolą kraju łązy rzewne roniąc,
Szablę ojcowską brał w słabą rękę,
I wołał: „Za co Bóg nas — nie broniąc —
Skazał na mękę?“

Tak rósł chłopczyzna i z każdym rokiem
W sercu mu także szlachetność rosła;
A ta władając młodzieńca krokiem,
Szybko go wzniosła.

Wzniosła go, wzniosła ponad kurhany,
Aby przejęty boskim zapałem,
Ukochał tęskne ojczyste łąny,
Sercem swem całym.

On odtąd szczęścia szukał w marzeniu,
Myśląc, jakby to imię swe wsławił,
Jakby po wroga uciemieniu
Ojczyznę zbawił.

Nastał dzień walki; on całe mienie
W ofierze składa Ojczyźnie drogiej,
By Bóg wypełnił jego życzenie
I zgromił wrogi.

Sam zaś zapałem z niebios natchniony,
Pędzi czempredzej, pędzi w bój chwały,
Bo dla Ojczyzny-Polski obrony
Oddał się cały. —

W straszny gwar bitwy rzuca się chętnie
I bije wroga, bije go wściekle,
Gniewny jak szatan, który namiętnie
Sroży się w piekle.

Lecz niepojęte wyroki Pana; —
Dopuścić nie chciał Bóg do zwycięstwa,

I giną wojska, sprawa przegrana
Mimo ich męztwa.

Młodzieniec teraz w strasznej rozpaczy
Opuszczać musi ojczyste łąny,
Opuszcza biedny i nie zobaczy
Ziemi kochanej.

Błądzi po świecie, zaklina ludzi,
Myśląc, że świat ten przecież łaskawy,
Że przecież serca zimne rozbudzi
Dla świętej sprawy.

Pilnie pracując do śmierci, głosi
W natchnionych słowach nasz ucisk srogi;
Lecz wszystko darmo — nic nie wyprosi,
Bo los złowrogi. —

Umiera wreszcie, a dusza święta —
Pędząc do góry lotem sokoła —
Z ziemi do niebios została wzięta,
Gdzie Bóg ją woła.

Tam staje młodzian przed tronem Pana,
Poziom perłami łez czystych rosi
I by powstała Polska kochana,
Serdecznie prosi.

Kazimierz G.

Tyle życia, ile w pieśni.

Gdzież to życie, co korytem
Lało się niezamąconem?
Gdzież ten zapach? czy już mitem?
Albo czemś nieokreślonym?
Dawniej było to inaczej;
Dziś nas budzi głos rozpaczy
Z snu martwoty, z wieków pleśni:
„Tyle życia, ile w pieśni!“

A więc zaumarło życie?
A więc wyszło natchnień źródło?
Złego wzrasta moc obficie,
A uczucie już wychłódkło.
Piekło zwątpień jak trupiarnia
Swym wyziewem nas ogarnia,
Niby sen to a duch nie śni . . .

• „Tyle życia, ile w pieśni!“

O! inaczej dawniej było,
Duch to dobrze popamięta;
Dawniej się ideę czciło,
Ona dla nas była święta;
Ona pchnęła lud do czynu,
Nie dla pochwał i wawrzynu,
Lecz, by go wybawić z cieśni . . .

„Tyle życia, ile w pieśni!“

Tyle życia, ile w czynie,
Tyle życia, ile w pracy!
Hasłem takim to jedynie
Wydźwigali się rodacy,
A kto ich przeoczył cele,
Zginał, nie działawszy wiele . . .
Niech poświadczą to współcześni . . .

„Tyle życia, ile w pieśni!“

Pieśni święta! pieśni droga!
Serca ty przegłuszaj jęki,
Prowadź lud do walk na wroga,
Jak Tyrteja mężne dźwięki,
Hydrę zniszcz zwątpienia krwawą
Twoim głosem, Ojców sławą.
Niech się sen raz ucieleśni:
„Tyle życia, ile w pieśni!“

Sambor, 29. Grudnia 1896.

G. Kohn.



Cieżarek na listy,
wyrób z soli kamiennej bocheńskiej.

Bocheńskie wyroby salinarne,

(z ryciną.)

Bochnia — historyczne staroświeckie miasto — słynęło od dawien dawna salinami swemi, wyrobem soli i sztucznymi wyrobami, raczej eleganckimi zabawkami, wykonanemi z soli kamiennej.

Jedną taką figurkę, z soli kamiennej wyrobioną a mianowicie ciężarek na listy z poduszczką odnośną, przedstawia też nasza rycina.

Drobiazg ten wykonany został na cześć 24-go walnego Zjazdu Towarzystwa pedagogicznego, który się odbył w Bochni. Rysunek na ciężarku przedstawia krzyż, kotwicę i serce, godła wiary, nadziei i miłości, wszystko ze soli kamiennej wykonane.

Musimy od siebie dodać, że Bochnia w ostatnich czasach i pod innym względem zdobyła sobie uznanie zasłużone, a mianowicie niedoścignioną swoją fabryką suszonych konserw jarzyn i owoców, która pod umiejętnem kierownictwem dyrektora, p. Jana Różańskiego, coraz pomyślniej się rozwija.

Sambor, 17-go Marca 1897.

G. Kohn.



Nierozegrana Walka.

KROTOCHWILA
w jednym akcie

przez

ALEKSANDRA STROKĘ.

OSOBY:

Kapitan Paweł Granatowski, właściciel wioski.
Julia, jego wychowanka.

Anastazy Talariewicz, rezydent.

Tadeusz Białowieski, sąsiad.

Rzecz dzieje się na wsi.

SCENA I.

KAPITAN (za sceną.)

Brrr... aaa... (*wchodzi*) a tom się wyszorował, aż mi lżej. Nie ma to jak zimna woda, taż to samo zdrowie mosterdzieju. A teraz mamy garniturek panie leciutki, do gimnastyki znakomity. (*Nucąc przez chwilę „marsz sokołów,” bierze ciężarki do ręki.*) Abo gimnastyka, i to panie szwedzka, przedewszystkiem szwedzka dla takich (*pokazuje na swoją tuszę okazałą*) wróbelków. (*Zaczyna się gimnastykować, wyciągając kolejno ręce i nogi i wykrzykując*) w lewo, w prawo, do po-

ziomu, zmień front... (*Nagle spojrzawszy w okno*). A otóż i Anastazy, punktualny jak mój zegarek po babce nieboszce. Za chwileczkę zapuka delikatnie, potem się ukaże koniec parasola, potem nos szanownego właściciela, potem nastąpi skromne kichnięcie (*słychać pukanie do drzwi*) proszę, proszę...

SCENA II.

(*Ukazuje się Anastazy we drzwiach w cylindrze, płaszcz z peleryną, z parasolem i w kaloszach.*)

ANASTAZY.

Dziendoberek życzy dziecię muz i Apollina srogiemu synowi Marsa.

KAPITAN.

Ależ kochany poeto, codziennie ci powtarzam, że według teorii Darwina...

ANASTAZY,

(*z wyrzutem, wznosząc tragicznie rękę do góry.*)

Pawle!

KAPITAN.

Tere fere, ot dobrze, żeś przyszedł, właśnie skończyłem maleńkie ćwiczenie gimnastyczne, a teraz zaczniemy mazurka. (*Porywa go za rękę i śpiewając*)

„I ja mazur i ty mazur“
(*zmusza do tańca.*)

ANASTAZY.

(*podśtakując pociesznie, wymachując parasolem.*)

Kapitanie! Na miłość boską, litości! Moje nogi! moja podagra!... bicie serca, moje biedne nagniotki!...

KAPITAN.

Dalej, dalej, kończ swoją litanję do kroć set, bo zaczynamy lekcję fechtunku.

ANASTAZY,

(wyrwawszy się gwałtownie, pada na krzesło, załamując dłonie.) Pawle, Pawle! zapominasz, że niewinne me serce przeznaczone było dla służby bożej, a nie dla przelewania...

KAPITAN.

Furda mosterdzieju, wszak w piśmie świętem wyraźnie stoi o kościele wojującym *(szuka po kątach i wyciąga długi cybuch)* a do stu pałek, gdzie się kije zapodziały? *(sposstrzega parasol Anastazego)* ale ot, stawaj z parasolem, paradna myśl, no prędzej do kroćset!...

ANASTAZY,

(zrywając się, chwytą parasol i tuli do piersi.)
Co? mój parasol, mój parasolik, mój familijny, pod którym się prawie urodziłem, wychowałem, moja babka, moja pra...

KAPITAN.

A wzywaj sobie wszystkie babki, prababki i ciotki na pomoc, ale jak się nie zasłonisz, to ci panie ten twój łeb kudłaty na kapustę poszatkuje! *(zamachuje się cybuchem.)*

ANASTAZY.

A tego już za wiele! *(Zastania się, wymachując gwałtownie parasolem. Kapitan naciera, Anastazy rejteruje, wreszcie pada na ziemię i otwiera parasol.)* Li-tości, miłosierdzia!... umieram!... *(Kapitan ciągle naciera.)*

SCENA III.

(Wchodzi Julia, ubrana z drogi, staje w drzwiach zdziwiona, w końcu wybuchu szalonym śmiechem.)

JULIA.

Ależ pysznie, wybornie, wspaniale! *(Bije brawo, śmiejąc się ciągle.)* Złapałam wojowników na gorącym uczynku. *(Przez ten czas obaj stoją pomieszani, nie wiedząc, co z sobą począć.)*

KAPITAN *(opamiętawszy się.)*

Co? Ju... ju... Julcia!... niech mnie dunder świśnie! *(Anastazy zrywa się jak oparzony, zbiera cylinder i parasol, zrywa zarzutkę i zdejmując kalosze, wywraca się na ziemię.)*

JULIA *(podając swobodnie rękę kapitanowi.)*

Tak, to ja, melduję posłusznie panie kapitanie, ta mała Julcia, którą obdzielałeś klapsami i cukierkami... a... to pan panie Anastazy... Talarkiewicz, kochanek bogów, syn promiennej jutrzenki i blasków księżycy, zawsze piękny, zawsze młody... A cóż słyhać z nieśmiertelnym poematem *(Anastazy kłania się ciągle)* „Tajemnice Olimpu“ czyli... *(zwraca się nagle do kapitana.)* Ale jak wujaszek świetnie wygląda *(zdejmuje kapelusz i kładzie na fortepianie wraz z wachlarzem)* powiadam wujaszкови do zakochania, a to już tyle lat... wszak dziesięć czy tak? jak was pożegnałam moi kochani... No ale cieszyć się, podziwiajcie!... *(przechodzi się z emfazą po scenie)* wyglądałam jak królowa, jak bogini nie prawdaż? No cóż poeto, milczysz? Dziwi was, żem tak spadła jak z nieba. No, ale dość tej paplaniny, siadajmy sobie na kanapie *(siadają, Julia w środku, mężczyźni po bokach)* ot tak; no a teraz możecie mnie pytać o wszystko.

KAPITAN (*podkręcając wąsa.*)

Ależ wyładniałaś mosterdzieju djabelnie.

ANASTAZY (*składając ręce.*)

Piękna jak anioł, chciałeś powiedzieć panie kapitanie.

KAPITAN.

Ale gdzieżeś przez ten czas była hm, co? jak żyłaś, czyś szczęśliwa, czy poszłaś za męża, co cię wreszcie do nas sprowadza, no gadaj przecież...

ANASTAZY.

Tak, co za szczęśliwa gwiazda przywiodła cię w progi naszej chatki, gdzie jest ojczyzna pięknej motylka i czy różami wysłana jest droga życia jego?

KAPITAN (*przez ten czas parszając śmiechem, do siebie.*) Ależ to plecie, daj go katu!

JULIA (*śmiejąc się głośno.*)

Ależ powoli panowie, zasypujecie mnie tylu pytaniami, że nie wiem doprawdy, na które pierwej odpowiadać, a ponieważ życie moje od czasu, jak frunęłam z pod troskliwych skrzydeł waszej opieki, było dosyć urozmaicone, a nawet potrosze i burzliwe, przeto skreślię je wam pokrótce.

Otóż opuszczałam ten dom podlotkiem o rozmazanej główce, o sercu rwącym się do tego nieznanego świata, o którym z książek tylko słabe miałam pojęcie, pragnącem wrażeń i szczęścia.

KAPITAN.

A czyż ci to źle było u nas, moja ty rybko (*z westchnieniem*) wszakżeśmy cię tak kochali...

ANASTAZY.

O tak, kochaliśmy panią jak syna, to jest... chcia-
łem powiedzieć...

KAPITAN (*do siebie.*)

Mente captus...

JULIA (*głosząc ich po twarzach.*)

O ja wiem, byliście dla mnie bardzo dobrzy, ale ja odziedziczyłam niespokojny temperament po matce, która była Włoszką, sławną śpiewaczką... niestety! umarła, zbyt młodo... (*zamyśla się przez chwile*) Ale precz ze smutkiem, wszak wpadłam, aby się nacieszyć z wami i dalej w świat, bo przedemną droga daleka, bez końca... Ale prawda wszak wy nic nie wiecie. Opuściłam wiejskie ustronie na żądanie bogatych krewnych, którzy pragnęli mnie wprowadzić w świat. Moja wrażliwa, artystyczna natura rozwijała się szybko w gorącej atmosferze salonów. Odkryłam wtedy w sobie iskrę talentu, zapal dla sztuki, uczułam się stworzoną na artystkę.

KAPITAN i ANASTAZY.

Na artystkę?!

KAPITAN.

Proszę, proszę, a pewno zostałam prima balleriną albo koryfejką — pamiętam panie już taki berbec to było a już tańczyło mazura (*podryguje na kanapie.*)

ANASTAZY.

Kapitanie! nie bluźnij! (*zwracając się do Julii z oczyma, wzniesionemi w górę*) O tak, ja panią rozumiem! Poczulaś pani w sobie iskrę, która wierciła we mnie od zarania mojej młodości, (*z zapalem*) chwyciłaś pani za pióro . . .

KAPITAN (*na stronie.*)

Za pióro! . . . ha ha ha . . .

JULIA.

Ależ śmiesznym pan jesteś ze swoim piórem, przeciwnie czułam zawsze wstręt do atramentu, zapragnęłam zostać artystką dramatyczną, zajaśnieć na scenie, jako nowo wschodząca gwiazda (*wstaje z kanapy, z uczuciem*) Tak, kochałam sztukę i dla sztuki pragnęłam poświęcić wszystko! . . . (*wstaje.*) (*Kapitan i Anastazy siedzą jakiś czas oniemieli.*)

KAPITAN.

A więc tobie mosterdzieju zachciało się zostać aktorką, komedjantką! . . .

ANASTAZY (*z wyrzutem.*)

Kapitanie! . . . Pani, ja cię rozumiem i ja czułem w sobie podobny zapał, ale cóż, kiedy ilekroć wszedłem na scenę, ma się rozumieć amatorską, z wielkiego przejęcia i zapału nie mogłem więcej wykrztusić jak e . . . e . . . e . . . no ale i tak zawsze dostawałem brawo, tyłkom się ukazał. I od tego czasu grywałem role królów i innych dygnitarzy, którzy z wielkiej dumy wcale ust nie otwierali.

KAPITAN (*na stronie.*)

Kompletny idjota!

JULIA (*ironicznie.*)

O rzeczywiście musiał to być sukces niebywały. Otóż zapragnęłam zostać wielką artystką i mimo tysięcznych przeszkód i trudności zostałam nią.

KAPITAN.

A to pewno musiałaś grać w sztuce: „Ciotka na wydaniu“. Paradny kawałek.

ANASTAZY.

Pawle, opamiętaj się! Zapewno chciałeś powiedzieć w „Romeo i Julia“, ach pani musiałaś być boską Julią, ale czy byłaś pani choć szczęśliwą, czy sztuka zaspokajała wszystkie porywy twego serca?

JULIA.

Szczęśliwą? A czyż człowiek czuje się kiedy szczęśliwym? Wszystko mu mało. I ja osiągnąwszy sławę, zapragnęłam miłości... miłości gorącej, namiętnej, szalonej jak lawa, heroicznej i wielkiej, ale jakże prędko się rozczarowałam... Wśród całej plejady wielbicieli przeżytych, wyłysiałych lub zblazowanych, spoglądających na mnie pożądliwym okiem szukać serca?... ha ha ha, to też mściłam się na wszystkich bez litości, prowadziłam flirt z całym światem, a potem śmiałam się... ach jak się śmiałam!... Zbałamucić każdego, kto się nawinał, przyprowadzić do szaleństwa a potem wyśmiać, wyszydzić, ach to było moją rozkoszą, mojem szczęściem.

ANASTAZY (ze zgrozą.)

Więc nie kochałaś pani nigdy?!

KAPITAN (na stronie.)

Co? może ten bałwan ma jakie pretensje?

JULIA.

Ja?... (po chwili) Nigdy... Ale dajmy temu pokój (zaczyna żywo przechadzać się po scenie.) Ale też u was nic się nie zmieniło, wszystko na swoim miejscu jak dawniej. Tylko kanarków nie widzę. Prawda, to już tak dawno...

KAPITAN.

A to szanowny poeta jak zaczął częstować biedaków tabaką, tak wyprawił Kasię na drugi świat, a potem i Kubuś kiwnął, a szkoda, bo szelma ładnie śpiewał.

ANASTAZY.

O bardzo proszę, kanarki poumierały... z tęsknoty jeden za drugim, a tabaki jako żywo wcale nie zażywam. (*Pociąga ukradkiem szczyptę tabaki.*)

JULIA.

A, i gitara na swoim miejscu, cóż kapitanie, jakże tam idą dawne koncerciki?

KAPITAN.

At, czasami dla wprawy to się tam panie czasem zabrzdąka. (*Zdejmuje gitarę.*)

JULIA (*do Anustazego.*)

A pan?

ANASTAZY.

Ja w wolnych chwilach sekunduję kapitanowi na... grzebieniu. Ach gdybyś tak pani chciała (*wskazuje nieśmiało fortepian*) stoi osierocony po pani odjeździe (*czule*) przypomniałobyśmy sobie dobre czasy... (*całuje ją w rękę, na stronie*) Ambrozja, nektar!... (*oblizując się*) nie, nie wytrzymam, muszę... zażyć tabaki.

KAPITAN (*z gitarą, brzdąkając w podrygach śpiewa :*)

„Jadą wozy za wozami,
„Siadajże też panienczko z nami...“ } bis

(*Julia cofa się, przesyłając mu całusy, kapitan ją goni.*)

ANASTAZY (*na stronie.*)

O, proszę, jaki mi romansowy! (*Gdy kapitan przechodzi koło niego, podstawia mu nogę, kapitan upada na jego kolano.*)

KAPITAN.

A bodajże cię niedołego!

ANASTAZY.

Hm, kto tam ten tego większy niedołego, to jeszcze pytanie, ale może tabaczkę, to wyśmienicie chłodzi..

KAPITAN, (*wytrącając mu tabakierkę.*)

Udław się swoją tabaką!

ANASTAZY (*zaperzony.*)

Phi, phi! proszę tabaka go już gryzie, jaki mi donżuan z rumiankiem...

KAPITAN (*zatykając mu usta.*)

Cicho będziesz, niezdaro!

JULIA, (*która śmieje się przez ten czas na stronie i poprawia włosy przed lustrem.*)

O cóż to taki spór zajadły, zaperzyliście się panowie jak dwa młode koguty. No teraz cicho, sza! Jako pierwsza, a zarazem najwyższa instancja rozstrzygam sprawę i wydaję wyrok: Obaj obwinieni mają się zachować zgodnie i potulnie, ty kapitanie chwytaj za gitarę a poeta niech dobędzie swego nieodłącznego grzebienia, który wiem, że zawsze nosi ze sobą. A w nagrodę za posłuszeństwo macie! (*Podaje im ręce do ucałowania.*)

KAPITAN (*całuje.*)

Gołabeczko... turkaweczko...

ANASTAZY (*całując.*)

Królowo moja!

(*Julia podchodzi do fortepianu, Anastazy otwiera wieko od fortepianu i uderza w czoło kapitana, który chce Julii podać nuty.*)

ANASTAZY (*cicho.*)

Masz to za tabakę!

KAPITAN (*upuszczając nuty.*)

Poczekaj, ja ciebie urządzę.

(*Gdy Anastazy chce Julii podać krzesło, kapitan mu je podrywa, Anastazy pada na ziemię.*)

JULIA (*ze śmiechem.*)

Ach doprawdy panowie jesteście nieocenieni jak rycerze średniowieczni.

ANASTAZY (*niezmieszany, podając Julii nuty na kolanach.*)

Pani! chylę czoło przed twym talentem, przyjm z mojej ręki te nuty... (*Kapitan przystępuje mu nogę.*)

ANASTAZY (*zrywa się kulejąc.*)

Ach, moje nagniotki!...

KAPITAN.

Zażyj tabaki, to chłodzi...

JULIA (*przerzucając nuty, przebiega jedną ręką po klawiszach.*)

Ależ na miłość boską panowie, zaczynajcież już raz!...

(Julia siada, kapitan wtoruje na gitarze, Anastazy na grzebieniu. Podczas tego w oknie ukazuje się Tadeusz, przysłuchuje się czas jakiś, potem zaczyna rzucać róże do stóp Julii. Wszyscy urywają nagle i odwracają się ku oknu.)

SCENA IV.

JULIA, KAPITAN, ANASTAZY (razem.)

A to co?

TADEUSZ (wchodzi oknem, stoi chwilę niezdecydowany, wreszcie wchodzi prędko na scenę, oddając ukłon.)

Wybaczenie państwo, właśnie przejeżdżałem opodal i zwabiony czarowną muzyką przystanąłem. Nie namyślając się długo, przywiązuję konia do płotu a sam z ciekawioną dostaję się do okna. Uszczknąłem po drodze kilka kwiatów, pragnąc złożyć niemy hołd podziwu nieznaney artystce. Zobaczyliście mnie państwo, więc jestem. (Kłania się.)

JULIA (z naciskiem.)

Nieznanej?...

TADEUSZ.

No tak, w pierwszej chwili nie poznałem pani, wszak już wiek cały...

KAPITAN.

Państwo się znacie, więc nie potrzebuję was sobie przedstawiać. Julia wypiękniała, Tadeusz zmężniał, spoważniał, ale zawsze miewa ekscentryczne pomysły, przez okno sobie panie włazi jak nie przymierzając kot marmcowy.

TADEUSZ.

Co za porównanie poetyczne, znać że kapitan nie tracisz czasu w towarzystwie nieocenionego naszego Talarckiewicza. Jakże zdrowie kochany poeto, w istocie twoją grą na grzebieniu oczarowałeś mnie. Ale jeśli pozwolicie, pójdę do mojej Stelli, która tam niecierpliwi się bezemnie. Służę za chwilę. Zostanę na herbacie, jeśli nie masz nic przeciw temu kochany kapitanie! (*Julia podchodzi do fortepianu.*)

KAPITAN.

Ależ owszem, no a teraz chodźmy oglądać Stellę.

ANASTAZY.

Jeżeli pozwolicie, ja zostanę dotrzymywać towarzystwa piękniejszej gwiazdzie. (*Składa głęboki ukłon w stronę Julii.*)

JULIA.

Idź, idź, panie Anastazy, może zbierze cię ochota przejechać się konno (*drwiąco*), musisz zajmująco wyglądać na koniu, o ile sobie przypominam. (*Kapitan i Anastazy wychodzą.*)

TADEUSZ.

Nigdy nie spodziewałem się, panią tutaj zobaczyć. Ciekawym, co mogło panią sprowadzić w te puste strony i nudne towarzystwo nasze.

JULIA (*nie patrząc na niego.*)

Co? kaprys... pan widzę... lęka się mego przybycia... może zakłóciłam panu ten miły pokój...

TADEUSZ.

Nie lękam się nikogo... a zwłaszcza kobiety.

JULIA.

O, odcinasz się pan nawet bardzo śmiało... (*podnosząc z ziemi różę*) a więc i te biedne kwiaty nie dla mnie były przeznaczone?

TADEUSZ.

Jeśli mam być szczerym, to w istocie rzucając je nie wiedziałem, że to pani właśnie grałaś...

JULIA.

A gdybyś był wiedział?

TADEUSZ.

Nie wiem, to zależałoby od... od kaprysu. (*Kłania się i wychodzi. Julia przygryza wargi i odwraca się.*)

SCENA V.

JULIA (*sama.*)

(*Targa różę.*) Od kaprysu... ha ha ha, to pyszne, to wspaniałe! Hola, poczekaj paniczu, spuścisz ty jeszcze z tonu. O muszę się zemścić choćbym miała wszelkich środków użyć, wysilić całą moją sztukę... Lecz po co?... dla kogo?... (*Podchodzi do okna i patrzy jakiś czas w milczeniu.*) Sztukę? dla jakiegoś tam pastuszka sielankowego, który przed dziesięciu laty wzdychał do mnie jak Romeo średniowieczny... Jedno spojrzenie, jeden uśmiech, jedno ściśnięcie dłoni zapędzi go w moją sieć pajęczą, w której będzie się szamotał.. daremno!... a ja... ja śmiać się będę (*patrząc przez okno*) Oglądając teraz Stellę... piękne zwierze, no ale i pan jego (*robi lekki grymas na twarzy*) (*zaczyna się przechadzać, z uśmiechem.*) Nie, nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, zbałamucić, a potem rzucić jak niepotrzebną zabawkę... ach, co za rozkosz... Czuję, że

nowe życie wstępuje we mnie, bo zaczynałam się już trochę nudzić. Ach, już wracają... ale nie... Kapitan z Talarkiewiczem poszli w głąb ogrodu. Tadeusz wraca sam... kampania się zaczyna. Takich Romeów jak on bierze się na sentymentalizm. Zacznijmy od udawania zasmuconej, lekko zagniewanej. Niech przeprasza.

(Podnosi dwie róże z ziemi, wpina do gorsu. Wchodzi Tadeusz.)

SCENA VI.

(Tadeusz podchodzi żywo, chce mówić, Julia mierz go spojrzeniem, kłania się ceremonjalnie i zmierza ku bocznym drzwiom, Tadeusz ją odprowadza, Julia przy drzwiach kłania się jeszcze raz, Tadeusz oddaje ukłon głęboki, Julia znika, przesyłając mu powtórzone spojrzenie.)

TADEUSZ *(sam.)*

(Naśladuje przez chwilę ruchy Julii. Machnąwszy szpicrutą.) Fiut!... Ale co za spojrzenie... Niestety, ślizga się ono dziś tylko po powierzchni, ale tam w głąb mego serca nie dotrze... Tam już inna królowa zapanowała wszechwładnie... Ale tej winjenem wiele, nauczyłem się cenić kokiety, jak na to zasługują. Kosztowało mnie to może trochę krwi serdecznej... odarto mnie ze złudzeń, z różowych szkiełek, ale przynajmniej jestem uleczony. *(Przechadza się.)* I mnie się zdawało, że kocham tę kobietę, tę wielką damę ze świata artystycznego, tę kokietkę par excellence. Ach gdybym jej mógł równą monetą odpłacić... gdybym spróbował zemścić się. Ach ja wieśniak poczciwy, naiwny, gdybym potrafił zadrwić z niej, dać jej małą nauczkę, ach coby to była za rozkosz... A więc spróbujmy. *(Podchodzi do stolika i otwiera album.)* Tak, to jej fotografia z przed lat dziesięciu... Jak te oczy patrzą na mnie... *(Za sceną słychać hałas, Tadeusz zamyka album, siada i zapala papierosa.)*

SCENA VII.

KAPITAN (*wpadła z impetem z bukietem
w rękę, nie widząc Tadeusza.*)

Julio !...

TADEUSZ (*do siebie.*)

A to co? sfiksował stary?

ANASTAZY (*wchodzi przez okno z bukietem.*)

Julio !...

TADEUSZ (*na stronie.*)

Drugi warjat!

(*Kapitan chowa bukiet za siebie, staje zdziwiony
przed Anastazym. Stoją jakiś czas w milczeniu.*)

KAPITAN (*pokazując na bukiet Anastazego.*)

A to co?

ANASTAZY.

To? Nic...

KAPITAN (*marszcząc brwi.*)

Zkądżeś to wziął? gadaj zaraz!

ANASTAZY.

Ja? Zna... znalazłem, tak jest znalazłem w o...
o... ogrodzie... (*Pokazuje nagle na bukiet, który widać
z poza kapitana.*) A to co?

KAPITAN.

To?... Nic.

ANASTAZY.

Zkądżeś to wziął?

KAPITAN.

Ja... ja znalazłem w ogrodzie.

TADEUSZ (*podchodzi śmiejąc się.*)

Macie jak widzę panowie szalone szczęście, w jednej chwili znaleźć takie dwa bukiety, proszę, proszę, pokażno kochany kapitanie!

KAPITAN (*wyciąga bukiet, podkrecając wąsa.*)

E furda mości panie, albo to grzech, człowiek jeszcze chwala Bogu animuszu nie stracił i potrafi się jeszcze puścić w koperczaki. A zresztą tacy goście nie prędko się trafiają; ot przyniosłem dla Julii, niech wie, że w mojej piersi uczucia kawalerskie jeszcze nie wygasły. Pamiętasz Tadziu, dawniej codzień takie bukiety się zbierało.

ANASTAZY.

Przepraszam i ja nie zapomniałem o naszym gościu, a dowodem tego te kilka kwiatuszków.

KAPITAN.

A ładne kwiatuszki, georginje jak cebule.

TADEUSZ.

Ha, miłość zaślepia, widocznie szanowny poeta nie wiedział dobrze, co rwał. (*Anastazy wyrzuca georginje i wyrzuca przez okno, potem mówi, siadając z gestem rozpaczny.*)

ANASTAZY.

Ach, czy wy mnie zrozumiecie? Czy potraficie odczuć drżenia mego serca?

KAPITAN.

A wiecie państwo, że ten stary osioł zaczyna być kapitalnym. Najpierw włoży oknem z miną szczura zmo-
kłego, potem wyrzuca oknem habazie, które przyniósł,
wreszcie siada i zaczyna się mazgać. Strójże sobie dudy
ty mazgaju flanelowy, a ja pójdę tymczasem do Julii.

SCENA VIII.

Ciż sami, wchodzi Julia.

JULIA.

Potrzebowałeś mnie kapitanie? Zrobiło mi się cze-
goś smutno (*obrzuca spojrzeniem Tadeusza*) i poszłam
trochę podumać w samotności (*z silniejszym akcentem*)
o dawnych czasach (*siada do fortepianu.*)

TADEUSZ (*podchodząc.*)

(*cicho*) Jeżeli z mojej winy, błagam o przebacze-
nie, choć o iskierkę nadziei przebaczenia.

JULIA (*cicho.*)

Już przebaczyłam...

TADEUSZ.

Dziękuję...

KAPITAN

(*podchodzi z bukietem, Anastazy tymczasem mizdrzy
się przed lustrem, poprawia krawat, perukę i t. d. Ka-
pitan odchrząknąłszy.*)

Pani! Dalibóg, że nie mam odwagi mówić ci jak
dawniej Julciu, bo do kroćset... to jest chciałem po-
wiedzieć ten tego... pozwól mi twej ślicznej, białej łapki,

abym mógł... (*całuje Julię w rękę.*) Mm... delicje... och gdybyś tu była, nie potrzebowałbym z tym starym niedołągą (*wskazuje na Anastazego*) codziennie podrygiwać, i to ma być mazur... pożał się boże, kompletna fujara, to jest ten tego, a gdybyśmy tak my zatańczyli mazurka, ach!... (*Podkręca wasa i przytupuje nogą.*) A teraz przyjmij jako hołd ci należny ten bukiet, ten tego...

JULIA (*biorąc kwiaty.*)

Dziękuję, istotnie śliczne, a jak pachną... kapitanie, jestem oczarowana.

TADEUSZ.

Kapitanie gratuluję, idziesz śmiało jak do szturmu.

ANASTAZY (*postępuje na środek załamując ręce.*)

I ten chce mieć pojęcie o krasomówstwie! No, ale teraz na mnie kolej. Zapędzimy w kąć tego starego cymbała! (*Zbliża się do Julii w głębokich ukłonach, kapitan parska śmiechem, odchodzi kilka kroków, patrzy na Anastazego i co chwila wybuchu śmiechem, mówiąc: ależ to paradnie, doskonale.*)

ANASTAZY.

Pani... (*wznosząc bukiet, silniej*) Pani! wpłynąłem przez okno...

JULIA.

A więc to pan wpadłeś z taką gracją przez okno, że aż tam było słyhać (*pokazuje na sąsiedni pokój*) ach! to musiało wyglądać uroczo... (*ironicznie*) Z tchnieniem wietrzyka, z ostatnimi promieniami słońca...

TADEUSZ.

O tak, pan Anastazy zawsze mi robi konkurencję, z tą tylko różnicą, że na razie byłem szczęśliwszym od niego. Pociski moje padały wprost do celu, nie ro-

biąc szkody nikomu, a tymczasem biedny nasz wieszcz chcąc mnie naśladować, rzucił sam siebie pod nogi i rozbił sobie na szezęście tylko nos.

ANASTAZY.

To fałsz, mój nos wcale nie poniósł szwanku.

KAPITAN.

No Anastazy, na dowód tego zażyj tabaki.

ANASTAZY.

Pani, ty sądz sama. Dla ciebiem zbierał te kwiaty i z ostatniem tchnieniem wieczoru^r wpłynąłem do pokoju, szukając ciebie pani, u nóg twoich pragnąłem złożyć hołd serca mego...

JULIA.

Doprawdy panowie, zasypujecie mnie dowodami waszej dobroci; aż dwa bukiety, nie wiem, co z nimi zrobić (*patrząc na Tadeusza*) te dwie róże, które przypięłam, wystarczą mi zupełnie.

TADEUSZ (*szeptem.*)

Dziękuję, niech one będą zadatkami...

JULIA.

Ale zechciejcie panowie wstawić te kwiaty (*wskazuje na bukiety*) do wody, zabiorę je ze sobą jako miłą pamiątkę spędzonych z wami chwil, o tam na oknie stoi szklanka z wodą...

(*Kapitan i Anastazy rzucają się do szklanki z bukietami, Anastazy pierwszy wkłada swój bukiet.*)

ANASTAZY.

Ot tak, tu im będzie dobrze.

KAPITAN (*wyrzuca jego bukiet za okno.*)

A tam im będzie jeszcze lepiej. Sądzę, że Julii wystarczy jeden. (*Wkłada swój bukiet.*)

ANASTAZY (*porywa i wyrzuca bukiet kapitana.*)

Bez twojego bukietu sądzą, że się też obejdzie kapitanie!

TADEUSZ.

Brawo, niezadługo zaczną wyrzucać za okno jeden drugiego.

KAPITAN.

Ja mu uszy obetnę. (*Chce się rzucić ku Anastazemu, Julia zastępuje mu drogę i uspokaja go, Anastazy rejteruje.*)

ANASTAZY.

Trzymajcie mnie, bo nie ręczę za siebie!

JULIA.

Ależ uspokój się kapitanie, panie Tadeuszu, na zażegnanie burzy wymyśl pan jakąś przyjemną zabawę np. coś wesołego, ciekawego, żeby wszystkich zajęło.

TADEUSZ.

Nic łatwiejszego, np. pan Talarkiewicz zadeklamuje nam ustęp ze swego nieśmiertelnego poematu, ma ich zawsze pełne kieszenie. (*Anastazy wyciąga z kieszeń rozmaite świstki.*) Ot np. wyjątek z symbolicznego poematu

„B u r z a :“

Du, du, du, dum, dum, dum,
Bu, bu, bu, bum, bum, bum,
Szy, szy, szy, hrym, hrym, hrym —
Co za wspaniały rym !...

KAPITAN.

O to go ubrał, no Anastazy przecież raz ktoś poznał się na twoim talencie, a mówiłem ci, żeś gotów jeszcze daleko zajechać, no wiesz co, w dowód dobrego humoru mianuję cię moim nadwornym poetą, będziesz opiewał cały mój inwentarz!

ANASTAZY (*do kapitana.*)

Padalec! (*zwracając się do Julii*) Jeśli pozwolisz pani, to odsłonię przed tobą rąbek mojej duszy, przeczytam ustęp dziś rano napisany pod wpływem... przecucia...

KAPITAN.

O Anastazy płodzi swoje ustępy bardzo regularnie, trzy razy dziennie: na śniadanie jeden, na obiad drugi, trzeci na kolację.

JULIA (*do Anastazego.*)

Na miłość boską, wieszczu! zrób raz pauzę, bo gotowo ci zaszkodzić. Panie Tadeuszu! wymyśl pan co innego, to byłoby zanadto tragiczne.

TADEUSZ.

A więc dobrze, mam myśl. Szanowny kapitan sprodukuje się przed nami w swoim kostjumie gimnastycznym ze swą siłą, zręcznością i gimnastyką szwedzką.

ANASTAZY (*zacierając ręce.*)

To, to, to, a no kapitanie rób pan reiterei jak w cyrku, a my będziemy udawać publiczność: brawo, brawo!...

KAPITAN.

Zrobię ja ci reiterei, aż ci się niedobrze zrobi. Phi, phi, proszę, będą sobie dworować ze starego żołnierza.

JULIA.

Panie Tadeuszu, stawiasz pan niemożliwe projekta, za karę skazuję pana, abyś sam zabawił towarzystwo. a nie wyręczał się innymi.

TADEUSZ.

Pani, jestem pokonany, przygnębiony. Niech i tak będzie, a więc szanowni słuchacze będą was... hipnotyzował.

KAPITAN i ANASTAZY (razem.)

Co?

KAPITAN.

Warjat!

ANASTAZY.

On ma bzika!

JULIA (klaszcząc w dłonie.)

Pysznie, wybornie, doskonale! Pomysł genialny! (biegnie do kapitana) kapitanie! siadaj tu (sadza go przemocą na krześle, przystawia obok jeszcze dwa stołki, sadza obok Anastazego i sama siada.) A więc jesteśmy gotowi. Cicho sza, (do Tadeusza) no niech pan zaczyna, prędzej... Najpierw uspij pan tych panów, a potem mnie na końcu (patrząc nań znacząco) czy dobrze?

TADEUSZ.

Powoli łaskawa pani, musimy to zrobić trochę inaczej. Otóż jeżeli pani sobie życzy, to będę ja hipnotyzował panią a pan Anastazy jako osoba bardziej uduchowiona zahipnotyzuje kapitana.

KAPITAN.

Co? taki bałwan?!

ANASTAZY.

Tak jest, rzeczywiście uczuвам w sobie jakąś siłę, która mi chodzi po kościach...

KAPITAN (z przekąsem.)

Czy nie reumatyzm przypadkiem?

ANASTAZY (zanimowuny.)

Kapitanie siadaj, przekonasz się, że dokonam wielkich rzeczy.

JULIA.

A więc dobrze, panowie siadajcie sobie w kącie i hipnotyzujcie się jak umiecie a pan Białowieski spróbuje na mnie swych sił.

(Kapitan sadowi się wygodnie, naprzeciw niego siada Anastazy, robi nad nim rozmaite znaki, kapitan zapala sobie fajkę i zamyka oczy, Anastazy się wpatruje, podczas rozmowy Tadeusza z Julią obaj zasypiają.)

TADEUSZ.

A więc niech pani siada. Metod hipnotyzowania znam dwie: albo staję naprzeciw i wpatruję się w medjum wzrokiem straszliwym, albo biorę panią za rączkę, aby prąd magnetyczny płynął z zdwojoną siłą, a potem wydaję kategoryczny rozkaz: śpij!

JULIA.

Wybieram drugą jako bardziej zajmującą i wygodniejszą. Proszę siadaj pan koło mnie, ot tak, a teraz sądzę, że już nic nie stoi na przeszkodzie, możemy zaczynać.

TADEUSZ.

A więc...

JULIA (*podając mu z wolną rękę.*)

Panie Tadeuszu, czy pan myśli na serjo mnie uśpić, o bo uprzedzam, że łatwo się nie poddam, bronić się będę wszystkimi siłami...

TADEUSZ.

A ja znów ufam w swe siły, w potęgę swego wzroku i woli, o bo hipnotyzer władzę ma wielką, pokonuje przeciwnika przemocą i lwa srogiego zmienia w potulne jagnię, a wtedy...

JULIA.

Czy nawet wtedy, gdyby tym przeciwnikiem była lwica?

TADEUSZ.

Nawet wtedy, a im zwycięstwo trudniejsze, tem słodsze. Widzieć srogiego przeciwnika pokonanym, bezsilnym, ach co za rozkosz!

JULIA (*cofa rękę.*)

Zaczynam się lękać pana, być pokonaną, słuchać zamiast rozkazywać. Ach nie, tego uczucia nie doznałam jeszcze nigdy. Przywykłam dotychczas rozkazywać, widzieć u nóg mych roje niewolników, posłusznych na każde skinienie...

TADEUSZ.

I czy to pani wystarczało zawsze? czy nie uczułaś potrzeby pokochania kogoś, oddania mu swoich myśli, swoich prągnięć...

JULIA (*do siebie.*)

Już go mam (*cicho*) tak, czuję, że musiałoby to być jakąś dziwną wielką rozkoszą, oddać się komuś całą istotą, całą duszą...

TADEUSZ.

Wybornie, zaczynasz pani przechodzić w stan dla hipnotyzmu bardzo podatny, sądzę, że próba powiedzie się nam doskonale.

JULIA.

Ach prawda, zapomniałam, rzeczywiście nieznanego doznaję uczucia... dziwny ma pan wzrok panie Tadeuszu, jeszcze jestem gotowa naprawdę zasnąć (*coraz ciszej i powolniej*) a wtedy... co zrobisz pan ze mną?

TADEUSZ (*na stronie.*)

Już ją mam... (*tym samym tonem*) Wtedy będę panią spowiadał...

JULIA.

I czego chciałbyś się dowiedzieć?

TADEUSZ.

Czego ja pragnę? Ja chciałbym panią wtedy zapytać, czy tam... na wielkim świecie... otoczona sławą i blaskiem, uwielbiana, kochana, czy pomyślałaś kiedy o tych chwilach dawnych, a tak pięknych, tak drogich dla mnie... Kiedy jak teraz siedzieliśmy we dwoje ręka w rękę i kiedy ja pytałem pani. Julio, czy ty mnie...

(*Kapitan, który śpiąc kiwa się, chrapnąwszy głośno spada ze stołka na Anastazego. Julia i Tadeusz zrywają się, Anastazy się budzi.*)

ANASTAZY.

Gwałtu! złodzieje!

JULIA (*na stronie.*)

Ach! gdybym mogła, podarłabym ich na kawałki! Przerwać grę w tak pysznej chwili... już, już...

TADEUSZ (*na stronie.*)

Niech was piekło pochłonie! Już tak blisko byłem celu, jeszcze chwil kilka... Co za wspaniały odwet...

(*Kapitan i Anastazy kłócą się tymczasem, żywo gestykulując.*)

JULIA (*zwracając się do nich ironicznie.*)

Próba jak widzę, wypadła świetnie.

TADEUSZ.

Wypadek rzeczywiście ciekawy, medjum i hipnotyzer usnęli obaj i to nawet wcale nie źle, bo nawet zdaje mi się słyszałem chrapanie.

(*Kapitan chodzi rozzłoszczony i sapie, Anastazy też, wymijają się.*)

KAPITAN.

Stary niedołęga!

ANASTAZY.

Tromba!...

(*Nagle stają naprzeciw siebie.*)

KAPITAN, i ANASTAZY (*równocześnie.*)

Osiół!!...

(*Julia i Tadeusz śmieją się.*)

KAPITAN(*parskając śmiechem, podaje rękę Anastazemu.*)

No, możemy sobie pogratulować!

JULIA.

Dosyć już hipnotyzmu, jestem zmęczona, chciała bym trochę spocząć. Sądzę, że panowie zechcecie wyna-

grodzić wasze zapomnienie, w którym wyrzuciliście za okno biedne, niewinne kwiaty i postaracie się o nowe, jeszcze piękniejsze. Panie Anastazy Talarkiewicz, zapewne nie zechcesz pan pozostać w tyle. Panie kapitanie, sądzę, że nie dasz się pan wyprzedzić. (*do Tadeusza.*) A może i pan zechce brać udział w kwiatowym turnieju. Kto pierwszy wróci z najpiękniejszą wiązaną, otrzyma nagrodę.

KAPITAN.

A tą będzie?

JULIA.

Powiem mu sama... to moja tajemnica...

ANASTAZY.

Ach! jakże będę szczęśliwym... leczę, spieszę, bogowie! wspierajcie mnie. (*Wybiega.*)

KAPITAN.

Udławisz ty się pierwej twojami bogami, niż tu wrócisz. (*Wychodzi.*)

TADEUSZ.

Czy mogę mieć nadzieję?

JULIA (*z uśmiechem.*)

Próbuj pan szczęścia...

KAPITAN (*za sceną.*)

Tadziu!... chodźno bratku, chodź...

JULIA (*po chwili wahania.*)

Zostań pan, albo nie.., idź pan... lecz wracaj zaraz... czekam... (*wybiega bocznemi drzwiami.*) (*za sceną.*)

KAPITAN *(za sceną,)*

Tadziu !...

TADEUSZ.

Chwila krytyczna się zbliża, zmierzymy się Julietto ! *(Wychodzi.)*

SCENA IX.

(Julia wchodzi.)

JULIA *(sama.)*

Batalja zaczyna być interesującą... Kryzys się zbliża. *(Staje przed lustrem i poprawia włosy, potem siada przy stoliku i otwiera album.)* *(po chwili)* To jego fotografia... *(Wyciąga ją z albumu i zamysła się.)*

SCENA X.

(Wchodzi Tadeusz, staje za Julią, chce się nachylić, Julia zrywa się i chowa fotografię za siebie.)

TADEUSZ.

Co to za fotografia, którą pani pieściłaś tak czule, ja chcę, ja muszę ją widzieć...

JULIA.

Jakiem prawem? to moja tajemnica...

TADEUSZ.

Nie dręcz mnie Pani dłużej, więc pocoś mnie tutaj wezwała, w takiej chwili zakrawa to na szyderstwo, ja muszę widzieć tę fotografię!

JULIA (*podając mu ją.*)

A więc masz...

TADEUSZ.

To moja fotografia... Julio...

JULIA (*swobodnie.*)

Panie Tadeuszu, czy lubisz pan muzykę? to uspokaja rozstrojone nerwy, wyrównuje wzburzoną wyobraźnię i przyprowadza na pamięć... przeszłość... dawne, uroczne chwile... tyle wspomnień... (*podchodzi do fortepianu*) wszak pan pamięta?... (*zaczyna grać.*)

TADEUSZ.

Czy ja pamiętam... tyle wrażeń... przy tym mazurku Chopina ujrzałem panią pierwszy raz... wyglądałaś pani tak uroczo... tak poetycznie...

JULIA.

A teraz?

TADEUSZ.

Teraz jesteś pani piękną jak rusalka, i jak rusalka niebezpieczną...

JULIA.

Niebezpieczną? A teraz z kolei pan zaczynasz się lękać. Dobrze więc, zmienimy role; teraz ja pana będę hipnotyzować np. muzyką. Posłuchaj pan (*gra chwilec*), czy pamiętasz tę melodję? Przy niej pierwszy raz wypowiedziałeś w wierszach to, co czułeś... ach! jak piękne były te wiersze... czy pan je pamięta?

TADEUSZ.

O tak, pamiętam jak dziś, dałem im wtedy tytuł „Pierwszy pocałunek“...

JULIA.

O proszę, zadeklamuj je pan teraz, przypomni nam to chwile...

TADEUSZ.

Doprawdy nie wiem, czy potrafię, ale spróbuję...
(*Julia gra, cicho patrząc na niego.*)

TADEUSZ (*deklamuje.*)

Raz ją ujrzałem wspartą na dłoni,
Loczki się wiły około skroni,
Oczka figlarnie na dół spuściła,
Ach! piękną była...

Na stole leży książka otwarta,
A ma śliczotka na dłoni wsparta,
Na białem liczku lekko się płonie,
Gdy mówię do niej...

Lecz to nie moje sprawiły słowa...

Ach! na to książka przysiadz gotowa,
Na której rączka spoczywa mała,
Ach! taka biała...

Stoję i wzdycham... Podchodzę blisko...
Główka nad książką schylona nisko,
Złoty włos spływa na śliczną szyję,
Serce mi bije...

Czy mnie nie widzi, czy mnie nie słyszy?

Dwojga serc bicie słyszać wśród ciszy,

Lica obojga zarumienione,

Oczy spuszczone...

I coraz bliżej, i coraz bliżej...

Coraz się nad nią pochylam niżej,

Wreszcie w twarzyczkę z miłości szalem...

KAPITAN (*za sceną.*)

A niechże to jasny piorun trzaśnie, o małym sobie resztek zębisków nie powybijają. (*Słychać przez chwilę hałas za sceną.*)

JULIA.

Odejdź pan, nie chcę, aby cię tu zastano. Prędeż!... Jak się ściemni o 9., przyjdź pan tu... a wtedy... jestem twoją!... (*Wybiega bocznemi drzwiami. Tadeusz wyskakuje oknem.*)

SCENA XI.

KAPITAN (*wchodzi.*)

O dobrze, nie ma nikogo, przynajmniej mogę się wysapać, wyzłościć. (*Chodzi gwałtownie po pokoju, rozbijając krzesła.*) A pójdziesz z drogi gałganie! (*Spostrzega otwarty fortepian, zamyka go z trzaskiem, nuty rzucą ze złością,*) (*spostrzega portret na ścianie*) No czegoż się gapisz gawronie?! A prawda, to mój własny portret! (*Chodzi jakiś czas, potem staje.*) Tak, nie mam kwiatów żadnych i kto mi co zrobi, he? (*ze złością*) Albo m zwarzował, albo nie, ale się oświadczę jeszcze dziś, jeszcze w tej chwili i basta. (*Siąda na kanapie.*) A... a... aż mi lżej... Julia... Julcia... Juleczka... (*otwiera album, stroi miny słodkie do jej fotografii, potem całuje kilka razy*) No a teraz do dzieła! Św. Pawle, dodaj mi odwagi! (*staje przed lustrem, zaczesuje czub, poprawia toaletę, potem staje w rogu sceny*) Jak tu zacząć? (*zaczyna gestykulować, oddając mimicznie scenę oświadczenia.*)

SCENA XII.

ANASTAZY (*wchodzi nie spostrzegając kapitana, płaczkliwie.*)

Nie mam kwiatów!... (*załamuje ręce*) zanadto byłem wzruszony... Julia tu (*wskazuje ręką na głowę*), Julia tu (*wskazuje na serce*), zamiast kwiatów nazbierałem pełne kieszenie trawy i kamieni. Św. Anastazy! dopomóż mi, bo nie wytrzymam. Dziś albo nigdy! (*pu-*

ka w palce) Oświadczyć się, nie oświadczyć?... Oświadczyć się! Ha, niech się dzieje wola nieba! (Staje w drugim rogu sceny i gra jakiś czas mimicznie. Potem obaj rzucają się na kolana, twarzami zwróceni ku sobie, z okrzykiem :)

KAPITAN i ANASTAZY (razem.)

Julio! kocham!... *(spostrzegają się wzajemnie, jakiś czas klęczą w milczeniu.)*

KAPITAN.

A... a... a...

ANASTAZY.

E... e... e...

KAPITAN *(wstaje, ze złością.)*

To ty, idjoto!...

ANASTAZY.

Tak, to ja... *(wstaje)* to ty, Pawełku?

KAPITAN *(z gniewem.)*

Słuchaj no do kroćset, co właściwie znaczy ta cała heca? Ty sobie zaczynasz stroić jakieś drwiny?!

ANASTAZY *(cofając się.)*

To jest właściwie ja chciałem się ciebie zapytać, co to znaczy, bo nic a nic nie rozumiem... *(buńczucznie)* A może ty kapitanie... *(stoją jakiś czas nasrożeni.)*

TADEUSZ *(w oknie.)*

Mam myśl, czekajcie, ja wam urządzę hecę.

KAPITAN,

(pokazuje palcem na sąsiedni pokój.)

Ty może byś miał chrapkę na nią? Co? taki gomuła!

ANASTAZY.

Co? ja gomuła? Ja, ja ci tu pokażę... ty... ty... pastuchu!

KAPITAN *(biegnie, szukając po kątach.)*

Gdzie mój cybuch?

ANASTAZY *(biegnie.)*

Ja cię nauczę! gdzie mój parasol? *(Obaj biegną po scenie. Tadeusz wpada, porywa kapitana za rękę.)*

KAPITAN *(do Tadeusza.)*

Idź do wszystkich... *(Tadeusz szeptem mu coś do ucha, obaj wybiegają.)*

SCENA XIII.

ANASTAZY *(sam.)*

A, jest wreszcie *(wyciąga parasol)* Gomuła, gomuła, patrzcie, jaki mi marcypan! *(wywija parasolem)* Uszy obetnę, no gdzieżś się schował? Co? nie ma go? A, stchórzył, a gałgany, dawajcie go tu!

SCENA XIV.

JULIA *(wchodzi.)*

Na miłość boską, co się tu stało, czy tu kogo ze skóry obdzierają? Co znaczą te krzyki, ten parasol, tragicznie do góry wzniesiony?

ANASTAZY (*rzuca parasol.*)

Na widok bóstwa pokoju rzucam morderczą broń i błagam o przebaczenie (*kłeka.*) Pani! Julio! ważna godzina wybiła na zegarze mojego życia. Serce moje wyrwa się ku tobie... Julio... ja ciebie...

JULIA, (*udając pomieszczenie.*)

Ależ panie, doprawdy... tak nagle... (*do siebie*) mam myśl... Wstań pan, może ktoś nadejść (*podnosi go.*) Panie Anastazy... pan widzi... jestem wzruszona... ale o godzinie dziewiątej czekać tu będę na pana... muszę się namyślić... Ale cicho, sza, tajemnica przedewszystkiem. Dla ostrożności przebierz się pan w kobiece suknie... a teraz (*posyła mu całusa ręką*) adio... do widzenia o dziewiątej. (*Wybiega.*)

SCENA XV.

ANASTAZY (*sam.*)

Rendez-vous... (*delektując się*) rendez-vous. Anastazy, czy ty odczuwasz rozkosz tego słowa? Pierwszy raz w życiu ci się trafia, czuję, że z radości gotowem zgłupieć do reszty... to jest... ja sam nie wiem, co mówię... Lecę... pysznie się składa... nie ma nikogo... nie wiem nawet, po co ta maskarada, no ale jeśli sobie Julia tego życzy, to ubieram się w jakie prześcieradło lub serwetę... (*Wybiega na lewo.*)

SCENA XVI.

JULIA (*wchodzi.*)

Już dawno nie byłam tak podrażnioną. Chwila tryumfu się zbliża... już zawczasu odczuwam przedsmak wyrafinowanej rozkoszy. O poczekaj Tadeuszk, będziesz ty miał rendez-vous. Zapewne wejdziesz oknem ten Ro-

meo... a szkoda chłopca... Ale musi być ukaranym... O jak ci mężczyźni są niestali... Ale gdzieby się tu schować? (*Staje w głównych drzwiach i kryje się za kotarę.*)

TADEUSZ (*zagląda oknem.*)

(Nuci :) Kobieta zmienną jest
Sercem i główką,
Z uśmiechem słowko...

Może to trochę za śmiało będzie z mej strony, ale to jej się należy. Będzie to nowością w jej życiu... Ale też będę tryumfował...

(*Jakiś czas panuje na scenie cisza. Biję dziewiąta godzina, uchylają się drzwi boczne i ukazują się postać w bieli, równocześnie w przeciwnych drzwiach ukazują się druga postać, otulona długą chustką.*)

ANASTAZY (*przebrany w bieli.*)

To ona, poznaję ją po drzeniu mego serca.

KAPITAN (*przebrany.*)

Czuję, jak mnie ciarki przechodzą, nie wiem, może różnąć odrazu na kolana:..

ANASTAZY (*szeptem.*)

Pst! to ja!

KAPITAN.

Pst! to ja!

(*Podchodzą nagle ku sobie i rzucają się sobie w objęcia.*)

KAPITAN i ANASTAZY (*razem.*)

Julio!

(*Z Anastazego spada prześcieradło, z kapitana chustka. Obaj odskakują i stoją jak skamienieli. Julia i Tadeusz wpadają na scenę i zaczynają się śmiać szalenie.*)

JULIA.

Pan tu? (*Śmieje się.*)

TADEUSZ.

Pani tu? (*Parska śmiechem.*)

JULIA.

Więc pan wysłałeś na schadzkę kapitana?

TADEUSZ.

A pani Anastazego? (*Śmieją się.*)

JULIA.

No, możemy sobie śmiało ręce podać. Ale nie myślałam, żebyś pan tak wybornie grał komedję.

TADEUSZ.

O! pani oddałaś swoją rolę jeszcze z większym artyzmem.

JULIA.

A więc walka między nami nierozegrana...

TADEUSZ.

Tylko na miłość boską! cicho sza przed moją narzeczoną...

JULIA.

I przed moim mężem... (*Wybuchu śmiechem.*)

KAPITAN, ANASTAZY i TADEUSZ (*razem.*)

Co?!...

JULIA.

Ale kolacja już gotowa, więc proszę... przy stole opowiem panom dalszy ciąg mego życia.

TADEUSZ.

Służę pani! (*Podaje Julii ramię. Julia i Tadeusz wychodzą, kłaniając się kapitanowi i Anastazemu, którzy stoją po obu stronach drzwi jak posągi.*)

KAPITAN.

A... a... a...

ANASTAZY.

E... e... e...

(*Zastona spada.*)



Ragnarökur

(z niemieckiego oryginału swego przetłumaczył autor.)

O! jak strasznie szerzy się zniszczenie!
O! jak strasznie żary wrą piekielne!
Rozpasane huczą dziś żywioły;
Bo to Ragnarökur, koniec świata.
Gromy huczą, ognie lśnią pożarów,
Krwawa łuna bije pod niebiosy;
Sojusz ścisły zawarli szatani,
By w nieubłaganej niszczyć walce
Tchnienie niebios, gasić skrę żywota.
I tak świat i co istnieje na nim,
Ginać musi w wszechwładnym pożarze.
Lecz wysoko ponad wszystkich światów
Przepaściami wznosi się sam jeden
Wiekuisty, nieśmiertelny, wielki
Duch Allfadur...

Już rycerzów, mieszkańców Walhalli
Na wojenne powysyłał harce
Przeciw wrogom niecnym i potężnym
Odin wielki, bóg szlachetny światła.
Lecz na próżno! wszystko się zmówiło
Do śmiertelnej, ostatecznej walki,
Do zagłady Odina i Azów.
Obok Jotów silnych i zuchwałych
Walczą przeciw Azom, bogom światła,
Piekła straszne, obrzydłe potwory:
Azaloke pełen zdrad i złości,
Fenrir, wilk nienasycony niczem,
Garmur, pies, podwoi stróż piekielnych
I Midgardu wąż, nabrzmiały jadem!
Bo to Ragnarökur, koniec świata...

Uzbrojeni spieszą w bój bogowie,
Bo to walka, bój zapamiętały,

Bój na śmierć z bóstwami piekielnymi.
Wojny los rozstrzygnie dzień dzisiejszy :
On rozstrzygnie, czy zwycięży piekło,
Czy też światło piekła moc zniweczy.
„Bogów ziemi potomkowie wielcy !
(Tak przemawia z Azów najwspanialszy
Do plemienia Azów sławetnego)
„Pomni bądźcie czynów z lat młodości,
Gdy potworów was nie straszył widok,
Gdy żelazna wola, siła niebian
Te potwory uwięziła w piekle.
Ragnarökur nastał, dzień pogromu :
Te potwory straszne i ohydne,
Te straszydła, które piekło kryło,
Potargały dzisiaj swoje więzy.
Walkę ogłosiwszy przeciw światłu,
Walką tą na zabój, tchnieniem gadu
Pragną zatruć niebios tchnienie czyste.
Bracia ! bracia ! siły swe skupiajcie !
Ragnarökur, boju dzień, rozstrzygnie,
Czy w zapasach z zbrodnią uledz cnocie,
Czy pograżyć zbrodnię w noc śmiertelną.
A i wy — Walhalli sal mieszkańcy !
Wy waleczni, sławni wojownicy,
Einheriarzy, stołownicy moi,
Pomni bądźcie obowiązków waszych !
Nie nadarmo obdarzył odwagą,
Nie nadarmo siły wasze wzmocnił
Waszych losów kierownik najwyższy ;
Bo dziś walczyć macie obok Azów,
I rozstrzygnąć walki los straszliwej,
Walki tej z żywiołem złym zniszczenia,
A więc w oczy zajrzeć mu bez lęku
Z poświęceniem śmierci macie dzisiaj !“

Już do walki krwawej dane hasło ;
Wszystko pomieszane już w nieładzie,
Wre i warczy, kipi, szumi, pryska ;
Bo to Ragnarökur, koniec świata.
Ale biada ! nie na stronę cnoty
W walce dziś przechyla się zwycięstwo.

Coraz groźniej głowę swą podnosi
Hydra, córa nieodrodna piekiel.
Nad Odinem jasnym górą Fenrir,
Światła bóg w potworu znika paszczy ;
Gromowładny, silny Thor daremnie
O Midgardu łeb rozstrzaskał młot swój,
Kona płaz przebrzydły, lecz konając
Jadem swym zatruwa bohatera.

Coraz groźniej szerzy się zniszczenie,
Wszystko w dzikim mieszane nieładzie,
Warczy, kipi, szumi, wre, umiera :
Wszystko groźne niszczą już płomienie,
Tchnienie piekiel w piersi dech zapiera.

Biada światom ! wszem żywiołom biada !
Wszystko znikło, tylko sama jedna
Niezgłębiona próżnia włada światem.
Biada wiekuista ! bo w zapasach
Z żywiołami piekła znikło światło.
Nie ! nie biada ! bo choć światło znikło,
Niflheim, kraj ciennoty, nocy wiecznej,
Razem z światłem skonał już na wieki,
A z wśród gruzów światło znów wybłyska,
Ragnarökur blaskiem tym olśniony,
A duch boży, wiekuisty, wielki,
Duch Allfadur z gruzów popieliska
Świat znów stworzy wydoskonalony.

Sambor, 31. Maja 1882.

G. Kohn.

Jakie jest prawdziwe zadanie naszej demokracji?

Studjum społeczne

przez

G. KOHNA.

(Drugi nakład.)*

„Imiona są, lecz gdzie ich dzierzyciele?”

Mówimy o tem i owem, o potrzebnych a czasem i o niepotrzebnych rzeczach, a komu dotąd przyszło na myśl zgłębić, jakie jest właściwe zadanie naszej demokracji? Zaiste! obowiązki jej bywają tak rozmaicie tłumaczone, jak i sam wyraz: demokracja.

Sądząc według źródłosłowa greckiego: demos, oznaczającego lud, a raczej tłum dziki, składający się zaledwie z pierwiastków niesfornych, niewykształconych społeczeństwa, słowo to równałoby się panowaniu ludu w najwstrętniejszej rządu formie. I rzeczywiście ani rzeczpospolita grecka, ani rzymska nie zdołały zachować bez przerwy demokracji, czyli panowania ludu w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, gdyż niebawem

*) Pierwszy nakład tej broszurki okazał się w Przemyśle 1885 w drukarni Piątkiewicza, a dochód z rozprzedaży przeznaczony został przezemnie na pogorzalców w Horodence. Być może, że wypowiadając to lub owo zdanie, miejscami się pomyliłem. W samej rzeczy jednak nie daleko musiałem odstąpić od prawdy, jeśli zdania przezemnie wypowiedziane, tak zainteresowały szerszą publiczność, iż w krótkim czasie wyczerpała cały nakład na 500 egzemplarzy obliczony i przysporzyła pogorzalcem horodeńskim 106 złr. Wynadgrózeniem jedynem trudów bezinteresownie wówczas przezemnie podjętych, są dwie fotografie w dużym formacie, przedstawiające Horodenkę po pożarze. Ofiarował mi je na pamiątkę ówczesny starosta horodeński, śp. Julian Zulauf. Dotąd wiszą nad mojem łóżkiem i mają większą dla mnie wartość, aniżeli medal lub order wysoki dla niejednego pyszałka. (*Przyp. Aut.*)

tak u Greków jak i u Rzymian demokracja, czyli panowanie ludu, stała się identyczną z demagogią i plebokracją, czyli panowaniem motłochu, jak z drugiej strony arystokracja, czyli panowanie najszlachetniejszych i wybranych w narodzie, przekształciła się w oligarchię, czyli w panowanie szlachty.

Do jakiegoto upadku moralnego ta szlachta zarozumiała, bezczynna i próżna (bo tytułu: dumna udzielić jej nawet nie można) doprowadziła każdy kraj, każde państwo, w którym rządziła, tego dowodzić potrzeby nie ma. Wobec zgubnych jej działań, co pozostało dzisiaj do czynienia naszej demokracji?

Oto zadanie, nad którym zastanowić się warto. Wołamy na gwałt, że naród biedny, ciemny, nieszczęśliwy, uciskany, a jednak ręki nie przykładamy, aby go oświecić i wyswobodzić, choć wiemy dobrze, że wyswobodzenie to nastąpić może nie na podstawie gwałtownych wstrząśnień i rozruchów, ale jedynie na podstawie wzajemnego kształcenia się i nauczania, które z natury rzeczy musi być powolne a silne i wytrwałe.

Ci, którzy się trzymają z dala prostego ludu, nie wniknąwszy w jego naturę, zapoznawają ją całkowicie. Nałogi złe, nabyte skutkiem wieków ciemnoty i ucisku, uważają za identyczne z naturą ludzką. Zdanie to jest tak uzasadnione i trafne, jak gdyby kto twierdził, że wszyscy ludzie bez wyjątku powinni nosić okulary dla tego, że człowiek, mający wzrok osłabiony, bez nich się nie obejdzie.

Ale jest jeszcze inne krótkowidzenie, gorsze od fizycznego, oto krótkowidzenie moralne. Obawiamy się, żeby lud, pouczony przez nas o swoich obowiązkach i prawach, nie powstał na nas i nie dał nam uczuć swojej przewagi. Nie obawiajcie się, moi panowie! tak samo jak człowiek, który uzyskał samopoznanie, samowiedzę o złem i dobrem, a wybrał dobre czyli naukę, z trudnością tylko wróciłby do stanu pierwotnego zwierzęcości, tak samo też syn ludu, czy z rzemieślniczego, czy chłopskiego pochodzący stanu, wybrawszy naukę za przewodniczkę swoją, nie zapragnie z pewnością wrócić do pierwotnego stanu dzikości i nieoświecenia.

Exempla trahunt ! Mówią o nałogach, nie dających się wytepić, o nałogu pijatyki, wkorzenionym w masę ludu, a i to nie prawda. Znam księdza sędziwego*), poważanego w całej okolicy z cnót, nauki i ofiarności, a który mi opowiedział, że przy objęciu przezeń rządów duchownych, znalazł parafię swoją w opłakanym stanie. Chłopi wszyscy pili, przepili mienie swoje, byli w rękę żydowskich lichwiarzy. Ksiądz wyżwymieniony tyle dokazał wymową pasterską, nauką, przykładem, słowem żywym, że karczmy stały pustką, a chłopi dobytek swój, dotąd marnowany na trunki, chowali na potrzeby domowe. Czy przez to zubożeli może? czy nieszczęśliwi? Albo szczęśliwsi ci, którzy zarobek całodzienny noszą do szynku, zapijając chwilowo gryzący smutek i wyrzuty sumienia, aby się następnie przebudzić z szumem w głowie i z pustkami w kieszeniach? wątpię.

Według słów tu wypowiedzianych zdawałoby się więc, że zadanie prawdziwe naszej demokracji polega jedynie na tem, kształcić i uczyć chłopa i oduczać go niektórych narowów i nałogów, nabytych w wiejskiem jego otoczeniu. Ale kto tak sądzi, myli się grubo. Zadanie naszej demokracji jest większe, jest donioślejsze i świętsze: zadanie główne demokracji polega na tem, kształcić demokrację i chować z własnego łona synów dla Ojczyzny, którzyby w każdej chwili stali na pogotowiu, gdzie się rozchodzi o to, służyć tej Ojczyźnie wiedzą, nauką, mieniem i życiem swoim.

Zadanie rzeczywiście niełatwe, gdyż demokracja nasza zbyt często zapomniawszy o świętych obowiązkach swoich, stopniowo znikać zaczyna z piedestału sławy, dotąd zajętego, i tak jak wszędzie, gdzie robak zepsucia łoczy i rozkłada ciała zdrowe, tak i tutaj. Demokracja zaczyna rozpadać się na stronnictwa: są radykały, anarchiści, nihilści, pieczeniarze nawet, a prawdziwych demokratów bardzo mało.

Bo i cóż rozumiemy pod tą nazwą? To co Niemiec nazywa „Bürger“, a Francuz „Citoyen“, a więc mieszczanina, rzemieślnika, rękodzielnika, fabrykanta.

*) Był nim ks. prałat r. latini śp. Jan Kaliniewicz z Trembowli, od którego wyżwymienione szczegóły pochodzą (*Przyp. aut.*)

urzędnika, nauczyciela, a nie obywatela w tem znaczeniu, w którym wytworność i pochlebstwa dworskie go stworzyły, nie właściciela wielkich ziemskich posiadłości, ale obywatela kraju, syna Ojczyzny.

Są jednak i tacy wpośród naszej demokracji, którzy dobrze pojęli i pojmują zadanie swoje, choć garstka ich niezbyt liczna; bo tak samo jak nie nazwę tego bohaterem, który słabą kobietę szabłą rani zamiast broń chować dla potrzeb prawdziwych Ojczyzny, tak też krzykacza, blagiera, pieczeniara, lizunia nie uczęzę mianem prawdziwego demokracji, prawdziwego patrioty.

Zadanie więc prawdziwe naszej demokracji polegać musi na kształceniu i przekształcaniu własnych swoich wyrodków, jakoteż na nawracaniu ich na drogę ogólnego pożytku, zadanie iście nie łatwe! Nie ma jednak trudności dla tego, który obdarzony został szczerą wolą przełamania ich.

Zakładajmy czytelnie, szkoły, fabryki; uczmy słowem, przykładem, życiem naszym; wnikajmy myślą, duszą, sercem w życie naszych współziomków, i o ile takowe się nie zgadza z wymaganiami moralności publicznej, nawracajmy ich i starajmy się, wpłynąć zba wiennie na nich; oświecajmy ciemnych; wspierajmy upadających z nędzy moralnej i fizycznej, a dzieło demokracji naszej, dzieło demokracji polskiej choć po lat dziesiątkach, choć po wiekach nawet błogie przyniesie owoce.

Przy sposobności omówienia prawdziwych zadań naszej demokracji mimowoli nasuwają mi się myśli rozmaite. I tak też sędzę, że nie dość jest chcieć, ale trzeba działać, i nie dość jest działać, ale trzeba działać roztropnie.

Niechaj szkoła będzie szkołą a czytelnia czytelnia, jednym słowem: niech każda rzecz zajmie właściwe sobie stanowisko. Niestety! nie zawsze zachodzi ten stosunek. Zajrzyjmy do naszych czytelní a przekonamy się, że wielka część ich przemieniła się w szulernie, w piwiarnie i winiarnie, w których czytanie gazet i książek stało się tylko pozorem dla upiększenia hula tyki nocnej. Tu już winni głównie i jedynie prawie nasi

pieczeniarze, boć chłopstwo galicyjskie dotąd nie zagląda prawie do czytelń miejskich. A mimoto znaleźli się padlecy i lizuny, którzy aby się pewnej klasie wsteczników przypodobać, ten porządek rzeczy pod niebiosa wynieśli; znalazł się nawet pseudo-demokrata, redaktor pewnego pisma ludowego*), który zachwycony był odkryciem, iż w pewnem mieście w czytelni tamtejszej przy kuflach piwa czytają gazety. Według mego zdania nie trzeba na to aż czytelni, gdyż w pierwszym lepszym szynku przy kuflach piwa także można czytać gazety.

Sądzę, że nie łatwo będzie, znudzonym i nudzącym się wiecznie pieczeniarzom wytrącić z ręki zabawki zgubne dla zdrowia i moralności publicznej i odczyć ich nałogów, szpecących naturę ludzką, ale nie będzie to też niemożliwe. Zastąpmy wino i piwo w czytelniach napojem nie oddziałującym szkodliwie na mózgi a grzejącym mimoto, herbata lub kawa, tak jak się to w bardzo wielu miejscach i z dobrym skutkiem w Krakowie praktykuje; zastąpmy grę w karty grą w szachy lub w warcaby, a w lecie, jeśli się w ogrodzie bawimy, grą w kręgle i w piłkę dla wzmocnienia zdrowia; zastąpmy bezrozumną gadaninę o plotkach miejskich rozmową ważną i pouczającą, a czytelnie miejskie staną się tem, czem powinny być, przybytkami nauki i wiedzy, połączonej z przyjemną a użyteczną rozrywką ducha.

Ale na tem jeszcze nie koniec; bo nie każdy jest szczęśliwym do tego stopnia, aby jako człowiek ukończony korzystać mógł z dobrodziejstw Boga. Nie jeden walczy z nędzą, nie jeden tonie u samego wejścia do portu, nie jeden z klątwą straszną w sercu i na ustach staje się wrogiem najokropniejszym społeczeństwa, którego miał być podporą główną i filarem, i wyradzają się z łona tak czystej i wzniosłej instytucji, jaką jest i powinna być nasza demokracja, wyrodki, wyradzają się komuniści i anarchiści, ziejący ogniem i mieczem, wyradzają się ludzie, którzy na podstawie słynnej sentencji: „Co moje — moje, a co twoje — także moje,“ sentencji wszystkich opryszków — walczą na zabój z ka-

*) Benedykt Pobóg Filipowicz w korespondencji ze Sambora.

piąłem bez względu na to, czy kapitał ten na nieuczciwy, czy na uczciwy sposób został zapracowany.

Ależ i na to znajdzie się rada: niech nasi rzemieślnicy, fabrykanci i kapitaliści, którzy własną pracą i skrzętnością dorobili się majątku, pamiętają o tem, że kiedyś byli bardzo biedni i omal nie wyciągali rąk za proszonym chlebem; że los podobny temu dzieli mnóstwo pracowitej młodzieży i że obowiązkiem świętym dla kraju, młodzież tę wspierać. Niech się nikt nie odciąga i niech każdy w zakresie swoim działa według możności. Twórcie szkoły i wyposażajcie je, szkoły nie tylko, aby w nich kształcić przyszłych urzędników, adwokatów, notariuszów, nauczycieli, lekarzy, farmaceutów i t. d., ale szkoły, aby kształcić w nich dobrych rzemieślników, rolników i fabrykantów, których bardzo a bardzo brak krajowi; twórcie stypendja dla uczącej się młodzieży rzemieślniczej, a przysłużycie się dobrze krajowi, i polska demokracja stanie się odrazu tem, czem powinna być od dawna, stanie się jedynym wyrazem myśli ludu, stanie się zbawicielką narodu, stanie się prawdziwą (nie blichtrzem przesądów przedpotopowych upiększoną) arystokracją, bo arystokracją myśli, czynu i ducha.

Sambor, 8. Grudnia 1884.

Ludu mój, ludu!

Ludu mój, ludu! za co pijesz łzawy
Kielich goryczy, z szyderstwem zmieszany?
Czy za twą wiarę świętą i kapłany?
I za poświęceń twoich ołtarz krwawy?
Ludu mój, ludu! za co cię w ciemnicy
Więzień wrzucono, co zgnilizną trąca?
Czy za tę miłość do Matki gorącą?
Za tę najczystszą wielkich cnót krynicę?

Ludu mój, ludu! czemu cię spętano
Rdzawym łańcuchem, co rani twe ciało?
Czy zawsze krwi twej wrogowi za mało?
Za co ci ręce i nogi skowano?
Ludu mój, ludu! za co cię biczuje
Krwawych oprawców, czynowników zgraja?
Czy za tę miłość do Trzeciego Maja,
Co mimo męczeństw w duszy twej nurtuje?
Ludu mój, ludu! za co cierpisz tyle?
Za co na głowę koronę ci wbito
Cierniową? za co na krzyż cię przybito
I gdzieś w sybirskiej zmrożono mogile?
Ludu mój, ludu! krew twoja niewinna
Spadnie na syny morderców i katów!
I z kropel krwi twej, tych męczeńskich kwiatów
Powstanie Polska odrodzona, inna!
Niczem ten kamień, co grób twój przygniata
Siłą przemocy! — przyjdzie mściciel boży,
Co w zmartwychwstania dzień grób ten otworzy
I załśni tobie życie, śmierć dla kata! —

Rymanów, 13. Grudnia 1896.

Olga Lissówna.

Jak to ładnie, gdy na grobach róże rosną.

Jak to ładnie, gdy na grobach róże rosną,
Z piersi zmarłych pozdrowienia wieść żalną
Niosą wonią otwartego pączka kwiatu,
I swym blaskiem tak się mile wdzięczą światu.
I rzecz dziwna, że te róże takie butne,
Tutaj zdaje się — choć piękne, przecież smutne...
Ach, bo wiedzą, że ich piękność prędko mija,
Jak tych ludzi, którym w życiu szczęście sprzyja,

Którym źródło wszech-rozkoszy celem było,
A dziś zimni pod wzgardzoną śpią moglią!
Jak to ładnie, gdy na grobach róże rosna,
I popioły serc umarłych zdobią z wiosną —
I takimi grają barwy w tkance złotej,
Jakie duszy zmarły człowiek miał przymioty :
A więc czasem niewinności mają bladość,
Czasem dzikiej zemsty serca jasną radość,
Czasem mienią się kolorem znów zazdrości,
Czasem barwą zawiedzionej — ach, miłości —
Czasem chyłą ku mogile głowę kornie,
Czasem w niebo spoglądają tak upornie,
Jakby chciały tam wysoko pytać Boga,
Czemu cierniem przeplatana życia droga?
Jak to ładnie, gdy na grobach róże rosna,
I wspomnienia nawiązują nic żalosa,
Że się zdaje, jakby szumem mówić chciały,
A z tęsknoty często główki poschyłały.
Więc ja lubię w wolnej chwili u cmentarzy,
Słuchać, jako jedna róza z drugą gwarzy...
I im większe na grobowcach stoją cisze,
Tem rozmowy ja wyraźniej, lepiej słyszę ;
I uczucie się tak rzewne w sercu budzi,
Że nie chciałbym więcej wracać między ludzi.
Ach, te róże jakiś z grobem łączy związek...
Mnie się zdaje, że je sadzić — obowiązek,
I że one ciszą w grobach tkwiącą burzę ;
Jak to ładnie, gdy na grobach rosna róże.

Zenon Młot.

Klub c. k. urzędników poczty i telegrafu

we Lwowie 1. Marca 1897.

Już karnawał się kończy ;
Kończą płasy, tany,
I kuligów śmiech pusty
I pikników gody,
A nim słońce zakresli
Dwakroć krąg świetlany,
Ujrzymy chmurne czoło
Popielcowej środy...
„Na kolana padajcie!
Z powagą zawoła —
Wy, co grzeszycie ciągle
Wpóźród nocnej pory,
Z kornem obliczem spieszcie
Rychło do kościoła,
Sypać popiół na głowę,
Wdziewać zgrzebne wory. —
Wszak młodzieniec, co szepce
Kłamliwie, że kocha,
Wszak mąż, co to flirtować
Po za dom swój leci,
Wszak dziewczica, co mruga
Figlarna i płocha,
Wszak mężatka, co brudne
Chowa w domu dzieci,
Wszyscy wy do śmiertelnych
Należycie rzeszy,
W której zły duch w postaci
Kusiciela siedzi,
Toż czempredziej niech każdy
Z tych śmiertelnych spieszty,
Bić grzeszne swoje piersi,
Myśleć o spowiedzi. —

A gdy z toni zdołacie
Wybawić swą duszę,
Niechaj pątnik z kolei,
Jak godnie przystało,
Grzesznemu ciału dąży
Zadawać katusze,
I ostrym postem karcieć
Niepoprawne ciało!
Na ten cel sale klubu
Są zawsze otworem;
Toż niechaj każdy w środę
Przyjdzie lub przyjedzie,
Z żoną i córką swoją,
O ósmej wieczorem,
Na szklaneczkę pilznera
I pocztowe śledzie.“

Walenty Ćwik.

Kocham tę Polskę.

Kocham tę Polskę, te łąny i niwy,
Te lasy, góry i wioski i miasta,
Bom Polak duszą i sercem uczciwy,
Bom Polak z rodu i mowę mam Piasta.
Kocham te wieże i piękne kościoły,
Te zamki, które stawiali królowie,
Kocham te groby z zimnemi popioły,
W których spoczęli waleczni mężowie.
Kocham Ojczyznę, a w niej ludek cały,
Ten ludek polski, pracowity, hoży,
Przed którym niegdyś inne ludy drżały,
Choć dzisiaj nad nim zawisł palec Boży.
Kocham te skarby, to narodu życie,
Te szkoły wiejskie, a w nich dziatwę małą!
Miłość się moja wypłaca sownie,
Bo w dziatwie szkolnej kocham
[Polskę całą.

O. L.

OFIARY.

Obrazek z życia żydów.

Pod wyrazem: miasteczko rozumiemy kilkadziesiąt domków żydowskich, brudnych i zapadłych, ulice pełne śmiecia, w zimie śnieg po kostki, a w lecie po deszczu jedną wielką bajurę. Oświetlenie obejmuje częstokroć kilka zaledwo lamp w „rynku“, na którym — nawiasem mówiąc — gęsi i bezrogi się pasą. W środku tego rynku stoi — i to nie wszędzie — jedyny piętrowy dom, zwany ratuszem. Tu co wieczora schodzą się panowie radni, by w sali kasynowej przy kufelku piwa gwarzyć o rozmaitych prawdach i nieprawdach, posłyszanych w „mieście.“ Takie wieczorne konferencyjki odbywają się w miasteczkach, w których żywił chrześcijański przeważa albo przynajmniej dorównuje semickiemu. W innych — a jest ich 99% — w ratuszu zamieszkuje kahał, pan „burmyszcz“ a w parterze zabudowania mieści się jedyna ek. trafika i Bacchus z Gambrinusem. Ratusz zwykle w czworoboku zbudowany, a naprzeciw wszystkich czterech ścian jego, w dość znacznej odległości, stoją domy, które raczej na miano chat niż domów zasługują. Brudne te siedziby żywołu semickiego, o odrapanych z tynku ścianach, mają bramy wjazdowe i dość długą sień, w której stoją wozy, a w przymurowaniach a raczej przybudowaniach z desek mieszczą się stajnie, śpichlerze itp. Oprócz rynku jest jeszcze kilka zaledwo uliczek z podobnymi domkami. Kościół rzymsko- lub greckokatolicki, poczta i bożnica, oto wszystkie gmachy publiczne miasteczka.

Mieszkańce są to brudni, fanatyczni żydzi, żyjący z dnia na dzień, i w ogóle nadzwyczaj lichy się odżywiający. Brak pokarmu cielesnego — o który zresztą nie bardzo dbają — zastępują zazwyczaj pokarmem duchowym. Całymi dniami przesiadują nad talmndem,

którego skryte tendencje mało komu z nich są znane, chociaż prawie na pamięć go się ucza.

Wychowanie, jakie tacy żydzi poświęcają synom — o córkach nie pamiętają nawet — polega na wyuczeniu czytania i pisania po hebrajsku. Pięcioletniego już malca oddaje się do chajderu, gdzie pobiera początki nauk i chorób piersiowych. Tu przez cały tydzień, z wyjątkiem piątku popołudniu i soboty, od rana do wieczora malec taki, pod dozorem belferów i „kańczuga“ (dyscypliny) słęczy nad pięcioksięgiem Mojżesza, ucząc się go i tłumacząc na żargon. Tłumaczenie to jest zupełnie mechaniczne, ani uczeń, ani nawet nauczyciel nie mają bowiem najmniejszego wyobrażenia o gramatyce. Tłumaczy dzieciak wszystko, nie wiedząc, do czego jaki wyraz się odnosi. Mimo tego mechanizmu w nauce, chłopak z powodu wielokrotnego powtarzania, po sześciu dniach nauki, zna pewną część księgi — pięć do sześć kartek — prawie na pamięć. —

Taka nauka trwa przez dwa albo trzy lata, aż bachór już cały pięcioksiąg z komentarzami i dodatkami uczonych z przed kilkunastu wieków na pamięć umie. Gdy z tego wszystkiego zda egzamin przed ojcem, rabinem i zaproszonymi „uczonymi“, przechodzi do drugiej klasy, w której się uczy historii żydów po śmierci Mojżesza aż do upadku świątyni jerozolimskiej, księgi Hioba, Dawida psalmy, Salamona zdania i przysłowia itp. Mającego lat 10 sadzają nad talmudem i każą mu się uczyć etyki, jurysdykcji i innych nauk, które w cywilizowanym świecie są polem popisu tylko dla specjalnie poświęcających się tym gałęziom nauki uczonych. Takie nauki przyczyniają się wprawdzie do rozwinięcia umysłu, ale przytępiają uczucie i zapał, robiąc z kilkunastoletnich chłopców sensatów i w ogóle jednostki, nie mogące na chleb zapracować uczciwym sposobem.

Gdy taki chłopak dojdzie 18 do 19 lat, szukają dla niego rodzice żonę, którą przed ślubem raz tylko widział. W ten sposób społeczeństwo wzbogaca się o jedną jeszcze parę małżonków, zaczynających krew z „gojów“ wysysać. Taki mniej więcej jest u żydów fanatycznych sposób wychowania synów. Rzadko który z takich żydków umie pisać po polsku, nie przeszkadza

mu to jednak, wyzyskiwać głupich chłopów. Takie to zwyczaje panują w większej części miasteczek galicyjskich, choć nie we wszystkich. Są wyjątki, szczególnie tam, gdzie przeważa żywioł chrześcijański i gdzie większe miasto bliskie. Szkoły publiczne a z drugiej strony przymus szkolny, choć tylko na papierze istniejący — zmuszają żydów do posyłania dzieci do szkół.

* * *

Miasteczkiem takim był także Łapiszów, w Galicji wschodniej położony. Mieszkańcy składali się tu w połowie z katolików a w połowie z żydów. Bliskość Lwowa i stosunki handlowe, w jakich mieszkańcy Łapiszowa ze Lwowem pozostawali, przyczyniała się tutaj do ucylizowania żydów bardziej, niż gdzie indziej. Dzieci uczących się było tak wiele, że Rada szkolna okręgowa widziała się zmuszoną, dwie szkoły założyć. Korzystali z nich także żydzi, którzy początkowo z tem się ociągali — ale przykład dany przez jednego, porwał niebawem wszystkich. Znikały pejsy i jarmużki a chajdery się opróżniały.

Pierwszym, który syna do szkoły posłał, był Aron Merzbach. Pozostawał on w ciągłych stosunkach ze Lwowem, dokąd też często jeździł. Widział tam, że wielu żydów posyła dzieci do szkół publicznych i niejednen żyd doprowadza do stanowiska — adwokata lub lekarza. To go zachęciło. W egoistycznej głowie żyda powstała myśl:

— Dlaczego ja nie mam posłać Josła do Lwowa, do szkoły łacińskiej?... on już umie pisać dobrze po polsku i po niemiecku i rachuje dobrze... on może zdać egzamin i pójść do szkoły, to może jeszcze być doktorem i mieszkać w salonach...

Myśl ta nie dawała mu spokoju... Mieć syna wielkim panem w mieście — to było szczytem ideałów i marzeń Merzbacha. Ledwo wrócił do domu, zawołał syna i żonę do pokoju i rzekł do nich:

— Słuchaj no Josel, czy ty lubisz się uczyć po polsku i po niemiecku?

Zamiast odpowiedzi chłopiec pytająco spojrział na ojca.

— Dziwisz się, dlaczego się pytam — rzekł ojciec. Oto wiedz, że jabym chciał, żeby ty się dużo uczył po polsku i po niemiecku.

— A gdzie? — zapytał z ciekawością Josel — tu niema tylko cztery klasy...

— Nu, a do Lwowa nie pojechałbyś? co...

Oczy Josłowi, którego niech nam wolno będzie nazwać Józefem, zabłyśły z radości. Znał ojca i wiedział, że postanowiwszy sobie wysłać go do szkół, z pewnością go wyśle. Zamiast odpowiedzi całował rodziców po rękach. Teraz przyszła kolej na matkę. Była ona niemniej ambitną od męża, choć o wiele od niego pobożniejszą. Plan posłania syna do szkół do Lwowa podobał jej się bardzo. I poświęciła chętnie całą pobożność swoją, byle tylko mieć syna, wielkiego człowieka.

— Nu, co robić — powiedziała — niech Josel jedzie do Lwowa, będzie się uczył, będzie potem doktorem albo aptekarzem. Oj! to ja wtedy będę dumną... Mój syn będzie pan doktor. Aj, aj!

Żydówka delektowała się tem wspomnieniem.

— A nie będziesz się wstydził twojej matki... co? ha ha ha! Jak ja będę miała syna doktora, to on się ożeni bogato, o! bogato. Może weźmie dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy posagu... Kto wie. Bóg może da...

Dwunastoletni Józef uśmiechał się, słysząc te nadzieje przyszłości, jaką mu matka rokowała. On pokochał naukę namiętnie. Możliwość powiększenia swych wiadomości oszołomiła go. Całował naprzemian ojca i matkę. Nie posiadał się z radości. Więc będzie mógł w mieście uczyć się tylu rzeczy... tylu rzeczy!...

Wyjazd do Lwowa naznaczono za dni czternaście. Józef pożegnał się ze znajomymi, mówiąc każdemu z radością, że jedzie do Lwowa do szkoły. Znalazł się nienajbardziej, co mu zazdraszczało, ale znalazło się też kilku, którzy mówili:

— Ot, strefni się tam we Lwowie. Kto wie, może się nawet wychrzci...

Takie było zdanie niektórych, ale ogół obojętnie się zachowywał.

Josła po raz ostatni w sobotę wołano do pisma świętego a w niedzielę rano wyjechał do Lwowa.

* * *

Od tego czasu minęło lat sześć. Józef był już w siódmej klasie gimnazjalnej. Niktby w nim nie poznał Josła, który z pejsami i w jarmułce kilka lat temu bawił się na rynku Łapiszowa... Polubił on nauki namiętnie, mimoto uczył się ze zrozumieniem, a koledzy nie nazywali go „kowalem.“ Lubili go tak profesorowie, jak i współuczniowie dla jego dobrego serca i szlachejnych zasad. Uważał się za syna tej ziemi, na której się urodził, a wrogów Polski uważał za swoich wrogów, choćby nimi byli nawet jego współwyznawcy.

Szczera przyjaźń łączyła go z kolegą Adolfem Rosnerem, którego od lat sześciu znał. Chodzili oni przez cały ten czas do tego samego oddziału, a Józef nierzadko przychodził do Adolfa, którego rodzice mieli sklep korzenny przy ulicy Krakowskiej. Byli to poczciwi ludzie, którzy woleli dochód mały, byle na jego zdobycie nie trzeba było półśrodków. Dwoje dzieci — bo oprócz Adolfa mieli jeszcze córkę Rózię — mogli utrzymać, choć skromnie, z dochodów, jakie sklep im przynosił. Józefa polubili oni bardzo a z czasem został dla nich szczerym przyjacielem. Prawie co wieczora po ukończeniu lekcji przychodził on do nich, gdzie cały wieczór przepędzał, już to na grze w szachy z ojcem, już to na rozmowie z panną Rózią, która dorównywała mu prawie wykształceniem, choć była o trzy lata młodszą.

Ta znajomość Józefa z Rózią z czasem zamieniła się w przyjaźń serdeczną. Powiedział któryś z nowszych powieściopisarzy, „że miłość tak długo jest miłością prawdziwą, jak długo ci, co się kochają, uważają się tylko za przyjaciół.“ Rzeczywiście miłość Józefa do Rózi była tego rodzaju. Nie wiedzieli oni wcale, że się kochają, ale bardzo im było przyjemnie razem spędzać wieczorne chwile.

Tak minęło dla nich półtora roku. Józef i Adolf zdali obydwaj egzamin dojrzałości z odznaczeniem. Adolf udał się na wydział prawniczy, a Józef na medycynę

do Wiednia. Wolał on wprawdzie filozofię, chciał się poświęcić nauce historii, ale rodzice, a szczególnie matka upierała się przy tem, by się poświęcił medycynie, które to życzenie uzasadnili słowami:

— Co tam jakiś fylozof?... Jak będziesz doktor, to będziesz wielki człowiek i weźmiesz wielki posag.

Chcąc nie chcąc musiał się na to zgodzić, gdyż inaczej ojciec odmówiłby mu materialnej pomocy, a sam utrzymywać się nie był w stanie. Wyjechał więc na kurs medycyny do Wiednia.

*

*

*

Listy, jakie Józef do Rózi posyłał, były pełne serdeczności i wylanych uczuć. Młodzi ludzie coraz bardziej do siebie się przywiązywali, uważali się za rodzeństwo. Rodzice Rózi wiedzieli o tej korespondencji i nie byli wcale temu przeciwni. Nie posądzamy ich bynajmniej o ten brzydki egoizm, że chcieli zdobyć zięcia doktora. Oni wcale nie myśleli o tem. Uważali Józefa za syna swego, za dziecko własne.

Józef swoim rodzicom ani słowem o tym stosunku nie wspominał. Był pewny, że gdy matce o swej miłości powie, ona mimo swe na przyszłość widoki z chęcią na ten związek się zgodzi. Mylił się. Jedyńcem marzeniem matki było, mieć synową bogatą, choćby nawet starą pannę. Jedyńie z tych względów zgadzała się na „strefnienie“ syna. W innych warunkach nigdy by się na to nie zgodziła.

Tymczasem Józef zdał doktorat z medycyny. Rózia oczekiwała go z bijącym sercem. Każda godzina była dla niej wiekiem. W ciągu tych kilku lat miłość jej ku Józefowi wzrastała szybko. Kochali się tą miłością, która będąc naturalnym wynikiem długiej przyjaźni jest trwalszą od miłości namiętnej, przemijającej.

Wreszcie nadeszła pora przybycia Józefa. Ojciec z Adolfem pojechali na dworzec. Rózi pukało serduszko mocno, o! bardzo mocno...

Na schodach rozległ się odgłos kroków... drzwi się otworzyły... para kochających się padła sobie w objęcia.

Radość w rodzinie była wielka. Józefa przyjęto jak syna.

Nie będę opisywał rozmowy kochanków, ani oświadczeń Józefa. Przyjęto je, ale pod warunkiem, że rodzice Józefa związek ten pobłogosławią. To też zaraz nazajutrz pojechał do domu, przykazując jak najszybciej powrócić.

Całe prawie miasteczko wyszło na powitanie „pana doktora“. Mógł on się ledwo opędzić natrętom i życzeniom ich. Za to serce rodziców wezbrało dumą. Twarz matki promieniała radością, przyciskając syna do łona, mówiła :

— Nu, nu, Pan Doktor, może Ty się wstydzisz rodziców, co? Aj, aj, jak on wyrósł... Mój Josafe...

Zaczęły się ściskania, pieszczoty. Matka pytała :

— Nu co, wybrałeś sobie już jaką kałę?*) Co? A ile ma posagu... Tylko trzydzieści tysięcy? co?...

Józef przerwał im :

— Właśnie chciałem Was poprosić o błogosławieństwo...

— Jakto?! — zawołali równocześnie ojciec i matka.

— Zareczyłem się we Lwowie...

— Z kim? z kim?

— Z panną Rózią R., córką kupca ze Lwowa.

— A ile ma posagu? — przerwała matka.

— Nic.

Ojciec zbladł, znał swoją żonę i wiedział, że tu nie pomogą żadne perswazje, z drugiej zaś strony poznał po synie, że miłość jego zanadto silna, aby ją przełamać.

Matka cała z gniewu sponsowiała :

— To ty, bez mojej wiedzy... śmiał się zareczyć z jakąś tam biedną dziewczyną... jakąś łajdacznicą...

Na te słowa Józefowi krew buchnęła do twarzy. Takie słowa o swej ulubionej i to z ust własnej matki były wystarczającemi, by najsilniejszego człowieka z nóg zwalić. Miał on jednak tyle nad sobą mocy, że stał nieruchomy, zdretniały, zaczął cały drżyc na całym ciele i trząść się, bliski apoplektycznego ataku.

*) Narzeczoną.

W obawie o życie jedynaka, rodzice zaczęli go przeproszać, mówić o tem i owem. Wkrótce wrócił też Józef do przytomności i zawołał z całą stanowczością, dobywając z siebie resztki głosu :

— Muszę się z Rózią... ożenić... muszę...

— Jak? jak się nazywa? — krzyknęła matka.

— Rózia... odpowiedział Józef.

— To znaczy po żydowsku Rojza... Co?

Józef potakiwał, nie wiedząc, do czego matka zmierza.

Wzrok jej zaiskrzył się.

— No — rzekła — dzięki Bogu! nie ożenisz się z nią!

— Dla...cze...go...?!

— Bo ja się także nazywam Rojza! A przecież nie chcesz, abym ja albo ta Rojza do roku umarła*).

Józef zbladł, nogi pod nim się chwiały, oczy słupem mu stanęły... runął jak długi na ziemię...

Rodzice rzucili się ku niemu, by go ocucić — zapóźno.

Józef padł, rażony udarem serca.

* * *

Za kilka dni można było wyczytać w jednym z dzienników lwowskich :

„Rózia R., córka tutejszego kupca, dostała pomieszania zmysłów. Nieszczęśliwą odwieziono do zakładu obłąkanych. Powodem miała być nieszczęśliwa miłość.“

Lwów, 11. Stycznia 1893

Awigdor Chajes.

*) U żydów fanatycznych jest przesąd, który zakazuje, by teściowa miała to samo imię co synowa, gdyż inaczej albo synowa, albo teściowa muszą do roku umrzeć. Przesąd ten pociąga za sobą wiele ofiar. Obrazek nasz osnuty na prawdzie. (Przyp. aut.)

Wiersze pośmiertne Anny Libery^{*)}).

1. Skarga i Rejtan,

obrazy Mistrza Jana Matejki.

Na pamiątkę obchodu jubileuszu.

Lutniami rozdźwięczyny geniuszu dzielność,
Szczytny, narodowy cel pracy,
Mistrza, co już świetną zdobył nieśmiertelność,
Pieśniami czcijmy go, rodacy.

Bo płótno po wiekach ulega zniszczeniu
I farby spłowieją, pobledną,
Pieśń razem z ludzkością dążą ku istnieniu.
Pieśń i ludzkość w czasie to jedno.

Smutkiem pochylona Piastowska stolica,
Wdowieńską podnosi dziś głowę,
Spoziera i słucha, sercem się zachwyca.
Z zadumy ożywia myśl, mowę —

Bo przed nią stawają postacie uroczę,
Z dziejowej przeszłości ujęte,
I wnoszą się w świata powietrze przeźrocze,
By unieść się nad nim jak święte.

*) Anna Libera Krakowianka urodziła się na krakowskiej ziemi 1804, umarła 1886 w podeszłym wieku. Wspomnienia dawnej wielkości Polski a w nowszych czasach życie autonomiczne Rzeczypospolitej krakowskiej, aczkolwiek krótkotrwałe, pobudzały wrażliwą jej duszę do śpiewu. Wszędzie też pod imieniem i nazwiskiem swoim podpisuje się przydomkiem „Krakowianki.“ Ona pierwsza jeszcze w r. 1848 poruszała w Galicji piórem kwestję emancypacji kobiet, występowała przeciwko nałogowi opilstwa, prawie przy każdej nadarzającej się sposobności chwyciła za pióro, czy to, by uświetnić jakąś uroczystość narodową, czy to, by hołd oddać znakomitościom narodowym, czy wreszcie, aby wskrzesić wspomnienia dawnej chwały polskiej. Obok wydrukowanych mnóstwo pozostawiła po sobie nieogłoszonych dotąd drukiem rękopisów. Córka Anny Libery, wydana za zarządcę poczty Flacha, mieszka obecnie w Kałuszu. (Przyp. red.)

Tu Skarga, mistrz słowa wraz prorok Izai
Z powstałym na głowie swej włosem,
Dla zbawu narodu ran jego nie tai,
Grożąc mu śmiertelnym zład ciosem.

Już wówczas ciężyły dwie żelazne dłonie,
Pod którymi kraj się ugiął,
A trzecia go w własnem kaleczyła łonie,
Niestety! braterski puginał...

Słucha go król Zygmunt z królewską rodziną,
Senatory, wodze, hetmany,
Lecz biada! prorocze słowa marnie giną —
Naród był umysłem złamany.

Świątynia odbrzmiała posłannika słowa,
Lecz serca nie drgnęły zapałem,
Królowi na piersi ciężka spadła głowa,
Tłum okiem spoziera niedbałym.

Odtąd upływały dwa mniej świetne wieki,
Jak kraj uznał chwile konania,

Zdrętwiałe słabością otwiera powieki

I do praw majowych się skłania.

Lecz w tłumnej Warszawie na sali obrady,
Partje nierówne się zwały,
Duch czarci podstępem nakłonił do zdrady
I dzieci się matki wyparły!!!

Nawa steru rządu uległa powodzi,

Sejm zerwany zgubnie nurtuje,

Tłum salę opuszcza i z grozą wychodzi,

Rejtan go w progu wstrzymuje.

Rzuca się na ziemię i woła z rozpaczą :

„Tu po moim trupie wam droga,

„Ojczyzna, potonność tego nie przebaczą!

„Wróćcie się, zaklinam na Boga!“

Obraz to straszliwy, chociaż wiekom wzorem

Bohaterstwo Rejtana prawe ;

Jak zdrajców nikczemnych jest instygatorem,

Lecz z ogółu zmywa niesławę.

Bo naród nie upadł na duchu miłości,

Ni myślą nie sięgnął podłoty —

Bo naród kraj kochał jak ojców swych kości,

Jak ich wielkie czyny i cnoty.

Rozwesel oblicze, cna wdowo piastowa,
Odrzuć czarny smutek od czoła,
Masz syna natchnienia dziejowego słowa,
Dziejowych pamiątek anioła.

On wziął moc twórczości i sztuki pochodnię,
By nią świecąc prawdy nie skrywał,
By naród nasz w więzach trzymany niegodnie
Wolne ludy sobą zdumiewał.

Cześć mistrzu za twory, tchnące nowem życiem,
Za Polskę, wzniesioną ku cudom,
Żeś wielkie jej męże, któremi się szcycim,
Pokazał na globie wszechludom.

Po bitwie Grönwaldzkiej, naszej Ilijadzie,
Mógłbyś rzucić pędzel i paletę,
Lecz drżąca Twa ręka nowe płótno kładzie,
Masz szkicować jakąś kobietę —

Królową Jadwigę? nie — twój przedmiot inny:
Stoi przy sztaludze złamana,
Smutek ma na czole — wraz uśmiech niewinny,
Słoneczną jasnością owiana.

Krew ścieka jej z głowy na szyję z kararu,
Na piersi boleścią wydęte,
Na ręce zaciste cudnych form i czaru,
Na łono dziewicze jej święte —

I cała w kolorach krwawych aż do stopy,
Płaszcz z purpury, złota korona,
Unoszą się nad nią w górze nieba stropy,
Orzeł biały u nóg... to Ona!...

To Ona przepiękna, ja przed nią w pokorze
Do ziemi swą głowę niżę,
Za miłość wszechludzką, za cnoty jej boże
I za Chrystusowe krzyże.

Portret ten zawiesim w naszym Panteonie
Wśród wymownej ciszy grobowej,
Przy rozgłośnym na kraj zygmuntofskim dzwonie
Jak obraz przysłej nam królowej.

Mistrzu! Tyś zrozumiał twoje posłannictwo,
Jako je wypełniał Jan Chrzciciel,
Kroczysz w niewolników cierpliwych dziedzi-
[ctwo,

Nim się im objawi Zbawiciel.

Krocz dalej Cny ziomku z twemi świętościami,
Ożywiaj umarłe, zwątpione,
Pocieszaj arcydzieł swoich widokami.
Póki dnie nie będą skrócone!...

Anna Libera Krakowianka.

1888 r.

2. Na obchód Sobieskiego Jubileuszu.

Śpiewajmy radośnie Janowi trzeciemu,
W dwóchsetnej rocznicy królowi polskiemu,
Godzien uwielbienia nad wszelkie pochwały,
Swą mądrością, mężstwem zadziwił świat cały.
Powódź barbarzyńców straszliwie wezbrała,
Szła na chrześcijaństwo dzikich hord nawała,
Z dzikim swoim wodzem, co nad Alaryka,
Attyle — ta postać była więcej dzika.
On w bezbożnych słowach przegrażał Rzymowi,
Że nasypie owsa swojemu koniowi
Na ołtarzu Piotra, w Piotrowej świątyni;
Nikt tego nie zrobił, ale on uczyni:
Tak Kara Mustafa bluźnił i świat trwożył.
Aż pod Wiedniem stanął i obóz rozłożył.
Lecz zanim go zdobył, uradziła rada,
By cesarz poselstwo wysłał do sąsiada,
Błagając o pomoc — toż i ojciec święty
O swe chrześcijaństwo trwogą przeniknięty
Sze swojego posła i znów błagać każe,
By Sobieski święte ratował ołtarze;
I posły pokłękli przed królem wspaniałym,
Król powstać im kazał, wraz wyrzekł z zapalem:
„Spieszę w imię boże z mem całym rycerstwem,
Polegnę, lub Bóg mnie obdarzy zwycięstwem.“
Wiedeń obleżony, jęczy miesiąc trzeci,
U piersi swych matek umierają dzieci,
Brak wszelkiej żywności, brak amunicyi,

Lud znękany wzywa Jezusa Maryi!
I przybyli w pomoc, król na pniu odciętym
Ołtarz ubrać kazał i w natchnieniu świętem,
Do świętej ofiary kapłanowi służył,
By niską pokorą niebu się zasłużył.
Pan Bóg też poszczęścił jego orężowi;
Jak wypadł z rycerstwem przeciwko Turkowi,
Odrazu rozprószył, że na swe namioty
Ani się obejrzeć nie mieli ochoty,
I tą drogą, którą przyszli barbarzyńcy,
Poszli na wschód słońca, nie wróciwszy więcej.
Dał się im we znaki dzielny nasz Sobieski,
Przy którym szedł z mocą swoją Pan Niebieski.

Pisałam dnia 12. Września 1883 z rana o godzinie siódmej.

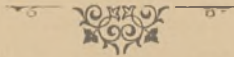
Anna Libera Krakowianka.

3. POLSKA.

Najdroższe imię po matce i Bogu,
Nawet przed matką — jeśli nie przed Bogiem,
Jak światło nocy — tak przeciwne wrogu,
Rozkoszne w nadmiar w porównaniu z wrogiem.
Któż się nie załka na to słodkie imię:
„Polska Ojczyzna!“ ... Komuż nie zabije
Serce czułością, jej bytu pragnieniem,
Jej dzisiaj klęską — niewolą — cierpieniem!
W niej jest nasz żywot — bez niej śmierć nas dławi,
I jakby z grobów powywłóczył trupy,
Chodzim umarli w duszach i nieprawi,
Zdała od siebie, choć łączym się w kupy.
Bo nam brak matki z wielkimi skrzydłami,
Coby nas tuląc wszystkich w swe objęcia,

Znała nas swymi córkami, synami
Lub zginionego szukała dziecięcia.
Rozprószka nasza to więcej niż boli,
Na próżno patrzym w przyszłości błękity. —
Zorza wciąż zorza promieńmi swawoli,
Lecz wschód wolności dotychczas zakryty.

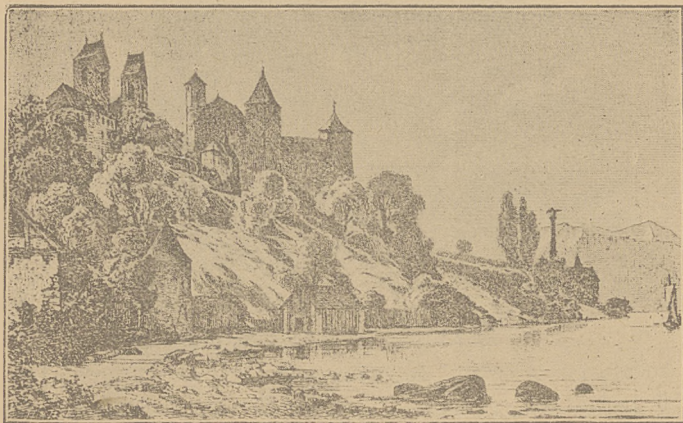
Anna Libera Krakowianka.



Muzeum Rapperswyllskie,

(z trzema rycinami.)

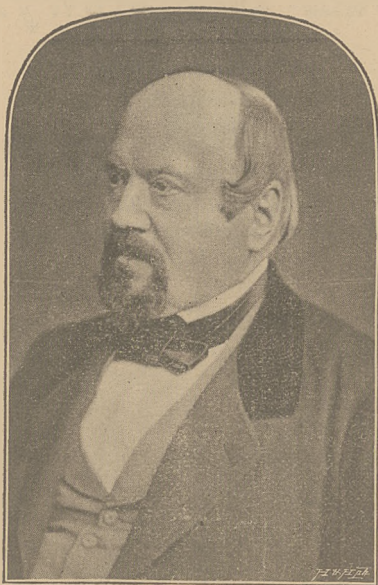
Zeszłego roku na szwajcarskiej ziemi rzadką obchodzono uroczystość w rapperswyllskim muzeum, którego widok zewnętrzny poniżej umieszczamy, pochowano tam w urnie serce wielkiego bojownika dla sprawy polskiej, bojownika z pod Raclawic.



Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswyllu.

Telegramy ze wszystkich stron świata witały piękną tę uroczystość z zapalem, deputacje liczne udały się do zamku rapperswyllskiego, aby hołd swój złożyć tu imieniem Polski.

Przy tej sposobności pozwolimy sobie bodaj krótką wzmiankę uczynić o założycielu Muzeum polskiego na wolnej ziemi Szwajcarów. Władysław hr. Plater, którego portret, przez nas w tym artykule umieszczony, od samego właściciela zdobyć nam się udało, urodził się w mieście Wilnie 7-go Listopada 1808. Już jako



Władysław hr. Plater,

*założyciel Muzeum Narodowego, urodzony 1808 7|11,
† 1889 22|4. (Według fotografii J. Ganzu w Zurychu.)*

młodzieniec brał żywy udział w życiu publicznem. Sprawie polskiej zawsze i wszędzie służył słowem i ramieniem swoim; pierwszy on bowiem ogłosił swoim kosztem pismo o powstaniu listopadowem pt.: „La grande Semaine des Polonais“ a w powstaniu walczył pod dowództwem Samuela Różyckiego w Litwie. Po rozbięciu powstania uszedł za granicę; w r. 1844 zaś osiedlił



Dr. Karol Lewakowski,
*Wiceprezes Muzeum Narodowego. (Według fotografii
Jana Krzanowskiego ze Lwowa.)*

się w Szwajcarji a w 26 lat później, w r. 1870 założył Muzeum Narodowe polskie w Rapperswyllu, którego głównym celem miało być gromadzenie wszystkich narodowych zabytków i chronienie takowych przed rozprószeniem i zagładą. Cel ten aktem notarialnym został zabezpieczony, sprawozdania roczne obznajamiały ciągle ogół polski o zewnętrznych sprawach instytucji a publikacje literackie, w kilku językach ogłoszone, jakoteż odwiedziny gości miejscowych i zamiejscowych miały się przyczynić do wspomżenia funduszków muzealnych.

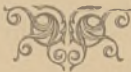
Hr. Plater umarł paraliżem tknięty 22. Kwietnia r. 1880 a dykcja przeszła w ręce komitetu, składającego się z głośniejszych obywateli polskich, w kraju i zagranicą zamieszkałych.

Według sprawozdania za rok 1892, jest obecnie Dyrektorem Muzeum i Prezesem Rady nadzorczej Dr. Józef Gałęzowski w Paryżu, wiceprezesami zaś są Henryk Bukowski w Sztokholmie i Dr. Karol Lewakowski we Lwowie.

Portret tegoż ostatniego umieszczamy też obok. Niegdyś odgrywał on wybitniejszą rolę w życiu publicznem jako poseł do Rady państwa; dziś — ustąpić musiał mandatu szczęśliwszym. W dziejach muzealnych stałą wyjednał sobie pamięć.

Sambor, 28. Marca 1897.

G. Kohn.



Ku czci śp. barona Maurycego Hirscha.

Nieprzejrzysta noc ciężyla
Nad wszystkimi — noc,
Którą przerwać boża siła
Prawie traci moc ;
Wtem wśród wieków gęstej pleśni
Wyblyskała myśl,
By wybawić lud z tej cieśni,
Lud, co widzi dziś.
Lud ten biedny, uciśniony,
Izraela lud,
Przez myśl wieszczów wyzwolony,
Nowy ujrzał cud.
Tak jak Mojżesz przez pustynię
Wiódł w zbawienia kraj —
Tak oświata ma wam ninie
Wskazać myśli raj.
Jako Mojżesz powstał drugi
Cudotwórco mąż,
W świat wysyłał swoje sługi,
Uczył, działał wciąż.
Przeciwnością niezrażony
Walczył jako lew
Dla współziomków swych obrony,
Ich potwarcom wbrew.
Umarł nasz obrońca dzielny,
Umarł baron Hirsz,
Lecz duch jego nieśmiertelny
Przeżyje ten wiersz. —
Ku czci tego, który zbadał
Stan wółmartwych dusz ;
Ku czci tego, co zakładał
Szkoly wszere i wzdłuż ;
Ku czci tego, co w swem dziele
Pomnik wiecznej czci

Pozostawił, wielbiciele
Mówić każą mi.
Czyliż zdolna ludzka mowa,
To określić wam,
Na co brak wyrazów, słowa,
Pojęć brak już nam ?
Nie ! bo wyraz tu za blady,
Co go winien czcić.
A więc idźcie w mistrza ślady,
Chcąc mu wieńce wić !
Jego dzieło — to te szkoły,
Które kształcą lud ;
Idźcie światła apostoły !
I zdziałajcie cud —
Wam użyźniać te zagony —
Taki życia cel,
Aż oświatą wyzwolony
Wstanie Izrael !

Sambor, 21. Stycznia 1897.

G. Kohn.



Szpieg, epizod z r. 1863.

Ze wspomnień powstańca.

Widać drzewa z poza mgły, kogutów słycać pianie. Mgła i dymy otulają, lekko rysując się, szare budowle. Jutrzenka ostatnim promykiem wita nieśmiało jeszcze światło wschodzącego słońca. Na pagórek wdziera się mały oddział powstańczy; konie zwiesiły obojętnie głowy; niewesoło też i młodym powstańcom. Dopiero, gdy pierwsze promienie zimowego słońca przedarły szaro-niebieskawą mgłę i musknęły po twarzach jeźdców — zatarł ten i ów ręce na widok malujących się zdala siedzib ludzkich w nadziei ogrzania się i pokrzepienia.

— Uważnie zbliżać się do alei, ztąd cwałem do dworu, rozstawić się: każdy przed jednym oknem, rewolwery w szyby skierować — brzmiał rozkaz porucznika. A teraz kłusem — dodał i ruszył naprzód prawą stroną ku alei, która wiodła do dworku szlacheckiego.

Wioszczyzna była własnością Moskala, ożenionego z Polką, a leżała tuż za lasem pod Tomaszowem, w pobliżu którego rozbił swój obóz pułkownik Czachowski.

Zamiast użyć sił młodych do walki partyzanckiej, pułkownik niewiedomo dlaczego trawił czas na obozowiskach, sądach i egzekucjach. To zniechęcało młodzież, a ochotnicy o bardziej krewkim temperamencie uciekali do innych oddziałów.

Nie bez szemrania udawał się także i wyżwspomniany oddział na egzekucję, którą polecił był dowódca wykonać na osobie właściciela wioski, za ugoszczenie w swym domu Moskali i wskazanie im obozu polskiego.

Powolna z początku jazda zmieniła się naraz w szybką. Już, już ostatnie drzewa mignęły, pacholę strwożone skryło się za dziupło wierzby; jeźdcy zajechali po przed dom i osadzili spienione konie tuż przed gankiem,

W okamgnieniu stali przed oknami dworku szlacheckiego i utworzyli gęsty wieniec, otaczając go dokoła.

— Tam u poddasza, z tyłu folwarku brakuje jednego, podjedź Pniejnio! — rozkazał oficer półgłosem, a sam zsiadł z konia i zmierzał do ganku.

Zastąpiła mu drogę matrona w zaniedbanym, poranym ubiorze, z dwiema córkami młodemi, które załamując rozpaczliwie ręce wstrzymywały dalszy pochód żołnierza.

— Panie naczelniku! co oznacza ta broń, wymierzona w okna naszego zacisza — my przecież sprawie polskiej sprzyjamy, to nasza wspólna sprawa — wołały niespokojnie matka i córki. Myśmy rodowite Polki...

— Oto rozkaz mego dowódcy! słuchaj pani — odparł krótko oficer.

Wyjął papier i czytał:

„Obywatel Hołuboj rodem Moskal, jest winnym zbrodni szpiegostwa na rzecz swoich, przeto wydaje się nań wyrok śmierci a mianowicie, gdziekolwiek przychwytanego należy zastrzelić.“

— O Boże wszechmocny! — jęła matka. Ojciec wasz moje córki, miałby być szpiegiem? to nie może być — nieuczciwy donos mściwego żyda — arendarza naszego temu wszystkiemu winien, wierzajcie mi panowie. Córki moje! błagajmy wespół litości u rodaka!

Tu padły wszystkie trzy kobiety na kolana przed oficerem, zagradzając mu swemi rękami wejście.

— Ależ moje panie! ubolewam jak najmocniej nad waszą dolą, cóż z tego, kiedy dla żołnierza pierwszy obowiązek? Każdego z nas rozstrzelonoby natychmiast za niewypełnienie rozkazów przełożonego. Takie niestety prawo wojny!

— Nie panie — nie! pan tam nie wejdiesz! Nasz ojciec choć Moskal pewnie niewinny. Zlituj się! gdzie dowody? — wołały w rozpacz dziewczęta.

— W takich wypadkach panie muszą mnie usprawiedliwić — przyzwoitość i pobłażanie mają także swoje granice. Zresztą — uciał krótko — jestem żołnierzem, przepraszam panie — i postąpił naprzód, usuwając z lekka klęczące na drodze.

Zażądał asystencji.

Z wydobytymi rewolwerami poczęto przeszukiwać wszystkie zakamarki.

Czy zauważył co pocziwy żołnierz — niewiadomo. Szukano tylko w otwartych pokojach.

— Niech się dzieje wola nieba — westchnęła matka i omdlała padła w objęcie córek.

Równocześnie każdy z powstańców patrzył w okno i był przygotowany wypalić, gdyby ujrzał szpiega, którego mu wskazano w portrecie. Pniejnia za węglem domu, przechylał się prawie stojąco w siodle na koniu ku okienku zakratowanemu i kierując ciągle broń w to okno, drżał mimowoli. W oczach mu się ćmiło — mierzył w głowę starca. To on — ten sam — rysopis się zgadza — nie strzelę ja, strzeli on — szeptał. Ale nie — cicho musi siedzieć w beczce, boby się niepotrzebnie zdradził — roztrząsał w duszy swojej młodzieniec. O Boże! — pomyślał — czemuś mnie obrał za kata?... Choć prawda, to wróg. Nie! ja niemam serca, zabić go — on ma dzieci i to polskie dzieci — usprawiedliwiał się sam przed sobą powstaniec student, który jeszcze w żadnej nie był potyczce. Cóż się stanie ze mną, gdy go znajdą żywego!

Ręka drżała mu czem raz więcej.

— A niech djabli porwą takie położenie! Nie, nie jestem w stanie dłużej... i... opuścił rękę z rewolwerem ku ziemi.

Szlachetny młodzieniec nie czuł się zdolnym, zabić nawet swego wroga, skoro w nim widział bezbron- nego starca.

Na odpowiedź wieko od beczki całkowicie się podniosło i w świetle słońca wychyliła się głowa sędziwego staruszka o dużych szafirowych oczach. Popatrzył niemi na młodzieńca, stojącego u okna, tak łzawo, tak dziękczynnie wznosił ręce do góry, że młodemu powstańcowi zrobiło się lżej na duszy i uczuł, że dałby się raczej sam rozstrzelać, niż dzieło kata wypełnić. Nie widzieli towarzysze tej zmiany, lecz widziało ją oko zrozpaczonych niewiast. W tej chwili jednak zabrzmiał donośny głos oficera:

— Zsiadać z konia, chłopcy! nie ma tu szpiega!

Otucha wstąpiła znowu w serce młodzieńca i kiedy zmierzał chwiejnym krokiem ku pokojowi, drudzy nie wierzyli oczom swoim i nie mogli pojąć, co takiego się stało rumianemu do niedawna jak życie a obecnie blade-mu jak chusta koledze.

— Poruczniku! Pniejnia, to dzieciak! nie wytrzyma j e d n e j potyczki, skoro zemdlał, siedząc cokolwiek dłużej na koniu — wołali koledzy.

— Nic mu nie będzie, niech się napije wódki, to pokrzepia, zostawić go w spokoju, przeziąłb pewnie na marcowem powietrzu — upewnił oficer.

— Dziękuję ci poruczniku za troskliwość, istotnie mdło mi, pragnąłbym spocząć sam, a wy pijcie — wymówił się student.

— Ależ dobrze, dobrze — wnięsały się do rozmowy panny — zaraz tu panu wskażemy miejsce spoczynku. Ten oto pokoik będzie najdogodniejszy dla pana — zachęcały panie, a matka, otwierając drzwi, podprowadziła młodzieńca ku wygodnemu fotelowi.

Młodzieniec padł na fotel całym ciałem, ręce zmęczone zwisły mu do kolan. Spał. Te to ręce okrywały pocałunkami dziewice, córki ocalonego starca, i zwilżały je łzami wdzięczności.

— Szlachetny młodzieńcze, niech ci Bóg stokrotnie zapłaci! — to rzekłszy matka ucałowała zemdłonego w głowę i nagłym ruchem ręki uwiązała mu coś na szyi.

Młody powstaniec nie czuł, nie słyszał nic, bo w okamgnieniu sen ciężki go owładnął, i nie widział, jak srebrny medalik Matki Boskiej Częstochowskiej zawisł mu na piersiach.

Było to dziełem kilku sekund. Po ofiarowaniu tego upominku, kobiety musiały wracać zaraz i być obecne przy uczcie. Pani domu jako rodowita Polka, raczyła powstańców gościnnością w całej pełni. Troskliwy a może i podejrzliwy porucznik wszedł niebawem do pokoju, gdzie spał szeregowiec Pniejnia. Natychmiast wrócił z uśmiechem na twarzy.

— Śpi, śpi spokojnie — ot dzieciak, gdzie mu tam do wojny! Ale jakież to nabożny — pewnie wyj-

dzie cało... Chodźcie ze mną, koledzy i bierzcie przykład.

To rzekłszy, wskazał na śpiącego w fotelu Pniejnię, i zwrócił się do reszty towarzyszków broni.

— Oto patrzcie — prawil oficer dalej, — ma zawieszoną na piersiach Matkę Boską — następnie medalonika dotykając, obudził śpiącego.

— Co to jest panowie? gdzie my jesteśmy? — bąkał zaspany student i nie mógł oczu otworzyć.

— Nic, nic! przetrzyj oczy i posil się, bo zaraz w drogę ruszamy. Podziwialiśmy bogobojność twoją — zakończył dobrotliwie oficer — uspokój się.

Młodzieniec dużemi oczyma popatrzył na wstążeczkę z medaljonikiem u spodu i zrozumiał, że to upominek za dobry czyn. Schował go prędko w zanadrze, aby się zaś nie zdradzić, z całą przytomnością upomniał kolegów:

— Kto z Bogiem, z tym Bóg! matka moja błogosławiąc mi na drogę, powiesiła ten medalik na szyję.

Kobiety głębiej odetchnęły. Cicha, dziękczynna modlitwa wydobyła się aż z trzech dusz strwożonych i uleciała pod strop niebios. W rok później powrócił młodzieniec szczęśliwie z pola walki.

Zakopane, 15. Sierpnia 1894.

Mieczysław Mściwujewski.



Bibliografia.

a) *Książki pamiątkowe i roczniki.*

[Kalendarz „Djabła“ na rok 1897, pod redakcją Konstantego Krumłowskiego (Krum...tyn). Kraków-Podgórze. Nakładem księgarni Władysława Poturalskiego w Podgórzu a czcionkami A. Koziańskiego w Krakowie. Format mały in quarto. Cena 50 ct.]

Kalendarze „Djabła“ mają dobrą tradycję. I ten trzeci z rzędu — mimoto że przeszedł pod nową a obcą redakcją — dosyć przyzwoicie się przedstawia. Obok starych, znanych już dostatecznie czytelnikom współpracowników wydawnictwa, napotykamy także w książce tej na całkiem nowe imiona, jak Witolda Leitgebera, Broga, Niedźwieckiego a przede wszystkim redaktora samego.

Tenże zagaja niejako rzecz pięknym wierszem, głęboko obmyślanym a zatytułowanym: „Pozdrowienie z Krakowa!“ Po nim następuje Hermogenes Kłapa, który w żartobliwym poemacie pt. „Rzecz o roku 1896“ omawia najważniejsze zdarzenia ubiegłego roku, przy czem by się jednak zdało, nie podnosić zbyt dodatnio zasług politycznego szalbierza, za którego słusznie uważamy p. Luegera. Wyborną satyrę na udaną dobroczynność niektórych dam dobroczynnych stanowi „Wielka pani u wrót niebieskich.“ Zastanawia jednak szczegół, że oprócz powyżej przytoczonych — nie ma prawie w książce całej humorystycznych wierszów. Ba! pomyliliśmy się... są. Są Krumłowskiego „Strofy o pięknej Mani ze Zwierzyńca,“ ale w nich tendencja zbyt gruba i jest G. Kohna „Pacierz upośledzonych,“ ale w tym znowu zbyt wiele pomyłek, których autorem autor nie jest. Natomiast nie brak wierszów o głębszej, poważnej, prawdziwie patriotycznej treści, jak np. „Szczęść Boże! Krumłowskiego i „Heil dir im Siegerkreis“ Leitgebera.

Proza niezłe reprezentowana w książce. Nie możemy wszystkich prozaicznych artykułów wymienić, jakie w niej umieszczono, poprzestaniemy więc na wymienieniu niektórych.

I tak zajmuje tu niepoślednie miejsce mimo pozornej swojej drobiazgowości Anieli Korngutówny obrazek ludowy „Stanisławowa.“ Co my w pannie Korngutównie przede wszystkim cenili i cenimy, to ten bystry dar obserwacyjny, który jej nie opuszcza, czy to, że wypada, w dłuższej powieści naszkicować z życiową wiernością rozmaite typy i charaktery, czy też jak tu w maym na pozór obrazku skreślić wady ludu. Taki suchotnik szewc Stanisław, taka Stanisławowa, która mu życie gorczyą przyprawia, spragnionemu i choremu mężowi odrobiny mleka odmawiając, a potem do przesady go opycha aż mąż gorączki dostaje i umiera, taka to Stanisławowa, która to wszystko czyni nie z miłości ku mężowi, ale aby się nie dać wyprzedzić słudze Maryni — to typy, życiem z życia uchwycone. Wyborną satyrą, przeciwko sportowi kolarstwa wymierzoną, jest Zygmunta Niedźwieckiego „Pneumatyk Nr. 301,“ opisujący losy cyklisty, którego bez miłosierdzia tygodniami całemi obmawiano, że babę przejechał, która mu się nawet podczas jazdy nie nawinęła, a gdy rzeczywiście przejechał chłopą, to zamilczano o tem, bo „wyrzucać komu coś, co zrobił w istocie, o czem zresztą wiedzą wszyscy, i cóż w tem zabawnego? !.. ale nękać, szczypać, kąsać, drażnić czyjaś miłość własną, mącić spokój oszczerstwem i śmiać się do rozpuku z głupoty i bezsilności ofiary — toż to dopiero rozkosz! to satysfakcja!“...

Bolesne wspomnienie, na temat zdrady osnute, wywołuje Stanisław Miłkowski swoim opowiadaniem, zatytułowanym: „Ze smutnych dni“ a opisującym epizod z powstania styczniowego; nie mniej bolesne Wincenty z nad Warty „Gwoździarzem“ swoim, przedstawiającym ucisk Polonii w Wielkopolsce na wielką skalę praktykowany przez rząd pruski. Aby także i w powieści nie zabrakło żywiołu humorystycznego, opisuje nam Marjański w niezrównanej swej nowelce a raczej bluetce, zatytułowanej: „W kąpielach“, daremne zabiegi matrymonjalne zalotnej wdowy Zofii, która mimo wszelkich

sztuczek kokieteryi nawet tak prostodusznego i niewybrednego człowieka jak Władysława Karskiego stałe podbić pod słodkie jarzmo hymenu nie zdoła.

To są głównejsze artykuły, prozą napisane a w książce zawarte. O każdym drobiazgu z osobna się rozpisywać — na to ani miejsca, ani czasu nam nie starczy. Możemy więc od siebie krótką tylko wzmiankę końcową jeszcze uczynić o ilustracjach, przedstawiających bądźto portrety znakomitości polskich, bądźto rzeczy narodowe, jak Piotra Stachiewicza „Na zwiadach,” Juliusza Kossaka „Rok 1863“ i inne, bądźto wreszcie humorystykę bieżącą i zalecić kalendarz „Djabła“ szerszym kołom — jednym gwoli opamiętania się a drugim ku zabawie.

*b) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz
książki naukowe.*

[Józef Białynia Chołodecki (Walenty Źwik.) Kamilla Poh, szkic biograficzny. Lwów, 1896. Nakładem autora a czcionkami W. Manieckiego. Mała ósemka. Stronic numerowanych 61.)

Ciekawa to książeczka, tem ciekawsza, że prawie jedyna w Galicji, poświęcona opisowi żywota, prac i poświęceń nauczycielki, kierowniczkii pensjonatu po śp. Boberskiej. Dwa uczucia zarówno spowodować musiały pracowitego autora do nakreślenia tej pracy literackiej: uznanie zasług patrijotycznych śp. Kamilli Poh jako Polki i uczucie pokrewieństwa, łączącego go z nieboszczką. Nie pytamy jednak, co go szczególnie spowodować mogło do napisania książki, byle by tylko była dobrą i nie chybiła celu. A pod tym względem trudno jej coś zarzucić; drobne i drobiazgowo nawet na pozór szczegóły upiększa autor barwnem swoim piórem i pozwala nam, w myśli współuczestniczyć w patrijotycznym życiu i działaniu Kamilli Poh, manifestującym się już w najmłodszych latach żywym współdziałaniem w walkach narodowych a w dojrzałym wieku wychowaniem dusz młodocianych w kierunku patrijotycznym. Spis profesorów, nauczycielek, uczenie i prywa-

tystek, które się poddały egzaminowi w zakładzie wychowawczo - naukowym Kamilli Poh, zaokrągła i uzupełnia tę pracę. Czysty dochód z rozprzedaży szkicu biograficznego przeznaczony na pomnik śp. Kamilli Poh, — sądzę, że ten szczegół powinien zachęcić do zakupu omówionej przez nas broszurki wszystkie rówieśniczki i przyjaciółki umarłej, a poza tem gronem wszystkie niewiasty polskie, nie znające jej wprawdzie, ale ceniące zasługę i cnotę.

[Wydawnictwo imienia Kasyldy Kulikowskiej. Seweryn Goszczyński. Skreśliła Marja Wysłouchowa. Nakładem autorki a czcionkami „Drukarni Polskiej.“ Lwów, 1896. Mała ósemka. Stronic numerowanych 99. Cena 20 ct.]

Mało mieliśmy i mamy dotąd dzieł popularnych, w ludowym tonie dla ludu opisujących życie i działalność autora „Zamku Kaniowskiego;“ Agatona Gillera bowiem biografia Seweryna Goszczyńskiego zbyt poważna, zbyt naukowym tonem napisana, aby się dla szerszych mas nadała, a co tam w historjach literatury napisano o Goszczyńskim, to albo materiał dla uczonych w celu ściślejszych badań, albo też pobieżny, zbyt pobieżny nawet szkic, z którego się jak najmniej korzyści odnosi.

Szczęśliwie uporała się z temi trudnościami Wysłouchowa. Nie jest jej praca ani pobieżną, ani też nie nudzi rozwlekłością a nadaje się wybornie dla szerszych mas ludowych.

Wysłouchowa opisuje działalność obywatelską wielkiego poety w podwójnym kierunku: raz jako wojownika Polski, który się wyszczególnił w powstaniu listopadowym, który cierpiał dla Polski, ale ducha nie tracił nigdy; drugi raz jako pisarza szczególnie ludowego, który swojemi utworami prozaicznymi i poetycznymi wniknął w duszę narodu, jak nikt przed nim lub po nim. Bardzo udatnio objaśniają działalność literacką Goszczyńskiego liczne ustępy poetyczne z jego dzieł, oraz dwie ilustracje, przedstawiające poetę w młodszym wieku i pomnik, postawiony mu na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

[Stanisław Schnürr-Pełowski. Z tajnego archiwum (Kartka z dziejów Galicji.) Przedruk ze „Słowa Polskiego.“ Lwów, 1896. Mała ósemka. Stronic numerowanych 110.]

Książkę tę chyba o tyle nazwalibyśmy ludową, że jako przedruk ze „Słowa Polskiego,“ obliczoną była na rozprzedaż wśród najszerzych warstw ludowych i że mieści ciekawe daty z życia niejednego jeszcze w r. 1860 przez policję prześladowanego konspiratora polskiego, który później stanowisko poważane zajmował w społeczeństwie. Są to po większej części synowie ludu, a i styl opowiadania zbliża się więcej ku ludowemu.

c) *Książki mieszanej treści.*

[Walenty Ówik (Józef Białynia Chołodecki.) Z ław szkolnych na Sybir podług notatek Sybiraka. Czerniowce, 1896. Odbitka z „Gazety polskiej.“ Czcionkami H. Czoppa w Czerniowcach. Dwunastka. Stronic numerowanych 109.]

Jest to pendant do podobnej pracy, wziętej z papierów i notatek nie Sławińskiego, ale innego męczennika dla sprawy polskiej. Sybir składa się na ponure tło i jednej i drugiej relacji tylko, że tamtą spisał Sławiński a tę Nartowski.

Zwabiony echem powstania styczniowego, przepełniony ideą walki dla Ojczyzny opuścił Franciszek Nartowski za przykładem wielu innych młodych ławy szkolne, aby walczyć przeciwko Moskwie i przyczynić się do uświetnienia sztandarów narodowych. Licząc niespełna 18 lat, w towarzystwie kolegów opuszcza ławy szkolne, aby pod dowództwem Edmunda Słaskiego a następnie Czarneckiego walczyć przeciwko Moskwie. Ta pierwsza wyprawa młodych szermierzy chybiła jednak celu. Oddział wolontariuszów młodocianych poszedł w rozsypkę i powrócił do Galicji. Nartowski dostał się do Lwowa, gdzie go rodzice przed poszukiwaniami policji starannie ukrywali. Wymknąwszy się cichaczem z domu rodzicielskiego, aby się połączyć z oddziałem

generała Jeziorańskiego, wpadł nasz bohater w nową pułapkę: dostał się bowiem wraz z szesnastu towarzyszami do aresztów „Bezirksamtu.“ Zaledwie że go ztamtąd wypuszczono, widzimy go już wyruszającego na nową wyprawę. Przedarłszy się przez granicę, łączy się z oddziałem Franciszka Horodyńskiego, walczącego na Wołyniu.

Ale i teraz losy jakoś sprzyjać nie chciały młodzieńczym zamiarom. Horodyński padł pod Radziwiłłowem, oddział jego został rozprószony, Nartowski wraz z innymi towarzyszami niedoli dostał się w ręce kozackie.

Autor opisuje nam barwnem piórem przymusową podróż swą, odbytą etapami z Radziwiłłowa w głąb Sybiru. Droga to była nużąca, straszna, rzadko kiedy upiększona objawami sympatji rodaków lub czujących wyjątkowo po ludzku niektórych Moskali. Z czterdziestu towarzyszyw podróży, jakich autor jeszcze w Kijowie naliczył, siedmiu tylko pozostało, zdatnych do dalszej podróży w Ochańskiej bolnicy. Sam autor pozostał się w szpitalu, celem leczenia ran, zdobytych w drodze i zahartowania się na nowe i nieznośniejsze jeszcze niewygody i trudy podróży.

Po 15-dniowym wypoczynku Nartowski pod nadzorem kozaków z nowym oddziałem w dalszą rusza drogę. W Permie po raz drugi zapada niebezpiecznie na siłach i dostaje się do miejscowego szpitala, w którym leczyć się równa się prawie niebezpieczeństwu śmierci. Jeszcze nie zupełnie wyleczony, wypisał się Nartowski ze szpitala i wołał już z wyczerpaniem sił ostatnich dalej ciągnąć po odludnych drogach, aniżeli poniewierać się w szpitalu moskiewskim, nadzorowany nieumiejętnem okiem felczera i pielęgnowany nieumiejętniejszą jeszcze ręką lekarza miejscowego.

Jaśniejszy punkt w tym czarnym obrazie przesładowań i poniewierki tworzy postać Aleksandra Despota Zenowicza, gubernatora Tobolska, opiekuna przesładowanych wygnańców a na równi z nimi przez rząd rosyjski na osiedlenie w dalekiej guberni tobolskiej przeznaczonego.

Z Tobolska droga prowadziła dalej; ostatnim jej kresem był Krasnojarsk. Autor opisuje nam dokładnie zwyczaje autochtonów sybirskich, przyrodę syberyjską, życie posieleńców. Po dwuletniej wreszcie niewoli, ułaskawiony przez rząd rosyjski na podstawie reklamacji ówczesnego gubernatora galicyjskiego, pod eskortą silnej straży rosyjskiej, puszcza się na powrót ku granicom kraju.

Po kilkumiesięcznej podróży, po przymusowem a dłuższem zatrzymywaniu w warszawskiej tiurnie, kończy się wreszcie odysseja naszego bohatera szczęśliwym powrotem do kraju i odnalezieniem (dnia 5-go Maja 1866) stęsknionych za nim rodziców.

Wykaz etapów i półetapów podróży uzupełnia ciekawe to opowiadanie.

[Ludwik hr. Dębicki. Trzy pokolenia w Krakowie. Kraków, 1896. Z drukarni „Czasu“ i nakładem redakcji tego pisma. Mała ósemka. Stronic numerowanych 173. Cena 80 ct.]

Ludwik hr. Dębicki, jak wiadomo należy do redakcji „Czasu“ i spędza większą część roku w Krakowie, biorąc czynny udział nie tylko w redagowaniu tego pisma, ale zasilając je także jako współpracownik artykułami o historycznej i historyczno-literackiej treści. Rzadziej widzimy go już na arenie publicznej występującego z samoistnymi dziełami, to też z żywym zainteresowaniem tę najnowszą pracę jego braliśmy do rąk.

Są to na tle historycznem lekkim tonem fejetonisty opowiedziane gawędy, niepozbawione jednak znaczenia głębszego. Przed okiem naszym przesuwają się trzy pokolenia, a mianowicie to, które stało przy kolebce nowozałożonej rzeczypospolitej krakowskiej; to, które się rodziło na odgłos powstania listopadowego, aby się do grobu położyć z pogrzebaną nieodwołalnie wolnością miasta Krakowa; to trzecie wreszcie, obejmujące okres od r. 1846—1863.

Pierwsze pokolenie ma na czele swoim postacie, jak te ks. biskupa Woronicza i pani starościny wolsbromskiej. Autor dla obydwóch pełen jest uwielbienia, pełen niekłamanego a szczerego zapachu. Co do ks. bi-

skupa czy jednak nie przesadza, nazywając go polskim Jeremim, obdarzając go więc tytułem, przez potomność zastrzeżonym dla osoby autora „Chorału“ i „Maratonu?“ A czy zdanie, że „patrijotyzm niekiedy wymuszony“ (str. 21) nie wygląda na paradokson? bo wszakże uczucia, wrodzonego każdemu szlachetniej myślącemu, jako żywo nikt wymusić nie może. Świetnymi epizodami w tym obrazie czy gawędzie historycznej są usypanie kopca Kościuszcze i sprowadzenie zwłok ks. Józefa Poniatowskiego do kraju.

Drugie pokolenie krakowskie rodzi się i dojrzewa pod hasłem walki narodowej, pod hasłem powstania listopadowego. Rozbitki z powstania wracają do kraju. Pod ich przewodnictwem budzi się nowe życie społeczne i literackie w Krakowie. Autor opisuje nam choć niestety tylko pobieżnie, jak na gawędę przystało, działanie literackie Wincentego Pola, Franciszka Morawskiego, Franciszka Wężyka, tak ściśle związane i spojone z życiem przed- i porozbiorowem rzeczypospolitej krakowskiej. Epokę tę kwitnącego i budzącego się w całej pełni życia — zamyka postać autora krakowiaków Edmunda Wasilewskiego a obwlekają kirem żałoby zaburzenia i rzezie chłopskie z r. 1846, jakoteż sceny wstrętne i bolesne, zapowiadające zniknięcie rzeczypospolitej i towarzyszące jej końcowi.

Nie mniej ciekawą od poprzedzających jest trzecia epoka dziejów krakowskich wraz z tem trzeciem pokoleniem, które ona wychowała. Za złe jednak mamy autorowi nieuzasadnione wycieczki przeciwko pamiętnemu rokowi 1848mu i jego zdobyczom. Nie była to żadna „maskarada,“ ani „karnawał wenecki,“ ale chyba nadmiar uczuć wzbierających w sercach szlachetnych, a że te uczucia zawiodły, że zrobiły miejsce najwstrętniejszej reakcji — czyż w tem wina inicjatorów? Zresztą wybryki niektórych wykolejonych lub wyuzdanych figur nie dowodzą jeszcze szkodliwości i zgubności samej sprawy. Ciekawy pendant do zamordowania rady sądowego K. we Lwowie (1863), tworzy tu podobny fakt z Zajączkowskim. Wśród takichto warunków założony został (1. Października 1848) w Krakowie „Czas,“ pismo na wskroś

konserwatywne. Na czele jego stał od razu zasłużony historyk i poeta Łucjan Siemieński.

Dowiadujemy się z książki tej, która stanowi żywą kronikę Krakowa, niektórych bardzo ciekawych rzeczy, jak np. sprawy Józefa Załuskiego, właściciela Jasienicy, którego car Mikołaj bezprawnie na terytorjum austriackim porwał i uwięził. Nie pierwszy to jednak i nie ostatni gwałt Moskwy, że tylko z najnowszych czasów wymienimy rewizję w mieszkaniu Stanisława Kądzielskiego w Podwołoczyskach a więc na austriackim gruncie, pod nieobecność właściciela przez Moskali zarządzoną, jakoteż zwabienie Kądzielskiego do Moskwy za pomocą sfingowanych telegramów a następnie uwięzienie i zasądzenie tego patrioty polskiego.

Ciekawą niejednokrotnie a chociażby tylko ze względów historycznych — jest praca hr. Dębickiego. Stylistyce trudno coś zarzucić; tem więcej tendencji, na którą się tylko ustępami i to warunkowo zgodzić możemy.

[Juljusz Giżowski. Rodzina wyklętych. Lwów, 1894. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza a czcionkami drukarni Pillera i spółki. Mała ósemka. Stronic numerowanych 341. Cena 2 złr. 10 ct.]

Już dawno nie mieliśmy sposobności oglądać świeżej powieści utalentowanego autora „Piotra Cygana.“ Chorośnicki zamilkł jakoś dla świata, niechętnie prawie przywdziewając nową sukienkę literacką. I nie dziwota! ludzie zajmujący jak on wyższe stanowisko w świecie urzędniczym, żyją nieraz jakoby w rozstroju, w rozdwojeniu ustawicznem z samymi sobą. I czyż może być inaczej? wszakże stanowisko, jakie zajmują, każe im z zimną krwią na wszystko patrzeć i przedewszystkiem być urzędnikami; umysł zaś żywy i burzliwy, serce gorące składają weto i wołają: „Homo sum!“ W takiej walce bezskutecznej łamią się nieraz i marnują silniejsze nawet duchy.

Nie chcemy jednak tych obaw podzielić i spodziewamy się, że „Rodzina wyklętych“ nie będzie ostatnią pracą, jaką nas obdarzyło uzdolnione pióro Giżowskiego, alias Chorośnickiego.

„W tem właśnie klątwa czynów tkwi wyrodných,
Ze się na pokoleniach mszczą niegodnych“ —
zdaje się, że to hasło, rzucone ongiś przez wieszczą,
poniekąd służyło także i naszemu autorowi za podstawę
powieści, na tle społecznem osnutej.

Wojewodzie Stanisław Słonimski, syn starego knia-
zia Słonimskiego, rozszalały miłością, stał się uwodzi-
cielem pięknej sąsiadki Litwinki Wandy, z którą pota-
jemnie syna Jerzego spółdził. Hardy wojewoda, zamiast
na ślub syna z uwiedzioną zezwolić, usiłuje matce uwie-
dzonej hańbę umierającej córki wynagrodzić trzosami
złota. Wyklęty przez nią, odtracony przez syna, zagro-
żony karą boską przez księdza, wpada w okropny szal,
w którym nieposłusznego syna przeklina, wydziedzicza
i nieprzejednany z Bogiem umiera. Przeszła klątwa ojca
na Stanisława i jego potomków. Syn Stanisława Jerzy,
obecny dziedzic Słoniimia wcześniej ożeniony, wcześniej
owdowiał, zbiedniał i prowadzi teraz w miasteczku od
lat kilku biuro asekuracyjne od gradu i ognia. Dwie
córki mu pozostały; z tych jedną właśnie pochować
wypadło na wilję Bożego Narodzenia.

O tych szczegółach dowiaduje się przypadkowo
z ust starego sługi dworskiego Bartłomieja obcy gość
Henryk Wyszyński, którego los przypadkowo właśnie
o tym czasie w te zagnał strony.

Zagadkowa to figura ten Wyszyński; przebywał
on świetniejsze ongi życia koleje, w lepszych obracał
się warunkach. Ni ztąd, ni zowąd potoczył się po dra-
binie spadzistej i otóż znalazł się na samym dole, po-
niewierany, środków do życia pozbawiony, śmierci głó-
dowej bliski; ale otoczony jakimś nimbem tajemniczym
wyższości, dumny mimo wszelkich upokorzeń losu. Ten
człowiek dostaje się drogą przypadku do domostwa Sło-
nimskich, aby niebawem zapanować niepodzielnie umy-
słem Jerzego, wyręczyć go w interesie asekuracyjnym
i w pracy, coraz to nowsze a śmielsze podsunąć mu
plany. I na dumnej Mary, córce Słonimskiego, nie chy-
bił on wrażenia, choć wrażenie to nie odrazu sympa-
tyczne dla obcego gościa.

Interes asekuracyjny, prowadzony umiejętną ręką
Wyszyńskiego, podnosi się. Dobry ten rezultat ośmiela
go do rozpoczęcia nowego interesu. To wydzierżawienie

na własną rękę przez Jerzego łak słonimskich, pozostałych dotąd w dzierżawie żydowskiej. Mary z początku przeciwna temu projektowi; ale widząc, z jaką stałością Wyszyński nim się zajmuje, przekonawszy się ponadto o niecnym intrygach jego nieprzyjaciół, usiłujących nawet ją przekupić, staje jawnie po stronie Henryka, broniąc go wobec chwiejnego ojca przeciw napaściom nieprzyjaciół.

I Henryk okazuje się też pod każdym względem godnym tego zaufania, wybawiając starego Słonimskiego z matni, jego winę biorąc na siebie, z narażeniem życia własnego ratując jego mienie podczas pożaru. Mimoto zawładnął nim wielki niepokój; zmora jakaś zdaje go się prześladować, przed którą go nic nie ochroni, nawet budząca się ku niemu miłość Mary. Uciekając przed widmem złowrogiem, pędzi ku ruinom starego zamku, gdzie go Mary odnajduje.

Malowniczymi acz jaskrawymi barwami opisuje nam autor burzę w naturze, burzę stokroć straszniejszą w sercu kochanków, wyznania i klątwę prababki rodu i wspólną śmierć Henryka Wyszyńskiego, uciekającego przed prześladowaniami żony i Mary Słonimskiej, którym nie wolno było miłością wzajemną zniszczyć moc odwiecznej klątwy, ale wolno tylko było, zginąć razem.

[K. Rojan. W świat, powieść. Lwów, 1896. Nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza a drukiem Wł. Łozińskiego. Mała ósemka. Stronic 225. Cena 2 złr. 10 ct.]

Czwarta to już z rzędu powieść młodego autora, który w nader krótkim czasie zdobył sobie jako powieściopisarz niepoślednie sympatje czytającego i myślącego ogółu.

Jeśli autor w poprzednich swoich powieściach: „Tymko Medier“, „Maska“ i „Dla iskry Bożej“ z zamiłowaniem obracał się w kołach wyższej inteligencji — to tu dobrowolnie zeszedł o stopień niżej, wprowadzając nas w małomiejski świat rzemieślniczy.

Głównymi figurami są tu z jednej strony Kajetan Borajski, ojciec hożej Loli, właściciel dwóch domów murowanych, radny miasta Kołczanowa, z zawodu

kowal i ślusarz, owdowiały niedawno, a za poradą przyjaciół po raz drugi ożeniony z starą, zalotną panną Marcysią Grzebińską, córką Antoniego Grzebińskiego i Lola, uroczy, niewinny podłotek, niewinnie do świata się uśmiechający i nie wiedzący jeszcze, co miłość; z drugiej zaś strony kierownik warsztatów Grzebińskiego, Franciszek Smolarz, ubogi, ale pracowity i uczciwy chłopak, oszczędzający cichaczem kapitałik dla młodszej siostry Anulki, uczennicy szkół wydziałowych i Stefan Dyniecki, młody słuchacz uniwersytetu krakowskiego, rodzaj małomiejskiego donżuana.

Rzemieślnicy, jak Szołomiejski, Klepka, Szelağ, Raniecki i inni, schodzący się u Bronarza i naradzający się tamże przy kufelku piwa o interesach stanu rzemieślniczego, o założeniu kasy zaliczkowej dla rzemieślników i t. d., są to wprawdzie uboczne tylko figury, ale jako typy wybornie naszkicowane i niezbędne dla okrąglenia obrazu.

Skromny, aczkolwiek umiejętny Smolarz, nie czuje się tu w żywiole swoim; chciałby w świat, aby się czegoś więcej nauczyć aniżeli dotąd i bardziej wydoskonalić się w swoim zawodzie. Pożycie domowe u Borajskich, gdzie zalotna macocha wszystkim zawładła a szczególnie nad pasierbicą swoją Lolą się znęca, także jakoś nie przemawia mu do serca; napaść iście putyfarowska Marcysi jeszcze bardziej wstrętnym czyni mu pobyt w Kołczanowie, a zatrzymuje go mimowoli tylko bezwiedna miłość ku uroczej Loli, z której w nieśmiałości swojej rachunku sobie zdawać nie umie, oraz względy dla siostry, któraby się wówczas znalazła bez opiekuna.

Zbliża się dzień 13. Stycznia, dzień imienin Borajskiej, która wszystkich znajomych na zabawę domową, połączoną z tańcami i muzyką Storcha, zaprasza. Zjawiają się honoracjorowie miasteczka z swojemi połowicami i całą rodziną. Zjawia się także Stefan Dyniecki, fanfaron jakich wielu, słynący z tego, że „potrafi w trzech naraz się kochać i wszystkie trzy jednego dnia uszczęśliwi, tyle ma w sercu ognia.“ Czyż taki może ujmę uczyni towarzystwu młodych? wcale nie, tem bardziej, że kilka dni poprzednio jeszcze uchwalono,

urządzić sobie dla odmiany teatrzyk amatorski, w którym się taki Dyniecki wybornie nada.

Za mało mu jednak takich tryumfów! Jak Cezar on gotów zawołać: „veni, vidi, vici!“ Przyszedł na bal; ni zład, ni zowład podbił serce niewinnej Loli, która się w nim odrazu na zabój zakochała, „bo taki śliczny!“ a równocześnie tnie koperczaki do innych pań i panien, ścisła i całuje tajemnie Lolę, odgrywając w obec niej rolę narzeczonego i miźdrzy się prawie równocześnie do Marcysi Borajskiej. Przy takiej to właśnie scenie podchodzi młode dziewczę niespodzianie obydwóch. Zdaje się, że zawrotu głowy dostanie, że jej serce pęknie z bólu. Ale nie! Lola jako córka rzemieślnika, nie należy do tych sentymentalnych dusz, które się topią lub trują za ladajaki zawód w miłości. Odwraca się od zdrajcy i od macochy ze wzgardą i aby się wydostać na wolność, być własną panią, nie podlegać już w przyszłości kaprysom i prześladowaniom wstrętnej jej Marcysi — sama oświadcza się o rękę uczciwego a nieśmiałego Smolarza, ośmielając go propozycją swoją, na którą się też stary Borajski chętnie zgadza.

Zbliża się dzień przedstawienia amatorskiego w „Gwieździe“. Wybrano na nie Lebrique’a „Męża ukaranego,“ komedję niedawno z francuzkiego na język polski przełożoną. Role rozdane. Mężem ukaranym jest Józef Raniecki. Żonę karzącą go za niewierność równą niewiernością — to piękna Lola Borajska, kuzynkiem a kochankiem jej Stefan Dyniecki, lokajem Smolarz, który pomścić się pragnie zniewagi na Dynieckim, zabić go jak psa a potem iść w szeroki świat; ale publiczność bardziej ograniczona, nie ma o tem pojęcia, co się właściwie na scenie dzieje, bije tylko przeciągłe brawa znakomitej grze aktorów.

Zapada kurtyna, zaczynają się tańce. Lola żywy bierze w nich udział, tańcząc galopa z Dynieckim, ale myśli jej rozstrojone a serce mimowolne robi jej wyrzuty za zdradę uczuć wiernego Smolarza. Wtem Borajska, używając pretekstu, zmyślonego na chybił trafił, zwabia Lolę do ubieralni, a wściekając się z zazdrości, że dzisiaj Dyniecki pasierbicę nad macochę przeniósł,

robi jej złośliwe uwagi i szczypie tak silnie w obnażone ramię, aż „Lola wrzasnęła przeraźliwym głosem i upadła z płaczem na krzesło.

Szczypało ją dziś wszystko: Franek, Dyniecki, sunienie, ludzkie oczy, wreszcie ta niegodziwa macocha. Czyż nie miała czego płakać, gdy do tyłu przykrości przyłączył się silny ból w ramieniu?

Świtaniem wróciła Lola do domu na pół nieżywa a na drugi dzień rano dostała silnej gorączki.“

Smolarz, który już dostatecznie poznał, że skłonność Loli dla niego była tylko przemijającą i że dziewczę jak dawniej przepada za Dynieckim, usiłuje znowu plan dawniejszy do skutku doprowadzić i „w świat iść,“ w czym go na razie tylko pilna robota przy tzw. „kole szczęścia“ wstrzymuje; Dyniecki jak dawniej odwiedza teraz znowu Lolę ciągle, uchodząc za jej narzeczonego a zerka tymczasem lubieżnie na rozwijający się pączek Anulę Smolarzównę. Zaczyna i jej nadskakiwać i w chwilach, gdy się sam na sam z dziewczęciem widzi, ją bałamucić; z początku co prawda ze skutkiem ujemnym, ale wkrótce z zadowalniającym nawet dla takiego uwodziciela. Marcysia zazdrosna, lubieżna, mściwa w najwyższym stopniu, wymyśliła nowy plan zemsty. Celem niyto powtórnego przejednania się Loli z Smolarzem namawia niedoświadczoną i niewinną Anulkę, aby nietylko nie broniła się miłosnym zapędem Dynieckiego, ale poniekąd sama takowe wywoływała.

Stało się według planów wielkiego strategika-kobiety. Dyniecki i Anulka, czując się wolnymi od obcego nadzoru, wymieniają słówka czułe, całują się. Marcysia, która w przyległym pokoju scenę tę podsłuchiwała, w sam czas roztwiera drzwi i wtrąca pasierbicę do wnętrza, wołając:

— Oto masz Dynieckiego!...

Skutek był okropny. Lola, która po tych atakach w stadjum rekonwalescencji się znajduje, czuje teraz, jak się wszystkie jej marzenia na zawsze rozprysły. Zdradzona przez kochankę i przyjaciółkę, omdlewa na ten widok. Dyniecki cofa się, Anulka we łzach wraca do brata, aby mu wszystko wyśpiewać jak na spowiedzi.

Franciszek wybacza siostrze, którą tymczasem u Szelałów umieścić postanawia — po drodze spotyka się z Dynieckim, którego, odpłacając się pięknem za nadobne, kułakiem tak potężnym uczęstował, że młody elegant, krwią obłany, nie władający sobą, ślady silnej dłoni kowalskiej, długo jeszcze nosić będzie na zeszpeconej i opuchłej twarzy.

Ale idea, że „w świat iść“ trzeba, coraz więcej opanowuje Smolarza. Od tej myśli nie zdołają go odwieźć przedstawienia przyjaciół, ni też scena pożegnalna, odgrywająca się między nim a dawną jego narzeczoną: Lolą. Chmurną jego skroń rozjaśniają oświadczyzny przyjaciela Łasieckiego o rękę uroczej Anulki; bo Franciszek wie, że Łasiecki jest prawym i zacnym człowiekiem, a co mówił, dotrzyma.

Pozwolimy sobie jednak mimo chwilowego rozdrażnienia, które mu domowe progi opuścić i „w świat iść“ kazało, wątpić, że z Kołczanowem na zawsze rozbrat weźmie. W sercu zawiedzionem tylokrotnie pozostało jeszcze coś na kształt uczucia miłosnego dla niewiernej, które czy prędzej czy później napowrót go w ramiona Loli popchnie, a i Lola nie należy do tych sentymentalnych natur, któreby sobie życie na zawsze zatruiwały wspomnieniami o takim Dynieckim.

Styl, język, dykcja w tej powieści Rojana wielkie wskazują postępy w porównaniu z poprzedniami. Jeden tylko ustęp na str. 200 raził nas nieco: „Ale moje dziewczęta, to jeszcze „ż ó ł t o d z i u b y“ (Gelbschnäbel.) Jest to germanizm, żywcem z niemieckiego wzięty a który się wybornie zastąpić dał domorośłym polskim wyrazem.

[Algar-Sułtan. Dobra nauczka, nowela. Ilko Szwa-
biuk, obrazek z życia ludu huculskiego w Galicji. Lwów,
1896. Nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicz-
a a drukiem Wł. Łozińskiego. Mała ósemka. Stronic
253. Cena 2 złr. 10 ct.]

Znana rozwięzłość obyczajów huculskich mieszkań-
ców Kossowszczyzny. Mówią o nich badacze ludu i jego
obyczajów, że to właściwie nie Słowianie, ale potomko-
wie Tatarów, z którymi pokrewne mają cechy. „Zemsta
osobista i nieposzanowanie węzłów małżeńskich — oto
dwa kardynalne rysy plemienia huculskiego, to dwie

największe wady“ — tak mówi autor, nie odstępując pod tym względem od prawdy. Wszakże słynny zbój hucul Dobosz był takim i takim pozostało też jego plemię.

Ilko Szwabiuk, obrazek z życia ludu huculskiego, naszkicowany przez Abgara-Sołtana, w osobie Szwabiuka wójta i jego syna, przedstawia nam właśnie te główne i największe wady charakteru huculskiego, do których jeszcze dołączyć wypada zabobony zmierzchłych wieków i fetyszyzm pogański, kryjący się pod obwłoką nader przejrzystą wiary chrześcijańskiej.

Stary wójt Szwabiuk (recte Wojciech Koński) — to także taka zagadkowa figura; służył w wojsku cesarskiem, nie wiedzieć, gdzie; nie wiedzieć z kąd dostał się do Jawornika, gdzie pod protekcją mandatora i starosty dorobił się wkrótce majątku, zakupił grunty, poloniny i ogrody po zawieruszonych i zginionych bez śladu w ruchawce r. 1848-go właścicielach. Pożyczał na lichwę, bogacił się krwią obcą, grabił i zabierał samowolnie, co mógł, tak samo i żonę, córkę ubogiego gazdy z pułkowskich gór, którą porwał przemocą prawie a z którą spłodził syna jedynaka Ilka. Prawda, że się nie długo nią cieszył; roku nie dożyła, bo przy pierwszym dziecku (owym Ilku) umarła. Za protekcją rządową stary Wojciech wójtem został w Jaworniku a syna jedynaka, gdy tenże podrósł, sam oddał do wojska. Wkrótce jednak sprzykrzyło się staremu bez syna. Starał się wydostać go z wojska za pomocą Chaima, faktora i łapówek grubych, co się mu wreszcie i udało.

Wraca Ilko Szwabiuk do ojcowskiego sioła, lecz nim zawita do domu ojcowskiego, wprzód musi jeszcze w karczmie u rudego Judki napić się siwuchy i pobalać wiejskie krasawice, nie przebierając wcale w wyborze. Dwie mu się nawinęły odrazu, obie dawne jego kochanki, obie teraz mężatki: jedna Anika Dudjakowa, druga Marika Semaniukowa, niegdyś kochanka Ilka, jedna hoża i druga nie brzydka; jedna żona spokojnego i potulnego gazdy Hryńka Dudiaka, druga żona Andrija Semaniuka, krewkiego hucula, o którym znajomi sobie na ucho opowiadają, że kiedyś był opryskiem, przelewającym z zamiłowania krew ludzką, grabiącym obce

mienie. Ale odkąd owdowiał, odkąd po śmierci pierwszej żony poznał słiczną Marikę, sierotę bezdomną... to jakiś czar na niego rzuciła — tak mawiali ludzie — bo stał się innym człowiekiem, żony, domu i gospodarstwa pilnuje, nawet grosza na cerkiew nie żałował. Niebezpieczne zaloty u takiego rywala. Ilko Szwabiuk nie obawia ich się, podniecony wódką i nanową starej wiedźmy, cyganki Riny, która mu chętnie za stręczycielkę służy.

Inna to jednak rzecz, bałamucić Anikę Dudiakową, żonę zalotną spodłonego hucuła, a inna uwieźć dumną żonę również dumnego Semaniuka, która męża swego kocha i w której jeszcze wszelkie uczucia szlachetne nie zamarły.

Dzieło to udało się cygance Rini. Ona to ściągnęła dawniejszych kochanków pod rozmaitemi pozorami do karczmy Judki; ona to usmierzyła podejrzenia starego Semaniuka i nakłoniła go, aby sam żonę zawezwał do zwiedzenia karczmy, gdzie się mołojcy bawią a tymczasem z baranami udał się na targ do Kut.

I zesłi się Ilko i Marika w karczmie; miłość dawna, zakazana znowu silnym wybuchła płomieniem. Oboje tańczą razem, kręcą się w szalonym wirze, on okrywa ją pocałunkami, ona nibyto broni się jego miłości a przecież obronić się nie zdoła.

Dziwnaż to dusza w tych hucułach i hucułkach! Marika przypomniła sobie dawną miłość, szaleje za dorodnym młodzieńcem Ilkiem Szwabiukiem, zaprasza go na miłosne schadzki a równocześnie duma nad tem, jakby pomścić mogła znieważony honor mężowski. Schadzki w nocy ze środy na czwartek naznaczyła kochankowi, a równocześnie znać dała mężowi, aby coprędzej wrócił z drogi.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia wraca Semaniuk. Ona opowiada mu co zaszło i podnieca w nim uczucia zemsty słowami: „Brońcie czci waszej żony... własnej czci waszej“... Tymczasem zjawiają się w chacie Andrij i Ilko, ten ostatni w błyszczącym mundurze cesarskim i usiłuje Marikę uprowadzić z sobą. Napada na niego z zasadzki stary Semaniuk i podrażniony w dodatku słowami Ilka jednym uderzeniem topora życia go pozbawia.

„A w duszy Mariki przeciągnięta struna jakaś pękła i wydając zgrzyt okropny zadźwięczała po raz ostatni... Bezsilność opuściła ją, jak tygrysica zraniona rzuciła się do ciała zabitego kochanka, twarz swą krwią jego zmasała i zaczęła całować stygnące usta i gasnące oczy.

— On prawdę powiedział! — krzyknęła rozpaczliwie... On był mój! mój lubas!... Jam do niego należała pierwaj nim ciebie zbóju poznałam... On był mój!... mój!... mój!... — i cisnęła głowę do piersi, w której serce już bić przestało.

— Wiedziałem o tem! — ozwał się z głuchym śmiechem rozwścieczony opryszek.

I topor błysnął poraz wtóry w powietrzu i martwe ciało Mariki spoczęło obok trupa kochanka...

Pogłoska o śmierci syna nie doszła starego; natomiast doszła go inna, że ojca okradł i z żoną Semaniuka w cudze uciekł kraje. Stary straszną tę wiadomość przepłacił utratą zmysłów. Opuszczony przez wszystkich, został się pod opieką jednej tylko cyganki Riny, która mu jeść gotowała i nieustannie przebywała w chacie. Ale pewnego poranku i jego znalezione nieżywego. Ktoś zabił go, a pieniądze i cyganka znikły. W tydzień później udało się żandarmom, ją wysledzić. Wyznała, że Szwabiuka zamordowali: Andrij Semaniuk i jego synowie, którzy wrócili z gór bałkańskich.

Stawiono zabójców pod sąd w Kołomyi. Stary opryszek, widząc, że się od stryczka już nie wykreści, podał z cynizmem niesłychanym cały przebieg swego życia, obfitującego w 37 zbrodni zabójstwa.

Wskutek wyroku śmierci, wydanego przez ławę przysięgłych... ojca i trzech synów powieszono w murach kołomyjskiego więzienia...

Na tem się kończy obraz z życia ludu huculskiego, odślaniający nam skrawek tego romantycyzmu dzikich synów przyrody, niedostatecznie znanego nam. Język autora silny jest i jędrny, rzecz czyta się z przyjemnością. Zresztą i sam pobyt autora w okolicach bliskich, znacznie musiał się przyczynić do rozszerzenia jego wiadomości. Charaktery odmalowane należyście, słowa dobrane według wymogów, w jednym tylko miejscu a to na str. 76, w. 6. raził nas ustęp: „drzwi zarygłowała“

zamiast: „drzwi zamknęła na zasuwkę.“

Druga rzecz w książce zawarta, to nowela: „Dobra nauczka.“ Powiedzielibyśmy, że to w porównaniu z Ilkiem Szwabiukiem drobnostka, ale nawet jako drobnostka nie pozbawiona wdzięku, wtajemnicza nas w studenckie życie i studenckie figle i opisuje, jak to kuzynka Helena Możewska, „dobrą nauczka“, zaczerpniętą z poradnika zalotnic, oduczyła siedemnastoletniego studenta Adasia Kierdeja nałogu napadania na dziewczęta i całowania ich. Dyalog noweli ożywiony, ustępami salonowy nawet.

[Moderne Poesie. Anthologie, 2. Ausgabe. Zbiorek poezyj, wychodzących w Berlinie pod redakcją Pawła Grossmanna a nakładem księgarza Juliusza Jägra. Drukiem Pawła Lenza. Mała ósemka. Stron numerowanych 190. Cena 3 marki.]

Dziwne to i oryginalne w swoim rodzaju wydawnictwo, ponieważ tu młodzi — a dodajmy od siebie — po największej części nieznani, po raz pierwszy w szranki wstępują z hasłem: „Staroświeczyzna runie!“ (patrz odnośny wiersz Piotra Serwasa.) Gdyby choć ta staroświeczyzna, którą ze wszystkim potępiać wypaya, ale i to nie; znany bowiem niejedną pracę starych, o całe niebo przewyższającą prace tych młodzików. Z tem wszystkim niektórym współpracownikom i współpracowniczkom wydawnictwa talentu wprost odmówić nie możemy. Talenta są; ale nie każdy współpracownik książeczki, przedstawiającej się nam w ozdobnej oprawie ze złoconemi brzegami, rokuje wielkie nadzieje, za ledwie niektórzy. Niezłe są wiersze Piotra Serwasa, „Przekonanie“ Minkenberga, wiersze Fryka Nordecka, wiersze Marcelego Deäka (gdyby nie niektóre nieprawidłowości językowe), znakomite są wiersze Gustawa Kaczkowskiego, szczególnie jego „Bitwa Ostrołęcka.“ Ze starszych autorów figurują w dziełku Dr. Albert Weiss i G. Kohn (z przekładami i oryginalnemi wierszami), Roller i Schmasow z oryginalnemi. Bezwarunkowo potępiać musimy wierszydła drukarza Pawła Lenza, oraz sztambuchowy wiersz Karola Henryka Flüglä, któryby się może do sztambuchu jakiego nadał, ale nie do takiej książki. Razi też brak dotkliwy epicznego żywiołu,

zastępowany aż do przesady liryką, która się już nam przejaadła. Jest to może jako wydawnictwo zbiorowe jedyne tego rodzaju, w którym zgodnie obok siebie jako współpracownicy w dziale literackim figurują pan redaktor, pan nakładca i pan drukarz.

Ma jednak książka ta — mimo wytkniętych przezemnie wad — także swoje strony dodatnie. Bije czołem przed wolnością myśli, przed postępem, przed swobodą słowa. Nie ogranicza się na samej tylko niemiecczyźnie, ale umieszcza także przekłady z polskiego a nawet oryginalną niemiecką pieśń patrijotyczną, jak ta „Bitwa Ostrołęcka“. Może z czasem ustatkują się bodaj pod pewnym względem i ci młodzi, a wtedy zapewne następna książka zbiorowa i co do formy i co do treści korzystniej się będzie przedstawiała.

[Seweryna Duchńska. Z tułactwa. Serja druga. Paryż, 1896. Drukiem Adolfa Reiffa. Mała ósemka. Stronic numerowanych 248.]

Do pierwszej serji, tak wdzięcznie napisanych wierszy „Z tułactwa“ przybywa nam w książce przez nas omówionej nowe a cenne uzupełnienie. Jako wstępne słowo na samym czele książki umieszczony „wianek, poświęcony pamięci Franciszka Duchńskiego przez jego wdowę.“

Cały szereg drobnych poezyj, umieszczonych w zbiorze, wyprzedzają dwa poematy epiczne o obszerniejszych rozmiarach, jeden poświęcony pamięci Rejtana, to „Veto Rejtanowe“, drugi „Marcinowi Rojewskiemu, wygnańcowi z 1831-go roku.“

„Veto Rejtanowe“ — to wspaniałe, jedno z najwspanialszych nawet wspomnień dawnej Polski — wiersz płynny i porywający, język jak gdyby ze stali ukuty, barwność i rozmaitość obrazów — to główne zalety poematu. Przesuwają się przed wzrokiem duszy, przed wzrokiem czytelnika, z fotograficzną niemal wiernością oddane, postacie tych wszystkich zaprzedańców i zdrajców, tych wszystkich niegodnych synów Ojczyzny, którzy się przyczynili do upadku Polski a od których odbija jedna postać, ogólnem zepsuciem nieskażona — postać Rejtana. „Głos młodziana“ — jest niejako

symbolicznym dopełnieniem całości, powołującym imieniem Rejtana do życia tych wszystkich odrodzicieli ducha narodu, jakich nie brakowało i później Polsce, a którzy jak Rejtan historyczny tym, którzy Polskę ogłosili za rzecz martwą — w odpowiedzi ślali „veto“ rozgłosne.

Z wysokiego tonem nastroju bohaterskiej pieśni schodzi Duchńska do swobodniejszej o wiele formą gawędy, opisując nam losy Marcina Rojewskiego, wygnańca z 1831 roku. Jest to z drobnych, mozaikowych prawie szczegółów składający się życiorys poetyczny tego szermierza Polski a prawego syna Ojczyzny, który po stłumieniu powstania listopadowego, wraz z innymi wyszedł za granicę, a umarł w Grudniu r. 1880 w Nancy, w kilka dni po 50-cioletnim jubileuszu narodowego powstania, z silną wiarą w przyszłe odrodzenie Polski. Ton poematu miejscami przypomina dźwięki lutni Lenartowicza, to znowu Pola, co mu jednak w niczem nie ujmuje wartości.

Godnie obok pierwszych dwóch dłuższych poematów stoi trzeci krótki poemacik pt. „Wśród obłoków“, rzecz allegoryczna, napisana z powodu uroczystości jubileuszowej J. I. Kraszewskiego, obchodzonej w Krakowie, we Wrześniu roku 1879. Jako poemat jest to może jeden z najdłuższych i najtreściwszych, poświęconych naszemu Mistrzowi. Znany czarnoksiężnik polski Twardowski błąka się samotnie nad skałą, skazany na wiekuiste męki, póki go z Ojczyzny nie dochodzić będzie echo, że

„zakończą się męczarnie

Twej Ojczyzny nieszczęśliwej.“

Dusza srodze poraniona duma nad przeszłością Polski, nad zdradami, które się przyczyniły do upadku kraju, nad zdrajcami, jak Boruta, Rokita i inni, którzy go pchnęli w otchłań i nad stokroć gorszymi zdrajcami nowożytnymi, nad gasicielami ducha. Wtem bojownik z pod Racławic Bartosz Głowacki, w postaci pająka wspinając się po nici pajęczej, donosi mu o zmianach, które nastąpiły, o czi, którą naród teraz w Krakowie otacza swego wieszczą, w obec czego i owa osławiona straż pożarna ostać się nie może. Natchnionym hymnem

i przepowiednią nastąpić mającej lepszej przyszłości kończy się poemat. Czy bodaj nadzieje zacnej autorki nie zostały przecież zawiedzione, dziś, gdy obok gasi-cieli ducha powstało jeszcze stronnictwo stokroć gorsze, stronnictwo wywoływaczy niezgody wiekowej, choć pod innymi hasłami?

Wobec tych trzech przez nas wymienionych a znacznych, bądź rozmiarami bądźto treścią poematów Duchnińskiej błędą prawie wszystkie inne, w książce tej zawarte, choć nie powiemy, iżby wartość ich była podrzędną albo mierną. Broń Boże! każdy z tych wierszów i wierszyków ma aktualną wartość, każdy jest wierszem tendencyjnym co się zowie o tendencji najszlachetniejszej, czy autorka podnosi zasługi wiernych synów Ojczyzny, czy też że potępia zdrajców jak Michała Czajkowskiego i innych, czy wreszcie że się unosi szlachetnym gniewem za bluźnierstwa, miotane przeciw Polsce w francuzkim dramacie „Hetman.“ Zaprawdę! serce rośnie dumą i zapałem, gdy się czyta te — choć ręką kobiety nakreślone — jednak męzkie i mężne wiersze, odbijające całą treścią swoją od poezyj naszych nowomodnych wierszorobów, odznaczających się zwykle tylko wielką zarozumiałością a nader małym talentem.

[A. Kallas. Nemezys, powieść, osnuta na tle wypadków z r. 1846-go w 50-tą rocznicę. Poznań, 1896, nakładem redakcji „Gońca Wielkopolskiego“ a czcionkami W. Simona. Stron numerowanych 121. Z portretem autorki.]

Słabe — bardzo słabe mamy tylko wiadomości z czasu zaburzeń r. 1846-go, z takzwanej „wojny chłopskiej“ w Galicji. Może kiedyś przyszły historyk kraju zapragnie, zaskarbić sobie zasługi, wypełniając tę — dotąd jeszcze nienależycie wypełnioną kartę w dziejach Galicji. Pojedyncze mamy wprawdzie szkice; ale te więcej o wiele zajmują się losem pojedynczych rodzin, aniżeli ogółu. Pod względem historycznym zaskarbił sobie tutaj wielkie zasługi Schnürr-Peplowski; ale niejedna rzecz, nie każdemu znana, kryje się jeszcze może potąd w archiwach familijnych, zkad niełatwo ją wy-

dożyć. Na cel powieści — o ile nam wiadomo — bardzo mało tylko autorów zużytkowało r. 1846.

Kobiece pióra dotąd nie rzucały się na to pole; będzie to zatem niezaprzeczoną zasługą autorki „Mętów“, że nieodstraszona trudnościami, jakie sam przedmiot obficie nastęrczał, wzięła się rażno do rzeczy i — porzuciwszy lekkie pole nowellek i szkiców — starała się napisać powieść historyczną o szerszym zakresie, którą ocenić właśnie nam wypadło.

A jednak i opowiadanie historyczne i krwawe dzieje r. 1846-go — są tylko tłem dla powieści, opisującej nam miłość dwojga młodych, Włodzimierza K., krewnego rodziny Rejów z Przyborowa a konspiratora, chcącego odbudować Polskę i uroczej tegoż kuzynki Ludki, miłości, która po rozmaitych rozczarowaniach i zawodach kończy się połączeniem wiekuistem obu kochanków. Wybornie, silną i mężką prawie dłonią naszkicowane postacie starosty Breindla, Szeli i innych działaczy zaburzeń chłopskich, przedstawiają się nam, jak gdyby żyły; nie mniej wiernie naśladowany sposób myślenia chłopów mazurskich, krnąbrne, harde i wyzywające ich usposobienie, nieróżniące się bardzo od obecnego. Aby opisywać rozruchy i rzezie w Tarnowskiem, ostatnie dni i walki rzeczypospolitej krakowskiej, zaburzenia w Poznaniu, zaburzenia we Lwowie — autorka zapewne głębokie musiała poczynić studia historyczne, i to też całej powieści nadaje zakrój historyczny, styl przytem poważny, choć nie ciężki, świadczy o ogromnem wydoskonaleniu się autorki na polu literackiem.

Mimo to nie powiemy, żeby „Nemezys“ była powieścią historyczną par excellence, ale jest świetną zapowiedzią tego, coby autorka zdziałać mogła, gdyby się wyłącznie rzuciła na pole powieści historycznej. Sam tytuł dzieła „Nemezys“ nie zdaje nam się także należycie umotywowany. Wszakże działania tej zemsty nie możemy się z zakończenia dzieła dopatrzeć, które się przeciwnie spokojnie i harmonijnie kończy. Więc chyba działania tej „Nemezys“ dopatrzymy się w rozruchach chłopstwa, uciemionego przez polską szlachtę w da-

wniejszych stuleciach i zostawionego samopas sobie samemu?

Jeżeli najwyższego wyrazu uznania autorce za tę tak mozolną a piękną pracę odmówić nie możemy — to jakiemż słowy potępimy wydawcę za krzywdy, jakie autorce tak utalentowanej uczynił a z których nie najmniej stanowią liczne błędy drukarskie, oszpecające dzieło? Pana Rzepeckiego niedbała korekta, archaiczne, przedpotopowe zwroty, jak „blizkie“ zamiast „bliskie“, „uzbrojić się“ zamiast „uzbroić się“ przypominają nam koniec 18-go stulecia, w którym także pisano: „ya“ zamiast: „ja“, „yabłko“ zamiast: „jabłko“ i t. d. Czy p. Rzepeckiemu nieznaną gramatyka wielkiego jego ziomka Małeckiego?

[Hanna. Powieść z przeszłości przez Hieronima Zaleskiego. Jarosław, 1893. Nakładem i drukiem H. Bohussa. 12-stka. Stron numerowanych 100.]

Na tle wojen tatarskich osnuł autor swoją powieść, opiewającą miłość Hanny i Janka, ślub obojga, narodziny syna, małego Janka, miłość tajemną sąsiada Stacha ku uroczej sąsiadce, wreszcie napad Tatarów, śmierć starego Lasoty, ojca Hanny i zniknięcie Janka, po którym owdowiała Hanna, uważając go za umarłego, długi czas żałobę nosi, aż wreszcie uległa namowom Stacha, oddając mu rękę swoją. Idylliczne, spokojne ich życie przerywają ni ztąd ni zowąd odwiedziny okaleczanego w wojnie żebraka, który w objęciach żony umiera, a Hanna potraciwszy zmysły, wpada w dziki szal, z którego tylko jedna śmierć wybawić może i wybawia.

Bez przesady, wierszem pięknym i potoczystym nakreślony ten obrazek z wieków ubiegłych. Chętnie wybaczymy autorowi niejedną usterkę poetyczną gwoli tych licznych piękności poetycznych, które jego dzieło zdobią.

[Dornrosen. Lyrische und epische Dichtungen, Aphorismen u. s. w. von Leo Feuerstein. Drezno, 1896. Nakładem Maksymiliana Geisslera tamże a czcionkami Franciszka Haricha w Bischofsburgu. Ozdobne wydanie. Dwunastka. Cena 3 marki. Stron numerowanych 144.]

Autorem tego literackiego potpourri jest Dr. Leon Feuerstein, lekarz a rodowity Galicjanin. Jako potomek żydowskiej rodziny (ojciec jego bowiem dotąd piastuje urząd prowadzącego metryki w Zbarażu), wyrósł i wychował się w ciasnych, krępujących wszelki ruch swobodniejszy warunkach życia. Własnym usiłowaniam, własnej pracy ma do zawdzięczenia piękne stanowisko społeczne, jakie obecnie zajmuje; owocem własnych myśli, własnych doświadczeń, własnych spostrzeżeń jest także to dzieło (nie pierwsze z rzędu), jakie obecnie w świat puścił. A były te doświadczenia niekoniecznie przyjemne; sporo goryczy, sporo jadu i ironii (szczególnie, jeśli sobie swoje gniazdo rodzinne przypomina) przebija się w jego pracach.

Dziela się one na oryginalne i tłumaczenia lub naśladowania; dalej na poematy epiczne, bądźto krótsze, bądź dłuższe i na lirykę; na epigrany i myśli, wierszem i prozą po książce porozrzucane, sonety, aforyzmy i t. d. Niektóre z tych myśli i wierszów są znakomite; niektóre zaś tchną tak skrajnym, a niezawsze uzasadnionym pesymizmem, iż się czytelnikowi wierzyć nie chce, że autor liczy dopiero 36 lat, a taka naprzykład piosenka „Mein Leid“ — tożto najlepszy dowód tego pesymizmu.

Podajemy rzeczony wiersz według rytmu oryginału, w tłumaczeniu naszym, jednak pod innym a stosowniejszym tytułem:

CZEGO MI ŻAŁ?

Żał mi kwiatuszków, żał,
Że muszą schnąć niezbędnie,
I dziewcząt żał mi, żał,
Że ich uroda zwiędnie!
Ptasząt mi biednych żał,
Że pieśń ich — to chimera;
Żał mi poetów, żał,
Że tłum ich poniewiera!
Współbraci żał mi, żał,
Że giną wycieńczeni,

I świata nawet żal,
Ze pyłkiem jest w przestrzeni!

Z większych oryginalnych poematów epicznych z pochwałami podnieść musimy „Juratę, królowę Bałtyku“ — ale mimoto sądzimy, że gdyby autor wiedział, iż ta sama rzecz nierównie piękniej, nierównie wznioślej opracowaną została przez Sewerynę Duchyńską — to możeby sobie odrazu inną formę poetyczną obrał dla swego opowiadania.

Co do formy uważam za słabsze o wiele Feuersteina poemaciki oryginalne na str. 99-120 — tem wybitniejsza atoli ich treść, choć opisują tylko co czarne i wstrętne w życiu.

Kto uważnie zbiór ten przeczyta, nie zaprzeczy zapewne autorowi wybitnych zdolności a przede wszystkim daru obserwacji, ale mimowoli przyznać też będzie musiał, że Feuerstein jako dziecię kończącego się wkrótce stulecia, posiada też wszystkie jego wady. Nerwowy, niecierpliwy jak to stulecie, pracuje za szybko, sto rzeczy odrazu woli rozpoczynać, aniżeli jedną obrabiać i przepracowywać należycie. Skutkiem tego cierpi miejscami myśl a cierpi forma poetyczna często-gęsto.

Szereg cały takich wadliwych zwrotów zanotowałem sobie podczas czytania i przytaczam je tu w nadziei, że autor tak uzdolniony w przyszłości ich się pozbędzie.

I tak czytamy na str. 19, w. 12 „hinter dem Prophete“ zamiast „hinter dem Propheten;“ na str. 42, w. przedostatni brzmi także wadliwie a mianowicie: „mich beförder“ zamiast „befördre;“ na str. 43, w. 2 źle wygląda „quillet“ zamiast „quellet;“ na str. 54, w. przedostatni razi nas fałszywy zwrot: „Amélen“ zamiast „Amélie;“ na str. 57, w. 3 znowu „wo mein Melchen“ zamiast „wo Amélie;“ za fałszywe końcówki uważamy wiersze, jak „Dienst“ i „grinst“ (str. 64, w. 22 i 24), „träun' ich,“ i „befrei' mich“ (str. 64, w. 29 i 31), ponieważ mówić żadną miarą nie można: „befrein' ich,“ co jednak byłoby najwłaściwszą końcówką; wiersze jak „Jed'sUngemach“ zamiast „Und Unge-

mach,“ (str. 75, w. 10), „Im Sturme hörst sie“ zamiast „Im Sturm hörst du sie“ (str. 5, w. 13) są również wadliwe; ucho poetyczne czuje się obrażone wierszami jak „Schon dämmert's! 's schleicht der Mond in Königspracht“ zamiast „Schon dämmert's, Mond schleicht schon in Königspracht,“ a „Thor jäh!“ i „Glorie“ (str. 110, w. 14 i 16) albo „ausgehustet“ i „gewusst hätt,“ (str. 111, w. 19 i 21) — to takie fałszywe rozdźwięki, że najtwardsze nawet ucho niemile szarpią.

[Ze spraw szlązkich. Napisał Warszawiak. Odbitka z „Gazety Narodowej.“ Łwów, 1895. Nakładem wydawnictwa „Gazety Narodowej“ a czcienkami Pillera i Spółki. Mała ósemka. Stronic numerowanych 173.]

Książka ta pojawiła się w rok po zamknięciu wystawy lwowskiej a w kilka tygodni przed uroczystością otwarcia „Gimnazjum Polskiego“ w Cieszynie. Wtedyto sprawa żywiołu polskiego na Szlązku w ogóle a poszczególne sprawa otwarcia gimnazjum polskiego może nierównie żywiej zajmowała umysły, aniżeli teraz. Wszystkie dzielnice dawnej Polski wyścigały się w ofiarach pieniężnych na rzecz powstać mającego „Gimnazjum Polskiego“ w Cieszynie, szczególnie zaś Warszawa. Cóż więc dziwnego, że Warszawiak spostrzeżenia swoje co do Szlązka udziela publiczności polskiej w obszerniejszym dziele? Jakkolwiek dzieło jego nie zawsze wolne od błędów, jakkolwiek to i owo spostrzeżenie może niekoniecznie zgadza się z prawdziwym stanem rzeczy — to dzieło jego nie ze wszystkim pozbawione wartości, omówimy je więc „sine ira et studio.“

Rozpada się ono na 15 rozdziałów czy oderwanych szkiców, włącznie zakończenia i traktuje kwestję szlązką o ile można wyczerpująco.

Omawiając stosunki szlązackie, czyniąc porównania pomiędzy ofiarnością pruskich górnoszlązaków dla sprawy narodowej polskiej a bierną apatją polskich mieszkańców Księstwa Cieszyńskiego, czyni im autor zarzuty, gdzieniegdzie nawet bardzo uzasadnione, miejscami jednak myli się. Mynem np. jest twierdzenie, że obok gimnazjum polskiego w Cieszynie zdałoby się jeszcze drugie takie w Bilsku. Drugie gimnazjum polskie w Bilsku z rozmaitych względów — nie miałoby tam nic do

czynienia; natomiast zdałoby się polskie gimnazjum w Białej, zaczynającej się budzić w duchu narodowym. Do „Czytelni Polskiej“ w Białej należy dosyć Polaków z Bilska. Ciż sami posłaliby dzieci swoje do gimnazjum polskiego w Białej; bo byłoby im najbliżej. Jeśli Bilsko — licząc na bliskie sąsiedztwo — dotąd bezkarnie Niemczyło Białę, to Biała — budząc się w duchu narodowym — mogłaby pierwsze kroki poczynić celem szerzenia polszczyzny w Bilsku. Byłby to słuszny odwet. Wobec wypowiedzianej przez autora myśli o dwóch naraz na Szlązku polskim powstać mających gimnazjach — nie jestże paradoksem, jeśli autor twierdzi, że „Gimnazjum Polskie“ w Cieszynie nie należy do najpilniejszych spraw Szlązka, bo nie ma tam jeszcze szkół ludowych polskich? Sądzę, że mimoto Polacy na Szlązku nie zapomnieli jeszcze ze wszystkim języka ojczystego. Gdzie nie ma szkół ludowych polskich, tam ojciec był i będzie pierwszym nauczycielem, matka pierwszą nauczycielką, a nauka z pewnością nie pójdzie w las, czego najlepszym dowodem dzieje tak młodej jeszcze instytucji naukowej, jaką jest „Gimnazjum Polskie“ w Cieszynie.

W następnych artykułach szanowny autor omawia niejedną rzecz, odnoszącą się do żywiołu polskiego na Szlązku, tak górnym, jak i w Księstwie Cieszyńskim, broni ks. kardynała od zarzutów uczynionych mu — zdaje się z takim samym skutkiem, jak gdyby skórze murzyna chciał dać wygląd europejski; porusza kwestję ruchu i życia społecznego w Cieszynie, działalność w polskim duchu, choć nie bardzo konsekwentną i roztropną katolików szlązackich, pożyteczną działalność śp. Pawła Stalmacha, szkodliwe Polsce agitacje ewangelickiego obozu, działalność niewiast polskich po wsiach i miastach i t. d.

Wszędzie znać wzrok obserwacyjny, myśl żywą, ale znać i czuć także miejscami stronniczość, która gwoli swego widzimi się, fałszywymi wnioskami też nie gardzi.

[Odrodzenie Szlązka. Sylwetka pracy narodowej na Szlązku Cieszyńskim. Skreślił B. K. Świda. Dochód z rozprzedaży przeznaczony dla „Gimnazjum Polskiego“

w Cieszynie. Cieszyn, 1894. Drukiem Karola Prochaski. Dwunastka. Stron numerowanych 78.]

Charakterystycznym jest, że praca ta napisaną i wydaną została w roku Kościuszkowskim podczas wystawy lwowskiej, aby sprawą szlązką zainteresować szerzy ogół. Autor — B. K. Świda zapewnia w przedmowie, iż zebrał tę wiązaną spostrzeżeń i faktów z życia rodaków na Szlązku na polecenie „Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego,“ musiał więc pracę swoją zawrzeć w ciasnych granicach, krótko itreściwie wszystko ugrupować.

Nie brak jej mimoto ciekawych szczegółów: autor odśłania przed nami ucisk żywiołu polskiego, propagowany częścią przez Niemców, częścią przez odszczepieńców narodowych, obojętność warstw szerokich, zasługi nieodżałowanej pamięci Pawła Stalmacha, który pierwszy przykładem swoim życie narodowe na Szlązku austriackim budził, czynność i znaczenie prasy polskiej na Szlązku i kończy opowiadanie swoje gorącą odezwą do rodaków, aby częściej aniżeli dotąd odwiedzili ten uroczy zakątek górski, częściej o wiele zwiedzany przez obcych aniżeli przez swoich a przede wszystkim, żeby nie żałowali ofiar dla powstać mającego w niedalekiej przyszłości zakładu naukowego polskiego w Cieszynie.

Rzecz nie szablonowo i sucho napisana; odznacza się barwnością stylu i żywością słowa. Inaczej bowiem czyż mogłaby cieszyć się powodzeniem wśród szerokich mas i szczególnie nas Polaków w Galicji zamieszkałych a zkadinał przyzwyczajonych do wytwornych prac stylistycznych, zachęcić do czytania? Z pewnością, że nie! Brak jej jednak pewnej rzeczy; autor często bez potrzeby nawet swojski wyraz zastępuje obcym, najlichszym, na jaki się tylko zdobyć mógł, takzwanym „g a z e t o w y m,“ a to razi ucho polskie.

Wydawnictwa Zukerkandla w Złoczowie. Biblioteka Powszechna.

Jest to bezsprzecznie zasługą ruchliwego księgarza, że niezrażony rozmaitemi niepowodzeniami dalej prowadzi szereg wydawnictw, z których niejedno przyda

się dla rozszerzenia pożytecznych wiadomości, niejedno podniesie serce i ducha. A jeśli wydawcy przecież pod tym względem pewne uwagi uczynić muszą — to niech mi wierzy, że nie kieruje mną prosta tylko chęć krytykowania i ganienia, ale sprawiedliwość i prawda, które dla recenzenta są bożyszczem i wyrocznią jedyną. — Niech z tłumaczeń umieści głównie to, co ma rzeczywistą, aktualną wartość, ponieważ nie wszystko, co przetłumaczyć można, zasługuje na ten zaszczyt; zamiast tłumaczeń z Cycerona i Wirgilego niechaj nam raczej da przedruki starych autorów polskich: Kochanowskiego, Reja, Sarbiewskiego, Trembeckiego, Węgierskiego, Naruszewicza i innych. W ogóle przedruków dobrych autorów i autorek polskich czy to z ubiegłych stuleci, czy z naszego, choćby Bóg, wie ile tego było, nie może być zanadto. Niech z oryginalnych prac umieści, co dobre —, i to będzie także zasługą; ale niejedną z rzeczy, umieszczonych zawczasie w „Bibliotece Powszechnej,” radzilibyśmy wydawcy schować dla 500-go lub 1000-go zeszytu. Radzilibyśmy także, w cennikach opuścić bezwarunkowo wszystkie ustępy, wychwalające dzieło tego lub owego autora. Ubliża to i publiczności i autorowi i w dodatku jest zupełnie bezcelowe. Nie praktykuje to się wreszcie nigdzie indziej: ani w takiej paryskiej „Bibliothèque Nationale,” ani w Reklama „Bibliotece Uniwersalnej,” ani w Hendla „Bibliotek der Gesammtliteratur des In- und Auslandes,” ani w Mayera wydaniu kieszonkowym dzieł literackich, ani w Brandeisa „Żydowskiej Bibliotece Uniwersalnej,” ani w „Bibliotece Mrówki” lub innych im podobnych wydawnictwach. Jeśli się znanego i głośnego autora dla reklamy osobno wychwała inteligentnej publiczności — toż to obelga dla niej; bo oświadcza jej się wprost, że jest tak ograniczoną, iż bez tych pochwał może by nie wiedziała, że to wielki autor; dla autora samego — próżna taka chwalba także nie jest zaszczytem. Jeśli autor zaś, choć utalentowany, jeszcze młody i nie bardzo znany publiczności, to wystarczy krótka biograficzna wzmianka o nim w samem dziele. Skoro bowiem wydawca sam wychwała wydawnictwa swoje —, cóż w takim razie pozostało do czynienia recenzentom bez-

stronnym? Ocena ich zbędna — widocznie nie obchodzi go nawet.

[Nr. 52, 53. Paweł Mantegazza. *Wiek nerwowy*, z włoskiego przełożył Jakub Wollerner. 16-ka. Stronic 128.]

Gdyby wyraz ten był dozwolony, to powiedzielibym, że „*Wiek nerwowy*“ Mantegazzy jest rodzajem gawędy lekarskiej a nie dziełem pouczającym. Wszędzie ogólniki, nic pozytywnego. Ale prawda! książka ta nie była przeznaczoną dla lekarzy, lecz dla ogółu, który trzeba było cokolwiek uspokoić, czasami nawet łagodnie rozweselić, aby się nie zbyt nastraszył twierdzeniem, że wiek jest nerwowy a my wszyscy nerwowi razem z nim. Nieliczne przykłady chorobliwych wypadków chyba więcej na to opowiadane, aby publiczność cokolwiek ubawić, aniżeli aby jej wskazówki lekarskie podać. Tłumaczenie p. Wollenera czyta się dosyć gładko.

[Nr. 54. Włodzimierz Kaczorowski. *Poradnik dla tańczących*. 16-ka. Stron 36.]

W jakim celu książeczkę tę umieszczono w rządzie wydawnictw „Biblioteki Powszechnej“ a w dodatku tak blisko — nie czekając, czy wydawnictwo dojdzie bodaj do liczby 500 tomów — nie wiemy. Wszakże u nas prawie każdy młody a zdrowy człowiek wie, co tańce, a starsi, wiekiem zgrzybiali — wątpiny, żeby się tym „poradnik“ na co przydał.

[Nr. 55. Zygmunt Krasiński. *Nieboska komedja*. 16ka. Stron 80.]

Jest to podobno jedna z pierwszych, tanich edycji znanego arcydzieła, która się godnie obok wydawnictw naszych klasyków w nakładzie wydawcy pojawia.

[Nr. 56, 57. *Zriny*, tragedia Teodora Körnera, w przekładzie Ludwika Jenikego. 16ka. Str. 115.]

Z rozmaitych względów nie nada się do tłumaczenia większa część prac tego autora, wielce uzdolnionego, ale równocześnie i wielbiciela wielkiego Moskwy. „*Zriny*,“ opiewający bohaterskie czyny i śmierć bana węgierskiego, tworzy wyjątek. Tłumacz wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Przekład jest gładki i płynny. Rażą jednak zwroty, które nam się archaizmami wydają a ponadto są w rażącej sprzeczności z zasadami

Małeckiego i Walickiego, np. „blizki“ zamiast „bliski“, „kilką“ zamiast „kilku“, „dowódzca“ zamiast „dowódca“, „Pomorskie książe“ zamiast „Pomorski książe“, ponieważ książe jest rodzaju męskiego a nie nijakiego, a szczególnie razi nas na str. 45, w. 28, 29 zwrot:

„A teraz niech się dowiem co mi cesarz
Donosi. Idź tymczasem, Paprutowicz“ —

zamiast:

„A teraz niech się dowiem, co mi cesarz
Donosi. A ty idź, Paprutowiczu.“

Zwrot tłumacza bowiem zupełnie niedopuszczalny według zasad Walickiego, wypowiedzianych w dziele: „Błędy nasze.“

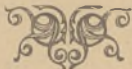
[Nr. 58—60. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. Dziennik Franciszki Krasińskiej, pisany w ostatnich latach panowania Augusta III. 16ka. Stron 206.]

Dziennik Franciszki Krasińskiej, niewybrednym stylem pisany, rzuca ciekawe światło na stosunki polskie podczas ostatnich lat panowania Augusta III. Sasa. Odmalowuje nam wiernie zwyczaje i obyczaje, panujące w owym czasie, wpływ francuzczyzny, intrygi dworskie, dumę szlachecką ówczesnych magnatów. Na tem tle uwydatnia się tem lepiej życie duchowe Krasińskiej, miłość jej dla Karola, królewicza polskiego, kończąca się zamęciem bez szczęścia właściwego; tytułem, w próżne honory, a nie w zadowolenie serca i sumienia obfitującym.

W chwili, kiedy to piszę, ostatni arkusz mego wydawnictwa idzie pod prasę; wybaczy mi zatem szanowny wydawca, że znużony, znękaný kilkutygodniową pracą i bezsennymi nocami, ocenę dalszych zeszytów jego „Biblioteki Powszechnej“ odkładam do następnego rocznika.

Sambor, 5. Kwietnia 1897.

G. Kohn.



Rachunki za lat dwadzieścia.

Oddaję niniejszem jako dochód z 20-go rocznika mego wydawnictwa 30 złr. na rzecz Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, a takąż samą kwotę do rąk zarządu Towarzystwa Bursy samborskiej.

Teraz, gdy wydawnictwo to przebyło i przeżyło 20oletni okres istnienia — mimowoli okiem rzucam wstecz i pragnę otwarcie rachunki złożyć przed całą publicznością ze skutków mojej czynności, przede wszystkim zaś z materialnych. Z każdego rocznika dwa Towarzystwa dobroczynne samborskie otrzymywały rokrocznie regularną i stałą subwencję. I tak wykazuje rocznik pierwszy dochodu 24 złr. 60 ct. dla Tow. Wincentego à Paulo i tyleż dla Pomocy naukowej; drugi 34 złr. 96 ct. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n.; trzeci 26 złr. 70 ct. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n.; czwarty 20 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n.; piąty 50 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n.; szósty 40 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n.; siódmy 40 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n.; ósmy 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla Pom. n. Przy sposobności rozpoczęcia druku 9-go rocznika zastąpiłem Towarzystwo Pomocy naukowej Towarzystwem Bursy, ponieważ ówczesny prezes Pomocy naukowej w Samborze — zamiast wdzięczność mi okazywać za datki dobroczynne na rzecz Towarzystwa zbierane, wyszukanemi kpinami mnie przyjmował, kiedykolwiek u niego się jawiłem.

Dziewiąty rocznik wykazuje dochodu 25 złr. dla Tow. Wincentego à Paulo i tyleż dla Bursy Samborskiej; dziesiąty 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; jedenasty 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; dwunasty 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; trzynasty 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla

B. S.; czternasty 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; piętnasty 25 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; szesnasty 28 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; siedemnasty 30 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; ośmnasty 30 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; dziewiętnasty 30 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S.; dwudziesty wreszcie 30 złr. dla Tow. W. à P. i tyleż dla B. S. — co razem czyni 1168 złr. 52 ct., zdobytych w przeciągu dwudziestu lat za pomocą moich wydawnictw na cele dobroczynne samborskie i oddanych sumiennie. W sumę tę nie wliczyłem jeszcze innych darów dobroczynnych, zdobytych za pomocą odrębnych wydawnictw dla mieszkańców innych miast, dotkniętych klęskami elementarnymi. Z tych są najznacześniejsze następne dary: dla pogorzalców horodeńskich 106 złr.; dla pogorzalców miasta Stryja 86 złr. 60 ct.; dla pogorzalców podhajeckich 82 złr.; dla pogorzalców husiatyńskich wreszcie 72 złr. 70 ct. — co razem czyni 345 złr. 30 ct., a jeśli doliczymy to, co wyłącznie na samborskie cele zostało wydane — 1513 złr. 82 ct. Nie doliczyłem jeszcze mnóstwa drobniejszych kwot, wydawanych co chwila na najrozmaitsze potrzeby i cele dobroczynne, aby nie grzeszyć rozwlekłością.

Ale na tem nie koniec. Każde wydawnictwo, a tem samem także wydawnictwo na cele dobroczynne — obok strony humanitarnej ma także inną: literacką. Wolno więc zapytać się, kto pod tym względem najwięcej drugiemu zawdzięcza: ja Samborowi, czy też Sambor mnie? Zdaje się, że odpowiedź na to pytanie nie będzie trudna:

Nim rozpocząłem moje wydawnictwo — Sambor w świecie literackim tyle może miał poważania, co Beocja w Grecji. Pisma stołeczne, jak: „Gazeta Narodowa,“ „Ruch Literacki,“ „Dziennik Polski,“ „Przyjaciel Domowy“ — już w samych początkach mego wydawnictwa z żywą sympatją witały je; na własne oczy widziałem i czytałem w pierwszorzędnem piśmie warszawskiem wzmiankę o mnie, i tam wypowiedziano zdanie, że cokolwiekby mnie zarzucić można, to przecież mam tę jedną niezaprzeczoną i wielką zasługę,

że pierwszy budziłem życie literackie w mieście, o którym dotąd nie wiadano, czy i co tam czytają?

A Sambor, czem mi się odwdzieczył? Nie chcę mówić o pomocy materjalnej, która była mniej niż niedostateczną, o pretensjach ustawicznych, niczem nieuzasadnionych; ale pierwsze pociski literackie w prowincjonalnych i stołecznych pismach przeciwko mnie wymierzone — kto je w świat puścił? Samborzanie!*) Czytałem takie pamflety i paszkwile, połączone ustawicznym i rozmyślnem przekręcaniem prawdy, w „Sanie,“ w „Kronice,“ w „Brechunie.“ Ulubiony współpracownik tegoż pisma „Czarny Miluś“ ze Sambora wezwał pomocy Boga, aby w dowód pomsty „grzmiał nad moją głową“ zapewne dlatego, by mnie ukarać za owe 1168 złr. 52 ct., które przysporzyłem ubogim miasta Sambora.

Nie zaprzeczę, że i ja Samborowi dużo mam do zawdzięczenia, a mianowicie: utratę połowy zdrowia i swobody, a to także rzecz nie małej wagi.

Sambor, 6. Kwietnia 1897.

G. Kohn,

redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“



*) Nieliczni zwolennicy mego wydawnictwa, zamieszkali w Samborze, niech do mnie nie mają żalu, niech się nie czują dotkniętymi słowami memi, które się wcale do nich nie odnoszą, ale do tej masy nieuków lub połowicznie wykształconych, co wszelkim zamiarom uczciwym zapory kładą, a gdzie nie można inaczej, najzasłużeńszych nawet ludzi w pismach trzeciorzędnych, niestety zanadto rozpowszechnionych, czernią. (*Przyp. Autora.*)

T R E Ś Ć.

	Str.
<i>Brzostowski A. B.</i> , Ze wspomnień o Kraszewskim, część I.	163
<i>Chajes Awigdor</i> , Ofiary, obrazek z życia żydów .	309
<i>Ćwik Walenty</i> , Dzieje zakładu poczty i telegrafu w Galicji	61
„ „ Do * *, kartki z albumu, wiersz	159
„ „ Klub c. k. urzędników poczty i te- legrafu, wiersz	307
<i>Duchińska Seweryna</i> , Wspomnienie z życia na tu- lactwie, dzienniczek Janiny	11
<i>G. Kazimierz</i> , Płyn łódka moja } wiersze	252
„ „ Polak }	253
<i>Hrubowa z Antonowiczów Janina</i> , Myśli	158
<i>Kallas A.</i> , Intermezzo	77
<i>Kohn G.</i> , Nieco o Adamie Asnyku (z portretem tegoż)	5
„ Po czasie fali, wiersz	60
„ Kwiaty i myśli, wiersz	162
„ Tyle życia, ile w pieśni, wiersz	254
„ Bocheńskie wyroby solinarnie (z ry- ciną)	257
„ Ragnarökur, wiersz przetłumaczony przez autora z niemieckiego swego ory- ginału	296
„ Jakie jest prawdziwe zadanie naszej demokracji?, studjum społeczne	299
„ Muzeum Rapperswyllskie (z trzema rycinami)	323
„ Ku czci śp. barona Maurycego Hir- scha, wiersz	327
„ Bibliografia	334
„ Rachunki za lat dwadzieścia	364
<i>Lasocki Franciszek</i> , Przed wybuchem, poemat dra- matyczny, zaopatrzone wstępem przez redaktora „Roczników Samborskich“	83

	Str.
<i>Libera Anna</i> , Wiersze pośmiertne	317
<i>Lissówna Olga</i> , Trzy obrazki, poemat epiczny	7
" " Fata Morgana, sonet	10
" " Ludu mój, ludu!, pieśń	304
<i>Młot Zenon</i> , Jak to ładnie, gdy na grobach róże rosną, wiersz	305
<i>Mściwujewski Mieczysław</i> , Szpieg, epizod z r. 1863	329
<i>O. L.</i> , Kocham tę Polskę, wiersz	308
<i>Pietrzycki J.</i> , Quo vadis? ballada	58
" Mazurek Dąbrowskiego, ballada, o- snuta na tle powstania styczniowego	75
<i>Stroka Aleksander</i> , Nierozegrana walka, krot- chwila	258
<i>Tokarski Stanisław</i> , Niema ciebie, niema już, pieśń (według Szopena)	161

SPRÓSTOWANIE POMYŁEK.

Str.	wiersz:	zamiast:	czytaj:
179	37	zapewnił	zapewniał
180	13	niepodobne	niepodobna
183	2	Nr. 2	Nr. ?
183	41	ale nie miałem wyznaję,	ale nie miałem, wyznaję,
186	12	z danej chwili	w danej chwili
187	30	Dyplomów.	Dyplomów,
189	35	skąd inąd lecz	skąd inąd, lecz
190	21	klótnia	klótnie
190	29	Kraszewskiego	Kraszewskiego
190	38	krajn	kraju
191	9, 10	Dippoldiswoldaergasse	Dippoldiswaldaergasse
191	26	pracom musiał	pracom, musiał
192	36	charakteryzował	scharakteryzował

